

ÅSNE SEIERSTAD

księgarz z Kabulu



Asne Seierstad

Księgarz z Kabulu

Asne Seierstad (ur. 1970), norweska dziennikarka i pisarka. Studiowała język rosyjski i filozofię na Uniwersytecie w Oslo.

Była korespondentką norweskiej prasy w Rosji, Chinach, Kosowie i Afganistanie, relacjonowała też działania wojenne w Iraku. Książka Księgarz z Kabulu, przełożona dotychczas na ponad dwadzieścia języków, była największym bestsellerem z gatunku literatury faktu w historii norweskiego rynku wydawniczego i szybko osiągnęła ogromny sukces międzynarodowy, rozchodząc się w ponad dwumilionowym nakładzie.

Późną jesienią 2001 roku, tuż po upadku reżimu talibów, do Afganistanu dotarły setki dziennikarzy, wśród nich Asne Seierstad. W zrujnowanym Kabulu autorka zaprzyjaźniła się z Sułtanem Chanem, księgarzem i erudytą, który przez lata, mimo szykan ze strony władz, stał na straży literackiego i kulturalnego dziedzictwa swego kraju. Przyjęła zaproszenie i zamieszkała z jego liczną rodziną, lecz wtedy poznała jego drugą twarz: otoczony książkami czarujący światowiec we własnym domu był panem życia i śmierci najbliższych.

Codziennie obserwacje i wysłuchane w domu Chana historie członków rodziny łączą się we wstrząsającą, a zarazem po reportersku wyważoną opowieść o tragicznie doświadczanym narodzie.

Jedna z najbardziej interesujących i oryginalnych książek o Afganistanie.

Saga rodzinna, katalog narodzin i ślubów, opowieść, w której wszechwiedzący narrator zagląda w myśli bohaterów, ale powstrzymuje się od komentarzy. Seierstad ogranicza się do opisywania tego, co widzi, a każdy szczegół jest całkowicie przekonujący.

„The Spectator”

Moim rodzicom

przedmowa

Sułtan Chan był pierwszym człowiekiem, którego spotkałam w Kabulu, kiedy przybyłam tam w listopadzie 2001 roku. Przedtem spędziłam sześć tygodni z oddziałami Sojuszu Północnego - na pustyni przy granicy z Tadżykistanem, w górach Hindukuszu, w dolinie Pandższiru i na stepach na północ od Kabulu. Towarzyszyłam im w ofensywie przeciw talibom, sypiałam na kamiennej podłodze, w ziemiankach, na linii frontu. Podróżowałam ciężarówkami, pojazdami wojskowymi, konno i piechotą.

Kiedy reżim talibów upadł, podążyłam z Sojuszem Północnym do Kabulu. Tam w pewnej księgarni spotkałam eleganckiego siwowłosego mężczyznę. Po tygodniach spędzonych wśród gruzów i w kurzu, gdzie rozmowy dotyczyły wyłącznie taktyki wojennej i sukcesów na frontach, możliwość przeglądania książek, rozmowy o literaturze i historii wydała mi się czymś niezwykle odświeżającym. Półki w księgarni Sułtana Chana ugięły się pod dziełami w różnych językach - zbiorami poezji i afgańskich legend, rozprawami historycznymi i powieściami. Był utalentowanym kupcem; kiedy wychodziłam ze sklepu po pierwszej wizycie, niosłam siedem tomów. Zaczęłam często tu zaglądać w wolnych chwilach, by popatrzeć na książki i przy okazji porozmawiać z interesującym człowiekiem, księgarzem i afgańskim patriotą, którego własny kraj tylekroć zawiódł.

- Najpierw moje książki palili komuniści - mówił - potem plądrowali księgarnię mudżahedini, później znowu podpalili ją talibowie.

Godzinami słuchałam opowieści o zmaganiach Chana z kolejnymi reżimami i ich cenzurą oraz o jego prywatnej wojnie - o tym, jak ukrywał książki przed policją, wypożyczając je ludziom na zewnątrz, i jak wreszcie poszedł za to do więzienia. Człowiek ten usiłował ocalić sztukę i literaturę swego kraju, podczas gdy jego kolejni władcy dokładali starań, by je zniszczyć. Zdałam sobie sprawę, że mam przed sobą żywy fragment historii kultury Afganistanu, chodzącą książkę historyczną.

Pewnego dnia zaprosił mnie do swego domu na kolację.

Cała rodzina - jedna z jego żon, synowie, siostry, brat, matka, kilku kuzynów - zasiadła na podłodze do wspaniałej uczy.

Sułtan opowiadał różne historie, synowie śmiali się i dowcipkowali. Panował nastrój swobody, całkowite przeciwieństwo atmosfery prostych żołnierskich posiłków w górach, z komendantami. Szybko jednak zauważyłam, że kobiety mówią niewiele. Śliczna młodzianka żona Sułtana siedziała bez słowa przy drzwiach, obejmując dziecko, w ogóle się nie

odzywała. Pierwszej żony tego wieczora nie było. Pozostałe kobiety odpowiadały na pytania, na pochwały dotyczące jedzenia, same jednak nigdy nie zaczynały rozmowy.

Kiedy stamtąd wyszłam, powiedziałam sobie: Oto Afganistan. Ciekawie byłoby napisać książkę o tej rodzinie.

Dzień później odwiedziłam Sułtana w księgarni i przedstawiłam mu swój pomysł...

- Bardzo dziękuję - odparł krótko.

- Ale to oznacza, że musiałabym z wami na jakiś czas zamieszkać.

- Zapraszamy.

- Musiałabym żyć tak jak wy, wciąż z wami być. Z tobą, twoimi żonami, siostrami, synami.

- Zapraszamy - powtórzył.

Pewnego mglistego lutowego dnia wprowadziłam się do domu rodziny Sułtana Chana. Przyniosłam tylko komputer, notatniki, długopisy, telefon komórkowy i to, co miałam na sobie. Reszta przepadła po drodze, gdzieś w Uzbekistanie.

Przyjęto mnie z otwartymi ramionami, a ja bardzo szybko poczułam się znakomicie w afgańskich ubraniach, które mi pożyczono.

Dostałam posłanie na podłodze obok maty Lejli, której zadaniem było dbać o moje dobre samopoczucie.

- Ty jesteś moje dziecko - oznajmiła dziewiętnastolatka pierwszego wieczora. - Będę się tobą opiekować - zapewniała, podrywając się z miejsca przy każdym moim ruchu.

Sułtan nakazał rodzinie, by dostarczano mi wszystkiego, czego sobie życzę. Dopiero później dowiedziałam się, że zagroził karą każdemu, kto nie będzie tego polecenia respektował.

Przez cały dzień podawano mi herbatę i jedzenie. Powoli byłam wprowadzana w życie rodziny. Ale jej członkowie opowiadali mi o różnych sprawach, kiedy sami tego chcieli, nie wtedy, kiedy ja ich pytałam. Nie zawsze mieli ochotę na rozmowy w chwilach, gdy trzymałam w ręce notatnik; woleli zwierzać się podczas wypraw na bazar, w autobusie lub późnym wieczorem, kiedy układaliśmy się na matach. Większość odpowiedzi padała spontanicznie - i często były to odpowiedzi na pytania, których nie zdążyłam zadać lub na które nie starczało mi wyobraźni.

Temu, co usłyszałam, nadałam formę literacką, ale opisane tu historie są prawdziwe, uczestniczyłam w nich osobiście albo znam je z opowieści osób, które brały w nich udział.

Także kiedy piszę, co ludzie myślą lub czują, punktem wyjścia są dla mnie ich relacje o tym, co odczuwali i myśleli w danej sytuacji. Czytelnicy często mnie pytają: "Skąd pani wie, co działo się w głowach rozmaitych członków rodziny?"

Oczywiście, nie jestem wszechwiedząca - monologi wewnętrzne i opisy uczuć są w całości oparte na zasłyszanych historiach.

Nigdy nie udało mi się opanować dari, odmiany języka perskiego używanej w domu Chana, lecz okazało się, że kilka mieszkających tam osób włada angielskim. Rzeczą niezwykłą? Owszem, ale też moja kabulska opowieść dotyczy nader niezwykłej afgańskiej rodziny. W końcu księgarz to ktoś rzadko spotykany w kraju, gdzie trzy czwarte ludności nie umie czytać ani pisać.

Angielszczyzna Sułtana była barwna i rozwlekła; przyswoił ją sobie dzięki pewnemu dyplomacie, któremu udzielał lekcji języka dari. Jego młodsza siostra Lejla mówiła świetnie po angielsku, gdyż chodziła do szkoły na uchodźstwie w Pakistanie, potem zaś ukończyła afgańskie kursy wieczorowe.

Najstarszy syn, Mansur, po kilku latach nauki w Pakistanie również władał płynną angielszczyzną. Opowiadał mi o swoich lękach, miłościach oraz kłótniach z Bogiem, mówił, że chce się poddać procesowi duchowego oczyszczenia, zgodził się także, bym jako niewidzialna czwarta towarzyszka poszła z nim na pielgrzymkę do Mazar. Zabierano mnie w podróże w interesach do Peszawaru i Lahore, brałam udział w pościgu za AlKaidę, chodziłam na bazar i do łaźni, uczestniczyłam w weselu i przygotowaniach do niego, byłam w szkole, w Ministerstwie Edukacji, na posterunku policji i w więzieniu. Nie brałam jednak udziału w dramatycznych przeżyciach Dżamili ani w eskapadach Rahimullaha. Opowieść o tym, jak Sułtan oświadczył się Sonji, usłyszałam od uczestników i świadków tego zdarzenia: od Sonji, Sułtana, jego matki, sióstr, synów oraz Szarify.

Sułtan nie zgodził się, by w jego domu zamieszkał ktoś spoza rodziny, więc funkcję moich tłumaczy pełnili Mansur, Lejla i on sam. Rzeczą jasną, dawało im to duży wpływ na kształt historii rodzinnej, jednak starannie porównywałam różne wersje zdarzeń i zadawałam te same pytania wszystkim trojgu, z których każde stanowiło przykład typowych dla tej rodziny kontrastów.

Cała rodzina została poinformowana, że mieszkam u nich po to, by napisać książkę. Dlatego jeśli woleli, żebym o czymś nie pisała, mówili mi o tym. Mimo to postanowiłam nie ujawniać tożsamości swoich bohaterów - członkowie rodziny Sułtana Chana i wszystkie inne osoby, o których wspominam, ukryte są pod zmienionymi imionami. Nikt mnie o to nie prosił, sama uznałam, że tak powinnam postąpić.

Moje dni wyglądały tak samo jak dni rodziny. O brzasku budziły mnie krzyki dzieci i polecenia wydawane przez mężczyzn. Potem stałam w kolejce do łazienki lub korzystałam z niej, kiedy inni już skończyli się myć. Jeśli miałam szczęście, to wystarczało dla mnie ciepłej wody, ale szybko się nauczyłam, że ochłapanie twarzy zimną wodą też działa orzeźwiająco. Resztę dnia spędzałam w domu z kobietami, odwiedzałam z nimi krewnych i chodziłam na bazar albo szłam z Sułtanem i jego synami do sklepu lub na miasto w interesach, czasem też towarzyszyłam im, gdy wyjeżdżali. Wieczorem jadłam z rodziną obiad, a potem popijałam zieloną herbatę do czasu, gdy trzeba było iść spać.

Byłam gościem, ale wkrótce poczułam się jak w domu.

Przyjmowano mnie naprawdę fantastycznie, rodzina była otwarta i szczodra. Przeżyliśmy razem mnóstwo cudownych chwil, muszę jednak przyznać, że rzadko kiedy bywałam na kogoś taka wściekła jak w domu Sułtana Chana i nigdy nie kłóciłam się tak często jak tutaj. Nigdy też nie nachodziła mnie tak silna ochota, by kogoś uderzyć.

Prowokowało mnie zawsze to samo: sposób, w jaki mężczyźni traktowali kobiety. Męska wyższość i przewaga jest wpisana w ich stosunek do świata i rzadko ją kwestionują.

Sądzę, że mnie uważano za istotę bezpłciową. Jako kobiecie Zachodu wolno mi było przebywać zarówno z kobietami, jak i z mężczyznami. Gdybym była mężczyzną, nie mogłabym tak blisko przyjaźnić się z kobietami, bo ludzie natychmiast zaczęliby plotkować. Jednocześnie moja płć nie stanowiła żadnej przeszkody w obcowaniu ze światem mężczyzn. Kiedy na przyjęciach towarzystwo się rozdzielało, kobiety szły do siebie, mężczyźni do siebie, ja jedna mogłam swobodnie krążyć między pokojami.

Nie musiałam przestrzegać surowych zasad obowiązujących afgańskie kobiety, jeśli chodzi o strój, mogłam też chodzić, gdzie chciałam. Mimo to często wkładałam burkę po prostu po to, żeby mieć spokój. Kobieta z Zachodu na ulicach Kabulu budzi mnóstwo niepożądanego zainteresowania. Okryta burką mogłam się rozglądać do woli i nikt się na mnie nie gapił, a podczas wspólnych wypraw obserwowałam członków rodziny, nie zwracając na siebie uwagi. Anonimowość była moim sprzymierzeńcem, jedyną możliwością ucieczki, w Kabulu bowiem prawie nie ma miejsc, w których człowiek mógłby być sam.

Używałam burki również po to, by się przekonać, jak to jest być afgańską kobietą. Jak to jest, kiedy trzeba się tłoczyć w autobusie na trzech przeznaczonych dla kobiet tylnych ławkach, choć reszta pojazdu jest prawie pusta. Jak to jest, kiedy musisz się kulić w bagażniku taksówki, ponieważ tylne siedzenie zajmuje mężczyzna. Jak to jest, kiedy na ulicy oglądają się za tobą, wysoką, atrakcyjną burką, i kiedy słyszysz pierwszy skierowany do burki komplement.

Jakże z czasem znienawidziłam ten strój! Jakże on uciska czoło, jaki powoduje ból głowy! Jak trudno coś dostrzec przez kratkę z nici! Jakże burka ogranicza kobietę, jak mało przepuszcza powietrza, jak szybko ciało zaczyna się w niej pocić, jak trzeba nieustannie patrzeć, gdzie się stąpa, bo nie widać własnych stóp! Ileż śmieci zgarnia się jej skrajem, jaka może być brudna, jak bardzo krępuje ruchy! Co to za ulga zdjąć burkę, kiedy się wraca do domu!

Używałam burki również dla bezpieczeństwa - kiedy podróżowałam z Sułtanem po niepewnej drodze do Dżalalabadu, kiedy musieliśmy nocować w obskurnym nadgranicznym zajezdzie, kiedy mimo późnej pory wciąż przebywaliśmy na dworze. Afgańskie kobiety zazwyczaj nie podróżują z komputerami, wyposażone w okazały zwitek dolarów, więc osoba odziana w burkę może liczyć, że rozbójnicy zostawią ją w spokoju.

Chciałabym podkreślić, że moja książka jest opowieścią o pewnej konkretnej afgańskiej rodzinie. Istnieją jednak miliony innych. Moja rodzina wcale nie jest typowa. Należy do klasy średniej, jeśli o czymś takim w Afganistanie w ogóle można mówić. Wielu jej członków otrzymało wykształcenie, znaczna część potrafi czytać i pisać. Mają pieniądze, nie głodują.

Gdybym miała zamieszkać u najbardziej typowej rodziny afgańskiej, byłaby to liczna rodzina wiejska, w której nikt nie umie czytać ani pisać, a każdy dzień jest walką o przeżycie.

Rodzinę Sułtana Chana wybrałam nie dlatego, że jest reprezentatywna, ale dlatego, że mnie zainspirowała.

Mój pobyt w Kabulu przypadł na pierwszą wiosnę po upadku rządu talibów. Tej wiosny zatlił się pierwszy, wątły płomyk nadziei. Ludzie się cieszyli, że ciemiecy zostali przepędzeni, nikt już się nie bał, że na ulicy zatrzyma go policja religijna, kobiety znowu zaczęły same wychodzić do miasta, mogły studiować, dziewczynki znów poszły do szkół. A jednak rozczarowania ostatniego dziesięciolecia były wciąż żywe. Dlaczego cokolwiek miałyby się zmienić?

Tej wiosny w kraju wciąż panował względny spokój i dawało się dostrzec więcej optymizmu. Ludzie robili plany, coraz więcej kobiet zostawiało burki w domu, niektóre podejmowały pracę; zaczęli wracać uchodźcy.

Rząd oscylował między tradycją a nowoczesnością, między bojownikami a lokalnymi wodzami plemiennymi. Przywódca Hamid Karzaj próbował zachować równowagę pośród chaosu i wytyczyć stabilny kurs polityczny. Był politykiem popularnym, ale nie miał ani własnej partii, ani oddziałów wojskowych - i to w kraju wręcz zalanym bronią, pełnym zwalczających się nawzajem frakcji politycznych.

Mimo udanych zamachów na dwóch ministrów oraz próby zamordowania trzeciego w Kabulu panował względny spokój, choć ludzie wciąż czuli się zagrożeni. Wielu uważało wręcz, że kraj zawdzięcza jaką taką egzystencję obecności obcych wojsk patrolujących ulice. Bez nich znowu wybuchłaby wojna domowa, mówili.

Zapisałam to, co widziałam i słyszałam tamtej wiosny w Kabulu. Chciałam opowiedzieć o ludziach, którzy pragnęli otrząsnąć się po długotrwałej zimie, aby rosnąć i kwitnąć - ale przede wszystkim o tych innych, którzy, jak to określiła Lejla, nadal czują, że są skazani na to, by "jeść piach".

Asne Seierstad

Oslo, 1 sierpnia 2002

zaloty

Kiedy Sułtan Chan uznał, że nadszedł czas, by znaleźć sobie nową żonę, nie było nikogo, kto chciałby mu w tym pomóc. Najpierw zwrócił się do swojej matki.

- Wystarczy ci ta, którą masz - powiedziała.

Wobec tego Sułtan udał się do najstarszej siostry.

- Ale ja lubię twoją pierwszą żonę - odparła.

- To hańba dla Szarify - oznajmiła jedna z ciotek.

Sułtan potrzebował pomocy, zalotnik bowiem sam nie może prosić o rękę panny. W Afganistanie obyczaj nakazuje, by to jedna z należących do rodziny kobiet przedstawiła jego prośbę, a przy okazji przyjrzała się bliżej dziewczynie i sprawdziła, czy jest ona zdolna, dobrze wychowana i czy w ogóle stanowi odpowiedni materiał na żonę. Jednak żadna kobieta z otoczenia Sułtana nie chciała mieć z zalotami nic wspólnego.

Szukając nowej żony, Sułtan upatrzył sobie trzy dziewczyny, które uznał za odpowiednie. Wszystkie były zdrowe i urodziwe, wszystkie pochodziły z jego klanu. W rodzinie Sułtana tylko wyjątkowo zawierano małżeństwa z osobami spoza klanu, uważano, że najmądrzej i najbezpieczniej jest zawierać związki z krewnymi, i to najlepiej z bliskimi kuzynami lub kuzynkami.

Najbardziej podobała się Sułtanowi szesnastoletnia Sonja. Miała ciemne oczy o migdałowym kształcie i lśniące czarne włosy. Była zgrabna i dorodna, mówiono też, że jest pracowita. Rodzina dziewczyny była biedna, ale wystarczająco blisko spokrewniona z rodziną Sułtana Chana: babka matki dziewczyny i babka matki Sułtana były siostrami.

Podczas kiedy Sułtan zastanawiał się, jak bez wsparcia kobiet z własnej rodziny poprosić o rękę panny, jego pierwsza żona nie domyślała się nawet, że jakaś młodziutka dziewczyna, urodzona w tym samym roku, w którym ona i Sułtan brali ślub, zajmuje teraz myśli jej męża. Szarifa zaczynała się starzeć, przekroczyła pięćdziesiątkę, podobnie zresztą jak i Sułtan. Urodziła mu trzech synów i córkę. Dla mężczyzny z pozycją Sułtana był czas najwyższy, żeby poszukać sobie nowej żony.

- W takim razie idź sam - doradził mu w końcu brat.

Sułtan starannie rozważył jego słowa i uznał, że to jedyne rozwiązanie. Pewnego ranka udał się do domu szesnastolatki, której rodzice powitali krewniaka z otwartymi ramionami. Sułtan uważany był za człowieka szczodrego i uczynnego, przyjmowano go zawsze jak najserdeczniej.

Matka Sonji zagotowała wodę i podała herbatę. Usiedli na płaskich poduszkach pod ścianami glinianej chaty, wymienili stosowne uprzejmości i pozdrowienia, aż wreszcie Sułtan uznał, że już pora przedstawić swoją propozycję.

- Mam przyjaciela, który pragnie poślubić Sonję - oznajmił rodzicom.

Już nie pierwszy raz proszono ich o rękę córki. Była naprawdę ładna i zręczna, rodzice jednak uważali, że jest jeszcze za młoda na małżeństwo. Ojciec Sonji nie mógł pracować. Został sparaliżowany po bójce, w której pchnięto go nożem i przecięto mu splot nerwowy na plecach. Urodziwa córka była cennym towarem przetargowym na małżeńskim rynku i rodzice wciąż czekali na propozycje lepsze od tych, które im już złożono.

- On jest bogaty - zaczął Sułtan. - Działa w tej samej branży co i ja, ma dobre wykształcenie i trzech synów. Ale jego żona zaczyna się starzeć.

- A w jakim stanie są jego zęby? - zapytali rodzice panny pospiesznie, chcąc się dowiedzieć, w jakim wieku jest zalotnik.

- Mniej więcej w takim jak moje - odparł Sułtan. - Sami oceńcie.

Stary, pomyśleli rodzice. Ale to niekoniecznie musiało być przeszkodą. Im starszy jest konkurent, tym wyższą cenę można wyznaczyć za córkę. Zapłatę za pannę młodą ustala się na podstawie jej wieku, urody i umiejętności oraz statusu rodziny.

Kiedy Sułtan Chan przedstawił swoją propozycję, rodzice odpowiedzieli zgodnie z oczekiwaniami:

- Ona jest za młoda.

Każda inna odpowiedź oznaczałaby, że sprzedają córkę zbyt tanio temu bogatemu, nieznanemu zalotnikowi, o którym Sułtan Chan wyrażał się tak ciepło. Zbytnią gorliwość była nie na miejscu. Wiedzieli jednak, że Sułtan przyjdzie znowu, bo Sonja była młoda i piękna.

Następnego dnia Sułtan rzeczywiście przyszedł, by powtórzyć oświadczenia. Ta sama rozmowa, ta sama odpowiedź. Tym razem jednak udało mu się spotkać również Sonję, z którą nie rozmawiał od czasu, gdy była dzieckiem.

Dziewczyna pocałowała go w rękę, aby okazać szacunek starszemu krewnemu, on zaś zaszczycił pocałunkiem czubek jej głowy. Sonja wyczuła panujące napięcie i wzdrygnęła się pod taksującym spojrzeniem wuja Sułtana.

- Znalazłem dla ciebie bogatego narzeczonego, co ty na to? - spytał.

Sonja utkwiała wzrok w podłodze. Odpowiedź oznaczałaby złamanie wszelkich norm. Młoda dziewczyna nie może nic sądzić na temat zalotników.

Trzeciego dnia Sułtan znowu przyszedł i tym razem przedstawił konkretną propozycję. Pierścioneł, naszyjnik, kolczyki i bransoleta, wszystko z czerwonego złota. Ubrań tyle, ile panna młoda zechce. Trzysta kilogramów ryżu, sto pięćdziesiąt kilogramów oleju jadalnego, krowa, kilka owiec i piętnaście milionów afgani, czyli ponad czterysta dolarów.

Ojciec Sonji był więcej niż zadowolony z propozycji i zapytał, czy mogliby poznać owego tajemniczego pana, który tyle chce zapłacić za ich córkę - choć Sułtan zapewniał, że mężczyzna ten należy do klanu, nie potrafili go zidentyfikować ani przypomnieć sobie, by kiedykolwiek spotkali kogoś odpowiadającego opisowi.

- Jutro - obiecał Sułtan. - Jutro będziecie mogli zobaczyć jego zdjęcie.

Następnego dnia ciotka Sułtana po dłuższych namowach zgodziła się wyjawić rodzicom Sonji, kim naprawdę jest zalotnik ich córki. Wzięła ze sobą zdjęcie, zdjęcie Sułtana Chana oczywiście, i przekazała im jego ultimatum, że mają godzinę na podjęcie decyzji. Jeżeli powiedzą: tak, będzie bardzo wdzięczny, ale przyjmie odmowę bez urazy. Pragnie jedynie za wszelką cenę uniknąć niekończących się pertraktacji i niejasnych odpowiedzi: może tak, a może nie.

Rodzice wydali zgodę, nim upłynęła godzina. Podobał im się zarówno sam Sułtan Chan, jak i jego pozycja oraz pieniądze. Kiedy tajemniczy zalotnik zyskał imię i rodzice przyjęli jego oświadczenia, brat ojca poszedł do czekającej na poddaszu Sonji.

- Wuj Sułtan we własnej osobie prosi o twoją rękę - oznajmił. - Przyjmiesz go?

Z gardła dziewczyny nie wydobył się żaden dźwięk, siedziała zapłakana, z pochyloną głową ukrytą pod długim szalem.

- Twoi rodzice przyjęli oświadczenia - poinformował stryj. - Masz teraz jedyną okazję, by powiedzieć, czego ty sama pragniesz.

Ona jednak siedziała nieporuszona jak kamień, śmiertelnie przerażona i odrętwiała. Wiedziała, że nie chce tego mężczyzny, ale wiedziała też, że musi się poddać woli rodziców. Jeśli wyjdzie za Sułtana, wzniesie się o kilka szczebli na drabinie społecznej, a ślubna zapłata pomoże rozwiązać wiele problemów rodziny. Za otrzymane pieniądze rodzice będą mogli kupić jej braciom dobre żony.

Sonja milczała i tym samym jej los został przypieczętowany. Milczenie oznaczało zgodę. Umowę zawarto, wyznaczono datę ślubu.

Sułtan poszedł do domu, by zakomunikować rodzinie wielką nowinę. Jego żona Szarifa, matka i siostry siedziały na podłodze nad misami ryżu i szpinaku. Szarifa myślała początkowo, że Sułtan żartuje, i przyjęła jego słowa ze śmiechem. Matka też się śmiała z

pomysłu syna. Nawet jej się nie śniło, że mógłby starać się o żonę bez jej przyzwolenia. Siostry siedziały oniemiałe.

Nikt nie chciał mu uwierzyć. Dopiero kiedy im pokazał chustkę i słodycze, jakie zalotnik otrzymuje od rodziców narzeczonej na potwierdzenie zaręczyn, dano wiarę jego słowom.

Szarifa płakała dwadzieścia dni.

- Co ja zrobiłam nie tak? Taki wstyd! Dlaczego nie jesteś ze mnie zadowolony?

Sułtan prosił, żeby się opanowała. Nikt w rodzinie nie popierał jego decyzji, nawet synowie. Mimo to nikt nie śmiał powiedzieć ani słowa. Wola Sultana była niepodważalna.

Szarifa była niepokieszona. Jedną z największych zniewag stanowił dla niej fakt, że mąż wybrał analfaberkę, która nie skończyła nawet pierwszej klasy. Ona sama była wykształconą nauczycielką języka perskiego.

- Co ma ta dziewczyna, czego ja nie mam? - szlochała.

Sułtan był ponad to, nie obchodziły go łzy żony.

Nikt nie miał ochoty brać udziału w zaręczynowym przyjęciu, ale Szarifa musiała pokonać wstyd i wystroić się jak należy.

- Chcę, żeby wszyscy widzieli, że się ze mną zgadzasz i popierasz moją decyzję. W przyszłości będziemy mieszkać wszyscy razem i musisz okazać Sonji, że jest u nas mile widziana - nakazał.

Szarifa była zawsze posłuszna swojemu mężowi, więc i teraz, gdy musiała oddać go innej, spełniła jego okrutne żądanie. A on w dodatku chciał jeszcze, by włożyła zaręczynowe pierścionki na palce Sultana i Sonji!

Dwadzieścia dni po oświadczeniach odbyła się uroczysta ceremonia zaręczyn. Szarifa wzięła się w garść i zrobiła dobrą minę do złej gry. Jej krewniaczki starały się, jak mogły, żeby ją wytrącić z równowagi.

- Jakież to dla ciebie musi być okropne - użalały się nad nią. - To takie okrutne z jego strony. Straszne.

Dwa miesiące później, w wigilię muzułmańskiego Nowego Roku, odbyło się wesele. Tym razem jednak Szarifa odmówiła uczestnictwa.

- Nie zniosłabym tego - oznajmiła mężowi.

Kobiety z rodziny ją poparły. Żadna nie kupiła sobie nowej sukni ani nie umalowała się tak, jak wypada na wesele.

Miały proste fryzury i sztuczne uśmiechy na ustach, pragnąc ukazać szacunek odtrąconej żonie, która nie miała już dzielić łóża z Sultaniem Chanem. Teraz było ono

zarezerwowane dla młodej, bezgranicznie przerażonej małżonki. Wszyscy odtąd mieli żyć pod wspólnym dachem, dopóki śmierć ich nie rozłączy.

książki na stosie

Pewnego potwornie mroźnego popołudnia w listopadzie 1999 roku na rondzie przy Czarahe Sedarat w Kabulu przez wiele godzin płonęło wielkie ognisko. Wokół płomieni tłoczyli się ulicznicy; tańczące błyski rozjaśniały ich brudne, rozbawione twarzyczki, kiedy licytowali się, który z nich odważy się podejść najbliżej ognia. Dorośli rzucali tylko w stronę stosu ukradkowe spojrzenia i pośpiesznie szli dalej. Tak było najbezpieczniej. Wszyscy bowiem widzieli, że to nie jest stos, który rozpalili miejscy strażnicy, by ogrzać sobie ręce - że to stos na chwałę Boga.

Suknia bez rękawów królowej Sorai zwinęła się, skurczyła i zamieniła w popiół, podobnie jak białe, kształtne ramiona władczyni i jej pełna powagi twarz. Obok płonął jej mążzonek, król Amanullah, i wszystkie jego ordery. Cały poczet królów z trzaskiem palił się na stosie, w otoczeniu małych dziewczynek w afgańskich strojach ludowych, mudzahedinów na koniach i chłopów na targu w Kandaharze.

Tego listopadowego dnia policja religijna przeprowadziła dokładną rewizję w księgarni Sułtana Chana. Wszystkie książki zawierające podobizny istot żywych, to znaczy ludzi albo zwierząt, zostały zrzucone z półek i ciśnięte w ogień.

Ofiarą płomieni padały pożółkłe stronice, niewinne kartki pocztowe i wielkie, wyschnięte okładki starych encyklopedii.

Razem z dziećmiakami przy ognisku stali funkcjonariusze policji religijnej, uzbrojeni w bicze, długie pałki i kałasznikowy - ludzie, którzy wszystkich miłośników obrazów, książek, rzeźb, muzyki, tańca, filmu i wolnej myśli traktowali jak wrogów ludu.

Tego dnia zajmowali się wyłącznie obrazkami. Na heretyckie teksty nie zwracali uwagi, nawet jeżeli stały na półkach tuż przed ich oczami. Niepiśmienni żołnierze nie potrafili odróżnić prawowitej nauki talibów od herezji, umieli natomiast odróżnić obrazki od liter oraz istoty żywe od martwych przedmiotów.

W końcu został tylko popiół. Niesiony wiatrem, mieszał się z kurzem kabulskich ulic, osiadał na jezdniach i w rynsztokach. Księgarza, ograbionego z najukochańszych książek, dwaj talibscy żołnierze wepchnęli do samochodu; księgarnię zamknięto i zaplombowano, a Sułtan trafił do więzienia za działalność antymuzułmańską.

Całe szczęście, że te uzbrojone głupki nie sprawdziły, co się znajduje za regałami, myślał w drodze do aresztu. Tam, sprytnie ukryte, przechowywał najbardziej zakazane pozycje, które wyjmował tylko wtedy, kiedy ktoś specjalnie o nie pytał i gdy miał pewność, że może pytającemu zaufać.

Właściwie Sułtan się tego spodziewał. Latami sprzedawał niedozwolone książki, obrazy i pisma. Żołnierze nieraz do niego przychodzili, straszili i zabrawszy kilka książek, odchodzili. Docierały do niego pogróżki z najwyższych kręgów rządowych, był nawet wzywany do Ministerstwa Kultury, władze bowiem próbowały skłonić go do zmiany postawy, zmusić, by pracował dla talibów.

Sułtan Chan chętnie sprzedawał ich wydawnictwa; jako wolnomyśliciel i człowiek o szerokich horyzontach uważał, że wszystkie głosy powinny być wysłuchane. Chciał jednak, oprócz ponurej nauki talibów, sprzedawać książki historyczne, wydawnictwa naukowe, teologiczne dzieła na temat islamu, a przede wszystkim literaturę piękną, powieści, poezję.

Talibowie wszelką dyskusję uważali za herezję, a wątpliwość za grzech. Wszystko poza studiowaniem Koranu było niepotrzebne, a nawet szkodliwe. Kiedy jesienią 1996 roku przejęli władzę w Kabulu, zwolnili pracowników ministerstw i na ich miejsce zatrudnili mułłów, którzy wkrótce opanowali wszystkie instytucje, od banku centralnego po uniwersytet.

Ich celem było odtworzenie takiego społeczeństwa, w jakim w siódmym wieku żył na Półwyspie Arabskim prorok Mahomet. Nawet podczas pertraktacji z zagranicznymi towarzystwami naftowymi przy stole rokowań zasiadali mułłowie nieposiadający żadnych kwalifikacji technicznych.

Sułtan dostrzegał, że kraj pod rządami talibów staje się coraz mroczniejszy, biedniejszy, szczelniej zamknięty. Władze przeciwstawiały się wszelkim próbom modernizacji, nie odczuwały żadnej potrzeby zrozumienia, a tym bardziej zajmowania się ideą nowoczesności i postępu czy rozwoju gospodarczego. Talibowie odrzucali wszelką naukową dyskusję, obojętne, czy prowadzono ją w świecie zachodnim, czy muzułmańskim. Ich manifest sprowadzał się do kilkunastu żalonych regulek, określających, jak ludzie powinni się ubierać, w jaki sposób mężczyźni powinni przestrzegać czasu modlitwy oraz jak oddzielić kobiety od reszty społeczeństwa. Ich wiedza na temat historii zarówno Afganistanu, jak i islamu była bardzo mierna, zresztą zupełnie się nią nie interesowali.

Sułtan Chan siedział w samochodzie, ściśnięty między dwoma niepiśmiennymi talibami, i przeklinał swój kraj, którym rządzą albo wojskowi, albo mułłowie. On sam był wierzącym, ale umiarkowanym muzułmaninem. Każdego ranka modlił się do Allaha, przeważnie jednak ignorował pozostałe cztery wezwania do modlitwy, chyba że policja religijna siłą ciągnęła go do meczetu razem z innymi mężczyznami zgarniętymi z ulicy. Niechętnie przestrzegał postu w czasie ramadanu, nic nie jadł od wschodu do zachodu słońca, przynajmniej wtedy, gdy ktoś go widział. Był wierny obydwu swoim żonom, dzieci

zaś wychowywał twardą ręką na dobrych, bogobojnych muzułmanów. Dla talibów, których uważał za niedouczonego chłopskich kaznodziejów, żywił najwyższą pogardę; ich przywódcy pochodzili z najbiedniejszych i najbardziej zacofanych rejonów kraju, gdzie analfabetyzm był niemal powszechny.

Za aresztowaniem księgarza stał Departament Krzewienia Cnoty i Zapobiegania Występkom, powszechnie znany jako ministerstwo obyczajności. Podczas przesłuchań w areszcie Sułtan gładził brodę, która zgodnie z nakazem talibów miała długość zaciśniętej pięści, oraz poprawiał szalwar kamiz, strój również zgodny z wymaganiami talibów - koszula trochę za kolana, spodnie poniżej kostek. Odpowiadał dumnie:

- Możecie spalić moje książki, możecie zatruć mi życie, nigdy jednak nie zdołacie unicestwić historii Afganistanu.

Książki były całym życiem Sułtana. Z chwilą kiedy w szkole dostał swój pierwszy podręcznik, książki i opowieści całkowicie go urzekły. Urodził się w niezamożnej rodzinie, dorastał w latach pięćdziesiątych na wsi Deh Chodadad pod Kabulem. Matka i ojciec nie umieli pisać ani czytać, ale ciułali grosz do grosza, żeby wysłać dzieci do szkoły.

Sułtan był najstarszym synem, więc wszystkie oszczędności szły na jego wykształcenie - siostra, nieco od niego starsza, nigdy w życiu nie przestąpiła progu szkoły i na zawsze pozostała analfabatką. Do dziś z trudem rozpoznaje godziny na zegarze; jej przeznaczeniem było przecież tylko zamążpójście.

Natomiast Sułtan miał zostać kimś ważnym. Pierwszą przeszkodą okazała się droga do szkoły, gdyż mały Sułtan oznajmił, że nie może iść boso. Matka bezwzględnie wypchnęła go za drzwi. "Widzisz, a jednak możesz!" - krzyknęła i zdzieliła syna w ucho.

Wkrótce zresztą sam zarobił sobie na buty. Przez cały czas nauki pracował. Rano, przed lekcjami, i każdego popołudnia aż do zmroku wypalał cegły, by zarabiać pieniądze dla rodziny, a później znalazł sobie pracę w sklepie. Rodzicom powiedział, że dostaje o połowę mniejszą zapłatę niż w rzeczywistości, a różnicę odkładał na kupno książek.

Zaczął nimi handlować już jako kilkunastoletek. Rozpoczął właśnie studia w szkole inżynierskiej, ale nigdzie nie mógł zdobyć potrzebnych podręczników. Kiedyś wyjechał z wujem do Teheranu i na jednym z tamtejszych świetnie zaopatrzonych w książki bazarów nieoczekiwanie trafił na wszystkie tytuły, których szukał. Kupił kilka zestawów po to, żeby je sprzedać kolegom w Kabulu. Tak narodził się księgarz; los rzucił Sułtanowi deskę ratunku.

Jako inżynier Sułtan pracował tylko na dwóch budowach w Kabulu, potem zamiłowanie do książek wyciągnęło go z biura projektowego. I znów uwiodły go bazyry z książkami w Teheranie. On, chłopak ze wsi, włóczył się pośród książek w perskiej metropolii,

oglądał wydawnictwa stare i nowe, antykwaryczne i współczesne, odkrywając pozycje, o jakich mu się nawet nie śniło. Kupował całe skrzynie perskich poezji, książek o sztuce, dzieł historycznych, a także - już dla zysku - podręczników dla inżynierów.

Pierwszą maleńką księgarnię otworzył w centrum Kabulu, wśród sklepików z przyprawami i straganów z kebabem.

Były lata siedemdziesiąte i społeczeństwo wahało się niepewnie między nowoczesnością a tradycją. Rządził liberalny, nieco leniwy król Zaher Szah, lecz jego nieśmiało podejmowane próby unowocześnienia kraju wywoływały ostrą krytykę środowisk religijnych. Kiedy jednak grupa mułłów zaprotestowała przeciwko temu, że kobiety z rodziny królewskiej pokazują się publicznie z odsłoniętymi głowami, wtrącono ich do więzienia.

W kraju wzrastała liczba uniwersytetów i szkół nauczycielskich, rozpoczęły się studenckie demonstracje. Zostały one bezwzględnie stłumione przez władze, wielu protestujących zabito. Choć nie było wolnych wyborów, partie i grupy polityczne, od skrajnie lewackich po fundamentalistyczne, mnożyły się jak grzyby po deszczu. Ugrupowania te zwalczały się między sobą, pogłębiając panujący w kraju nastrój niepewności. Po trzech latach suszy gospodarkę ogarnęła stagnacja; podczas katastrofalnej klęski głodu w roku 1973, gdy król Zaher Szah przebywał na leczeniu we Włoszech, jego kuzyn, Daud, dokonał zamachu stanu, przejął władzę i zniósł monarchię.

Rządy prezydenta Dauda były znacznie bardziej restrykcyjne niż króla Zahera, ale księgarnia Sułtana kwitła.

Sprzedawał książki i czasopisma wydawane przez rozmaite ugrupowania polityczne, od marksistów po fundamentalistów. Wciąż mieszkał na wsi, w domu matki i ojca, lecz co rano jechał na rowerze do sklepiku w Kabulu i wracał późnym wieczorem. Jego jedynym problemem było nieustanne zrzędzenie matki, że powinien się w końcu ożenić. Wynajdywała mu wciąż nowe kandydatki, a to jakąś kuzynkę, a to córkę sąsiadów. Sułtan jednak nie chciał na razie zakładać rodziny.

Romansował na prawo i lewo, toteż nie widział powodu, by się spieszyć. Chciał być wolny, podróżować, robić interesy w Teheranie, Taszkencie i Moskwie. W Moskwie zresztą czekała na niego przyjaciółka, Ludmiła.

Parę miesięcy przed grudniem 1979 roku, kiedy to kraj został zajęty przez Związek Sowiecki, Sułtan po raz pierwszy popełnił błąd. Krajem rządził zatwardziały komunista Nur Mohammad Taraki; prezydent Daud i cała jego rodzina, aż do najmniejszego dziecka, zginęli w niedawnym zamachu stanu. Więzienia były przepełnione; władze aresztowały dziesiątki tysięcy przeciwników politycznych, wielu z nich torturowano lub zabito.

Usiłując umocnić kontrolę nad krajem, komuniści zaciekle zwalczali ugrupowania muzułmańskie. Mudżahedini, święci bojownicy, podjęli zbrojną walkę z rządem, która później miała się przekształcić w bezlitosną wojnę partyzancką przeciwko Związkowi Sowieckiemu.

Mudżahedini reprezentowali różne ideologie i przekonania. Różne ugrupowania wydawały publikacje mające wspierać dżihad - czyli świętą wojnę z rządem niewiernych - oraz islamizację kraju. Rząd surowo tępił wszystkich, którzy mogli mieć powiązania z mudżahedinami, zakazując druku oraz rozpowszechniania ich pism ideologicznych.

Sułtan handlował wydawnictwami i komunistów, i mudżahedinów. Miał żyłkę handlową, toteż kupował po kilka egzemplarzy wszystkich książek i pism, jakie tylko wpadły mu w ręce, po czym sprzedawał je po nieco wyższej cenie.

Uważał, że powinien sprzedawać wszystko, co ludzie chcą kupić. Najbardziej zakazane publikacje ukrywał pod ladą.

Wkrótce jednak został przyłapany. Aresztowano pewnego człowieka, który był klientem Sułtana i miał przy sobie kupione u niego książki. Podczas rewizji w księgarni policja znalazła mnóstwo niedozwolonych druków. Zapłonął pierwszy książkowy stos, sam Sułtan zaś został poddany bezwzględny przesłuchaniom, pobity i skazany na rok więzienia. Zamknięto go na oddziale dla więźniów politycznych, gdzie zarówno pióra, papier, jak i książki były absolutnie zabronione. Przez długie miesiące Sułtan gapił się w ścianę.

W końcu, dzięki paczkom żywnościowym przysyłanym przez matkę, udało mu się przekupić strażnika i odtąd co tydzień dostawał przeschmuglowane z miasta książki. Zamknięty w surowych kamiennych ścianach, Sułtan rozwijał swoje zainteresowania afgańską kulturą i literaturą, zgłębiał perską poezję i dramatyczną historię swojego kraju. Kiedy wyszedł z więzienia, był jeszcze bardziej pewny swego: będzie walczył o upowszechnianie afgańskiej kultury i historii. Znowu podjął sprzedaż zakazanej prasy, zarówno wydawnictw muzułmańskiej partyzantki, jak i publikacji maoistycznej opozycji, ale był teraz znacznie ostrożniejszy.

Władze jednak miały go na oku i pięć lat później powtórnie trafił do aresztu. Znowu mógł za murami filozofować na temat perskiej poezji. Tym razem do dawnych oskarżeń dodano kolejne, uznano mianowicie, że jest drobnomieszczaninem, co w ustach komunistów było najgorszą obelgą.

Zdaniem oskarżenia Sułtan zarabiał pieniądze według kapitalistycznych wzorów.

Działo się to w czasie, kiedy komunistyczny rząd Afganistanu próbował wykorzystać wojenną zawieruchę, by zlikwidować plemienną strukturę społeczną i zaprowadzić radosny komunizm. Próby kolektywizacji rolnictwa ściągnęły na ludność wielkie cierpienia.

Wielu biednych chłopów odmówiło przyjęcia ziemi odebranej bogatym latyfundystom, ponieważ sianie ziarna w kradzionej ziemi jest sprzeczne z islamem. Wieś buntowała się i komunistyczne programy społeczne nie przynosiły żadnych rezultatów. W końcu władze dały za wygraną. Koszty wojny były olbrzymie. W ciągu dziesięciu lat zginęło półtora miliona Afgańczyków.

Kiedy nasz "drobnomieszczkański kapitalista" wyszedł z więzienia, miał trzydzieści pięć lat. Wojna ze Związkiem Sowieckim rozgrywała się przede wszystkim na terenach wiejskich i Kabul pozostał prawie nietknięty. Tutaj ludzi zajmowały codzienne troski. Tym razem więc matka zdołała przekonać Sułtana, że powinien się ożenić. Znalazła mu Szarifę, córkę generała, ładną i energiczną kobietę. Pobrali się i co drugi rok rodziło im się dziecko - w sumie trzech synów i córka.

Rosjanie wycofali się z Afganistanu w roku 1989 i nareszcie zrodziła się nadzieja na pokój. Mudżahedini jednak nie złożyli broni, bo rząd w Kabulu nadal korzystał ze wsparcia komunistycznego mocarstwa - w maju 1992 roku zajęli Kabul i wojna domowa wybuchła z nową siłą. Mieszkanie, które rodzina Sułtana Chana kupiła w sowieckim kompleksie mieszkaniowym Mikrorejon, znajdowało się tuż przy linii frontu. Rakiety trafiały w ściany domu, kule wybijały szyby w oknach, a przez podwórko przejeżdżały czołgi. Kiedyś cały tydzień wszyscy leżeli dla bezpieczeństwa na podłodze, gdy więc deszcz pocisków na parę godzin ustał, Sułtan zabrał rodzinę do Pakistanu.

Pod jego nieobecność księgarnia została splądrowana, podobnie jak biblioteka publiczna. Wartościowe książki rozprzedano kolekcjonerom za marne grosze lub wymieniono na czołgi, kule i granaty. Kiedy Sułtan wrócił z Pakistanu, by zająć się sklepem, również kupił mnóstwo książek skradzionych z Biblioteki Narodowej. Dokonywał prawdziwie paserskich zakupów. Za kilkadziesiąt dolarów nabył dzieła liczące sobie setki lat, między innymi pięćsetletni manuskrypt z Uzbekistanu, który później uzbecki rząd chciał odkupić, proponując dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Sułtan znalazł też przygotowane specjalnie dla Zahera Szaha wydanie wielkiego eposu Szahname swojego ulubionego poety Ferdousiego i kupił za bezcen wiele wartościowych książek od szabrowników, którzy nie byli w stanie przeczytać nawet tytułów tych dzieł.

Po pięciu latach zażartych walk Kabul zamienił się w stos ruin i utracił pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Kiedy ludzie obudzili się rankiem 27 września 1996 roku, strzały

ucichły; poprzedniego wieczora Ahmad Szah Masud wycofał swoje oddziały do doliny Pandzsziru. Podczas wojny domowej na afgańską stolicę codziennie spadało do tysiąca rakiet. Teraz panowała śmiertelna cisza.

Na słupie przed pałacem prezydenckim wisiało dwóch ludzi. Większy z nich był cały zbuczony krwią. Został wykastrowany, połamano mu palce, zmasakrowano tors i twarz, w czole ziała dziura od kuli. Drugi został po prostu zastrzelony i powieszony, a jego kieszenie na znak pogardy wypchano lokalną walutą, afgani. Tak skończyli dotychczasowy prezydent Mohammad Nadżibullah i jego brat. Nadżibullah był człowiekiem znieawidzonym. Powiadano, że kiedy Rosjanie zajęli Afganistan, jako szef tajnej policji wydał osiemdziesiąt tysięcy wyroków śmierci na tak zwanych wrogów ludu. W latach 1986-1992 był prezydentem kraju popieranym przez Rosjan. Po przejęciu władzy przez mudżahedinów, gdy Burhanuddin Rabbani został prezydentem, a Masud - ministrem obrony, Nadżibullaha zamknięto w areszcie domowym w budynku misji ONZ.

Kiedy talibowie zajęli wschodnie dzielnice Kabulu i zbliżyli się do pałacu, rząd mudżahedinów zdecydował się na ucieczkę. Wówczas Masud zaproponował swojemu dostojnemu więźniowi, że go ze sobą zabierze. Ten jednak przeraził się, że poza miastem grozi mu śmierć, i został z ochroną w budynku ONZ. Miał też nadzieję, że jako Pasztun będzie mógł pertraktować z pasztuńskimi talibami. Ale nazajutrz okazało się, że cała ochrona prezydenta zniknęła, a nad meczetami powiewają białe flagi - biel to święta barwa talibów.

Mieszkańcy Kabulu z niedowierzaniem przystawali przy znaku drogowym na placu Ariana. Przyglądali się powieszonym mężczyznom i spokojnie szli do domów. Wojna się skończyła. Teraz miała się rozpocząć inna wojna - przeciwko ludzkim radościom.

Talibowie zaprowadzili prawo i porządek, ale przypuścili bezlitosny atak na afgańską sztukę i kulturę. Na rozkaz rządu spłonęły książki Sułtana; do kabulskiego muzeum wtargnęli ludzie z siekierami, a z nimi minister kultury w charakterze świadka.

Co prawda kiedy przyszli, z dawnych zbiorów muzeum niewiele już zostało. Wszystkie zabytki ruchome rozszabrowano podczas wojny domowej: wazy z czasów Aleksandra Wielkiego, miecze, które mogły być używane w walce przeciwko mongolskim hordom Czyngischana, perskie miniatury i złote monety. Większość tych przedmiotów znajduje się teraz w rękach nieznanymi kolekcjonerów na całym świecie.

Tylko niewiele z nich zdołano ukryć, zanim plądrowanie rozpoczęło się na dobre.

Pozostało kilka olbrzymich rzeźb przedstawiających postaci afgańskich królów i książąt, ostały się też liczące tysiące lat posągi Buddy i malowidła ścienne. Talibscy żołnierze

wzięli się zatem do roboty z takim samym zapalem, z jakim ogołocili księgarnię Sultana. Pracownicy muzeum z płaczem patrzyli, jak talibowie rąbią wszystko, co jeszcze zostało.

A oni tłukli rzeźby, dopóki nie zostały tylko gołe postumenty, zasypane zwałami marmurowych odłamków i glinianych skorup. W pół dnia unicestwili tysiące lat historii. Z masakry ocalał jedynie ozdobiony ornamentami cytat z Koranu, wyryty na kamiennej tablicy, którą minister kultury zdecydował się zostawić w spokoju.

Kiedy talibscy kaci sztuki opuścili zdewastowane muzeum, które podczas wojny domowej także znajdowało się przy linii frontu, wśród ruin zostali jego pracownicy. Zaczęli zbierać potłuczone fragmenty, zamiatać kamienny pył z podłóg. Ocalałe kawałki składali w skrzyniach, dokładnie wszystko opisywali. Niektóre fragmenty można było rozpoznać, na przykład całą rękę jakiegoś posągu, część fryzury innego. Wszystkie skrzynie pochowano w piwnicach w nadziei, że przyjdzie dzień, gdy będzie można odrestaurować choćby kilka zabytków.

Pół roku przed upadkiem talibów zostały wysadzone w powietrze ogromne posągi Buddy w Bamjanie. Miały one około dwóch tysięcy lat i stanowiły najcenniejsze kulturowe dziedzictwo Afganistanu. Użyto tyle dynamitu, że z mniejszego nie zostały nawet drobne odłamki.

Pod rządami takiego właśnie reżimu Sultán Chan próbował ratować fragmenty afgańskiej kultury. Wkrótce po spaleniu jego książek na rondzie w Kabulu dał komuś łapówkę i wyszedł z więzienia. Tego samego dnia zerwał pieczęcie z drzwi księgarni. Stanął pośród resztek swoich skarbów i zapłakał, potem zaś zamalował czarnym tuszem wizerunki żywych istot we wszystkich książkach, które żołnierze przeoczyli. Wolał to niż stos. Z czasem przyszedł mu do głowy znacznie sprytniejszy pomysł, zaczął mianowicie naklejać na obrazki swoje wizytówki. W ten sposób zakrył ilustracje, ale mógł je w każdej chwili odkryć, a przy tym oznakował książki, wprowadził do wszystkich egzemplarzy swoje imię i nazwisko. Kto wie, myślał, może kiedyś będzie można wizytówki zdjąć?

Reżim jednak stawał się coraz bardziej bezlitosny.

W miarę upływu lat coraz surowiej przestrzegano zakazów i nakazów, dążąc do ostatecznego celu: życia według reguł z czasów Mahometa. Sultán ponownie został wezwany do ministra kultury. "Ktoś chce cię załatwić - powiedział minister. - A ja nie będę mógł cię ochraniać".

Wtedy to, latem 2001 roku, Sultán postanowił opuścić kraj. Rozpoczął starania o wizę kanadyjską dla siebie, swoich dwóch żon, synów i córki. Żony w owym czasie mieszkały z

dziećmi w Pakistanie i nienawidziły życia uchodźców, które przyszło im prowadzić. Sułtan wiedział jednak, że nie może porzucić księżek. Posiadał teraz w Kabulu trzy księgarnie.

Jedną prowadził jego młodszy brat, drugą najstarszy syn, szesnastoletni Mansur, a trzecią on sam.

Tylko niewielka część zbiorów stała na półkach. Większość, około dziesięciu tysięcy tomów, Sułtan pochował na strychach u znajomych w całym Kabulu. Nie mógł pozwolić, by księgozbiór, który gromadził przez blisko trzydzieści lat, uległ zatraceniu. Nie mógł pozwolić, by talibowie czy inni agresorzy nadal niszczyli ducha Afganistanu. Poza tym miał wobec swojego księgozbioru tajny plan, a raczej marzenie.

Obiecał sobie mianowicie, że kiedy talibowie nareszcie się wyniosą i Afganistan będzie miał rząd godny zaufania, wtedy przekaze swe zbiory obrabowanym bibliotekom publicznym w mieście, tym, w których niegdyś na regałach stały tysiące tomów. A może, marzył, otworzy własną bibliotekę i sam zostanie pełnym godności bibliotekarzem?

W obliczu grożącej Sułtanowi śmierci Kanadyjczycy przyznali wizy emigracyjne jemu i jego rodzinie. Ale Sułtan nie wyjechał. Spakowane i przygotowane do drogi żony czekały w Pakistanie, on jednak wynajdywał wciąż nowe preteksty, żeby odłożyć podróż. A to czekał na jakieś książki, a to któraś z księgarni była zagrożona, to znowu umarł krewny i należało zorganizować pogrzeb. Zawsze coś stawało na drodze.

Aż przyszedł 11 września. Kiedy na Afganistan zaczął padać deszcz bomb, Sułtan wyjechał do swoich żon do Pakistanu, poleciwszy Junusowi, jednemu z młodszych, nieżonatych braci, by został w Kabulu i pilnował księgarni.

Po upadku talibów, dwa miesiące po terrorystycznych atakach na USA, Sułtan jako jeden z pierwszych powrócił do Kabulu. Nareszcie mógł wystawiać na półkach wszystkie książki, jakie tylko chciał. Dzieła historyczne, w których ryciny zostały zamazane tuszem, mógł teraz sprzedawać cudzoziemcom w charakterze kuriozum, mógł też odkleić wizytówki zasłaniające portrety żywych istot. Znowu odsłonił białe ramiona królowej Sorai oraz obwieszoną złotem pierś króla Amanullaha.

Pewnego ranka stał w księgarni z filiżanką gorącej herbaty w ręce, patrząc na budzące się do życia miasto. Zastanawiał się, jak najlepiej urzeczywistnić swoje marzenie, i powtarzał w myślach cytaty ze swego ulubionego poety Ferdousiego: "Żeby odnieść zwycięstwo, czasami trzeba być wilkiem, a czasem jagnięciem". No to nadeszła pora, aby zamienić się w wilka, postanowił Sułtan.

zbrodnia i kara

Ze wszystkich stron na słup spadały kamienie, z których większość trafiała do celu. Kobieta nie krzyczała, lecz wkrótce rozległ się ryk tłumu. Potężny mężczyzna znalazł wyjątkowo stosowny kamień, duży i kanciasty, i starannie celując, cisnął nim z całych sił.

Kamień uderzył kobietę w brzuch tak mocno, że na burce ukazała się pierwsza tego popołudnia krew.

Na ten widok tłum zaczął krzyczeć z uciechy. Drugi kamień tej samej wielkości trafił ją w ramię. Krew płynęła; tłum wiwatował.

James A. Michener, Caravans

W Peszawarze czeka Szarifa, odepchnięta żona, i nie może zaznać spokoju. Wie, że Sułtan ma przyjechać w tych dniach, ale on, wyruszając z Kabulu, nigdy się nie pofatyguje, żeby przysłać konkretną wiadomość, kiedy będzie u niej, więc Szarifa całymi dniami przesiaduje w domu, bo mąż może się zjawić w każdej chwili.

Wszystkie posiłki przygotowane są tak, jakby zaraz miał wejść. Specjalnie wybrany tłusty kurczak, szpinak, który Sułtan tak lubi, zielony, przygotowywany w domu sos chili.

Czyste, świeżo wyprasowane ubranie leży na łóżku. Poczta starannie ułożona w skrzynce.

Godziny mijają. Kurczaka chowa się do lodówki, szpinak można w razie czego odgrzać, sos chili ląduje w szafce.

Szarifa zamiata mieszkanie, pierze firanki, ściera gromadzący się nieustannie kurz. Potem siada, wzdycha, trochę popłakuje. Nie dlatego, żeby za nim tęskniła. Tęskni jednak za życiem, jakie niegdyś wiodła, kiedy była żoną przedsiębiorczego księgarza, szanowaną i kochaną, matką jego synów i córki. Wybraną.

Czasami nienawidzi go za to, że złamał jej życie, odebrał dzieci, okrył hańbą przed całym światem.

Minęło osiemnaście lat od chwili, gdy Sułtan i Szarifa się pobrali, a przed dwoma laty on wziął sobie żonę numer dwa.

Szarifa żyje jak kobieta rozwiedziona, nie ma jednak wolności rozwódki. W dalszym ciągu Sułtan decyduje o jej sprawach. To on postanowił, że będzie mieszkać w Pakistanie i opiekować się jego domem, w którym przechowuje najcenniejsze książki. Tutaj ma komputer, tu jest telefon, stąd może wysyłać do klientów paczki z książkami i tu przyjmuje pocztę elektroniczną, bo wszystko to w Kabulu jest niemożliwe - tam nie działa poczta, nie działają

telefony, nie ma łączności komputerowej. Szarifa mieszka więc tutaj, bo to jest dla Sułtana praktyczne rozwiązanie.

Dla niej rozwód nigdy nie był dobrym wyjściem. Kobieta, która żąda rozwodu, traci wszelkie prawa. Dzieci zostają z ojcem, on może jej nawet zabronić widywania się z nimi.

Rozwódka to wstyd dla rodziny, często bywa odtrącana, a cały majątek przypada mężowi. Szarifa musiałaby się przeprowadzić do domu jednego ze swoich braci.

Podczas wojny domowej we wczesnych latach dziewięćdziesiątych oraz przez parę lat za rządów talibów cała rodzina Sułtana Chana mieszkała w Peszawarze, w dzielnicy Hajatabad, gdzie dziewięciu na dziesięciu mieszkańców było Afgańczykami. Z czasem jednak wrócili do Kabulu, bracia, siostry, Sułtan, Sonja, synowie. Najpierw szesnastoletni Mansur, potem jedenastolatek Ajmal, a w końcu czternastoletni Eghbal. Została tylko Szarifa z córką Szabnam. Wciąż mają nadzieję, że Sułtan zabierze je do Kabulu, do rodziny i przyjaciół. Sułtan nieustannie im to obiecuje, ale wciąż są jakieś przeszkody. Zrujnowany dom w Peszawarze, który miał być przejściowym schronieniem przed kulami i granatami w Afganistanie, stał się więzieniem Szarify. Nie może się stąd wyprowadzić bez męzowskiego pozwolenia.

Przez pierwszy rok po drugim ślubie Sułtana Szarifa mieszkała razem z jego nową żoną. Uważała Sonję za głupią i leniwą. Choć leniwa to może ona nie była, tylko Sułtan nigdy jej nie pozwalał nawet palcem ruszyć. Szarifa gotowała, podawała jedzenie, prała, rozkładała i składała pościel.

W początkowym okresie bywało, że Sułtan wiele dni i nocy spędzał w sypialni, gdzie zamykał się z Sonją, i tylko od czasu do czasu dawał znać, że potrzebują herbaty lub gorącej wody. Szarifa słyszała dochodzące stamtąd szepty i śmiechy, które raniły jej serce.

Starła się stłumić w sobie zazdrość i przed ludźmi zachowywała się jak wzorowa żona. Kuzynki i przyjaciółki mówiły, że powinna dostać nagrodę pierwszej małżonki. Nikt bowiem nigdy nie słyszał, by się skarżyła, że została odepchnięta, żeby kłóciła się z Sonją albo przedstawiała rywalek w złym świetle.

Gdy najgorętsze dni miodowego miesiąca minęły i Sułtan opuścił sypialnię, by wrócić do interesów, jego dwie żony chodziły po domu i wciąż się na siebie natykały. Sonja pudrowała się i przymierzała nowe suknie, Szarifa tymczasem próbowała odgrywać rolę zapobiegliwej gospodyni i matki.

Wzięła na siebie najcięższe obowiązki, powoli uczyła Sonję, jak ma przygotowywać Sułtanowi jego ulubione dania, jak dbać o jego garderobę, jak mocno podgrzewać wodę do

mycia, i przekazywała jej wiele różnych innych rzeczy, które żona powinna o swoim mężu wiedzieć.

Ale wstyd, najgorszy był wstyd! Chociaż to nic nadzwyczajnego, że mężczyzna bierze sobie drugą, a niekiedy nawet i trzecią żonę, dla pierwszej jest to mimo wszystko upokorzenie. Odstawiona na bok żona i tak dostaje stempel tej, która nie była wystarczająco dobra. Szarifa najbardziej cierpiała z tego powodu, że mąż wyraźnie okazywał, iż woli tę młodszą.

Musiła jakoś wytłumaczyć swemu otoczeniu, dlaczego mąż ożenił się po raz drugi. Musiała wymyślić coś, co by dowiodło, że to nie ona okazała się nie dość dobra, lecz że zewnętrzne okoliczności stały się przyczyną jej nieszczęścia.

Opowiadała więc każdemu, kto chciał jej słuchać, że to przez polipy na macicy. Otóż musiała się poddać operacji, po której lekarz poinformował ją, że jeśli chce przeżyć, nie może więcej sypiać z mężem. Zapewniała też, że to ona kazała Sułtanowi znaleźć sobie nową żonę, a nawet sama wybrała dla niego Sonję. Jest przecież mężczyzną, mówiła.

W oczach Szarify ta wymyślona choroba upokarzała ją znacznie mniej niż fakt, że ona, matka jego dzieci, przestała się liczyć jako żona. A tak ludzie będą mogli myśleć, że Sułtan ożenił się ponownie właściwie za radą lekarza.

Jeśli Szarifa chciała przedstawić się w naprawdę dobrym świetle, opowiadała z płonąym wzrokiem, że kocha Sonję jak siostrę, a jej córkę Latifę jak własne dziecko.

W przeciwieństwie do Sułtana mężczyźni, którzy mają kilka żon, na ogół bardzo się starają zachowywać równowagę w pożyciu z nimi: jedna noc z tą, druga z tamtą, i trwa to latami. Żony często miewają dzieci w tym samym wieku, które wychowują się jak rodzeństwo. I każda matka jastrzębim wzrokiem obserwuje, czy aby jej potomstwo jest traktowane tak samo jak dzieci drugiej żony, czy dostaje to samo i w takich samych ilościach. Wiele z tych żon nienawidzi się nawzajem ponad wszystko na świecie, bywa, że latami nie rozmawiają ze sobą. Często jednak kobiety godzą się z tym, że mężczyzna ma prawo do posiadania wielu żon, i nawet się zaprzyjaźniają. Przecież z reguły rywalka jest wydawana za mąż przez rodziców, często wbrew własnej woli. Niewiele młodych dziewcząt marzy, by zostać drugą żoną starszego mężczyzny. Pierwsza żona otrzymała jego młodość, drugiej przypada starość. Niekiedy żadna z żon nie chce męża i cieszy się, że nie musi co noc znosić go na swojej macie.

Piękne brązowe oczy Szarify patrzą przed siebie bez zainteresowania, te oczy, o których Sułtan kiedyś mówił, że są najpiękniejsze w całym Kabulu. Teraz utraciły blask, otaczają je zmarszczki, powieki zrobiły się ciężkie. Jasna skóra upstrzona jest pigmentowymi

plamami, które Szarifa dyskretnie pokrywa warstwą płynnego pudru. Niezadowolenie z tego, że ma nieco przykrótkie nogi, do niedawna kompensowała jej bielutka skóra. W Afganistanie wzrost i blada cera są ważnymi wyznacznikami statusu. Dla Szarify wielkim wyzwaniem było zawsze zachowanie młodości, ukrywa, że w istocie jest o kilka lat starsza od Sułtana. Siwe włosy potrafi farbować domowym sposobem, ale smutnego wyrazu twarzy nie jest w stanie się pozbyć.

Ciężkim krokiem przemierza pokój. Od kiedy mąż zabrał wszystkich trzech synów do Kabulu, zajęć ma niewiele. Dywany są wyczyszczone, jedzenie gotowe. Włącza telewizję i ogląda amerykański film akcji, film, w którym silni, piękni bohaterowie walczą ze smokami, potworami i szkieletami, aż w końcu pokonują wszystkie złe istoty. Szarifa śledzi wydarzenia z wielką uwagą, choć dialogi są angielskie, a ona nie zna tego języka. Po filmie telefonuje do swojej szwagierki. Następnie wstaje i podchodzi do okna. Kiedy tak stoi tutaj, na piętrze, ma wgląd we wszystko, co dzieje się na tylnych podwórkach. Każde z podwórek otaczają mury wysokości człowieka, zbudowane z niewypalanej cegły.

Wszędzie, podobnie jak u Szarify, suszy się pranie.

Ale w Hajatabadzie nie trzeba widzieć, żeby wiedzieć.

Z zamkniętymi oczyma we własnej izbie człowiek wie, że sąsiad słucha potwornie głośnej pakistańskiej muzyki pop, że kilkoro dzieci wrzeszczy, a inne się bawią, że jakaś matka krzyczy, inna trzepie dywany, jeszcze inna robi na dworze pranie. Że sąsiadka przypaliła jedzenie, a druga sąsiadka sieka czosnek.

To, czego nie powiedzą hałasy i zapachy, uzupełniają plotki. W tej dzielnicy, gdzie każdy strzeże moralności bliźniego, rozprzestrzeniają się niczym pożar po suchej trawie.

Szarifa dzieli ten rozpadający się dom i maleńkie, otoczone glinianymi ścianami podwóreczko z trzema innymi rodzinami. Sułtana jak nie widać, tak nie widać, więc Szarifa decyduje się zejść do sąsiadek. Na dole przesiadują wszystkie kobiety z tego domu i parę zaproszonych z sąsiednich zabudowań. W każdy czwartek po południu zbierają się na nazar, rodzaj religijnego spotkania. Modlą się i plotkują.

Ciasno zawiązują chusty na głowach, układają dywaniki w kierunku Mekki i, pochylone, modlą się chwilę, potem wstają, znowu się modlą, pochylają się ponownie, i tak cztery razy. Zwracają się do Boga w ciszy, poruszają tylko wargami.

W imię Boga Miłosiernego, Litościwego!

Chwała Bogu, Panu światów, Miłosiernemu, Litościwemu, Królowi Dnia Sądu. !.

Oto Ciebie czcimy, Ciebie prosimy o pomoc...

Prowadź nas drogą prostą, drogą tych, których obdarzyłeś dobrodziejstwami, nie zaś tych, na których jesteś zagniewany, i nie tych, którzy błędzą.*

Odmawiana szeptem modlitwa cichnie, zanim jeszcze została doprowadzona do końca. Kobiety rozsiadają się na poduszkach pod ścianami. Ceratowy obrus na ziemi zastawiony jest filiżankami i salaterkami. Pojawia się świeżo zaparzona herbata z kardamonem i rodzaj puddingu z pokruszonym keksem i cukrem. Wszystkie przesłaniają twarze i modlą się raz jeszcze, chórem szepczą wokół słodkiego deseru: La ilaha iWAllahu wa Muhammadunu rasulu Lłahi - Nie ma bóstwa oprócz Boga, a Mahomet jest wysłannikiem Boga.

Skończywszy modlitwę, przesuwiają dłonie po twarzach.

Od nosa w górę do czoła i w dół po policzkach, do brody, ponownie unoszą ręce do ust, jakby chciały połknąć swoje słowa. Córki dowiadują się od matek, że to, o co się modlą podczas nazar, zostanie spełnione, jeśli się na to zasługuje.

Te modlitwy płyną wprost do Allaha, który decyduje, czy ich wysłuchać, czy nie.

Szarifa prosi, żeby Sułtan zabrał ją i Szabnam do Kabulu i żeby miała przy sobie wszystkie swoje dzieci.

Koran, przet. Józef Bielawski, Warszawa 1986, sura I.

Kiedy już kobiety pomodliły się do Allaha o spełnienie marzeń, mogą się zacząć właściwe czwartkowe rytuały. To znaczy można jeść deser, pić herbatę z kardamonem i wymieniać najnowsze wiadomości. Szarifa mówi, że w każdej chwili spodziewa się przyjazdu Sułtana, ale nikt tego nie słucha. Dawno minął czas, kiedy jej dramatyczny trójkąt małżeński stanowił gorący temat na Sto Trzeciej ulicy w Hajatabadzie. Teraz obiektem plotek jest szesnastoletnia Saligha.

Ona sama została zamknięta w bocznym pokoju, gdzie umieszczono ją po niewybaczalnym postępku, którego się dopuściła dwa dni temu. Leży na macie z twarzą pokrytą krwawymi strupami, na plecach ma czerwone, opuchnięte ślady bata.

Kobiety, które jeszcze nie poznały dokładnie szczegółów historii, wytrzeszczają oczy i słuchają tych, które o wszystkim wiedzą.

Przewinienie Salighi miało początek pół roku temu.

Pewnego popołudnia Szabnam, córka Szarify, przyniosła jej kartkę.

- Obiecałam, że nie powiem, od kogo ta kartka, ale to od chłopaka - poinformowała dziewczynka, przestępując z nogi na nogę, podniecona i zachwycona zadaniem, jakie jej zlecono.

A potem Szabnam wciąż przybiegała z nowymi liścikami - liścikami pełnymi serc przebitych strzałą, kartkami, na których widniały wykaligrafowane słowa / love you, bilecikami, na których było napisane, że Saligha jest piękna. Ta zaś zaczęła w każdym spotykanym chłopcu widzieć tajemniczego autora listów. Uważała też, co na siebie wkłada, dbała, żeby mieć włosy świeżo umyte i błyszczące. Przeklinała wuja, który żądał, by zawsze poza domem zasłaniała twarz.

Pewnego dnia w liście przeczytała, że jego autor będzie o czwartej stał przy słupie niedaleko jej domu, ubrany w czerwony sweter. Saligha, wychodząc z mieszkania, dygotała z napięcia. Wystroiła się szczególnie pięknie, w jasnoniebieski aksamitny strój, i włożyła ukochane ozdoby, pozłacaną bransoletę i ciężkie łańcuchy. Była w towarzystwie przyjaciółki i ledwo znalazła w sobie siłę, by przejść obok wysokiego, szczupłego chłopca w czerwonym pulowerze.

Chłopak stał z twarzą odwróconą w inną stronę i nawet na dziewczęta nie spojrzał.

Po tym wydarzeniu ona przejęła inicjatywę, jeśli chodzi o pisanie liścików. "Jutro musisz się odwrócić" - napisała i wcisnęła kartkę w rękę Szabnam, która była niezwykle obowiązkowym kurierem. Ale chłopak następnego dnia też się nie odwrócił. Dopiero za trzecim razem to zrobił, choć dosłownie tylko na moment. Saligha poczuła, że serce spada jej do żołądka, jak nieprzytomna poszła dalej. Podniecenie przerodziło się w miłosne opętanie. I nie dlatego, żeby młodzian odznaczał się wyjątkową urodą, ale że to był on, ten, który pisał liściki. Przez wiele miesięcy korespondowali ze sobą i rzucali sobie potajemne spojrzenia.

Do pierwszego przewinienia dołączyło się nagle nowe: otóż dziewczyna zaczęła dostawać listy od innego wielbiciela i - Boże, zmiłuj się - odpowiadała na nie. Kolejnym wykroczeniem było to, że zakochała się w chłopaku, którego nie wybrali jej rodzice. Wiedziała, że ukochany im się nie spodoba. Nie miał wykształcenia ani pieniędzy i pochodził z byle jakiej rodziny. W Hajatabadzie decyduje wola rodziców.

Siostra Salighi na przykład wyszła za mąż po pięciu długich latach walki z ojcem. Zakochała się nie w tym chłopaku, którego wybrali jej rodzice, i odmawiała zerwania z nim. Walka skończyła się tak, że oboje młodzi zażyli po opakowaniu tabletek i w największym pośpiechu zostali odwiezieni do szpitala na płukanie żołądków. Dopiero wtedy rodzice ustąpili.

Pewnego dnia okoliczności tak się złożyły, że Saligha i Nadim mogli się spotkać. Matka zamierzała spędzić święto u krewnych w Islamabadzie, a wuj także przez cały dzień miał przebywać poza domem. Jego żona została sama. Saligha powiedziała jej, że idzie do koleżanki.

- Masz pozwolenie? - spytała żona wuja. Głową rodziny był teraz właśnie wuj, ojciec Salighi przebywał w Belgii, w przejściowym ośrodku dla uchodźców. Starał się o zezwolenie na pobyt, by móc podjąć pracę i wysyłać do domu pieniądze albo jeszcze lepiej: sprowadzić rodzinę do siebie.

- Mama powiedziała, że jak skończę pracę w domu, to mogę iść - skłamała Saligha.

Wcale nie miała zamiaru odwiedzać koleżanki, poszła spotkać się z Nadimem. Sam na sam.

- Nie możemy rozmawiać tutaj - powiedziała szybko, gdy jakby przypadkiem spotkali się na rogu ulicy. Chłopak zatrzymał taksówkę i wepchnął ją do środka. Saligha nigdy w życiu nie siedziała w taksówce z obcym chłopakiem i serce podchodziło jej ze strachu do gardła. Wysiedli koło parku, jednego z tych parków w Peszawarze, do których kobiety i mężczyźni mogą wchodzić razem.

Nie więcej niż pół godziny siedzieli tam na ławce i rozmawiali. Nadim kreślił wielkie plany na przyszłość. Mówił, że chce kupić sklep albo może zacznie sprzedawać dywany.

Saligha zaś po prostu umierała ze strachu, że ktoś mógłby ich zobaczyć. W niecałą godzinę po wyjściu z domu była z powrotem. Tam jednak już wybuchła awantura. Szabnam zobaczyła mianowicie, jak Nadim zabiera Salighę taksówką, i pobiegła z raportem do matki, Szarify, a ta z kolei poinformowała żonę wuja dziewczyny.

Gdy tylko Saligha pojawiła się w drzwiach, ciotka uderzyła ją z całej siły w twarz i zamknęła w pokoju, po czym zatelefonowała do jej matki w Islamabadzie. Po powrocie wuja cała rodzina wkroczyła do pokoju dziewczyny i zażądała wyjaśnień. Wuj aż się trząsł ze złości, słysząc o taksówce, parku i ławce. Znalazł jakiś zniszczony przewód elektryczny, którym bił i bił po plecach mocno trzymaną przez ciotkę przestępczynię. Ciosy raz po raz spadały także na jej twarz, aż dziewczyna zaczęła krwawić z ust i z nosa.

- Coś ty zrobiła? Coś ty zrobiła? Ty kurwo! - krzyczał wuj. - Ściągnęłaś hańbę na całą rodzinę! Jesteś jak czarna plama! Chora gałąź!

Krzyki wuja niosły się po całym domu, docierały przez otwarte okna do sąsiadów i nie minęło wiele czasu, a wszyscy wiedzieli o przestępstwie Salighi. Przestępstwie, które doprowadziło do tego, że teraz biedaczka leży w zamknięciu i błaga Allaha, by chłopak się o nią oświadczył, a rodzice pozwolili jej za niego wyjść, by Nadim dostał pracę w sklepie z dywanami i żeby mogli zamieszkać razem.

- Jeżeli ona mogła siedzieć z chłopakiem w taksówce, to z pewnością mogła też robić inne rzeczy - mówi Nasrin, przyjaciółka ciotki, i spogląda z wyższością na matkę Salighi.

Nasrin zajada pudding wielką łyżką i czeka, jakie wrażenie zrobi jej wypowiedź.

- Przecież poszła tylko do parku, wuj nie powinien był jej bić tak okropnie - wtrąca Szirin, która jest lekarką.

- Gdyby nie udało nam się go powstrzymać, to biedaczka wylądowałaby w szpitalu - powiada Szarifa. - Przez całą noc leżała na podwórku i modliła się - dodaje Szarifa, która cierpiąc na bezsenność, czuwała nad nieszczęsną dziewczyną. - Aż do porannego nawoływania mułły - uściśla.

Kobiety wzdychają, niektóre mamrocą modlitwy.

Wszystkie uważają zgodnie, że Saligha popełniła błąd, spotykając się z Nadimem w parku, co do tego jednak, czy to zwyczajne nieposłuszeństwo, czy też wielkie przewinienie, zdania są podzielone.

- Jaki wstyd, jaki wstyd! - zawodzi matka dziewczyny.

- Skąd mi się wzięła taka córka?

Kobiety dyskutują, co powinno się teraz zrobić. Jeżeli on się oświadczy, wstyd może zostać zapomniany. Ale matka Salighi nie chce Nadima za zięcia. Chłopak jest z biednej rodziny, nie chodzi do szkoły i przeważnie włóczy się po ulicach. Tylko raz dostał pracę w fabryce dywanów, ale szybko ją stracił. Gdyby Saligha za niego wyszła, musiałaby przeprowadzić się do jego rodziców. Młodych nigdy nie będzie stać na samodzielne mieszkanie.

- Jego matka jest kiepską gospodynią - twierdzi jedna z kobiet. - W ich domu panuje brud i bałagan. Ona jest leniwa i włóczy się, gdzie chce.

Pewna starsza sąsiadka pamięta też babkę Nadima.

- Kiedy mieszkali w Kabulu, ona przyjmowała każdego - mówi i dodaje tajemniczym szeptem: - Mężczyźni mogli przychodzić do jej mieszkania nawet wtedy, gdy była sama.

I wcale nie byli jej krewnymi.

- Z całym szacunkiem dla ciebie - zwraca się jedna z kobiet do matki Salighi - z całym szacunkiem, ale muszę ci powiedzieć, że dla mnie Saligha zawsze była głupia, zawsze wymalowana, zawsze wystrojona. Powinnaś była się domyślać, że ma nieprzyzwoite myśli.

Przez chwilę żadna się nie odzywa, jakby zgadzały się z tamtą, ale nie chciały tego pokazać ze współczucia dla matki dziewczyny. Któraś z obecnych ociera wargi; czas pomyśleć o kolacji. Zaczynają się zbierać, jedna po drugiej.

Szarifa wchodzi na górę do swoich trzech pokoi. Mija drzwi, za którymi leży zamknięta Saligha - będzie tam do chwili, aż rodzina ustali, jaką powinna ponieść karę.

Szarifa wzdycha. Myśli o karze, jaka spotkała jej bratową Dżamilę.

Dżamila pochodziła z bardzo dobrej, bogatej rodziny, miała nieskazitelną opinię, a do tego była śliczna jak kwiat.

Brat Szarify pracował w Kanadzie, oszczędzał pieniądze, stać go więc było na taką osiemnastoletnią piękność. Wesele wyprawiono wyjątkowe, pięciuset gości, wymyślne dania, promiennie piękna narzeczona. Dżamila aż do dnia ślubu nie spotkała brata Szarify, wszystko zaaranżowali rodzice. Pan młody, wysoki i szczupły mężczyzna pod czterdziestkę, zadał sobie tyle trudu, by przyjechać z Kanady i ożenić się wedle afgańskich obyczajów. On i Dżamila spędzili ze sobą dwa tygodnie jako nowożeńcy, po czym brat Szarify wrócił do Kanady, by załatwić wizę. Dopiero potem mógł sprowadzić żonę. Tymczasem Dżamila mieszkała z dwoma braćmi męża oraz ich żonami. Ale załatwianie wizy trwało dłużej, niż się spodziewali.

Po trzech miesiącach Dżamila została przyłapana na gorącym uczynku. Wydali ją policjanci. Widzieli, że jakiś mężczyzna czołga się pod jej oknem.

Tego mężczyzny nigdy nie złapano, ale bracia Szarify znaleźli w pokoju Dżamili jego telefon komórkowy - był to dowód, że coś ich łączyło. Rodzina Szarify natychmiast rozwiązała małżeństwo i odesłała Dżamilę do jej rodziców. Tam zamknięto ją w pokoju, a rada rodzinna zastanawiała się przez dwa dni, co zrobić.

Po trzech dniach przyszedł do Szarify brat Dżamili i oznajmił, że siostra nie żyje, bo dotknęła wentylatora i nastąpiło krótkie spięcie.

Pogrzeb odbył się następnego dnia. Mnóstwo kwiatów, mnóstwo poważnych twarzy. Matka i siostry były niepocieszone. Wszyscy użalali się nad tym, jakież to krótkie życie było Dżamili pisane.”Wspaniały pogrzeb - mówili ludzie. - Równie wspaniały jak wesele”.

Honor rodziny został uratowany.

Szarifa miała film wideo z wesela, ale pożyczył go brat Dżamili i nigdy nie oddał. Nie zostało nic, co mogłoby świadczyć, że jakieś wesele kiedykolwiek się odbyło. Szarifa zdołała tylko schować parę zdjęć. Państwo młodzi kroją tort. Są przy tym bardzo poważni, wręcz sztywni. Dżamila nie okazuje żadnych uczuć, wygląda cudownie w niewinnej białej sukni i welonie, ma piękne czarne włosy i bardzo czerwone usta.

Szarifa wzdycha. Dżamila popełniła wielkie przestępstwo, ale zrobiła to bardziej z głupoty niż ze złej woli.

- Nie zasłużyła na śmierć, ale to Allah wszystkim kieruje - mamrocze sama do siebie, a potem odmawia modlitwę.

Jest jednak coś, czego w żaden sposób nie może zrozumieć. Przez dwie doby trwała narada familijna, podczas której matka Dżamili, jej rodzona matka, zgodziła się, że

dziewczyna powinna zostać zabita. To ona, matka, wysłała w końcu trzech swoich synów, by zabili córkę. Bracia razem weszli do pokoju siostry. Razem położyli jej poduszkę na twarzy, razem naciskali mocno, coraz mocniej, aż ciało przestało stawiać opór, zwiotczało.

Potem wrócili do matki.

samobójstwa I pieśni

Tęsknota kobiety za miłością stanowi w Afganistanie tabu.

Zakazuje takiej tęsknoty klanowe pojmowanie czci i honoru, zakazują mułlowie. Młodzi ludzie nie mają prawa się spotykać, kochać, wybrać bliskiej osoby. Miłość ma niewiele wspólnego z romantycznością, wprost przeciwnie, może stać się ciężką zbrodnią, zasługującą na karę śmierci. Nieposłuszni będą zabijani z zimną krwią. Jeśli tylko jedno zostaje ukarane śmiercią, jest to zawsze kobieta.

Młode kobiety są przede wszystkim obiektami wymiany i handlu. Małżeństwo to kontrakt zawierany między dwiema rodzinami lub w obrębie jednej wielkiej rodziny. O wszystkim przesądza to, jaki zysk małżeństwo może przynieść klanowi, uczucia rzadko bywają brane pod uwagę. W ciągu wieków afgańskie kobiety musiały się godzić z niesprawiedliwością, jakiej się wobec nich dopuszczano. Świadczenia ich cierpień zachowały się w poezji i w pieśniach. Te pieśni tworzone nie po to, by ich ktoś słuchał, przetrwało po nich tylko echo w górach i na pustyniach.

One protestują poprzez samobójstwa i pieśni, pisze afgański poeta Sajjed Bahauddin Madzruh w książce o twórczości poetyckiej pasztuńskich kobiet. Dzięki pomocy bratowej zebrał wiele ich wierszy. Sam został zamordowany przez fundamentalistów w Peszawarze w 1988 roku.

Wiersze żyją w ludowej tradycji, przekazywane są z ust do ust przy studniach, w drodze na pola, podczas czuwania przy piecu chlebowym. Opowiadają o zakazanej miłości, a ukochany jest zawsze całkiem inny niż ten, przez którego kobieta została poślubiona, mówią o nienawiści do często o wiele starszego małżonka. Ale wyrażają też dumę z bycia kobietą, wyrażają odwagę i siłę. Wiersze nazywane są landaj, co znaczy krótkie. Rzeczywiście mają po parę linijek, są krótkie i rytmiczne "niczym krzyk lub pchnięcie nożem" - pisze Madzruh.

Okrutni ludzie, przecież widzicie tego starca, który zmierza do mojego łoża.

I jeszcze pytacie, dlaczego płaczę i rwę włosy z głowy?

O mój Boże! Znowu zesłałeś mi tę ciemną noc.

Znowu moje ciało dygoce od stóp do głów, bo muszę wejść do łoża, którego nienawidzę.

Ale kobiety w swoich wierszach bywają również zbuntowane. W społeczeństwie, w którym zmysłowość jest zabroniona, a kara bezlitosna, ryzykują życie dla miłości.

Podaj mi rękę, ukochany, ukryjemy się razem w zbożu, by się kochać lub by razem paść od ciosu noża.

Skaczę do rzeki, lecz nurt mnie nie porywa.

Mój małżonek ma szczęście, woda będzie mnie zawsze wyrzucać na brzeg.

Jutro o brzasku zostanę zabita z twojego powodu, więc nie mów, żeś mnie nie kochał.

Większość tych wyznań mówi o rozczarowaniu i o życiu, które nie było im sądzone. Jedna z kobiet prosi Boga, by w kolejnym istnieniu uczynił ją raczej kamieniem niż kobietą. W żadnym z wierszy nie ma nadziei, wprost przeciwnie, całkowicie jej brak, panuje uczucie żalu, że ich autorki nie przeżyły życia, że nic im nie przyszło z urody i młodości.

Rozkoszy miłości też nie poznały.

Byłam piękna niczym róża, w twoich ramionach stawałam się złota jak pomarańcza.

Przedtem nie znałam udręki, dlatego rosłam prosto jak świerk.

Wiersze pełne są słodczy, kobiety z nieskrępowaną dokładnością opisują swoje ciała, opiewają ich piękno, gloryfikują owoc zakazany - miłość fizyczną, jakby chciały szokować mężczyzn, prowokować ich pożądanie.

Dotknij moich ust wargami, ale niech mój język pozostanie wolny, by mógł mówić o miłości.

Najpierw weź mnie mocno w ramiona, trzymaj mnie!

Dopiero potem możesz się zbliżyć do moich aksamitnych ud.

Moje usta należą do ciebie, możesz je miażdżyć bez obawy!

One nie są z cukru, który rozpuści się i zniknie.

Moje usta, weź je, proszę bardzo.

Dlaczego przynosisz mój kubek? Jestem całkiem mokra.

Zamienię cię w popiół, jeśli choć na chwilę zwrócę ku tobie wzrok.

(Wszystkie wiersze pochodzą z tomu *Le suicide et le chant*.

Poesie populaire des femmes pashtounes, zebrał Saed Bahoudine Majrouh, Gallimard, Paris 1994.)

podróż w interesach

Jeszcze jest chłodno. Dopiero pierwsze promienie słońca padły na górskie urwiska. Krajobraz ma kolor kurzu, brązowy przechodzący w szary. Zbocza gór to po prostu same kamienie, od olbrzymich głazów, które wyglądają tak, jakby w każdej chwili mogła spod nich zejść śmiertelna kamienna lawina, po usypiska drobnych kamyków i grudek gliny miażdżonych końskimi kopytami. Osty rosnące gęsto wśród skał ranią ciała przemytników, uchodźców i uciekających z kraju bojowników. Splątane ścieżki między piargami krzyżują się i znikają.

Tędy odbywa się przemyt między Afganistanem a Pakistanem, a przemyca się wszystko - od broni i opium po papierosy i skrzynki cocacoli. Ścieżki są wydeptywane od stuleci. Przymykali się po nich talibowie i arabscy bojownicy AlKaidy, kiedy uznali, że wojna o Afganistan została przegrana i trzeba się przenieść na plemienne terytoria Pakistanu. To z tych ścieżek korzystają, kiedy przychodzą z powrotem, by walczyć z amerykańskimi żołnierzami - niewiernymi okupującymi świętą muzułmańską ziemię. Nad terenami przygranicznymi nie sprawują kontroli ani władze afgańskie, ani pakistańskie. Cały obszar po obu stronach granicy jest podzielony między plemiona pasztuńskie i one nim rządzą.

Bezprawie zostało - co absurdalne - zaprowadzone według przepisów pakistańskich. Otóż na ziemi pakistańskiej władze mają prawo kontrolować drogi asfaltowe i pas szerokości dwudziestu metrów po obu ich stronach. Poza tą dwudziestometrową strefą panuje prawo plemienne.

Tego ranka również Sułtan Chan przejeżdża obok pakistańskich straży granicznych. Mniej niż sto metrów od niego znajdują się posterunki pakistańskiej policji. Dopóki ludzie, konie i obładowane osły przesuwiają się w odpowiedniej odległości od drogi, policjanci nie mają co robić.

Władze nie mogą wprawdzie kontrolować tego strumienia ludzi, ale uzbrojeni mężczyźni, najczęściej zwykli mieszkańcy okolicznych wiosek, zatrzymują i okradają podróżnych. Sułtan o tym wie i przedsięwziął odpowiednie środki ostrożności. Pieniądze Sonja zaszyła mu w rękawach koszuli, inne cenne rzeczy ukrył w starym worku po cukrze. Ubrał się też w swój najbardziej zniszczony szalwar kamiz.

Oficjalna droga przez granicę do Pakistanu jest dla Sułtana, podobnie jak dla większości Afgańczyków, zamknięta.

I nie pomaga mu to, że ma w Pakistanie rodzinę, dom i przedsiębiorstwo ani że jego córka chodzi tam do szkoły.

Sułtan nie jest w Pakistanie mile widziany. Ten kraj pod presją społeczności międzynarodowej szczelnie zamknął granice, aby na jego terytorium nie mogli się ukrywać terroryści i zwolennicy talibów. Jest to raczej bezsensowne, jako że terroryści i bojownicy na ogół nie przychodzą na przejścia graniczne z paszportami w rękach; korzystają z tych samych ścieżek co Sułtan, kiedy podejmuje podróż w interesach. Tysiące ludzi przybywa codziennie w ten sposób z Afganistanu do Pakistanu.

Konie wspinają się mozolnie po zboczu góry. Sułtan siedzi, ogromny i barczysty, na grzbiecie wierzchowca. Podróżuje bez siodła. Nawet w swoim najstarszym przyodziewku sprawia wrażenie dobrze ubranego, brodę jak zawsze ma świeżo wyszczotkowaną, niewielka czapka mocno trzyma się głowy. Nawet jeśli, śmiertelnie przestraszony, nie bardzo radzi sobie z wodzami, wygląda jak dystyngowany pan, który wybrał się na przejażdżkę, by cieszyć oczy pięknem krajobrazu. Dróżka biegnie nad urwiskiem. Jeden błędny krok konia - i runą w przepaść. Ale koń stąpa pewnie po znajomych ścieżkach, nie przejmując się człowiekiem na swoim grzbiecie. Sułtan owinął sobie wokół nadgarstka troczki drogiego worka po cukrze. Wiezie w nim książki, które zamierza wydrukować w pirackich drukarniach w Pakistanie, a potem będzie je sprzedawał w swoich księgarniach. Ma nadzieję, że to jego życiowy kontrakt.

Obok niego wędrują inni Afgańczycy, którzy chcą się dostać do zamkniętego kraju. Kobiety w burkach, siedzące bokiem na koniu, jadą odwiedzić krewnych. Są też studenci wracający na uniwersytet w Peszawarze po spędzonych z rodziną religijnych uroczystościach. Może są w tym orszaku jacyś przemytnicy, może ludzie interesu. Sułtan nie pyta.

Myśli o swoim kontrakcie, koncentruje się na kierowaniu zwierzęciem i przeklina pakistańskie władze. Najpierw cały dzień w samochodzie z Kabulu, noc w jakiejś obskurnej stacji granicznej, a potem jeszcze cały dzień konno, piechotą i pikapem. Gdyby się jechało główną drogą, podróż od granicy do Peszawaru trwałaby godzinę. Sułtan uważa to za upokarzające, żeby musiał być przemywany do Pakistanu i traktowany jak człowiek drugiej kategorii. Po tym wszystkim, co Pakistańczycy robili dla reżimu talibów, po dostawach broni, pieniędzy i wsparciu politycznym, to wyraz wielkiej przebiegłości, że tak nagle stali się lokajami Amerykanów i zamknęli granice przed Afgańczykami.

Pakistan - tak jak Arabia Saudyjska i Zjednoczone Emiraty Arabskie - oficjalnie uznał rząd talibów. Tutejsze władze życzyły sobie, by Pasztunowie zachowali kontrolę nad Afganistanem, ponieważ ten naród żyje po obu stronach granicy, a Pakistan ma na niego rzeczywisty wpływ. Ponadto talibowie wywodzą się niemal wyłącznie z Pasztunów, największej grupy narodowościowej Afganistanu, która stanowi około czterdziestu procent

ludności kraju. Dalej na północy największą grupą są Tadźcy. Stanowią mniej więcej czwartą część mieszkańców Afganistanu. Sojusz Północny, który zaciekle zwalczał talibów i który po 11 września uzyskał wsparcie Amerykanów, składa się przede wszystkim z Tadźków, narodu traktowanego przez obywateli Pakistanu z wielką nieufnością. Kiedy reżim talibów upadł i Tadźcy zdobyli przewagę w rządzie, wielu Pakistańczyków uznało, że znaleźli się w okrążeniu wrogów - od wschodu Indie, od zachodu Afganistan.

Trzeba jednak powiedzieć, że przeważnie to nie animozje czy nienawiść etniczna dzieli liczne plemiona afgańskie.

Przyczyną konfliktów są raczej walki o władzę wzniesione przez różnych komendantów wojskowych, którzy zachęcają swoich współplemieńców do zwalczania innych. Tadźcy obawiają się, by Pasztunowie nie zdobyli zbyt wielkiej władzy, co mogłoby w razie kolejnej wojny doprowadzić do masakry Tadźków. Pasztunowie boją się Tadźków z tego samego powodu. Podobnie układają się sprawy między Uzbekami i Hazarami. Liczne walki toczą się też między poszczególnymi komendantami w obrębie tych samych grup etnicznych.

Sułtan nie jest specjalnie zainteresowany tym, jaka krew płynie w jego żyłach czy w żyłach innych ludzi. Jak wielu Afgańczyków jest mieszańcem, matkę ma pochodzenia pasztuńskiego, ojciec był Tadźkiem. Pierwsza żona jest Pasztunką, druga urodziła się w rodzinie tadźkiej. Formalnie uważany jest za Tadźka, ponieważ przynależność etniczną dziedziczy się po ojcu. Mówi językami obu grup, paszto oraz dari, czyli dialektem perskim używanym przez Tadźków. Sułtan uważa, że czas najwyższy, by Afgańczycy zostawili nareszcie wojny za sobą i wspólnie przystąpili do budowy kraju. Marzy mu się, by pewnego dnia odzyskać to, co utracili na rzecz sąsiednich krajów. Sprawa nie wygląda jednak najlepiej. Sułtan jest rozczarowany swoimi ziomkami.

On sam stale i z oddaniem pracuje nad rozwojem własnego przedsiębiorstwa i zżyma się na tych, którzy zaoszczędzone pieniądze przeznaczają na podróż do Mekki. Tuż przed wyjazdem do Pakistanu odbył dyskusję ze swoim kuzynem Wahidem, który prowadzi nieduży sklepik z częściami zamiennymi do samochodów, a z tego ledwo da się wyżyć.

Kiedy ów kuzyn przed paroma dniami wstąpił do księgarni Sułtana, oznajmił, że nareszcie udało mu się zebrać dość pieniędzy, by polecieć na pielgrzymkę do Mekki.

- Ty myślisz, że jak się będziesz modlił, to Bóg ci pomoże? - zapytał Sułtan szyderczo. - W Koranie zostało napisane, że powinniśmy pracować i sami rozwiązywać własne problemy, że trzeba się pocić, starać. Tylko że my, Afgańczycy, jesteśmy leniwi, zamiast pracy wolimy modlitwy o pomoc, czy to z Zachodu, czy od Allaha.

- Ale w Koranie jest także powiedziane, że powinniśmy chwalić Boga - zaprotestował Wahid.

- Prorok Mahomet by się rozplakał, gdyby słyszał te wszystkie kierowane do niego krzyki, prośby i modły - ciągnął swoje Sułtan. - Nie wystarczy bić głową w ziemię, by postawić kraj na nogi. Jedyne, co potrafimy, to krzyczeć, modlić się i walczyć. Ale modlitwy niewiele są warte, jeśli ludzie nie pracują. Nie możemy oczekiwać łaski od Boga - perorował, podniecony własnymi słowami. - Szukamy po omacku świętego człowieka, a tymczasem może nam pomóc kowalski miech!

Sułtan zdawał sobie sprawę, że prowokuje kuzyna, ale dla niego praca jest w życiu najważniejsza. Tego próbuje uczyć swoich synów, zabrał ich nawet ze szkoły, by pracowali w sklepach i pomagali mu tworzyć księgarskie imperium.

- Pielgrzymka do Mekki jest jednym z pięciu filarów islamu - upierał się kuzyn. - Żeby być dobrym muzułmaninem, trzeba wierzyć w Boga, modlić się, pościć, dawać jałmużnę i odbyć pielgrzymkę do Mekki.

- Możliwe, że wszyscy powinniśmy odbyć pielgrzymkę do Mekki - powiedział w końcu Sułtan. - Ale najpierw trzeba na to zasłużyć, a dopiero potem jechać, żeby podziękować, a nie prosić.

Teraz pewnie Wahid jest w drodze do Mekki w swoim białym pielgrzymim stroju, myśli Sułtan. Wzdycha ciężko i ociera pot z czoła. Słońce doszło do zenitu. Nareszcie ścieżka zaczyna znowu schodzić w dół. Przy bitej drodze w małej dolinie czeka wiele pikapów. Są to taksówki Przełęczy Chajberskiej, a ich właściciele dobrze żyją z wwożenia do kraju niepożądanych gości.

Tędy wiódł niegdyś Jedwabny Szlak, droga handlowa między ówczesnymi wielkimi cywilizacjami, Chinami i Rzymem. Jedwab transportowano na zachód, natomiast złoto, srebro i wełnę na wschód.

Przełęcz Chajberską przez tysiące lat odwiedzali niepożądani przybysze. Persowie, Grecy, Mongołowie, Mongołowie, Afgańczycy i Brytyjczycy próbowali podbić Indie, prowadząc tędy swoje oddziały. W szóstym wieku przed narodzeniem Chrystusa król Persji Dariusz podbił wielką część Afganistanu, po czym pomaszerował przez Przełęcz Chajberską nad rzekę Indus. Dwa wieki później generałowie Aleksandra Wielkiego poprowadzili swoje siły przez przełęcz, i to w najwęższym miejscu, gdzie mieszczą się tylko dwa konie lub jeden objuczony wielbłąd. Czyngischan zniszczył część Jedwabnego Szlaku, ale bardziej pokojowo nastawieni wędrowcy, jak na przykład Marco Polo, w drodze na wschód podążali po prostu śladami karawan.

Od czasów Dariusza aż do momentu, gdy w dziewiętnastym wieku zdobyli przełęcz Brytyjczycy, oddziały próbujące ją opanować zawsze napotykały opór plemion pasztuńskich zamieszkujących pobliskie góry. Od wycofania się Brytyjczyków w 1947 roku znowu te właśnie plemiona kontrolują przełęcz oraz leżące za nią tereny aż do Peszawaru. Najpotężniejsze jest plemię Afridi, którego bojowników wszyscy się obawiają.

Nadal broń jest pierwszą rzeczą, jaką się widzi po przekroczeniu granicy. Wzdłuż głównej drogi po pakistańskiej stronie w równych odstępach pojawiają się słowa "Chyber Rifles", wyryte w zboczu gór bądź namalowane na brudnych planszach ustawianych w nagim krajobrazie. Chyber Rifle to nazwa kompanii zbrojeniowej, lecz także plemiennej milicji odpowiedzialnej za bezpieczeństwo tego regionu. Milicja ochrania tu wielkie bogactwo. Miejscowość tuż przy granicy znana jest ze swojego przemysłowego bazaru, na którym można za bezcen kupić i haszysz, i broń. Tutaj nikt nie pyta o pozwolenie na nią, jeżeli jednak ktoś przechodzi z bronią na terytorium pakistańskie, ryzykuje karę długoletniego więzienia. Pośród glinianych chat stoją tu olśniewające pałace, zbudowane za brudne pieniądze. Małe twierdze z kamienia i tradycyjne domy pasztuńskie, otoczone wysokimi murami z gliny, rozproszone są na górskich zboczach. Od czasu do czasu krajobraz zakłócają betonowe ściany, nazywane przez miejscowych zębami smoka. Wystawili je Brytyjczycy podczas drugiej wojny światowej w obawie przed inwazją niemieckich czołgów z terenu Indii. Na tych trudnych do kontrolowania ziemiach plemiennych często zdarzały się przypadki uprowadzania cudzoziemców, wobec czego władze podjęły surowe środki zapobiegawcze. Nawet na głównej drodze do Peszawaru, patrolowanej przez siły pakistańskie, cudzoziemcom nie wolno podróżować bez ochrony.

W wiozących ich samochodach przez całą drogę strażnicy siedzą z bronią gotową do strzału. Bez odpowiednich papierów i uzbrojonej ochrony żaden cudzoziemiec nie ma prawa opuścić Peszawaru i wyruszyć w stronę afgańskiej granicy.

Po dwóch godzinach jazdy samochodem wąskimi drózkami, gdzie z jednej strony ma się górską ścianę, a z drugiej przepaść, Sułtan znowu musi spędzić kilka godzin na końskim grzbiecie, zanim nareszcie znajdzie się na równinie, skąd widać Peszawar. Tam weźmie taksówkę, która dowiezie go do miasta, na Sto Trzecią ulicę w dzielnicy Hajatabad.

Jest już prawie ciemno, kiedy Szarifa słyszy stukanie do bramy. A więc nareszcie przyjechał. Zbiega po schodach, żeby otworzyć. Mąż stoi przed wejściem, zmęczony i brudny. Podaje jej worek po cukrze. Szarifa dźwiga go, prowadząc przybysza na górę.

- Czy podróż była dobra?

- Piękna natura - odpowiada Sułtan. - Wspaniały zachód słońca.

Kiedy Sułtan się myje, Szarifa przygotowuje kolację, na podłodze, wśród miękkich poduszek rozkłada obrus, podaje jedzenie. Sułtan wraca z łazienki czysty, w świeżo wyprasowanym ubraniu. Niechętnie spogląda na szklane talerze, które przygotowała Szarifa.

- Nie lubię szklanej zastawy - krzywi się. - Wygląda tandetnie, jakbyś to kupiła na jakimś brudnym bazarze.

Szarifa zbiera naczynia i wyjmuję porcelanę.

- Tak lepiej - chwali mąż. - Na porcelanie jedzenie lepiej mi smakuje.

Sułtan przekazuje ostatnie nowiny z Kabulu, ona z Hajatabadu. Minęło wiele miesięcy od ich ostatniego spotkania.

Rozmawiają o dzieciach, o matce i siostrach, planują najbliższe dni. Ilekroć Sułtan przyjeżdża do Pakistanu, musi odbyć wiele grzecznościowych wizyt u krewnych, którzy nie wrócili jeszcze do kraju. Najpierw należy odwiedzić tych, w których rodzinie po jego ostatniej wizycie zdarzyła się śmierć, a potem innych, ilu zdąży, w zależności od tego, jak długo pozostaje w mieście.

Sułtan narzeka, że będzie musiał odwiedzać wszystkie siostry Szarify, jej braci, szwagrów, teściów siostr, kuzynów i kuzynki. Ale nie da się utrzymać w tajemnicy faktu, że przyjechał, w tym mieście wszyscy wiedzą wszystko. Poza tym owe kurtuazyjne wizyty to jedyne, co Szarifa jeszcze ma z małżeństwa. Wszystkim, czego teraz może od Sułtana żądać, jest uprzejmość wobec jej rodziny i kiedy idą w gości, traktowanie jej jak żony.

Po zaplanowaniu odwiedzin Szarifa może opowiedzieć ostatnie nowiny z parteru, czyli o eskapadach Salighi.

- Czy wiesz, kim jest ta cała Saligha? - pyta Sułtan, rozparty na poduszkach niczym rzymski cesarz. - To zwyczajna kurwa.

Szarifa protestuje, Saligha przecież ani razu nie była z tym chłopakiem sama.

- Ale jej mentalność! - wykrzykuje Sułtan. - Chodzi o mentalność. Jeżeli ona się jeszcze nie prostytuuje, to niedługo zacznie. Skoro wybrała tego beznadziejnego chłopaka, który nigdy nie znajdzie porządnej roboty, to jak zdobędzie pieniądze na wszystko, czego pragnie? Na ozdoby, ładne ubrania? - pyta. - Jeśli gotujesz w garnku bez pokrywy, to wszystko może ci wpaść do środka. Brud, piasek, kurz, owady, zeschłe liście - wylicza Sułtan. - I tak właśnie żyje rodzina Salighi, bez pokrywy. Wpada tam wszelkie możliwe świństwo. Ojca nie ma, ale nawet kiedy z nimi mieszkał, to też go nigdy w domu nie było. Już od trzech lat siedzi w Belgii jako uchodźca, a jeszcze nie załatwił papierów, żeby rodzina mogła do niego pojechać - prycha Sułtan. - To utracjusz. A Saligha, nim nauczyła się chodzić, już się rozglądała za jakimś kawalerem, za którego mogłaby się wydać.

Przypadkiem napatoczył się ten golec, do niczego niezdatny Nadim. Ale przedtem próbowała z naszym Mansurem, nie pamiętasz? - pyta. Teraz również księgarz ulega sile plotek.

- Jej matka też była nie od tego - przypomina sobie Szarifa. - Wciąż mnie zagadywała, że już najwyższy czas znaleźć synowi żonę. Ja jej oczywiście odpowiadałam, że to za wcześnie, że chłopak idzie na studia, ale powiem ci, że niczego mniej sobie nie życzę niż takiej rozkapryśzonej panny jako żony dla Mansura. Kiedy twój brat Junus przyjechał do Peszawaru, był narażony na te same pytania, ale on nigdy by nie wziął takiej łatwej dziewczyny jak Saligha.

Przestępstwo Salighi jest omawiane ze wszystkimi szczegółami, małżonkowie nie zostawiają na nieszczęsnej dziewczynie suchej nitki. Ale mają jeszcze wielu krewnych, których życiem można się zająć.

- A co tam u twojej kuzynki? - śmieje się głośno Sułtan.

Jedna z kuzynek Szarify poświęciła się opiece nad rodzicami.

Kiedy pomarli, miała czterdzieści pięć lat i bracia wydali ją za pewnego wdowca, który potrzebował matki dla swoich dzieci. Ta historia nie przestaje Sułtana bawić. - Odmieniła się po ślubie całkowicie. Nareszcie stała się kobietą - śmieje się znowu. - Ale dzieci nie ma, widocznie jej miesięczne dolegliwości musiały się skończyć jeszcze przed małżeństwem.

A to oznacza, że nie potrzebują z mężem robić żadnych przerw, mogą noc w noc! - powtarza rozochocony.

- Pewnie masz rację - przytakuje Szarifa. - Pamiętasz, jaka ona była chuda i wysuszona przed ślubem? Teraz wygląda zupełnie inaczej. Musi być przez cały czas gotowa.

Szarifa zakrywa usta dłonią i zachłystuje się śmiechem, kiedy wypowiada te śmiałe słowa. Wygląda na to, że intymność znowu łączy małżonków, kiedy tak leżą roześmiani na poduszkach, każde po swojej stronie obrusa z resztkami jedzenia.

- A pamiętasz swoją ciotkę, którą podglądałaś przez dziurkę od klucza? Biedaczka po latach małżeństwa całkiem się zgarbiła, bo jej mąż lubił tylko od tyłu - zaśmiewa się Sułtan.

Jedna historia następuje po drugiej. Sułtan i Szarifa leżą jak dzieci na poduszkach i chichoczą, opowiadając sobie o podniecającym życiu seksualnym swoich krewnych.

W Afganistanie seks ukrywa się pod powierzchnią życia.

Kobiety chowają się w burkach, a pod spodem ich ubrania są obszerne i luźne. Noszą długie spodnie pod sukniami i nawet w czterech ścianach własnego domu rzadko pokazują dekolt. Kobiety i mężczyźni nienależący do jednej rodziny nie mogą przebywać w tym

samym pokoju. Nie mogą ze sobą rozmawiać ani razem jadać. Na wsiach nawet wesele dzieli się na dwie części, kobiety goszczą się i tańczą w swoich pomieszczeniach, mężczyźni w swoich. Ale pod tą powłoką dosłownie aż się gotuje. Również w Afganistanie, choć grozi to karą śmierci, i mężczyźni, i kobiety miewają kochanków i kochanki. W miastach są prostytutki, do których chodzą młodzi chłopcy i mężczyźni przed ślubem.

Seksualność ma swoje miejsce w afgańskich mitach i opowieściach. Sułtan uwielbia opowieści, które poeta Rumi osiemset lat temu spisał w dziele Masnawije Manawi. Wykorzystuje on seksualność, by pokazać, że człowiek nie powinien ślepo naśladować tego, co robią inni. Jedną z tych anegdotek Sułtan opowiada swojej pierwszej żonie:

- pewna wdowa miała osła, z którego była bardzo zadowolona. Zawoził ją zawsze tam, gdzie chciała, słuchał jej rozkazów. Osioł dostawał więc specjalną karmę i w ogóle był dobrze traktowany. Nieoczekiwanie jednak zwierzę zaczęło niedomagać, męczyło się szybciej niż przedtem, w dodatku straciło apetyt. Wdowa zastanawiała się, co może mu dolegać, a pewnej nocy poszła do stajni, żeby sprawdzić, czy osioł śpi. W stajni zobaczyła, że jej służąca leży na sianie i spółkuje z osłem. Powtarzało się to co noc. Wdowa była coraz bardziej zaintrygowana, zastanawiała się, czy i ona nie mogłaby spróbować tego samego. W końcu wyprawiła dziewczynę na parę dni z domu i sama poszła na siano z osłem. Kiedy służąca wróciła, znalazła wdowę w stajni.

Martwą. I z przerażeniem stwierdziła, że chlebodawczyni nie uczyniła tego, co ona robiła zawsze, kiedy miała zamiar zabawiać się z osłem. Nie założyła mu mianowicie na członek wydrążonego kawałka dyni, by go skrócić. Służąca tak właśnie postępowała, reszta członka wystarczała aż nadto.

Kiedy mu się już parę razy odbiło po smacznym jedzeniu, Sułtan wstaje z poduszek i idzie czytać swoją elektroniczną pocztę. Amerykańskie uniwersytety proszą o czasopisma z lat siedemdziesiątych, uczeni pytają o stare manuskrypty, a drukarnia z Lahore przesyła kalkulację druku pocztówek, bo właśnie ceny papieru poszły w górę. Te kartki pocztowe to najlepsze źródło dochodu Sułtana, drukuje ich sześćdziesiąt za dolara, a sprzedaje po trzy za tę samą cenę. Wszystko układa się dobrze, odkąd talibowie zniknęli, a on może wydawać i sprzedawać, co chce.

Następne dni mijają mu na czytaniu listów, odwiedzaniu księgarń, chodzeniu na pocztę, odbieraniu i wysyłaniu paczek oraz na niekończących się kurtuazyjnych odwiedzinach.

Najpierw wizyta kondolencyjna u kuzynki, której mąż zmarł na raka, potem nieco przyjemniejsza u kuzyna, który wrócił do domu z Niemiec, gdzie pracował przy rozwożeniu pizzy.

To kuzyn Sułtana, Said, inżynier, dawniej pracował w Ariana Air, afgańskiej kompanii lotniczej, która była dumą kraju. Teraz Said rozważa, czy wracać z rodziną do Kabulu i próbować odzyskać dawną posadę w liniach lotniczych. Najpierw jednak chciałby zebrać więcej pieniędzy, a rozwożenie pizzy w Niemczech jest o wiele bardziej dochodowe niż praca inżyniera w lotnictwie afgańskim. Poza tym jeszcze nie ma pomysłu, jak rozwiązać problem, który się pojawi, gdy tylko Said wróci do domu. W Peszawarze czeka mianowicie żona z dziećmi, a w Niemczech Said mieszka z żoną numer dwa.

Jeżeli przeprowadzi się do Kabulu, będą musieli zamieszkać wszyscy razem. I tego właśnie się obawia. Pierwsza żona zdecydowała się przemykać ocyry na istnienie drugiej za granicą. Kobiety nigdy się nie spotkały, a mąż przysyła do domu pieniądze, jak należy. Ale gdyby im przyszło zamieszkać razem?

Dni w Peszawarze są dla Sułtana męczące. Jeden krewny został wyrzucony z domu, który wynajmował, inny chce, żeby mu pomóc założyć własną firmę, trzeci prosi o pożyczkę.

Sułtan rzadko daje krewnym pieniądze. Ponieważ sam radzi sobie bardzo dobrze, to często podczas tych grzecznościowych wizyt jest nagabywany o udzielenie ewentualnej pomocy. Ale on przeważnie odmawia, uważa, że większość proszących jest leniwa i że każdy powinien sam dbać o własne interesy. A przynajmniej niech spróbują pokazać, że się do czegoś nadają, zanim dostaną pieniądze. Zdaniem Sułtana niewielu potrafi to udowodnić.

Kiedy małżonkowie są gdzieś z wizytą, głównie Szarifa prowadzi rozmowy. Opowiada historie, bawi towarzystwo.

Sułtan najchętniej siedzi i słucha. Czasami wtrąci coś na temat etyki pracy albo rzuci parę słów o swoich księgarniach. Wystarczy jednak, że wspomni, iż czas się żegnać, a bezzwłocznie wychodzą, i Szabnam z nimi. W milczeniu idą przez mroczne, tonące w śmieciach uliczki Hajatabadu i wciągają do płuc cierpki zapach przydomowych ogródków.

Pewnego wieczora Szarifa stroi się wyjątkowo starannie, by odwiedzić jakichś dalszych krewnych. Krewnych, którzy normalnie nigdy by się nie znaleźli na listach kurtuazyjnych wizyt, chociaż mieszkają zaledwie dwie ulice dalej. Szarifa drobi przodem w czółenkach na niebotycznych obcasach, Sułtan i Szabnam wloką się za nią, trzymając się za rękę.

Gospodarze przyjmują ich niezwykle serdecznie. Podają suszone owoce i orzechy, cukierki i herbatę. Początkowo rozmowa ogranicza się do wymiany uprzejmości oraz ostatnich nowin. Dzieci przysłuchują się temu, co mówią rodzice.

Szabnam z nudów łamie skorupki orzeszków pistacjowych.

Jednej z córek gospodarzy, trzynastoletniej Belghisy, nie ma w pokoju. Dobrze wie, dlaczego nie powinna wychodzić do gości. Ta wizyta dotyczy jej osoby.

Szarifa już wcześniej przychodziła do nich w tej samej sprawie. Czyniła to w imieniu Junusa, najmłodszego brata Sułtana. Parę lat temu, kiedy Junus mieszkał w Peszawarze jako uchodźca, skierował swoje uczucia właśnie do Belghisy, która wówczas była jeszcze dzieckiem. Niedawno poprosił Szarifę, by podjęła się wyswatania go z dziewczynką. On sam nigdy z nią nie rozmawiał.

Odpowiedź rodziców Belghisy była zawsze taka sama - dziewczyna jest za młoda. Natomiast z radością oddaliby Junusowi swoją najstarszą córkę, Szirin, dwudziestolatkę.

Tej jednak Junus nie chciał, jego zdaniem nie jest nawet w połowie taka ładna jak Belghisa, poza tym uważał Szirin za zbyt chętną. Kiedy przychodził z wizytą, nieustannie kręciła się przy nim, a raz nawet się zdarzyło, że gdy nikt nie widział, dłużej potrzymał ją za rękę. Fakt, że mu na to pozwoliła, Junus uznał za zły znak, świadczący o tym, że Szirin nie jest porządną dziewczyną.

Rodzice mimo wszystko mieli nadzieję, że uda im się wydać za niego najstarszą córkę, Junus bowiem to bardzo dobra partia. Kiedy pojawił się inny kandydat do jej ręki, poszli nawet do Sułtana i po raz ostatni złożyli mu swoją propozycję. Junus jednak nie chciał Szirin i za nic nie zamierzał zrezygnować z Belghisy.

Choć więc Szarifa za każdym razem słyszała odmowę, to wracała znowu i pytała, jak to będzie z małżeństwem Belghisy. Odmowa nie jest bowiem wyrazem niechęci do kandydata, przeciwnie, rodzice panny muszą się przekonać, że starania są poważne. Stary zwyczaj każe matce starającego się chodzić do domu wybranki tak długo, aż podeszwy jej butów staną się cienkie jak łupinka czosnku. Ponieważ matka Junusa, Bibi Gol, przebywa w Kabulu, jej obowiązki przejęła bratowa, Szarifa. Opowiadała o wyjątkowych zaletach Junusa: mówi płynnie po angielsku, pracuje razem z Sułtanem w księgarni, a ich córce nigdy niczego nie zabraknie. Ale Junus skończy wkrótce trzydzieści lat.

„Za stary dla Belghisy” - uznali rodzice dziewczyny.

Matka Belghisy była zainteresowana innym chłopcem z rodziny Sułtana Chana, a mianowicie Mansurem, najstarszym, szesnastoletnim synem Sułtana. „Jeżeli zaproponujesz nam Mansura, z miejsca się zgodzimy” - zapewniała.

Tym razem jednak to Szarifa nie okazywała wielkiej chęci. Mansur jest ledwie kilka lat starszy niż Belghisa i nigdy dwa razy nie spojrzął na żadną dziewczynę. Zdaniem Szarify było stanowczo za wcześnie myśleć o żonie dla syna. Powinien skończyć studia, rozejrzeć się po świecie. „A poza tym ona nie ma trzynastu lat - mówiła później Szarifa do przyjaciółek. - Jestem pewna, że co najmniej piętnaście”.

Belghisa na krótką chwilę przychodzi do pokoju, żeby i Sułtan mógł ją zobaczyć. Jest wysoka i szczupła, rzeczywiście wygląda poważnie jak na trzynaście lat. Ma na sobie niebieski aksamitny strój, zawstydzona i zarumieniona siada obok matki. Belghisa dobrze wie, czego chcą odwiedzający, i ta sytuacja jej ciąży.

- Ona płacze, nie chce wychodzić za mąż - mówią jej siostry do Sułtana i Szarify. Belghisa siedzi milcząca i wpatruje się w podłogę.

Szarifa się śmieje. To dobry znak, jeśli panna nie chce.

Świadczy, że jest osobą czystego serca.

Po paru minutach Belghisa wstaje i wychodzi. Matka przeprosza w jej imieniu, tłumaczy, że córka ma jutro sprawdzian z matematyki. Zresztą wybranka wcale nie musi być obecna przy targach. Najpierw strony jedynie badają grunt, dopiero później zaczynają się rozmowy na temat pieniędzy.

Ile mają dostać rodzice, jak kosztowne powinno być wesele, suknia, kwiaty. Wszystkie wydatki pokrywa rodzina mężczyzny. Tym razem rozmowy prowadzi Sułtan, dyskusja nabiera więc odpowiedniego ciężaru i powagi, bo to on ma pieniądze.

Wizyta dobiega końca, nic wprawdzie nie zostało załatwione, ale Sułtan i Szarifa spokojnie wychodzą w chłód marcowego wieczora. Na ulicach panuje cisza.

- Nie podoba mi się ta rodzina - mówi Sułtan. - Oni są chciwi.

Szczególnie nie podoba mu się matka Belghisy. Jest drugą żoną swojego męża. Ponieważ pierwsza nie mogła mieć dzieci, ożenił się ponownie, a druga żona dręczyła pierwszą tak strasznie, że tamta w końcu uciekła do brata. Krążą ponure opowieści o matce Belghisy. Jest skąpa, zazdrosna, nikomu nie pomoże. Starsza córka tej kobiety wyszła za mąż za jednego z krewniaków Sułtana. Ten opowiadał, że podczas wesela matka panny młodej nie dawała mu spokoju, nic jej się nie podobało, a to było za mało jedzenia, a to coś nie tak przystrojone.

- A niedaleko pada jabłko od jabłoni - przypomina Sułtan. - Jaka matka, taka córka. - Potem jednak niechętnie dodaje, że skoro Junusowi podoba się Belghisa, to powinni zrobić, co mogą, by ją dostał. - Niestety, wiem na pewno, że w końcu się zgodzą. Nasza rodzina jest za dobra, by mogli powiedzieć: nie.

Kiedy obowiązki rodzinne zostały spełnione, Sułtan może nareszcie zająć się tym, po co tak naprawdę przyjechał do Pakistanu. Drukiem książek. Pewnego wczesnego ranka rozpoczyna następny etap podróży, jedzie do Lahore, miasta drukarzy, intrologatorów i wydawców.

Pakuje swoją małą walizeczkę, do której wkłada sześć książek, kalendarz i ubrania na zmianę. Pieniądze ma i tym razem zaszyte w rękawach. Wygląda na to, że dzień będzie ciepły. Na dworcu autobusowym w Peszawarze aż się roi od ludzi, którzy chcą gdzieś jechać, a towarzystwa przewozowe walczą o każdego pasażera.

- Islamabad! Karaczi! Lahore!

Przy każdym autobusie stoi mężczyzna i wykrzykuje nazwy miast. Autobusy nie mają stałych rozkładów jazdy, odjeżdżają, kiedy się zapelnia. Przedtem do podróżnych co chwila podchodzą sprzedawcy orzeszków, ziaren słonecznika w papierowych pojemniczkach, herbatników, chipsów.

Proponują gazety i czasopisma. Żebracy wsuwają ręce przez otwarte okna.

Sułtan ich nie zauważa. Jeśli chodzi o dawanie jałmużny, to on postępuje zgodnie z radami Proroka Mahometa, które na własny użytek tłumaczy następująco: Najpierw powinienes zaspokoić własne potrzeby, potem potrzeby najbliższej rodziny, potem pozostałych krewnych, sąsiadów, a na koniec dać coś biednym, których nie znasz. Bywa, że wciśnie parę afgani jakiemuś żebrakowi w Kabulu, żeby się go pozbyć, ale pakistańscy żebracy znajdują się u niego na szarym końcu. Pakistan powinien sam się zająć swoimi ubogimi obywatelami.

Siedzi z tyłu autobusu, wciśnięty między dwóch innych podróżnych. Walizkę umieścił pod nogami. Wyjmuje z niej kartkę, na której zapisał największy projekt swojego życia.

Sułtan chce drukować nowe podręczniki dla afgańskich dzieci. Kiedy tej wiosny szkoły w kraju otworzą swoje podwoje, okaże się, że prawie nie ma pomocy naukowych. Książki, które wydawali mudzahedini i talibowie, nie nadają się do użytku. Dzieci z pierwszych klas w taki oto sposób uczono alfabetu: „J, jak jihad, džihad - to nasz cel na świecie. I Jak Izrael - nasz wróg. K, jak kałasznikow - zwycięstwo będzie nasze. M, jak mudzahedini - nasi bohaterowie”. I tak dalej.

Nawet w podręcznikach do matematyki na pierwszy plan wysuwała się wojna. Chłopcy - bo talibowie przygotowywali książki tylko dla chłopców - nie liczyli jabłek ani ciastek, lecz kule i kałasznikowy. Zadanie matematyczne mogło wyglądać na przykład tak:

„Mały Omar ma jednego kałasznikowa z trzema magazynkami. W każdym magazynku mieści się dwadzieścia kul.

Omar wystrzelał dwie trzecie swoich kul i zabił sześćdziesięciu niewiernych. Ilu niewiernych zabił jedną kulą?”

Podręczników z czasów komunistycznych też nie można używać. W nich zadania matematyczne podejmują kwestie podziału ziemi oraz ideały równości. Szczęśliwi chłopci, którzy dostali ziemię dzięki reformie rolnej, powiewając czerwonymi flagami, wiedzą swoje dzieci do komunizmu.

Sułtan chce wrócić do czasów Zahera Szaha, króla, który rządził przez czterdzieści stosunkowo spokojnych lat, dopóki w 1973 roku nie został obalony. Wyszukał więc stare podręczniki i chciałby je ponownie wydać. Baśnie i opowiadania do nauki języka dari, podręczniki do matematyki, w których jeden plus jeden równa się dwa, książki do historii wyczyszczone z wszelkiej ideologii, no, może z wyjątkiem odrobiny niegroźnego nacjonalizmu.

Nowe podręczniki w Afganistanie ma finansować UNESCO. Jako jeden z największych wydawców w Kabulu Sułtan uczestniczył w spotkaniu z przedstawicielami organizacji, a teraz, po rozmowach w Lahore, zaprezentuje im swoją ofertę. Na kawałku papieru, ukrytym teraz w kieszeni kamizelki, spisał liczbę stron i formaty stu trzynastu podręczników. Budżet opiewa na dwa miliony dolarów. W Lahore Sułtan zbada, które drukarnie zaproponują najlepsze warunki. Następnie wróci do Kabulu, by walczyć o ten złoty kontrakt. Teraz siedzi zadowolony w autobusie i rozmyśla, ile procent mógłby dostać od tych dwóch milionów. Zgadza się sam ze sobą, że najlepiej nie być zbyt zachłannym. Jeżeli dostanie ten kontrakt, będzie miał zapewnioną pracę na najbliższe lata, chodzi przecież zarówno o wznowienia, jak i nowe książki, myśli, a tymczasem autobus mija pola i równiny wzdłuż głównej arterii komunikacyjnej łączącej Kabul z Kalkutą. Im bliżej Lahore, tym większy skwar. Sułtan poci się w swojej sukiennej kamizelce z afgańskiego płaskowyżu.

Pociera dłonią głowę, tam gdzie ma tylko resztki włosów, i osusza twarz chustką do nosa.

Oprócz notatek w sprawie owych stu trzynastu podręczników Sułtan wiezie również książki, które chciałby wydać już na własny rachunek. Ponieważ dziennikarze, pracownicy instytucji pomocowych oraz zagraniczni dyplomaci strumieniem napływają do Afganistanu, dobrze byłoby mieć jakieś angielskojęzyczne książki o kraju. Sułtan nie importuje książek zagranicznych wydawców, zamierza je publikować sam.

Pakistan jest rajem dla pirackich drukarni. Nie istnieje tu żadna kontrola i mało kto respektuje takie sprawy, jak licencje i honoraria autorskie. Sułtan drukuje za jednego dolara książkę, którą sprzeda za dwadzieścia albo trzydzieści.

Bestseller Talibowie autorstwa Ahmeda Raszida Sułtan wznawiał wielokrotnie. Ulubioną książką zagranicznych żołnierzy w Afganistanie jest *My hidden war*, napisana przez rosyjskiego żołnierza historia katastrofalnej okupacji Afganistanu w latach 1979-1989. Była to zupełnie inna rzeczywistość niż to, czego dzisiaj doświadczają międzynarodowe siły pokojowe, kiedy patrolują Kabul, zatrzymując się od czasu do czasu, by kupić w księgarni Sułtana pocztówki lub właśnie stare książki wojenne.

Autobus wtacza się na dworzec w Lahore. Upał. Ludzie kłębią się jak w mrowisku. Lahore, zatłoczone, brudne i ogłupiające miasto, jest w Pakistanie ostoją twórców kultury i sztuki. Położone pośrodku równiny, bez naturalnej ochrony, wiele razy było podbijane, rujnowane, rekonstruowane i budowane od nowa. Ale pomiędzy kolejnymi podbojami i aktami zniszczenia liczni władcy zapraszali wielkich poetów i pisarzy, dzięki czemu miasto stało się ośrodkiem literatury, chociaż pałace, w których podejmowano twórców, były nieustannie równane z ziemią.

Sułtan kocha bazyry książkowe w Lahore, dokonał tutaj wielu wspaniałych odkryć. Niewiele rzeczy rozgrzewa serce Sułtana tak jak znalezienie cennej książki na zakurczonym placu targowym i kupienie jej za parę groszy. Jest przekonany, że posiada największy na świecie zbiór książek o Afganistanie, liczący obecnie osiem, może dziewięć tysięcy tytułów.

Interesuje go wszystko: stare mity i legendy, najdawniejsza poezja, powieści, biografie, współczesna literatura polityczna na równi z leksykonami i encyklopediami. Rozpromienia się na widok każdej książki, której jeszcze nie zna.

Tego dnia jednak nie ma ani chwili na przeczesywanie bazarów. Wstaje o świcie, wkłada czyste ubranie i świeże nakrycie głowy, doprowadza do porządku brodę. Stoi przed nim święte zadanie, ma oto wydać nowe podręczniki dla afgańskich dzieci. Udaje się prosto do drukarni, z której usług korzysta najczęściej. Tam przyjmuje go Talcha. Ów młody człowiek reprezentuje trzydzieste pokolenie drukarzy i jest raczej umiarkowanie zainteresowany projektem Sułtana. Bo ten projekt jest po prostu za wielki.

Talcha zaprasza Sułtana na szklankę herbaty z tłustym mlekiem, ociera wargi. Wygląda na zatroskanego.

- Chętnie podejmę się części pracy, ale żeby aż sto trzynaście tytułów! Musielibyśmy je drukować przez cały rok.

Sułtan mówi o dwóch miesiącach. Cienkie ściany kantoru drżą, łoskot drukarskich maszyn zagłusza słowa, gdy próbuje przekonać Talchę, by wszystkie inne zobowiązania odłożył na bok.

- To niemożliwe - broni się Talcha. Mimo że Sułtan jest takim ważnym klientem, a drukowanie książek dla afgańskich dzieci to szczytne zadanie, on ma inne umowy, które musi wypełnić. Przeprowadza jednak szacunkowe obliczenia i wychodzi mu, że książki można by wydrukować po mniej więcej cztery, pięć centów za sztukę. Cena zależy będzie od gatunku papieru, jakości farby drukarskiej i oprawy. Talcha robi kalkulacje dla wszelkich możliwych gatunków oraz formatów i przygotowuje długą listę. Sułtan przymyka oczy.

Przelicza w pamięci w rupiach, dolarach, dniach i tygodniach. Trochę skłamał, jeśli chodzi o ostateczny termin, by skłonić Talchę do zwiększenia tempa i opóźnić druk książek innych wydawców.

- Pamiętaj, dwa miesiące - powtarza. - Jeśli nie zdołasz dotrzymać terminu, doprowadzisz moje przedsiębiorstwo do upadku, rozumiesz?

Kiedy już zakończyli rozmowę o podręcznikach szkolnych, przechodzą do pertraktacji w sprawie produkcji nowych książek dla księgarni Sułtana. Ponownie omawiają ceny, nakłady, terminy. Książki Sułtan ma przy sobie, będą drukowane bezpośrednio z oryginałów. Zostaną rozłożone na poszczególne strony, po czym każdą się skopiuje. Drukarze przeniosą je na duże metalowe płyty. Jeśli się drukuje pocztówki albo stronicie mają być kolorowe, na metalowe płyty wylewa się specjalny odczynnik, a następnie wystawia je na słońce, które wywołuje właściwe barwy. Jeśli na stronie znajduje się więcej kolorów, trzeba przygotować kilka płyt.

Książki drukuje się na starych, półautomatycznych maszynach. Jeden robotnik wkłada arkusze papieru, inny siedzi w kucki przy drugim końcu maszyny i sortuje to, co z niej wypada. W głębi hali gra radio, nadające transmisję meczu krykieta między Pakistanem a Sri Lanką. Na ścianach wiszą obowiązkowe obrazki z Mekki, u sufitu kołysze się lampa oblepiona zdechłymi muchami, a po posadzce spływają do kanalizacji żółte strumienie kwasu.

Obejrzawszy drukarnię, Talcha i Sułtan siadają na podłodze w kącie hali i oceniają okładki do książek. Sułtan wybrał motywy ze swoich pocztówek. Przywiózł też ozdobne szlaczki, które mu się podobają, i teraz obaj komponują całość. W ciągu pięciu minut zaprojektowali sześć okładek.

W innym kącie siedzą jacyś mężczyźni i popijają herbatę.

To pakistańscy wydawcy i drukarze, którzy operują na tym samym pirackim rynku co Sułtan. Witają się z gościem i rozmowa schodzi na ostatnie wydarzenia w Afganistanie, gdzie Hamid Karzaj balansuje między różnymi komendantami, podczas gdy na wschodzie kraju grupy żołnierzy AlKaidy przystąpiły do ataku. Na pomoc Afgańczykom przybyły

amerykańskie siły specjalne i wysadzają w powietrze jaskinie przy granicy z Pakistanem. Jeden z mężczyzn ubolewa nad tym, że talibowie musieli opuścić Afganistan.

- Nam by się przydało paru talibów w rządzie, dla oczyszczenia sytuacji - powiada.

- Możesz tak mówić, bo nie poczujesz na własnej skórze ich władzy. Pakistan by się zawalił, gdyby talibowie przejęli rządy, nie wyobrażaj sobie, że byłoby inaczej - oburza się Sułtan. - Rozejrzyj no się dookoła siebie, wszystkie plakaty reklamowe natychmiast by zdjęto, a teraz tylko na tej jednej ulicy są ich setki. Wszystkie książki z obrazkami zostałyby spalone, taki sam los by spotkał pakistańskie archiwa filmowe, archiwa muzyczne, zniszczono by wszystko, na czym można grać. Nie mógłbyś już słuchać muzyki ani nigdy więcej tańczyć. Wszystkie kawiarenki internetowe by pozamykano, telewizory skonfiskowano, radio nadawałoby tylko programy religijne. Dziewczęta zostałyby usunięte ze szkół, kobiety zwolnione z pracy i odesłane do domów. I co by się wtedy stało z Pakistanem? Kraj utraciłby setki tysięcy miejsc pracy i nastąpiłby ogólny regres. A co mieliby ze sobą począć ci niepotrzebni ludzie, którzy utracili pracę i innej nie znajdują, skoro Pakistan przestał być krajem nowoczesnym? Może zostaliby bojownikami? - pyta Sułtan wzburzony.

Jego rozmówca wzrusza ramionami.

- No dobrze już, dobrze. Może nie wszyscy talibowie są nam potrzebni, ale paru na pewno by się przydało.

Talcha też popierał talibów, drukując w wielkich nakładach ich broszury. Przez kilka lat drukował także podręczniki do nauki religii, które u niego zamawiali, a potem pomógł im założyć w Kabulu własną drukarnię. Kupił okazjnie włoską maszynę drukarską, którą tanio odsprzedał talibom.

Postarał się jeszcze o papier i wyposażenie drukarni. Podobnie jak wielu innych Pakistańczyków, jest zdania, że istnienie pasztuńskiego reżimu w sąsiadującym kraju zwiększa ich własne bezpieczeństwo.

- Ty nie masz żadnych skrupułów, nawet dla diabła byś drukował książki - wyrzuca mu Sułtan. Nie czyni tego ze złością, już wykrzyczał swoje pretensje do talibów.

Talcha robi niepewną minę, ale obstaje przy swoim.

- Talibowie nie walczą z naszą kulturą. Respektują Koran, słowa Proroka i nasze tradycje. Nigdy bym nie drukował niczego, co jest niezgodne z islamem.

- Co takiego na przykład? - pyta Sułtan ze śmiechem.

Talcha zastanawia się chwilę.

- No, Szatańskie wersety, powiedzmy, czy którąkolwiek z książek Salmana Rushdiego. I niech Allah jak najprędzej doprowadzi kogoś do jego kryjówki.

To jest woda na młyn pozostałych mężczyzn siedzących na dywaniku. Teraz wszyscy zaczynają psioczyć na Szatańskie wersety, chociaż żaden książki nie czytał.

- Powinien zapłacić za to głową, ale on zawsze zdoła umknąć. Wszyscy, którzy drukują jego książki albo mu pomagają, także powinni zostać zamordowani - mówi Talcha.

- Ja bym tego nie drukował, choćbym dostał nie wiem ile pieniędzy. On podeptał islam.

- Zranił nas głęboko i wyszydził. Wbił w nas ostry nóż.

Całe szczęście, że w końcu go dopadną - wzdycha inny z mężczyzn.

Sułtan się z nim zgadza:

- To prawda. Rushdie próbuje zatruć nasze dusze i musi zostać powstrzymany, zanim zdoła pociągnąć za sobą innych. Nawet komuniści nie odważyli się niszczyć nas w taki sposób, mimo wszystko zachowywali jakiś respekt i nie brukali naszej religii. A tu takie świństwo ze strony kogoś, kto nazywa siebie muzułmaninem!

Siedzą przez chwilę w milczeniu, jakby nie do końca zdołali się otrząsnąć z ponurego nastroju, który sprowadził na nich zdrajca Rushdie.

- W końcu go jednak dostaną, enszaallah, jeżeli Bóg pozwoli - kończy Talcha.

W następnych dniach Sułtan krąży po Lahore, zagląda do wszystkich możliwych drukarni zlokalizowanych na podwórkach, w zaułkach i piwnicach. By poradzić sobie z tak wielkim zamówieniem, musi je rozdzielić między dziesięciu różnych drukarzy. Tłumaczy im swój plan, przyjmuje oferty, notuje i ocenia. Oczy mu lekko błyszczą, a górna warga drga nieznacznie, gdy słyszy jakąś szczególnie dobrą ofertę. Oblizuje się i pospiesznie oblicza w myśli zarobek. Po dwóch tygodniach zdołał ulokować wszystkie podręczniki. Obiecuje przysłać drukarzom ostateczne umowy.

No i nareszcie może wracać do Kabulu. Tym razem nie potrzebuje przedzierać się przez granice na końskim grzbiecie. Afgańczykom nie wolno tylko wjeżdżać do Pakistanu, z powrotem żadnych kontroli nie ma i księgarz może swobodnie opuścić ten kraj.

Sułtan trzęsie się w starym autobusie, mozolnie pokonującym krętą i wyboistą drogę z Dżalalabadu do Kabulu. Po jednej stronie wielkie głazy grożą oderwaniem się w każdej chwili od górskiej ściany i zgnieceniem pojazdu. W pewnym miejscu podróżni widzą ciężarówkę i dwa wywrócone autobusy, które zjechały z drogi. Ratownicy znoszą liczne trupy.

Między innymi Sułtan dostrzega dwóch małych chłopców.

Odmawia modlitwę za ich dusze, a drugą za własne bezpieczeństwo.

Na tej trasie grożą jednak nie tylko powtarzające się nieszczęśliwe wypadki i spadające kamienie. Jest ona znana jako ta część Afganistanu, w której króluje największe bezprawie. Tutaj zarówno zagraniczni dziennikarze, pracownicy organizacji pomocowych, jak i mieszkańcy w razie ataku bandytów muszą płacić słony okup za ocalenie życia. Zaraz po upadku talibów zamordowano tu czterech dziennikarzy.

Najpierw byli torturowani, a potem zostali zabici strzałami w tył głowy. Szofer przeżył, ponieważ potrafił wyrecytować muzułmańskie wyznanie wiary. Wkrótce potem napastnicy zatrzymali autobus z Afgańczykami. Wszystkim mężczyznom, którzy zgolili brody, obcięto za karę nosy i uszy. W ten sposób bandyci pokazali, jakiej władzy w kraju sobie życzą.

Sułtan odmawia modlitwę w miejscu, gdzie zabito dziennikarzy. On na wszelki wypadek zachował i brodę, i tradycyjne ubranie. Jedynie turban zamienił na małą okrągłą czapeczkę.

Teraz zbliża się do Kabulu. Sonja z pewnością jest zła, myśli sobie i uśmiecha się pod wąsem. Obiecał przecież, że wróci po tygodniu. Wprawdzie próbował jej wytłumaczyć, że niemożliwe, by zdążył w ciągu siedmiu dni załatwić wszystko i w Peszawarze, i w Lahore, ale ona niczego nie chciała zrozumieć. "W takim razie nie będę piła mleka" - oznajmiła.

Sułtan znowu się uśmiecha. Cieszy się, że ją wkrótce zobaczy. Sonja nie lubi mleka, ale Sułtan wmusza w nią szklankę codziennie rano, ponieważ młoda żona wciąż jeszcze karmi Latifę. Ta szklanka mleka jest monetą przetargową, kiedy Sonja chce coś na nim wymusić.

Zawsze gdy Sułtan wyjeżdża, Sonja okropnie za nim tęskni. Pozostali członkowie rodziny nie są specjalnie mili, kiedy męża przy niej nie ma. Przestaje być wtedy gospodynią i jest po prostu młodą dziewczyną, która przypadkiem znalazła się w ich domu. Nagle inni przejmują władzę i do powrotu Sułtana robią, co chcą. "Wiejska dziewczucha - mówią o Sonji. - Głupia jak oślica!" Nikt się jednak nie odważy za bardzo z nią zadzierać, bo mogłaby się poskarżyć Sułtanowi, a z nim wojny nie chcą.

Sułtan także tęskni za Sonją. Tak jak nigdy nie tęsknił za Szarifą. Czasami zastanawia się, czy ona nie jest przypadkiem dla niego za młoda, bo przecież Sonja to jeszcze prawie dziecko. Uważa więc, że powinien się nią opiekować, podstępem zmuszać do picia mleka, zaskakiwać drobnymi prezencikami.

Rozmyśla nad tym, co różni jego dwie żony. Kiedy jest z Szarifą, to ona o wszystkim pamięta, przypomina, z kim się umówił, organizuje dzień, układa plany. Szarifa najpierw

myśli o Sultanie, o tym, czego on pragnie. Sonja chętnie robi to, o co się ją prosi, ale sama nie wykazuje żadnej inicjatywy.

Zjedną tylko rzeczą Sultana za nic nie może się pogodzić, a mianowicie z tym, że mają oboje całkowicie różny rytm dobowy. Sultana wstaje codziennie o piątej rano, by odmówić fadżr, jedyną modlitwę w ciągu doby, której nigdy nie zaniedbuje. Szarifa wstawała zawsze razem z nim, gotowała wodę, robiła herbatę, przygotowywała mu czyste ubranie, natomiast Sonja jest jak dziecko, które trudno dobudzić.

Czasami Sultana się zastanawia, czy to on nie jest dla Sonji za stary, czy to on nie jest nieodpowiedni. Zawsze jednak w takich chwilach tłumaczy sobie, że przecież nie dostałaby męża równie dobrego jak on. Gdyby wyszła za kogoś w swoim wieku, nigdy by nie uzyskała takiego standardu życia. Byłby to z pewnością jakiś ubogi chłopak, bo wszyscy chłopcy w jej wsi byli biedni. Mamy przed sobą jeszcze jakieś dziesięć, a może i dwadzieścia szczęśliwych lat, myśli Sultana i na jego twarzy maluje się zadowolenie. Jest szczęśliwy, czuje, że trafił mu się los na loterii.

Uśmiecha się sam do siebie. Przenika go miły dreszcz.

Zbliża się do Mikrorejonu i do swojej rozkosznej młodziutkiej żony.

czy chcesz, żebym był smutny?

Uczta dobiegła końca. Na podłodze kości z jagnięcia i kurczaków. Pecyny ryżu poprzyklejane do obrusa, a obok ciemnoczerwone plamy z sosu chili oraz jeziorka z białego, delikatnego jogurtu. Wszędzie walają się kawałki chleba i skórki pomarańczy, jakby zostały specjalnie porzucane pod koniec posiłku.

Na poduszkach pod ścianą siedzą trzech mężczyźni i jedna kobieta. W kącie pod drzwiami dwie inne kobiety przykucnęły jedna obok drugiej. One nie uczestniczyły w przyjęciu, patrzą przed siebie spod zasłaniających twarze szali, nie nawiązują z nikim wzrokowego kontaktu.

Tamta czwórka pod ścianą rozkoszuje się herbatą wolno, z namysłem, jak po wielkim wysiłku. Najważniejsze zostało już omówione i rozstrzygnięte. Wakil dostanie Szakilę, a Rasul pojmie za żonę Bolbol. Trzeba jeszcze ustalić cenę za panny młode i wyznaczyć datę ślubu.

Po herbacie i glazurowanych migdałach dochodzi do umowy - Szakila kosztuje sto dolarów, natomiast Bolbol jest za darmo. Wakil ma przygotowane pieniądze, wyciąga z kieszeni banknot i podaje Sułtanowi. Ten bierze zapłatę za siostrę z arogancką miną wyrażającą brak zainteresowania, suma jest przecież nieznaczna. Rasul zaś oddycha z ulgą. Gdyby i on miał płacić, zgromadzenie pieniędzy na ten cel i na koszty wesela zabrałoby mu lata.

Sułtan jest umiarkowanie zadowolony, według niego siostry zbyt przebiegały, odrzuciły wielu dużo lepszych zalotników i straciły mnóstwo czasu. Piętnaście lat temu mogły znaleźć młodych i bogatych narzeczonych.

- Byłyście zbyt wybredne.

Ale to nie Sułtan, lecz kobieta zajmująca honorowe miejsce, jego matka, Bibi Gol, trzymała los tych kobiet twardą ręką. Teraz zadowolona siedzi ze skrzyżowanymi nogami na podłodze i kołysze się z boku na bok. Gazowa lampa rzuca spokojne światło na pomarszczoną twarz. Ręce spoczywają ciężko na podolku, kobieta uśmiecha się z błogością. Nic nie wskazuje, by przysłuchiwała się rozmowie. Ona sama została wydana za mąż w wieku jedenastu lat za mężczyznę o dwadzieścia lat starszego. Stanowiła część małżeńskiej umowy między dwiema rodzinami. Rodzice prosili mianowicie o córkę sąsiadów dla jej starszego brata, tamci jednak powiedzieli, że wyrażą zgodę jedynie wtedy, gdy dostaną Bibi Gol dla swojego najstarszego syna, który wciąż nie ma żony.

Zobaczył kiedyś dziewczynkę na podwórku i bardzo mu się spodobała.

Długie małżeństwo, trzy wojny, pięć zamachów, a ponadto dwanaście porodów, i teraz wdowa wyda z domu dwie kolejne córki. Długo trzymała je przy sobie, obie mają po trzydziestce i są raczej mało atrakcyjne na małżeńskim rynku. No, ale i mężów dostają, można powiedzieć, przechodzonych. Ten, który dzisiejszego wieczoru wyjdzie z ich domu jako narzeczony Szakili, jest pięćdziesięcioletnim wdowcem z dziesięciorgiem dzieci. Wdowcem jest też przyszły mąż Bolbol, tyle że on nie ma dzieci.

Bibi Gol miała swoje powody, by trzymać obie córki tak długo w domu, choć wielu sądzi, że wyrządziła im krzywdę.

Jedną z nich, Bolbol, uważa za niezbyt zręczną i raczej mało przydatną do czegokolwiek. Bibi Gol mówi o tym głośno, bez zażenowania, nawet wówczas, gdy córka słyszy jej słowa. Jedną ręką Bolbol jest sztywna i dziewczyna z trudem nią porusza, utyka też na nogę. „Ona nigdy nie poradzi sobie z dużą rodziną” - mawia matka.

W wieku sześciu lat Bolbol nagle zachorowała, a gdy wstała z łóżka, miała trudności z poruszaniem się. Brat mówi, że to było polio, lekarz nie wie co, a Bibi Gol jest zdania, że to ze zmartwienia. Jest pewna, że Bolbol rozchorowała się ze zgrzyoty, kiedy ojciec trafił do więzienia. Został aresztowany i oskarżony o kradzież w magazynie, w którym pracował. Bibi Gol twierdzi, że był niewinny. Wypuścili go po kilku miesiącach, Bolbol jednak już nigdy zdrowia nie odzyskała.

„Przyjęła na siebie karę ojca” - powiada matka.

Bolbol nie została posłana do szkoły, bo choroba uszkodziła też głowę i dziewczyna nie była w stanie myśleć, jak należy. Przynajmniej tak uważali rodzice. Całe dzieciństwo trzymała się więc matczynej spódnicy. Nie musiała robić nic specjalnego, bo została dotknięta tą tajemniczą chorobą.

Przez to jednak życie jakby w ogóle z niej zrezygnowało.

Nikt nie chciał mieć z Bolbol nic wspólnego, nikt się z nią nie bawił, nikt jej nie prosił o pomoc.

Niewielu jest takich, którzy mieliby o czym z nią rozmawiać. Ta ponadtrzydziestoletnia kobieta ma w sobie jakąś dziwną ociężałość, jakby wlokła się przez życie albo próbowała się z niego wydostać. Jej oczy są wielkie i puste, przeważnie siedzi z na wpół otwartymi ustami, z opuszczoną dolną wargą, jakby zasypiała. W najlepszym razie przysłuchuje się rozmowom innych, przygląda się ich życiu, ale i to robi bez wielkiego zaangażowania. Bibi Gol pogodziła się z tym, że Bolbol przez resztę życia będzie się snuć po domu i sypiać na macie obok niej. Wydarzyło się jednak coś, co skłoniło ją do zmiany zdania.

Pewnego dnia Bibi Gol wybrała się do rodzinnej wsi, by odwiedzić siostrę. Włożyła na siebie burkę, zabrała Bolbol i zawołała taksówkę. Zwykle chodziła tam piechotą, ale w ostatnich latach zrobiła się okropnie ciężka, zaczęły ją boleć kolana i nie była w stanie pokonać tych paru kilometrów dzielących ją od domu siostry. Po głodnych latach dzieciństwa, po biedzie i ciężkiej pracy w pierwszych latach małżeństwa Bibi Gol na starość stała się strasznie łakoma. Nie może się powstrzymać od jedzenia, dopóki wszystkie półmiski nie zostaną opróżnione do czysta.

Szofer, który się zatrzymał przy otyłej kobiecie w burce, był jej dalekim krewnym, poczciwym Rasulem, któremu przed kilkoma laty żona umarła w połogu.

- Znalazłeś już sobie nową żonę? - spytała Bibi Gol w taksówce.

- Nie - odparł Rasul.

- A to szkoda. Ale jeżeli Bóg pozwoli, niedługo kogoś sobie znajdziesz - skwitowała Bibi Gol i zaczęła mu opowiadać o najnowszych wydarzeniach w swojej rodzinie, o synach, córkach i wnukach.

Rasul pojął aluzję. Kilka tygodni później jego siostra przyszła prosić o rękę Bolbol. Dla kogoś takiego jak on Bolbol może być odpowiednią żoną, pomyślała Bibi Gol.

Zgodziła się zatem bez wahania, co jest raczej niezwykle. Oddawanie córki tak bez chwili zastanowienia oznacza, że nie jest ona nic warta, że rodzina się cieszy, mogąc się jej pozbyć. Zwlekanie i wahania podnoszą przeciw wartość panny, rodzina mężczyzny powinna przychodzić wiele razy, prosić, przekonywać, dawać prezenty. Dla Bolbol nie trzeba było chodzenia. Ani prezentów.

Bolbol wpatruje się tępo przed siebie, jakby rozmowa jej nie dotyczyła, za to Szakila siedzi skoncentrowana i nasłuchuje. Te dwie kobiety różnią się od siebie tak bardzo, jak to tylko możliwe. Szakila jest żywa i głośna, w tej rodzinie zwraca na siebie największą uwagę. Ma wielki apetyt na życie, jest ładna i tłusta, taka, jaka powinna być afgańska kobieta.

Wielu zalotników przychodziło do niej w ciągu ostatnich piętnastu lat, od czasu kiedy była szczupłą nastolatką aż do dzisiaj, kiedy siedzi tęga w kącie za piecem i w milczeniu słucha, jak matka i brat dobijają targu.

Szakila stawiała surowe wymagania starającym się o jej rękę. Kiedy ich matki przychodziły w tej sprawie do Bibi Gol, ona nie dociekała, jak to zazwyczaj bywa, czy kawaler jest bogaty. „A pozwolicie jej dalej studiować?” - brzmiało jej pierwsze pytanie. Odpowiedź zawsze była przecząca i o małżeństwie przestawano rozmawiać.

Szakila chciała się uczyć, a żaden kandydat na męża nie widział pożytku z wykształconej, zbuntowanej żony. Wielu z nich zresztą było analfabetami. Szakila skończyła

studia, została nauczycielką matematyki i biologii. Kiedy kolejne matki przychodziły prosić o rękę ślicznej panny dla swoich synów, Bibi Gol pytała: „A pozwolicie jej pracować?” Nie, nikt się na to zgodzić nie chciał i Szakila wciąż była niezamężna.

Pierwszą pracę nauczycielską znalazła wtedy, kiedy wybuchła wojna przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Każdego ranka dreptała w butach na wysokich obcasach i spódnicy do kolan, jak nakazywała moda lat osiemdziesiątych, do wsi Deh Chodadad pod Kabulem. Tam ani kule, ani granaty nie spadały. Jedyne, co eksplodowało w Szakili, to miłość.

Niestety jednak Mahmud był już żonaty, żył w zaaranżowanym przez rodziców, nieszczęśliwym związku. Był od Szakili parę lat starszy i miał troje małych dzieci. Wzajemna miłość wybuchła w chwili, gdy dwoje nauczycieli spotkało się po raz pierwszy. Ukrywali swoje uczucia przed innymi, chronili się w miejscach, gdzie nikt nie mógł ich zobaczyć, albo telefonowali do siebie i szeptali czułe słówka w słuchawkę.

Nigdy nie spotykali się poza szkołą. Podczas jednej z potajemnych schadzek snuli plany, jak by tu doprowadzić do małżeństwa. Mahmud mógł przecież wziąć Szakilę jako drugą żonę.

Ale Mahmud nie mógł po prostu pójść do rodziców Szakili i oświadczyć się o jej rękę. Musiał poprosić matkę lub siostrę, by zrobiły to w jego imieniu.

- One nigdy się nie zgodzą - powiedział.

- A moi rodzice nigdy mnie za ciebie nie wydadzą - westchnęła Szakila.

Mahmud uważał, że tylko Szakila mogłaby nakłonić jego matkę, by poszła do jej rodziców jako swatka syna. Zaproponował, by Szakila udawała szaloną i zdesperowaną, by groziła, że popełni samobójstwo, jeśli nie dostanie Mahmuda.

Zgodnie z jego pomysłem miała się rzucać do nóg rodzicom i zapewniać, że ta miłość ją niszczy. Wtedy zaakceptują małżeństwo. Żeby uratować jej życie. I jego również.

Szakila jednak nie zdecydowała się odegrać takiej sceny, nie chciała wrzeszczeć i wyć, a Mahmud nie miał odwagi prosić kobiet ze swojej rodziny, by poszły do jej domu.

I oczywiście nie odważył się też nigdy wspomnieć żonie o Szakili. Ona wielokrotnie próbowała rozmawiać o sprawie ze swoją matką, ale wszystko na próżno, Bibi Gol uważała po prostu, że dziewczyna żartuje. W każdym razie uznała, że lepiej potraktować jako żart słowa córki, gdy ta oznajmiła, iż chciałaby wyjść za kolegę nauczyciela z trojgiem dzieci.

Mahmud i Szakila przez cztery lata krążyli wokół siebie i marzyli o wspólnej przyszłości, aż on dostał awans i zmienił szkołę. Nie mógł odmówić przyjęcia tego awansu i teraz zakochanym pozostały jedynie kontakty przez telefon. Szakila była głęboko

nieszczęśliwa i tęskniła za ukochanym, ale musiała uważać, żeby nikt się niczego nie domyślił. To wstyd być zakochaną w mężczyźnie, którego nie można dostać.

Potem wybuchła wojna domowa, szkoła została zamknięta i Szakila wyjechała do Pakistanu. Po czterech latach wojny władzę przejęli talibowie i chociaż strzały ucichły, a w Kabulu nastał pokój, to szkoły, w której uczyła Szakila, nigdy ponownie nie otwarto. Szkoły dla dziewcząt pozostały nieczynne, Szakila w ciągu jednej nocy straciła możliwość szukania innej pracy. Podobnie jak wszystkie kobiety w Kabulu. Zniknęło również dwie trzecie kabulskich nauczycieli.

Wiele szkół dla chłopców też nie mogło podjąć zajęć, ponieważ wcześniej pracowały w nich nauczycielki, a wykwalifikowanych nauczycieli mężczyzn było za mało.

Mijały lata. Mahmud coraz rzadziej dawał znak życia, w końcu podczas wojny domowej, gdy bomby zniszczyły linie telefoniczne, ich kontakty całkiem ustały. Szakila siedziała w domu z pozostałymi kobietami z rodziny. Nie mogła pracować, nie mogła sama wychodzić do miasta, musiała zasłaniać twarz. Życie straciło blask dawno temu. Kiedy skończyła trzydzieści lat, swatki przestały przychodzić.

Aż pewnego dnia, gdy Szakila spędziła już w talibskim domowym areszcie pięć lat, do Bibi Gol przysła siostra dalekiego kuzyna Wakila, by prosić o jej rękę.

- Żona zmarła mu nagle. Dzieciom potrzeba matki. On jest miły. Ma trochę pieniędzy. Nigdy nie był żołnierzem, nigdy nie zrobił nic niedozwolonego, jest uczciwy i zdrowy - zachwalała siostra. - Żona nieoczekiwanie dostała szału i umarła - szeptała dalej. - Leżała zamroczone, nikogo z nas nie poznawała. To straszne dla dzieci...

Trzeba niezwłocznie znaleźć nową żonę dla ojca dziesięciorga sierot. Na razie starsze zajmują się młodszymi, ale dom zarasta brudem. Bibi Gol powiedziała, że się zastanowi i przepytuje przyjaciół oraz znajomych, co sądzą o kandydacie na kolejnego zięcia. Dowiedziała się, że to ciężko pracujący i uczciwy człowiek.

Poza tym Szakila też nie ma na co czekać, jeśli miałyby jeszcze kiedykolwiek urodzić własne dziecko.

- Ona ma dosłownie wypisane na czole, że powinna jak najszybciej opuścić ten dom - przekonywała Bibi Gol każdego, kto chciał jej słuchać. Ponieważ talibowie nie pozwalają kobietom pracować, nie pytała nawet, czy Wakil by się na to zgodził.

Poprosiła, by pojawił się u niej osobiście. Zwykle małżeństwo jest zawierane na podstawie umowy między rodzicami, skoro jednak kandydat na męża zbliżał się do pięćdziesiątki, Bibi Gol chciała go sobie obejrzeć. Wakil był kierowcą ciężarówki, ciągle w

długich podróżach. Wysłał więc ponownie siostrę, potem brata, i znowu siostrę, nigdy jednak nie znalazł czasu, by przyjść osobiście, i zaręczyny się odwlekały.

Nadeszły wydarzenia 11 września i Sułtan jeszcze raz wyprawił swoje siostry i dzieci do Pakistanu w obawie przed bombami, które, jak przewidywał, znowu zaczną spadać.

Wtedy przyszedł Wakil.

- Porozmawiamy, jak nastaną normalniejsze czasy - odprawił go Sułtan.

Dwa miesiące później, gdy talibowie opuścili Kabul, Wakil wrócił. Szkoły jeszcze nie otwarto, więc Bibi Gol nawet nie pomyślała, by go spytać, czy pozwoli Szakili na pracę.

Z kąta za piecem Szakila śledzi, jak powoli decyduje się jej los. Zostaje wyznaczona data ślubu. Tamtych czworo na poduszkach ustaliło już wszystko, choć świeżo zaręczeni nie zdążyli jeszcze zamienić ze sobą nawet spojrzenia.

Wakil spogląda ukradkiem w stronę Szakili, która jak przez cały czas siedziała, tak siedzi wpatrzona przed siebie, w ścianę, w powietrze lub po prostu w nicłość.

- Tak się cieszę, że ją znalazłem - mówi do Sułtana, ale wzrok kieruje ku narzeczonej.

Zbliża się godzina policyjna, gdy obaj goście żegnają się i pospiesznie wychodzą w mrok. W domu zostają dwie zaręczone kobiety, nadal wpatrują się w przestrzeń przed sobą.

Nie patrzyły na mężczyzn nawet w chwili, kiedy tamci się żegnali. Bolbol podnosi się z wysiłkiem i wzdycha, ona na ślub będzie musiała jeszcze poczekać. Minie wiele lat, zanim Rasul zbierze tyle pieniędzy, by mógł opłacić wesele. Ale wygląda na to, że jest jej wszystko jedno. Dokłada dREW do ognia. Nikt jej nie niepokoi pytaniami, ona po prostu tutaj jest, jak zawsze, dopóki nie wyjdzie z izby, by zająć się praniem i płukaniem, co należy do jej obowiązków.

Szakila się rumieni, kiedy rzucają się na nią wszystkie siostry.

- Za trzy tygodnie! Musisz się okropnie spieszyć!

- Mowy nie ma, żeby z tym wszystkim zdążyła - narzeka Szakila, chociaż materiał na ślubną suknię jest już od dawna wybrany i tylko czeka, żeby go zanieść do krawca. Pozostaje jednak cała reszta, pościel, serwisy. Wprawdzie Wakil jest wdowcem i ma większość potrzebnych rzeczy, ale przecież panna młoda musi wnieść do domu coś nowego.

Sama Szakila nie bardzo jest zadowolona z tego, co się stało.

- On jest niski - wybrzydza przed siostrami. - A ja lubię wysokich mężczyzn. Poza tym jest łysy i w ogóle mógłby być o kilka lat młodszy - mówi i krzywi się lekko. - A co będzie, jak się okaże tyranem? Pomyślcie, a jeśli on nie jest miły?

Jeśli zabroni mi wychodzić z domu? - Siostry słuchają w milczeniu, ale niepokoi je to samo. - Co będzie, jeśli on mi nie pozwoli was odwiedzać? Albo będzie mnie bił?

Szakila i jej siostry w coraz ciemniejszych barwach widzą to małżeństwo, aż w końcu Bibi Gol każe im zamilknąć.

Dwa dni po zawarciu umowy siostra Szakili, Marjam, zaprasza na przyjęcie urządzone specjalnie dla narzeczonych.

Marjam ma dwadzieścia dziewięć lat i jest po raz drugi zamężna. Jej pierwszy mąż zginął w czasie wojny domowej.

Teraz Marjam oczekuje piątego dziecka.

Rozłożyła długi obrus na podłodze w dużym pokoju.

Przy jednym końcu siedzą Szakila i Wakil. Nareszcie nie ma przy nich ani Sułtana, ani Bibi Gol. Bo dopóki starsi członkowie rodziny widzą narzeczonych, dopóty nie wolno im się do siebie zbliżyć. Teraz jednak, w otoczeniu najmłodszego rodzeństwa, mogą ze sobą rozmawiać przyciszonymi głosami i nie zwracać uwagi na resztę towarzystwa, które z wielkim zainteresowaniem próbuje łowić choćby strzępy tego, co do siebie mówią.

Nie jest to specjalnie sympatyczna wymiana zdań. Szakila przeważnie kieruje słowa w powietrze. Zgodnie z dobrymi obyczajami nie powinna przed ślubem nawiązywać z narzeczonym kontaktu wzrokowego, natomiast on patrzy na nią nieustannie.

- Tęskniłem za tobą. Sam nie wiem, jak przetrwam tych piętnaście dni, zanim będę mógł cię poślubić.

Szakila się rumieni, ale wciąż ma wzrok utkwiony w dal.

- Przez całą noc nie mogłem spać, leżałem i rozmyślałem o tobie - wyznaje Wakil. Ze strony Szakili nie ma żadnej reakcji. - No i co o tym myślisz? - pyta więc narzeczony.

Szakila nadal w milczeniu je.

- Wyobraź sobie, jak to będzie po ślubie, ty ugotujesz dla mnie obiad i podasz mi go, kiedy wrócę. Bo ty zawsze będziesz w domu, będziesz na mnie czekać - rozmarza się Wakil. - Już nigdy nie będę sam.

Szakila długo milczy, zanim zbierze się na odwagę, by zapytać, czy on po ślubie pozwoli jej pracować w szkole.

Wakil mówi, że tak, ale Szakila mu nie ufa. Przecież może zmienić zdanie, gdy już będą małżeństwem. Wakil zapewnia jednak, że skoro praca może ją uszczęśliwić, to proszę bardzo, niech żona pracuje. Na dodatek do opieki nad jego domem i dziećmi, rzecz jasna.

Wakil zdejmuje nakrycie głowy, brązową pakolę, jakie noszą zwolennicy zamordowanego przywódcy Sojuszu Północnego, Ahmada Szaha Masuda.

- Z odkrytą głową jesteś brzydki - mówi Szakila spokojnie. - Przecież ty wcale nie masz włosów.

Teraz z kolei Wakil musi się poczuć skrępowany. Nie odpowiada na obraźliwe słowa swojej przyszłej, lecz kieruje rozmowę na bezpieczniejsze tory. Szakila spędziła dzień na bazarach Kabulu, kupując różne rzeczy potrzebne na wesele oraz podarki dla wszystkich krewnych, i jego, i swoich. Prezenty będzie dawał Wakil, jako człowiek wchodzący do rodziny, która oddaje mu Szakile. On płaci, ale ona robi zakupy. Kubki, garnki, sztuce, pościel, ręczniki i materiały na ubrania dla niego i dla Rasula. Szakila obiecała Rasulowi, narzeczonemu Bolbol, że będzie mógł sobie wybrać kolor.

Opowiada teraz Wakilowi o zakupach, a on pyta, jakiego koloru są materiały.

- Jeden niebieski, drugi brązowy - informuje Szakila.

- Który przeznaczyłaś dla mnie?

- Jeszcze nie wiem, bo najpierw Rasul musi sobie wybrać.

- Co? - krzyczy Wakil. - Dlaczego ma tak być? Ja powinienem wybierać pierwszy, bo to ja będę twoim mężem!

- No dobrze - godzi się Szakila. - Ty wybierzesz pierwszy. Ale oba są ładne - dodaje i wciąż patrzy przed siebie.

Wakil zapala papierosa.

- Ja nie lubię dymu - protestuje Szakila. - I nie lubię ludzi, którzy palą. Jeśli nie rzucisz palenia, to ciebie też nie będę lubić - Szakila podnosi głos i wszyscy słyszą jej wymówki.

- Trudno przestać, kiedy się już raz zaczęło palić - bąka Wakil zbity z tropu.

- Śmierdzisz - mówi dalej Szakila.

- Powinnaś być trochę grzeczniejsza - oburza się Wakil i Szakila milknie. - Powinnaś też zasłaniać twarz. Obowiązkiem kobiety jest nosić burkę. Możesz się ubierać, jak ci się podoba, ale jeżeli nie będziesz nosić burki, będę smutny.

A czy ty chcesz, żebym był smutny? - pyta Wakil niemal groźnie.

- Skoro teraz Kabul się zmienia i kobiety mogą nosić nowoczesne stroje, to ja też chcę się tak ubierać - mówi Szakila.

- Chyba nie będziesz nosić nowoczesnych ubrań? Bo chyba nie chcesz, żebym był smutny?

Szakila nie odpowiada.

Wakil wyjmując z kieszeni kilka paszportowych fotografii, długo im się przygląda, potem podaje Szakili.

- To dla ciebie, powinnaś je nosić na sercu - mówi.

Szakila robi ironiczną minę i niechętnie bierze fotografie.

Wakil musi już iść, zaraz będzie godzina policyjna. Pyta narzeczoną, ile pieniędzy potrzebuje jeszcze na zakupy. Szakila odpowiada. On odlicza wymienioną sumę, zastanawia się, potem jednak daje jej tylko część banknotów, resztę chowa do portfela.

- Tyle wystarczy?

Szakila kiwa głową. Żegnają się, Wakil wychodzi. Szakila kładzie się na czerwonych poduszkach. Oddycha z ulgą i nakłada na swój talerz kilka kawałków baraniny. Poradziła sobie z testem - dopóki nie wezmą ślubu, ona musi być zimna i odpychająca. To uprzejme wobec rodziny, która traci córkę i siostrę.

- Kochasz go? - pyta Marjam starszą siostrę.

- Phi.

- Jesteś zakochana?

- Hm.

- Co znaczy "hm"?

- Znaczy "hm" - odpowiada Szakila. - Ani tak, ani nie.

Mógłby przecież być trochę młodszy i bardziej urodziwy - dodaje, marszcząc nos. Wygląda teraz jak zawiedzione dziecko, które nie dostało mówiącej lalki, o jakiej marzyło, a dano mu w zamian szmacianą kukielkę. - Jest mi teraz po prostu przykro - stwierdza. - I żal. Jest mi przykro i żal, bo muszę opuścić rodzinę. Pomyślcie same, co będzie, jak on mi nie pozwoli was odwiedzać? Jeśli mi nie pozwoli wrócić do pracy? Teraz, kiedy bym już mogła. Jeżeli zamknie mnie w domu?

Płomień naftowej lampy na podłodze strzela w górę.

Siostry znowu pogrążają się w ponurych myślach. Lepiej zawczasu wszystko przewidzieć.

nie ma wstępu do nieba

Kiedy we wrześniu 1996 roku czołgi talibów wtoczyły się do Kabulu, Radio Szaria zaczęło nadawać szesnaście edyktów. Rozpoczęła się nowa epoka.

1. Zakaz noszenia nieprzepisowych strojów

Kierowcom nie wolno zabierać do autobusu kobiet nienoszących burki. W razie złamania zakazu kierowca ma zostać uwięziony. Jeżeli na ulicy pojawią się kobiety bez burki, przedstawiciele władz odszukają ich domy, a mężów ukarzą. Kierowcom autobusów i taksówek nie wolno zabierać kobiet w prowokujących lub nowoczesnych strojach, jeśli nie towarzyszą im mężczyźni z bliskiej rodziny.

2. Zakaz słuchania muzyki

W sklepach, hotelach, pojazdach i riksach zabronione jest słuchanie muzyki z kaset oraz innych nagrań. Jeżeli w jakimś sklepie zostaną znalezione kasety, sklep będzie zamknięty, a właściciel uwięziony. Kasety znalezione w pojeździe zostaną skonfiskowane, a osoby prowadzące pojazd uwięzione.

3. Zakaz golenia bród.

Każdy, kto zgolił lub ostrzygł brodę, ma zostać uwięziony na tak długo, aż broda odrósłnie mu na długość zaciśniętej dłoni.

4. Nakaz odmawiania modlitwy.

Modlitwy mają być odmawiane o określonych porach we wszystkich dzielnicach. Czas modlitwy zostanie podany do wiadomości przez Departament Krzewienia Cnoty i Zapobiegania Występkom. Surowo zakazany jest ruch pojazdów na piętnaście minut przed porą modlitwy. Na czas modlitwy wszyscy mają iść do meczetu. Młodzi mężczyźni zauważeni w tym czasie w sklepach mają niezwłocznie zostać uwięzieni.

5. Zakaz organizowania walk ptaków.

Ten rodzaj rozrywki ma zostać przerwany. Gołębie oraz inne ptaki używane do walk i gier mają być zabite.

6. Zakaz używania narkotyków i handlu nimi.

Narkomanów będzie się zamykać w więzieniach. Zostaną przeprowadzone dochodzenia w celu wykrycia handlarzy i miejsc sprzedawania narkotyków. Sklep zostanie zamknięty, a właściciel i narkoman będą ukarani i osadzeni w więzieniu.

7. Zakaz puszczania latawców.

Puszczanie latawców powoduje niepożądane skutki, takie jak zakłady czy przypadki śmierci wśród dzieci oraz odrywanie ich od nauki. Sklepy sprzedające latawce będą zlikwidowane.

8. Zakaz portretowania istot żywych.

Z pojazdów, sklepów, domów, hoteli i innych miejsc mają być usunięte wszystkie portrety. Właściciele wymienionych obiektów mają portrety zniszczyć. Pojazdy z wizerunkami istot żywych będą rekwirowane.

9. Zakaz hazardu.

Ośrodki hazardu zostaną zamknięte, a gracze uwięzieni na miesiąc.

10. Zakaz noszenia fryzur na modłę angielską i amerykańską.

Mężczyźni z długimi włosami będą aresztowani i doprowadzani do Departamentu Krzewienia Cnoty i Zapobiegania Występkom, gdzie zostaną ostrzyżeni. Przestępca musi zapłacić fryzjerowi.

11. Zakaz lichwy, pobierania prowizji przy wymianie pieniędzy oraz podatków od transakcji.

Te trzy sposoby zarabiania pieniędzy są przez islam zabronione. Wszyscy winni łamania zakazu będą karani długotrwałym więzieniem.

12. Zakaz prania ubrań w miejskich strumieniach.

Kobiety łamiące powyższy zakaz zostaną z pełnym szacunkiem oraz zachowaniem reguł islamu odprowadzone do domów, a ich mężowie surowo ukarani.

13. Zakaz muzyki i tańca na weselach.

W razie złamania tego zakazu głowa rodziny zostanie aresztowana i ukarana.

14. Zakaz gry na bębnach.

Gdy zostanie stwierdzone, że ktoś grał na bębnie, karę dla niego ma wyznaczyć religijna starszyzna.

15. Zakaz szycia damskich ubrań przez krawców oraz brania przez nich miary z kobiet.

W razie znalezienia w sklepie żurnali mody krawiec ma zostać uwięziony.

16. Zakaz czarów.

Wszystkie książki na temat magii zostaną spalone, a czarownik będzie więziony tak długo, aż okaże skruchę.

Oprócz tych szesnastu zakazów ogłaszano jeszcze jedno specjalne napomnienie skierowane do mieszkanki Kabulu:

Kobiety, nie wolno wam wychodzić za próg waszych domostw.

Gdyby się to jednak zdarzyło, to nie możecie postępować jak tamte istoty, które zanim islam powrócił do naszego kraju, nosiły modne ubrania, używały szminki i pokazywały się każdemu mężczyźnie.

Islam, który jest religią wybawienia, nakazuje kobietom zachowanie szczególnej godności. Kobiety nie powinny robić nic, czym zwracałyby na siebie uwagę mężczyzn, którzy patrzą na nie złym wzrokiem. Obowiązkiem kobiety jest wychowywanie dzieci i jednoczenie swoich rodzin, dbanie o ubrania i jedzenie. Jeżeli kobiety muszą wyjść z domów, mają się okryć zgodnie z prawem szariatu. Kobiety, które noszą modne, wzorzyste, obcisłe i uwodzicielskie stroje, zostaną zgodnie z muzułmańskim prawem szariatu przeklęte i nigdy nie pójdą do nieba. Spotkają je groźby, śledztwa i surowe kary nakładane przez policję religijną, a to samo czeka głowy ich rodzin. Policja religijna ma obowiązek i prawo zwalczać tego rodzaju problemy społeczne i będzie to robić tak długo, aż wypleni wszelkie zło.

Allahu akbar - Bóg jest wielki.

płynące, falujące, turkoczące

Ciągle traci ją z oczu. Falująca burka w każdej chwili może stać się inną falującą burką. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, niebiesko. Jej wzrok skierowany jest w dół. Na pokrytej nawozem ziemi łatwiej odróżnić jedne brudne buty od innych brudnych butów. Dostrzega kolorowy pas na nogawce białych spodni, skraj purpurowoczerwonej sukni włożonej na spodnie. Ze wzrokiem wbitym w ziemię krąży po bazarze za falującą burką. Z tyłu naciera inna burka, zdyszana, w zaawansowanej ciąży. Stara się dotrzymać kroku tamtym dwóm, energicznie podążającym przed nią.

Burka przewodniczka zatrzymała się przy materiałach pościelowych. Dotyka ich, sprawdza jakość, przez zrobioną z bawełnianych nici kratkę w otworze na oczy ocenia kolory.

Rozmawia z ustami ukrytymi pod tkaniną, przez kratkę ledwie widać błysk ciemnych oczu. Burka targuje się, wymachując rękami, a nos sterczy pod ubraniem niczym ptasi dziób.

W końcu się decyduje, po omacku grzebie w torebce pod burką, potem podaje sprzedawcy kilka niebieskich banknotów. Handlarz odmierza materiał, biały w jasnoniebieskie kwiatki. Zakup znika w torbie pod burką.

Zapach szafranu, czosnku, suszonego pieprzu i innych przypraw wciska się przez sztywny materiał i miesza z zapachem potu, oddechu i silną wonią mydła. Jedwabna tkanina jest tak ścisła, że czuje się zapach własnego oddechu.

Potem wszystkie trzy burki ruszają dalej, do straganu z aluminiowymi imbrykami najtańszej rosyjskiej marki. Dotykają, wypytują się, targują, w końcu kupują. Imbryk również znajduje miejsce pod burką, obok mnóstwa kubków i garnków, dywaników i szczotek. Burka robi się wielka niczym namiot. Za pierwszą podążają dwie mniejsze, które przystają i wachają, oglądają plastikowe zapinki i malowane na złoto bransoletki, zanim znowu pobiegną za swoją przewodniczką. Ta zatrzymała się przy wózku zapelnionym mnóstwem rzuconych byle jak biustonoszy. Białe, jasnożółte lub różowe, w nieszczęśliwych fasonach. Niektóre rozwieszono na drążkach i powiewają bezwstydnie niczym flagi na wietrze.

Burka bada je palcami, mierzy w dłoniach. Wyjmuje obie ręce spod ubrania, rozciąga elastyczne części, sprawdza miseczki i na oko wybiera wielki, podobny do gorsetu wyrób.

Idą dalej, kręcąc głowami na wszystkie strony, żeby widzieć, co się dzieje dookoła. Kobieta w burce jest jak koń z klapkami na oczach, widzi tylko to, co ma przed sobą. Bliżej skroni zrobiona z nici kratka przechodzi w grubą tkaninę, która nie pozwala spoglądać w bok. Trzeba odwrócić całą głowę. Jeszcze jeden podstęp wynalazcy burki: mężczyzna musi wiedzieć, kogo lub co jego żona śledzi wzrokiem.

Wystarczy niewielki zwrot głowy, by w ciasnych zaułkach centralnej części bazaru odnaleźć burkę przewodniczkę.

Właśnie ocenia koronki. Grube, syntetyczne, podobne do brzegów sowieckich firanek. Spędza przy tych koronkach mnóstwo czasu, to bardzo ważny sprawunek, więc decyduje się nawet podnieść zasłonę z twarzy, by lepiej widzieć. Lekceważy tym samym nakaz przyszłego męża, by nikomu się nie pokazywała, ale naprawdę trudno jest ocenić koronki przez kratkę burki. Zresztą tylko sprzedawca widzi jej twarz, która mimo kabulskiego chłodnego powietrza pokryta jest perełkami potu. Szakila przekrzywia głowę, uśmiecha się szelmowsko, śmieje się, targuje, ba, ona wprost flirtuje ze sprzedawcą. Bez błękitnego okrycia widać, jak się bawi. Robiła to przez cały czas i sprzedawcy na bazarze z łatwością mogliby wskazać tę kłaniającą się, kołyszącą i falującą burkę. Ona potrafi flirtować ruchem małego palca, ruchem dłoni, odpowiednim ustawieniem stopy. Szakila zarzuca sobie koronki na głowę i nagle nie jest to już brzeg firanki, lecz wykończenie welonu, ostatnia rzecz, której jeszcze brakuje do ślubnego stroju. To oczywiste, że biały welon musi mieć takie wykończenie. Dobijają targu, sprzedawca odmierza koronkę, Szakila się uśmiecha, w końcu zakup znika w torbie pod burką, która znowu opada ku ziemi jak należy. Siostry nadal kręcą się po bazarze, w zaułkach robi się coraz ciasniej.

Słychać mieszające się głosy, jednostajny szum. Rzadko kto proponuje kupującym swoje towary. Sprzedawcy zdają się bardziej zajęci plotkowaniem z sąsiadami lub siedzeniem na worku z mąką czy też na stosie dywanów i obserwowaniem życia bazaru niż zachwalaniem tego, co mają do sprzedania. Klienci i tak kupią, czego im potrzeba.

Wydaje się, że na kabulskim bazarze czas się zatrzymał.

Towary są takie same jak wówczas, kiedy Dariusz, władca Persji, wędrował tędy w szóstym wieku przed narodzeniem Chrystusa. Na wielkich dywanach pod gołym niebem lub w ciasnych sklepikach leżą przemieszane ze sobą różne pyszności i produkty najniezbędniejsze, po które sięgają pożądlive palce. Orzeszki pistacjowe, suszone morele i zielone rodzyunki wystawione są w wielkich workach. Na rozpadających się wózkach ułożono żółte stosy limonek i cytryn o skórce tak cienkiej, że można je jeść bez obierania. W worku u sprzedawcy szarpią się i gdaczą kury. U handlarza przyprawami można dostać chili, paprykę, curry oraz imbir.

Sprzedawca przypraw bywa często również uzdrowicielem, który proponuje suszone zioła, korzenie, owoce i herbatki.

Ze swobodą lekarza tłumaczy, jak je stosować, i przekonuje, że uleczą wszystko, od najprostszych do najbardziej tajemniczych chorób.

Świeża kolendra, czosnek, różne korzenne przyprawy, kardamon, wszystkie zapachy mieszają się z kloacznym odorem półwyschniętego strumyka, który dzieli bazar na dwie części. Na mostach przerzuconych przez rzeczkę sprzedaje się kapcie z grubej owczej skóry, bawełnę na wagę, tkaniny w różnych kolorach i deseniach, noże, szpadle i motyki.

Pomiędzy tym wszystkim znajdują się rzeczy, których czasy Dariusza nie znały. Przemyczone papierosy o egzotycznych nazwach, takich jak *Pleasure*, *Wave* lub *Pine*, oraz produkowana nielegalnie w Pakistanie coca-cola. Szlaki przemytnicze też się przez stulecia nie zmieniły i jak dawniej wiodą przez Przełęcz Chajberską z Pakistanu lub przez góry z Iranu. Niektóre towary przebywają je na osłach, inne na ciężarówkach. Tymi samymi ścieżkami wywozi się z kraju heroinę, opium i haszysz. Pieniądze, którymi się za to płaci, są nowe, pochodzą z ostatniego roku; ludzie handlujący nimi stoją w niekończących się szeregach, ubrani w długie koszule i turbany, trzymają wielkie stosy niebieskich afgani, trzydzieści pięć tysięcy za dolara.

Pewien mężczyzna sprzedaje odkurzacze marki *National*.

Jego sąsiad oferuje odkurzacze marki *Nautioni* za tę samą cenę. Zarówno jednak oryginały, jak i podróbki idą marnie.

Niestabilne zaopatrzenie miasta w prąd sprawia, że większość mieszkańców wybiera zwyczajne miotły.

Buty wędrują dalej, drepcząc w nieczystościach. Obok nich poruszają się brązowe sandały, brudne buty, czarne buty, zniszczone, a raz nawet ładne pantofle i różowe plastikowe buciki z kokardkami. Zdarzają się też buty białe; ten kolor za talibów był dla obuwia zakazany, albowiem ich flaga miała właśnie białą barwę. Talibowie zabraniali też noszenia butów z twardymi obcasami, ponieważ stukot damskich pantofli mógłby rozpraszać mężczyzn. Teraz jednak są nowe czasy i można sobie stukać w nawozie do woli, wobec czego na całym bazarze słychać rozmaite klik i klak. Niekiedy udaje się też dostrzec spod skraju burki pomalowane paznokcie u stóp, jeszcze jeden mały znak wolności. Talibowie zabronili używania lakieru do paznokci i wprowadzili zakaz jego importu. Kilku kobietom, które naruszyły prawo, a szczęście im nie dopisało, obcięto palce. Ruch wyzwolenia kobiet owej pierwszej wiosny po ucieczce talibów z Kabulu wykazywał aktywność głównie w odniesieniu do butów i lakieru do paznokci i właściwie nie posunął się dalej, ponad ubrudzony nawozem skraj burki.

Nie w tym rzecz, żeby nikt nie próbował. Po ucieczce talibów powstało wiele organizacji kobiecych. Niektóre z nich jeszcze za czasów talibów próbowały tworzyć tajne szkoły dla dziewcząt, uczyć kobiety higieny lub prowadzić kursy dla analfabetek. Wielka

bohaterka z tamtych czasów, minister zdrowia w rządzie Karzaja, Sohejla Sadighe, jest jedyną w Afganistanie kobietą generałem. Zorganizowała studia medyczne dla kobiet i w szpitalu, w którym pracowała, zdołała otworzyć oddział kobiecy, zamknięty przedtem przez władze. Jako jedna z niewielu wtedy kobiet w Kabulu odmówiła noszenia burki. Opowiada, jak do tego doszło: "Kiedy członkowie policji religijnej wtargnęli do mojego domu z pałkami i zamierzali się, by mnie uderzyć, ja też się zamierzyłam, aby wiedzieli, że im oddam. Na to oni opuścili pałki i poszli sobie".

Ale nawet Sohejla rzadko wychodziła z domu, dopóki rządili talibowie. Każdego ranka wożono ją do szpitala szczelnie otuloną czarnym szalem i zabierano z powrotem wieczorem. "Kobiety afgańskie straciły odwagę" - powiedziała z goryczą.

Jedno z kobiecych stowarzyszeń tydzień po ucieczce talibów próbowało zorganizować demonstrację. Uczestniczki w czółenkach i pantoflach na obcasach zebrały się przy narożniku domu w Mikrorejonie, by stąd ruszyć do miasta.

Większość odważnie odrzuciła z twarzy zakrywające je części burki, ale władze nie dopuściły do demonstracji pod pozorem, że nie są w stanie zapewnić uczestniczkom bezpieczeństwa. I tak było zawsze. Gdy tylko kobiety się zebrały, zaraz znajdował się powód, by je powstrzymać.

Teraz szkoły dla dziewcząt są znowu otwarte i młode kobiety tłumnie zapelniają uniwersytety, a niektóre odzyskały nawet dawną pracę. Zaczęto wydawać tygodnik redagowany przez kobiety i przeznaczony dla kobiet, a Hamid Karzaj nie przepuści żadnej okazji, by mówić o ich prawach.

Wiele kobiet dało się poznać podczas prac Wielkiej Rady, Loja Dżirga, w roku 2002. Siedzący na sali mężczyźni w turbanach przyjmowali najodważniejsze przemówienia śmiechem, ale one się nie poddały. Jedna z nich, ku wielkiemu rozbawieniu zebranych, domagała się nawet, by ministrem obrony kraju została kobieta. "Tak jest we Francji" - podkreślała.

Jednak dla szerokich mas zmieniło się niewiele. W rodzinach, w tradycjach wszystko zostało po staremu: decydują mężczyźni. Tylko nieliczne kobiety w Kabulu zdjęły burki, a większość nie ma pojęcia, że ich prababki, afgańskie kobiety, w dziewiętnastym wieku nawet nie słyszały o zakrywaniu twarzy. Burki wprowadzono za rządów króla Habibullaha, który panował w latach 1901-1919. Nakazał on mianowicie dwustu kobietom ze swojego haremu nosić takie ubranie, by kiedy wyjdą za bramy pałacu, nie kusily swoimi pięknymi twarzami innych mężczyzn. Welony, którymi zasłaniały się te panie, były z delikatnego jedwabiu, pięknie haftowanego, a królowny, córki Habibullaha, nosiły nawet burki haftowane złotymi

niemi. Tak powstał strój klasy wyższej, zasłona chroniąca damy przed spojrzeciami tłumu. W latach pięćdziesiątych burka rozprzestrzeniła się w całym kraju, wciąż jednak przede wszystkim wśród bogatych.

Zasłanianie się miało też przeciwników. W roku 1959 szokiem była postawa księcia Dauda, wówczas premiera rządu, który podczas święta narodowego pokazał się publicznie z małżonką bez burki. Przekonał brata, by swojej żonie pozwolił zrobić to samo, i poprosił ministrów, by wyrzucili burki swoich małżonek. Już następnego dnia na ulicach Kabulu można było zobaczyć kobiety w długich płaszczach, ciemnych, przeciwsłonecznych okularach i szalach okrywających głowy. Te same, które dotychczas dreptały kompletnie zasłonięte. Tak jak noszenie burki zaczęło się od kobiet klasy wyższej, tak i jej odrzucenie przyszło stamtąd. Zasłona stała się symbolem statusu wśród ubogich i wiele służących oraz pomocy domowych otrzymało od swoich chlebodawczyń jedwabne burki. Najpierw tylko panujący Pasztunowie kazali swoim kobietom zasłaniać twarze, teraz także inne grupy etniczne przejęły ten obyczaj. Ale księżę Daud chciał całkowicie wyrzucić burki z Afganistanu. W 1961 roku wprowadzono prawo zakazujące noszenia burki osobom piastującym publiczne stanowiska. Zalecano kobietom ubieranie się na modłę zachodnią. Minęło wiele lat, nim prawo się umocniło, ale w latach siedemdziesiątych w Kabulu chyba nie było nauczycielki czy sekretarki w instytucji państwowej, która by nie nosiła spódnicy i bluzki. Mężczyźni ubierali się w garnitury. I wtedy jednak niezasłonięte kobiety ryzykowały, że zostaną postrzelone lub oblane kwasem przez fundamentalistów. Kiedy wybuchła wojna domowa i Kabul otrzymał muzułmańską władzę, coraz więcej kobiet zaczęło używać zasłon. Wraz z przybyciem talibów z ulic Kabulu zniknęły kobiece twarze.

Buty burki przewodniczki zniknęły wśród innych butów na jednej z wąskich kładek nad wyschniętą rzeczką. Nieco z tyłu za nimi ukazują się uwięzione w tłumie sandały siostry. Tu trzeba się poruszać w rytm falowania ludzkiej masy.

Odszukanie znajomych butów nie jest możliwe, ani też zatrzymanie się czy zawrócenie z drogi. Burki, wcisnięte między inne burki i mężczyzn z towarami na głowach, w rękach i na plecach, nie mogą już nawet spoglądać na ziemię.

Po drugiej stronie rzeczki chodzą trzy burki i szukają się nawzajem. Jedna w czarnych butach, wykończonych koronką białych spodniach, z purpurowoczerwonym skrajem sukni, jedna w brązowych plastikowych sandałach, z czarnym rąbkiem sukni, oraz ostatnia, najszczuplejsza sylwetka w burce, w różowych plastikowych bucikach, liliowych spodniach i z rąbkiem sukni w takim samym kolorze. Odnajdują się w końcu i odbywają pospieszną naradę. Burka przewodniczka prowadzi wszystkie do wybranego sklepu. Do prawdziwego

sklepu z oknami wystawowymi, położonego na skraju bazaru. Chce kupić pościel i oczarowała ją lśniąca, watowana, różowa kołdra o nazwie Paris. Razem z kołdrą sprzedawane są poduszki z falbankami, w kwiatki i serduszka. Wszystko razem jest zapakowane w duże pudło z przezroczystego plastiku. Product of Pakistan - napisano na pudle, tuż pod nazwą Paris i wizerunkiem wieży Eiffla.

Tę właśnie kołdrę burka chce mieć na swoim przyszłym małżeńskim łożu. Łożu, którego jeszcze ani nie sprawdziła, ani nawet nie widziała i którego nie może, Boże broń, zobaczyć przed nocą poślubną.

Targuje się. Sprzedawca chce za kołdrę i poduszki w pudełku wiele milionów afgani. Toż to suma jeżąca włosy na głowie!

Ona proponuje o wiele niższą cenę, ale przeciwnik jest nieustępliwy. Dopiero kiedy burka szykuje się do wyjścia, tamten daje za wygraną. Kłaniająca się burka dostaje swoją kołdrę za sumę poniżej jednej trzeciej ceny wyjściowej, ale nim zdążyła zapłacić, zmienia zdanie. Już nie chce pościeli w niemowlęcym różowym kolorze. Zamiast tego wybiera ostrą czerwień. Sprzedawca pakuje zakup i dodaje czerwoną szminkę gratis. Skoro klientka wychodzi za mąż...

Ona dziękuje serdecznie i podnosi zasłonę z twarzy: szminkę trzeba wypróbować. Szakila zdążyła nawiązać niemal rodzinny kontakt ze sprzedawcą pościeli i kosmetyków.

Prócz niego w sklepie są same kobiety, więc Lejla i Marjam też nabierają odwagi, odsłaniają twarze i trzy pary bladych warg zmieniają kolor na jadowicie czerwony. Przeglądają się w lustrze, pożądlivym wzrokiem wpatrują się w kosmetyki wyłożone pod szklaną ladą. Szakila szuka wybielającego kremu. Bładość jest dla Afgańczyków podstawowym wyznacznikiem urody. Panna młoda powinna być blada.

Sprzedawca kołder i kosmetyków poleca krem o nazwie Perfect. Aloe white block cream - można przeczytać na wieczku. Reszta to jakieś chińskie znaki. Szakila na próbę rozsmarowuje sobie odrobinę na policzku, wygląda, jakby pokryła skórę gęstą maścią cynkową. Po chwili policzek robi się znacznie bledszy. Spod kremu przebija pierwotna barwa, w rezultacie powstaje cera mieszana, w jednym miejscu bledsza, w drugim bardziej brązowa.

Cudowny krem wędruje do porządnie już wyładowanej torby pod burką. Trzy siostry ze śmiechem obiecują tu wracać za każdym razem, kiedy będą wychodzić za mąż.

Szakila jest zadowolona i chce już iść do domu, by pokazać zakupy. Znajdują właściwy autobus i wciskają się do środka. W górę po schodkach, a potem w dół, na siedzenia za zasłoną. Niewygodne stroje są szarpane we wszystkich kierunkach, podciągają się w górę,

plączą pod nogami, są przydeptywane. Kobiety muszą je podtrzymywać, zanim usiądą, mogą się przy tym trochę rozejrzeć, bo uniesiona burka nie ciągnie głowy w dół. Ciasno im ze wszystkimi pakunkami na kolanach i wokół nóg. Niewiele jest miejsc przeznaczonych dla kobiet, a nieustannie wsiadają nowe i nasze burki tkwią ściśnięte w tłumie innych odzianych w burki ciał, ich ramion, toreb z zakupami i butów.

Umęczone trzy siostry wytaczają się razem z pakunkami, kiedy autobus zatrzymuje się nareszcie przed ich zbombardowanym domem. Z furkotem wkraczają do chłodnego mieszkania, ściągają burki przez głowy, wieszają je, każda na swoim gwoździu, i oddychają z ulgą. Nareszcie odzyskują twarze. Twarze, które ukradły im burki.

wesele trzeciej klasy

Wieczór przed dniem ślubu. Pokój jest wypełniony po brzegi. Nie ma kawałka wolnej podłogi, wszędzie ciała kobiet, które jedzą, tańczą lub rozmawiają. To wieczór panieński. Dzisiejszej nocy panna młoda i pan młody posmarują sobie stopy i dłonie henną. W wyniku tego powstaną pomarańczowe wzory, które zapewnią szczęśliwe małżeństwo.

Ale narzeczeni nie będą dziś razem, mężczyźni mają swoją uroczystość, kobiety swoją. Same kobiety, bez mężczyzn, wytwarzają wielką, niemal przerażającą energię. Klepią się nawzajem po tyłkach, szczypią w piersi, tańczą jedna przed drugą, poruszają biodrami jak w arabskim tańcu brzucha, ich ramiona wyginają się niczym węże. Małe dziewczynki tańczą jak prawdziwe uwodzicielki, unoszą zalotnie brwi i rzucają wyzywające spojrzenia. Nawet stare kobiety próbują swoich sił, przeważnie jednak przerywają taniec w połowie, bo to jednak wyczerpująca zabawa. Pokazały, że wciąż jeszcze potrafią tańczyć, ale wytrwać do końca nie są już w stanie.

Szakila siedzi na jedynym meblu w pokoju, obszernej kanapie przyniesionej tu na tę właśnie okazję. Śledzi wszystko z dystansu, nie ma prawa ani tańczyć, ani nawet się uśmiechać. Radość zraniłaby matkę, którą opuszcza, smutek zaś - przyszlą teściową. Panna młoda powinna mieć obojętny wyraz twarzy, nie wolno jej kręcić głową ani się rozglądać, ma siedzieć bez ruchu, z utkwionym przed siebie wzrokiem.

Szakila wykonuje to zadanie znakomicie, jakby przez całe życie ćwiczyła zachowanie na dzisiejszą noc. Siedzi wyprostowana niczym królowa i spokojnie rozmawia z osobami, które akurat przysiadły obok niej na kanapie - to zaszczyt, którego po kolei dostępują wszystkie uczestniczki wieczoru.

Tylko wargi się poruszają, kiedy Szakila odpowiada na pytania siedzącej akurat obok niej kobiety.

Jej strój ma różne kolory: czerwony, zielony, czarny i żółty. Wygląda, jakby włożyła na siebie udrapowaną afgańską flagę i na dodatek została posypana złotym pyłem. Piersi sterczą jak górskie szczyty, widocznie biustonosz, który kupiła "na oko", pasuje znakomicie. Talia pod suknią jest mocno ściśnięta. Na twarz Szakila nałożyła grubą warstwę kremu Perfect, oczy podkreśliła kredką, wargi zaś tą nową czerwoną szminką. Jest wzorową panną młodą również jeśli chodzi o wygląd. Panny młode powinny wyglądać sztucznie, jak lalki. Nawet słowa na określenie panny młodej i lalki są podobne. W języku dari panna młoda to arus, lalka zaś to arusak.

Pod wieczór w bramie domu staje orszak z tamburynami, bębenkami i pochodniami. To kobiety z rodziny Wakila, jego siostry, bratowe i córki. W tę czarną noc śpiewają, klaszczą w dłonie i tańczą.

Chcemy zabrać tę dziewczynę z jej domu i przeprowadzić ją do naszego.

Panno młoda, nie pochylaj głowy i nie lej gorzkich łez.

Bóg tak sobie życzy, dziękuj więc Bogu.

O, Mahomecie, wysłanniku Boga, odsuń od niej smutki, trudne sprawy uczyni łatwiejszymi!

Kobiety Wakila wykonują zmysłowy taniec z szalami i chustami, które okrywają ich ramiona i przesłaniają twarze.

W pokoju robi się wilgotno od pary i pachnie słodkim potem. Chociaż okna są otwarte i firanki powiewają na wietrze, chłodne wiosenne powietrze nie jest w stanie ostudzić roztańczonych ciał.

Dopiero kiedy zostają wniesione misy pełne pilawu, na jakiś czas następuje przerwa w tańcu. Wszystkie kobiety siadają na podłodze tam, gdzie stały lub tańczyły. Siostra Szakili, Lejla, i najmłodsze kuzynki roznoszą jedzenie, gotowane w kotłach na podwórzu za domem. Półmiski z ryżem, wielkie kawały baraniny, bakłażany w jogurtowym sosie, makaron ze szpinakiem i czosnkiem, ziemniaki w sosie paprykowym. Wszystko ustawia się na podłodze. Kobiety gromadzą się wokół naczyń. Prawą ręką ugniatają kulki z ryżu i wkładają je do ust. Mięso i sos jedzą z kawałkami cienkiego chleba odrywanych z wielkich placków. Wszystko robi się prawą ręką. Lewa ręka, nieczysta, ma leżeć spokojnie. Teraz nie słyszy się nic prócz odgłosów jedzenia. Kobiety rozkoszują się posiłkiem w milczeniu. Jedyne, co zakłóca ciszę, to wzajemne uprzejme częstowanie. Dobry obyczaj nakazuje podsuwać sąsiadce najlepsze kąski.

Kiedy wszystkie są syte, można zaczynać ceremonię malowania henną. Zrobiła się późna noc i nikt już nie tańczy.

Niektóre panie posnęły, inne leżą lub siedzą wokół Szakili i przyglądają się, jak siostra Wakila rozprowadza zieloną niczym mech masę na dłoniach i stopach Szakili, śpiewając przy tym pieśń henny. Kiedy dłonie Szakili są dokładnie posmarowane, musi każdą z nich zamknąć. Przyszła szwagierka wiąże je ściśle paskami materiału, tak by mógł powstać wzór, i owija w miękką tkaninę, aby henna nie pobrudziła ubrania ani pościeli. Następnie rozbiera Szakilę do bielizny, czyli długich, białych bawełnianych szarawarów i długiej koszuli, po czym układa ją na macie pośrodku pokoju z wielką poduszką pod głową. Potem karmi pannę młodą dużymi kawałkami mięsa i smażonej wątróbki z surowym czosnkiem.

Jedzenie Lejla przygotowała specjalnie dla tej, która ma opuścić rodzinę.

Bibi Gol siedzi i przygląda się córce. Śledzi wzrokiem każdy kęs wkładany do ust narzeczonej. Wreszcie wszystkie kobiety zaczynają płakać, zapewniając się przy tym nawzajem, że Szakili z pewnością będzie dobrze.

Kiedy Szakila jest już najedzona, kładzie się obok Bibi Gol. Leży w pozycji płodowej, tuż przy matce. Nigdy w swoim życiu nie sypiała w innym pokoju niż ona. To jest ostatnia noc w objęciach matki. Następną spędzi w objęciach męża.

Po kilku godzinach Szakila zostaje obudzona i siostry zdejmują szmaty z jej rąk i nóg. Usuwają hennę i teraz widać, że na dłoniach i podeszwach utworzyły się pomarańczowe wzory. Szakila zmywa makijaż z wczorajszego wieczoru, który upodabniał ją do lalki, i jak zwykle zjada solidne śniadanie: smażone mięso, chleb, słodki deser i herbata.

O dziewiątej jest gotowa i znowu zaczyna się malowanie, czesanie, upiększanie. Szakila, jej najmłodsza siostra Lejla, druga żona Sultana, Sonja, i jedna z kuzynek wchodzi do pewnego mieszkania w Mikrorejonie. To salon piękności, salon, który prowadził działalność także w czasach talibów.

Również wtedy, mimo zakazu, panny młode były malowane i upiększane. Choć raz okazał się przydatny jeden z talibskich nakazów: panny wchodziły do salonu w burkach i wychodziły w burkach, tyle że miały pod nimi całkiem inne twarze.

Specjalistka od urody ma w pokoju lustro, krzesło oraz półkę pełną buteleczek i tub, które, sądząc po ich stanie oraz wzornictwie, liczą sobie dziesiątki lat. Na ścianach wiszą plakaty przedstawiające indyjskie gwiazdy Bollywood.

Mocno wydekoltowane piękności śmieją się do tęgiej, solidnie zbudowanej Szakili, która siedzi na krześle.

Niewielu by powiedziało, że Szakila jest urodziwa. Ma mocno porowatą cerę i obrzmiałe powieki, twarz szeroką, z masywnymi szczękami. Ma jednak niezwykle piękne i białe zęby, lśniące włosy i szelmowskie spojrzenie. To o nią najczęściej ze wszystkich córek Bibi Gol dopytywali się kawalerowie. "Pojęcia nie mam, dlaczego mi się tak podobasz - powiedział jej Wakil w czasie obiadu u Marjam. - Przecież wcale nie jesteś ładna". Mówił jednak z czułością w głosie i Szakila przyjęła jego słowa jako komplement.

Teraz bardzo się denerwuje, że nie będzie wystarczająco piękna, i jej pełen rozbawienia uśmiech znika. Ślub to śmiertelnie poważna sprawa.

Najpierw jej ciemne włosy nawijają się na małe drewniane wałki. Następnie trzeba wyskubać brwi, tak gęste, że zrastają się przy nasadzie nosa. To właśnie będzie rzeczywistym znakiem wskazującym, że Szakila jest kobietą zamężną, pannom bowiem nie wolno

wyskubywać sobie brwi. Szakila jęczy i zawodzi, kosmetyczka pracuje. Brwi stają się cienkie, piękne, łukowato wygięte, Szakila podziwia się w lustrze. Ma wrażenie, że jej oczy są teraz osadzone wyżej.

- Gdybyś przyszła parę dni temu, tobym ci też rozjaśniła włoski nad górną wargą - mówi kosmetyczka. Pokazuje Szakili tajemniczą, nieco odrapaną tubę, na której widać napis Cream bleach for unwanted hair. - Ale teraz już nie zdążymy.

Bollywood - potoczna nazwa centrum filmowego niedaleko Bombaju. Działające tam wytwórnie produkują rocznie ponad tysiąc filmów, głównie kiczowatych romansów, ogromnie popularnych w Indiach i innych krajach azjatyckich (przyp. tłum.).

Po uporządkowaniu brwi cała twarz Szakili zostaje wysmarowana kremem Perfect. Kosmetyczka nakłada grubą warstwę mieniącej się czerwonozłotej pomadki na powieki, czarną kredką podkreśla kąciaki oczu, a wargi maluje ciemną, brunatnoczerwoną szminką.

- Cokolwiek bym zrobiła, to i tak nie będę taka ładna jak ty - mówi Szakila do Sonji, swojej młodziutkiej bratowej. Ta uśmiecha się tylko i mruży coś niezrozumiałego. Właśnie wkłada przez głowę suknię z jasnoniebieskiego tiulu.

Po uszminekowaniu Szakili przychodzi kolej na upiększanie Sonji, a tymczasem reszta kobiet pomaga Szakili włożyć suknię. Lejla pożyczyła jej swój elastyczny pas, szeroki i bardzo rozciągliwy, dzięki któremu Szakila będzie mieć zaznaczoną talię. Przedpołudniowa suknia ma kolor ostrej zieleni, ozdobiona jest syntetycznymi koronkami, falbankami i złotym szlaczkiem. Suknia powinna być zielona, bo to jest w islamie kolor szczęścia.

Kiedy już suknia leży jak trzeba, a stopy zostały wepchnięte w białe czółenka na okropnie wysokich obcasach, ozdobione złotymi sprzączkami, zdejmuje się fryzjerskie wałki. Mocno poskręcane włosy upina się wysoko, na czubku głowy fryzurę podtrzymuje duża zapinka, grzywkę zaś, za pomocą wielkiej ilości lakieru, układa się w fale zaczesane na jedną stronę twarzy. Całość wieńczy tiulowy zielony welon.

Jako specjalną ozdobę, już na samym końcu, do fryzury przykleja się mnóstwo niebieskich gwiazdeczek ze złotymi brzeżkami. Na każdym policzku Szakila ma jeszcze po trzy gwiazdeczki ze srebra. Powoli zaczyna przypominać gwiazdy Bollywood ze ścian salonu.

- O, nie! Prześcieradło! Zapomniałam o prześcieradle! - krzyczy nagle Lejla, młodsza siostra Szakili. - Och, nie!

- Och, nie! - powtarza za nią Sonja, wpatrując się w Szakilę, której twarz nawet nie drgnie.

Lejla zrywa się z krzesła i wybiega z salonu. Na szczęście nie ma daleko. Pomyśleć, co by było, gdyby całkiem zapomniała o prześcieradle, najważniejszym ze wszystkiego...

Reszta kobiet zostaje w salonie piękności. Nie są zbyt poruszone zachowaniem Lejli. Kiedy już wszystkie mają na włosach i policzkach gwiazdki, trzeba włożyć burki. Szakila stara się zrobić to tak, by nie zburzyć ślubnej fryzury. Nie wciąga swojej burki do końca, jak zwykle, ale pozwala, by jej górna część lekko się oparła na upiętych włosach. To jednak oznacza, że zrobiona z nici kratka znajduje się nie na wysokości oczu, tylko gdzieś na głowie. Sonja i kuzynka muszą ją prowadzić pod rękę, jak niewidomą, żeby nie spadła ze schodów. Szakila wolałaby raczej spaść, niż pokazać się bez burki.

Panna młoda nie zdejmie burki, dopóki nie stanie przed wejściem na podwórze Marjam, gdzie ma się odbyć wesele.

Piękna fryzura będzie po tym tylko trochę spłaszczona. Kiedy Szakila wkracza, zebrani goście rzucają się ją witać. Wakil jeszcze nie przyszedł. Na podwórku roi się jednak od ludzi, którzy już zajadają pilaw, kebab i mielone kotleciki. Zaproszono setki krewnych. Wynajęty kucharz i jego syn krajali, siekali, gotowali i mieszały od świtu. Na weselny obiad zakupiono 150 kilogramów ryżu, 56 kilogramów baraniny, 14 kilogramów cielęciny, 42 kilogramy ziemniaków, 30 kilogramów cebuli, 50 kilogramów szpinaku, 35 kilogramów marchwi, kilogram czosnku, 8 kilogramów rodzynek, 2 kilogramy orzechów, 32 litry oliwy, 14 kilogramów cukru, 2 kilogramy mąki, 20 jaj, mnóstwo różnego rodzaju przypraw, 2 kilogramy zielonej herbaty, 2 kilogramy czarnej herbaty, 14 kilogramów landrynek i 3 kilogramy innych cukierków.

Po posiłku kilkudziesięciu mężczyzn znika w sąsiednim domu, w którym czeka Wakil. Tam zostaną przeprowadzone ostatnie rozmowy, należy bowiem przedyskutować szczegóły dotyczące pieniędzy i gwarancji na przyszłość. Wakil musi zagwarantować sumę odszkodowania na wypadek, gdyby rozwiódł się z Szakilą bez powodu, i musi obiecać, że zapewni jej mieszkanie oraz ubranie. W imieniu Szakili rozmowy prowadzi starszy brat, Sułtan, a kontrakt podpisują mężczyźni z obu rodzin.

Uzgodniwszy stanowiska, mężczyźni opuszczają dom sąsiadów. Szakila siedzi z siostrami w domu Marjam i obserwuje ich zza firanki. Podczas gdy mężczyźni rozmawiali, ona przebrała się w białą suknię i przesłoniła twarz krótkim welonem z koronkami, przypominającym sowiecką firankę. Teraz czeka, aż przyprowadzą do niej Wakila, aby mogli stąd wyjść już razem. On staje przed narzeczoną jakby lekko zawstydzony, witają się z oczyma utkwionymi w podłogę, jak należy, potem wychodzą ramię przy ramieniu, ale wciąż na siebie nie patrzą. Kiedy się zatrzymają, powinni spróbować przydeptać sobie nawzajem stopy, ona jemu, a on jej.

To, którego stopa znajdzie się na górze, będzie rządzić w małżeństwie. Wakil wygrywa, a może Szakila pozwala mu wygrać, jak przystoi. Nie wypada domagać się władzy, do której kobieta nie ma prawa.

Na podwórzu wystawiono dwa krzesła dla nowożeńców.

To ważne, by oboje siedzieli tak samo i usiedli jednocześnie.

Gdyby pan młody usiadł pierwszy, żona dominowałaby nad nim we wszystkim. Żadne więc nie chce siadać, w końcu Sułtan podchodzi od tyłu i spokojnie, ale zdecydowanie naciskając, sadza ich równocześnie na krzesłach. Zebrani biją brawo.

Najstarsza siostra Szakili, Firoza, kładzie przed młodą parą dywanik i ustawia na nim lustro. Nowożeńcy mają w nie spojrzeć. W tym momencie, zgodnie z tradycją, ich oczy spotkają się po raz pierwszy. Wakil i Szakila sztywno spoglądają w lustro, tak jak trzeba, jakby się nigdy przedtem nie widzieli. Firoza trzyma nad ich głowami Koran, a mułła odczytuje błogosławieństwa. Oni siedzą z pochylonymi głowami i przyjmują słowo boże.

Potem dostają duże naczynie deseru, przygotowanego z kawałków ciasta, cukru i oliwy, przyprawionego kardamonem. Jedno karmi drugie łyżką, a goście klaszczą. Muszą się też nawzajem napić na znak, że życzą sobie nawzajem dobrego życia.

Ale nie wszyscy są zadowoleni z siorbania fanty.

- Kiedyś podczas tej ceremonii wznoszono toast szampanem - szepcze jakaś ciotka, pamiętająca bardziej liberalne czasy, gdy na weselach podawano i wino, i szampana. - Ale tamto już pewnie nie wróci - wzdycha.

Czasy nylonowych pończoch, zachodnich sukienek, odsłoniętych ramion, a przede wszystkim czasy bez burki są bladym wspomnieniem.

- Wesele trzeciej klasy - odpowiada jej szeptem najstarszy syn Sułtana, Mansur. - Marne jedzenie, byle jakie ubrania, klopsiki i ryż, koszule i szale. Kiedy ja będę się żenił, wynajmę salę balową w hotelu Intercontinental, wszyscy będą, musieli mieć modne ubrania i będzie się serwować najlepsze jedzenie. Importowane - podkreśla. - A zresztą ja będę brał ślub za granicą - dodaje.

Przyjęcie weselne Szakili i Wakila odbywa się w glinianym domu Marjam i na jej podwórku, gdzie nic nie rośnie.

Zdjęcia młodej pary mają za tło wojnę. Ściana za nimi jest dosłownie upstrzona śladami po kulach i wyrwami po granatach. Młodzi z poważnymi twarzami pozują do fotografii.

Brak uśmiechu i te ślady po kulach nadają zdjęciu tragiczny wyraz.

Młodzi podchodzą do ciasta. Razem trzymają nóż; mają bardzo skupione miny. Karmią się nawzajem, prawie nie otwierając ust, jakby ból nie pozwalał im ich otworzyć, i obsypują się okruchami.

Po cieście nadchodzi pora muzyki i tańca. Dla znacznej grupy gości jest to pierwsze wesele, w jakim uczestniczą od upadku talibów. To znaczy pierwsze wesele z muzyką i tańcami. Talibowie, zakazując muzyki, odebrali ludziom połowę radości z wesela. Teraz wszyscy rzucają się do tańca, z wyjątkiem państwa młodych, którzy nadal siedzą na swoich krzesłach i przyglądają się zabawie. Jest późne popołudnie, ze względu na godzinę policyjną przyjęcia weselne przeniesiono z wieczora na dzień. Goście muszą wrócić do domu najpóźniej o dziesiątej.

Kiedy zaczyna się zmierzchać, młoda para przy akompaniamencie krzyków i wycia opuszcza zabawę. Autem przystrojonym kwiatami i wstążkami nowożeńcy odjadą do domu Wakila. Wszyscy, dla których znajdzie się miejsce w innych pojazdach, mogą ich odprowadzić. W samochodzie Szakili i Wakila tłoczy się osiem osób, w pozostałych jeszcze więcej. Robią rundę po ulicach Kabulu. Ponieważ dzień jest świąteczny, ulice miasta są puste i samochody pędzą z szybkością stu kilometrów na godzinę, starając się znaleźć na czele orszaku. Dochodzi do zderzenia dwóch ścigających się aut, co trochę psuje odświętny nastrój, na szczęście jednak nikt nie odniósł większej szkody. Samochody z potłuczonymi reflektorami i podrapaną karoserią jadą do domu Wakila.

Ta tura jest symbolicznym przekazaniem panny młodej, Szakila opuszcza swoją rodzinę i zostaje przyjęta przez męża.

Towarzyszą jej najbliżsi krewni, a w domu męża czekają jego siostry z herbatą. Z tymi kobietami będzie teraz Szakila dzielić domowe podwórze. Tam będzie je spotykać przy studni, tam będzie razem z nimi prac ubrania i karmić kurczęta. Usmarkane dzieciaki gapią się na nią z ciekawością. Ta kobieta będzie ich nową matką. Chowają się w spódnicach ciotek i z zapartym tchem wpatrują się w połyskującą złotem pannę młodą. Muzyka została daleko, wesołe okrzyki umilkły. Szakila z godnością wkracza do swego nowego domu. Jest dość obszerny, pomieszczenia są wysokie. Jak wszystkie domy na wsi, został zbudowany z gliny, strop jest z grubych belek. Okna wciąż są zaklejone folią. Nie tylko Wakil boi się uwierzyć, że bombardowania już nie wrócą, i zwleka z zamianą folii na normalne szyby.

Wszyscy zdejmują buty i spokojnie chodzą po domu.

Stopy Szakili są czerwone i opuchnięte po całym dniu w ciasnych białych czółenkach. Goście, którzy jeszcze zostali, najbliżsi krewni, idą do sypialni. Ogromne podwójne łoże zajmuje prawie cały pokój. Szakila z dumą patrzy na lśniącą, gładką, czerwoną kołdrę i także

poduszki, które sama kupiła, na nowe czerwone firanki, które uszyła. Jej siostra Marjam przyszła tu poprzedniego dnia i wysprzątała pokój, zawiesiła firanki, pościeliła łóżko i poukładała weselne dekoracje. Sama Szakila nigdy jeszcze nie była w tym domu, którym będzie rządzić przez resztę swojego życia.

W ciągu całego wesela nikt nie widział, żeby para młoda wymieniła choćby błady uśmiech. Teraz, w swoim nowym domu, Szakila nie może się już powstrzymać.

- Jak pięknie to wszystko urządziłaś - powiada do Marjam. Po raz pierwszy w życiu będzie miała własną sypialnię.

Po raz pierwszy w życiu będzie spać w łóżku. Siada obok Wakila na kołdrze.

Pozostały już ostatnie ceremonie. Jedna z sióstr Wakila podaje Szakili duży gwóźdź i młotek. Ta wie, co powinna zrobić, i spokojnie podchodzi do drzwi sypialni. Wbija w nie gwóźdź. Kiedy całkiem go już nie widać, wszyscy klaszczą.

Bibi Gol pociąga nosem. Gwóźdź oznacza, że Szakila przybiła swój los do tego domu.

Następnego dnia przed śniadaniem do domu Bibi Gol, matki Szakili, przychodzi ciotka Wakila. Ma ze sobą w torbie prześcieradło, którego Lejla omal nie zapomniała, najważniejsze ze wszystkiego. Wstrzymując oddech, stara kobieta wyjmuje je teraz z torby i podaje matce Szakili. Płótno jest mocno zakrwawione. Bibi Gol dziękuje i uśmiecha się, a z oczu płyną jej łzy. Pospiesznie odmawia modlitwę dziękczynną. Kobiety z domu zbiegają się, żeby zobaczyć prześcieradło, i Bibi Gol pokazuje je wszystkim po kolei.

Nawet małe córeczki Marjam oglądają zakrwawione płótno.

Gdyby nie ta krew, to do rodziny zostałyby odesłana z powrotem Szakila, nie płótno.

matriarchat

Ślub jest trochę jak śmierć. W rodzinie panny młodej przez kilka dni po weselu panuje smutek jak po pogrzebie.

Utracono córkę, została sprzedana lub oddana. Szczególnie rozpaczają matki - miały dotychczas pełną kontrolę nad córkami, wiedziały, dokąd chodzą, kogo spotykają, w co się ubierają, co jedzą. Większą część doby spędzały razem, razem wstawały, razem zamiatały mieszkanie, razem gotowały jedzenie. Po weselu córka znika, przechodzi z jednej rodziny do drugiej. Całkowicie. Nie może wybrać się do domu z wizytą, kiedy zechce, lecz jedynie wtedy, gdy mąż da jej pozwolenie. Jej rodzina też nie może bez zaproszenia pójść do nowego domu córki.

W jednym z mieszkań bloku numer 37 w osiedlu Mikrorejón siedzi samotna matka i rozpacza po stracie córki, która teraz znajduje się godzinę drogi od niej. Czy jednak Szakila przebywa w wiosce Deh Chodadad pod Kabulem, czy w jakimś obcym kraju setki mil za morzem, to nie ma znaczenia.

Skoro nie leży obok niej na materacu, nie pije herbaty i nie je cukrowanych migdałów, to pustka po niej jest tak samo wielka, smutek taki sam.

Bibi Gol miażdży jeszcze jednego migdała. Ukryła je pod materacem przed Lejlą. Najmłodsza córka ma pilnować, żeby matka nie przejadła się na śmierć. Niczym pielęgniarka w klinice, w której prowadzi się kuracje odchudzające, broni matce dostępu do słodyczy i tłuszczu, wyrywa z rąk jedzenie, kiedy starsza pani zdobędzie coś, czego jeść nie powinna.

Gdy ma czas, gotuje potrawy specjalnie dla matki, bez tłuszczu. Bibi Gol jednak po kryjomu podkrada tłuszcz z innych talerzy i doprawia swoje dania. Kocha smak oliwy i gorącego baraniego łoju, po skończonym posiłku uwielbia wysysać szpik z kości. Jedzenie jest jej najbezpieczniejszym schronieniem. Jeżeli po kolacji nie czuje się syta, nie może usnąć, wstaje w nocy, by wylizywać miski i wyskrobywać resztki z garnków. Mimo starań Lejli Bibi Gol nigdy nie traci na wadze, wprost przeciwnie, z każdym rokiem robi się cięższa.

Poza tym wszędzie w domu ma swoje tajemne schowki: w starych skrzyniach, pod kołdrą, za jakimiś pojemnikami.

Albo po prostu chowa jedzenie w swojej torebce. Tam trzyma cukierki śmietankowe. Różnego rodzaju i koloru śmietankowe i mleczne cukierki z Pakistanu. Najtańsze, mdłe w smaku, niektóre nawet zjełczałe. Ale mimo wszystko to są cukierki, przeważnie z wizerunkiem krowy na opakowaniu, no i nikt nie słyszy, kiedy je ssie.

Migdały natomiast trzeba miażdżyć, a to słyhać. Bibi Gol użala się nad sobą. Jest w pokoju sama, siedzi na macie i kiwa się raz w prawo, raz w lewo, w jednej ręce zaciska migdały. Patrzy przed siebie pustym wzrokiem. Z kuchni dobiega szcęk naczyń. Wkrótce wszystkie córki wyjdą z domu. Szakili już nie ma, Bolbol jest na najlepszej drodze, by opuścić matkę. Bibi Gol nie ma pojęcia, co zrobi, kiedy odejdzie też Lejla. Naprawdę nie będzie miał kto zająć się staruszką. "Nikt nie dostanie Lejli przed moją śmiercią" - mówi o swojej dziewiętnastoletniej córce. Wielu już o nią pytało, ale Bibi Gol zawsze odpowiadała: nie. Bo nikt by się tak nie zajął matką jak Lejla.

Sama Bibi Gol nie robi już nic. Siedzi w swoim kącie, pije herbatę i rozmyśla. Jej czas pracy minął. Kiedy kobieta ma dorosłe córki, staje się kimś w rodzaju przewodniczki, która udziela rad, aranżuje małżeństwa i pilnuje moralności rodziny, to znaczy przede wszystkim moralności córek. Dba, by nie wychodziły same z domu, zasłaniały się jak należy, nie spotykały mężczyzn spoza rodziny, żeby były posłuszne i uprzejme. Uprzejmość jest zdaniem Bibi Gol najwyższą cnotą. Po Sułtanie to ona dzierży w rodzinie największą władzę.

Znowu myśli biegną do Szakili, która teraz znajduje się za wysokimi murami z gliny. Za obcymi murami. Matka widzi oczyma wyobraźni, jak córka dźwiga ze studni ciężkie wiadra z wodą, widzi ją w otoczeniu kurczaków i dziesięciorga pozbawionych matki dzieci. Bibi Gol boi się, czy nie popełniła błędu. A jeśli Wakil nie będzie dobry dla żony? Mieszkanie jest takie puste bez Szakili...

Ale małe mieszkanie jest tylko odrobinę bardziej puste po odejściu córki. W czterech izbach zamiast dwunastu osób mieszka teraz jedenaście. W jednej sypia Sułtan z Sonją i roczną córeczką. Drugi pokój zajmują brat Sułtana Junus i najstarszy syn, Mansur. W trzecim gnieździ się reszta: Bibi Gol i jej dwie niezamężne córki, Bolbol i Lejla, dwaj najmłodszy synowie Sułtana, Eghbal i Ajmal, oraz ich kuzyn, a wnuk Bibi Gol, Fazel, syn Marjam.

Czwarty pokój jest magazynem książek, kart pocztowych, ryżu i chleba oraz ubrań - letnich zimą i zimowych latem. W wielkich skrzyniach przechowuje się odzież całej rodziny, ponieważ w żadnym z pokoi nie ma szafy. Codziennie traci się potworne ilości czasu na szukanie. Stojąc lub siedząc nad skrzyniami, kobiety oceniają ubrania, buty, obracają w rękach a to zniszczoną torbę, a to połamaną szkatułkę, jakąś wstążkę, nożyczki lub lalkę. Albo uznają te rzeczy za nadające się do użytku, albo oglądają je uważnie i znowu odkładają. Bardzo rzadko coś się wyrzuca, więc wciąż przybywa skrzyń. Każdego dnia w pokoju magazynowym dokonuje się przemeblowania, wszystko trzeba przenosić w inne miejsce, jeżeli ktoś szuka czegoś, co akurat leży na spodzie.

Oprócz tych wielkich skrzyń każdy członek rodziny ma swoją skrzynkę zamykaną na klucz. Kobiety noszą owe kluczyki przymocowane do sukni. Skrzynka jest jedyną prywatną własnością każdej z nich i codziennie można je zobaczyć siedzące na podłodze, pochylone nad otwartym wiekiem. To wyjmą jakąś ozdobę, obejrzą dokładnie, czasem przymierzą i odłożą na miejsce, to posmarują się kremem, o którym całkiem zapomniały, powąchają perfumy, które im ktoś kiedyś dał. Może popatrzą na zdjęcie kuzyna i pogrążą się w marzeniach albo, jak Bibi Gol, wyjmą cukierka, którego tam schowały, czy poszukają starego herbatnika.

Sułtan ma zamykaną na klucz szafę z przeszklonymi drzwiami, przez które widać grzbiety książek. Przechowuje się w niej zbiory takich poetów, jak Hafez czy Rumi, liczące setki lat opisy podróży i postrzępione atlasy. W tajemnych skrytkach Sułtan trzyma tam również pieniądze, w Afganistanie bowiem nie działa godny zaufania system bankowy.

W tej szafie księgarz przechowuje swoje ukochane dzieła, książki z dedykacjami i takie, które zamierza przeczytać, kiedy będzie miał czas. Na razie jednak przeważnie całe dni spędza w księgarni, wychodzi z domu przed ósmą rano i wraca o ósmej wieczorem. Wtedy stać go tylko na to, by pobawić się trochę z Latifą, zjeść obiad i ewentualnie podjąć decyzje w jakichś sprawach, które wynikły pod jego nieobecność. Na ogół nic ważnego się nie dzieje, życie kobiet siedzących w domu toczy się bowiem spokojnie, a rozstrzygnięcie ich nieporozumień i wzajemnych intryg jest poniżej godności Sułtana.

W dolnej części szafy Sonja trzyma swoje rzeczy. Piękne chusty, trochę pieniędzy, zabawki, które dostała Latifa, ale matka, wychowana w trudnych warunkach, uważa, że są za ładne, by dziecko mogło się nimi bawić. Podróbka lalki Barbie, którą mała dostała na pierwsze urodziny, stoi na szczycie szafy bibliotecznej, nadal w pomiętej folii, w której została przyniesiona.

Szafa z książkami jest jedynym meblem w mieszkaniu, rodzina nie ma ani radia, ani telewizora. Tylko cienkie materace pod ścianami i wielkie, twarde poduchy są ozdobą nagich ścian. Materace w nocy służą do spania, a w dzień do siedzenia. Poduszki kładzie się pod głowę na noc, w dzień natomiast podpira się nimi plecy. Posiłki są podawane na rozłożonym na podłodze ceratowym obrusie. Wszyscy siadają dookoła obrusa, krzyżując nogi, i jedzą palcami. Po jedzeniu obrus się myje i składa.

Pokoje mają zimne podłogi z cegły, przykryte wielkimi dywanami. Ściany są popękane, drzwi krzywe, czasem do tego stopnia, że nie można ich zamknąć, stoją więc zawsze otworem. Niektóre izby oddziela od siebie jedynie zawieszona w drzwiach prześcieradło. Dziury w oknach pozatykane są starymi ręcznikami.

W kuchni jest zlewozmywak, prymus, a na podłodze stoi piec do gotowania. Na parapetach leżą warzywa i resztki jedzenia z poprzedniego dnia. Półki z naczyniami mają zasłonki dla ochrony przed kurzem i kopciem z kuchenki. Ale żeby nie wiem jak się starać o utrzymanie czystości, i tak na parapetach, ławach i półkach leży wieczna warstwa tłuszczu, pokryta kabulskim piaskowym pyłem.

Łazienka i toaleta to pomieszczenie wydzielone z kuchni, odgródzone od niej ścianką, z zasłoną zamiast drzwi.

Znajduje się tam kran i otwór w betonowej podłodze.

W jednym kącie stoi piec, w którym pali się drewnem i można na nim grzać wodę do mycia. W łazience stoi też duża beczka, do której nalewa się wodę, jeśli wodociąg działa.

Nad nią wisi mała półeczka z butelkami szamponu, mydłem, które nie wiadomo dlaczego zawsze jest czarne, szczoteczka do zębów i tubką chińskiej pasty do zębów, czyli ziarnistej masy o nieokreślonym chemicznym smaku.

- Kiedyś było to piękne mieszkanie - wspomina Sułtan.

- Mieliśmy wodę, prąd, obrazy na ścianach, wszystko.

Podczas wojny domowej mieszkanie zostało splądrowane i spalone. Gdy rodzina wróciła, zastała kompletną ruinę i trzeba było jakoś naprawić przynajmniej największe uszkodzenia. Najstarsza część Mikrorejonu, gdzie mieszka rodzina Sułtana Chana, znajdowała się na linii frontu między siłami bohatera mudżahedinów Masuda a ludźmi znieawidzonego Gulbuddina Hekmatiar. Masud utrzymywał się w znacznej części Kabulu, natomiast Hekmatiar rozłożył się na wzniesieniu ponad miastem. Ostrzeliwali się nawzajem rakietami, z których wiele spadało na Mikrorejon. Na innym wzgórzu zajął pozycje Uzbek Abdul Raszyd Dostum, a na jeszcze innym fundamentalista Abdurrab Rasul Sajjaf. Ich rakiety spadały na różne dzielnice. Walki przenosiły się z jednej ulicy na drugą, komendanci wojowali ze sobą przez cztery lata, dopóki do Kabulu nie wkroczyli talibowie - wtedy wszyscy musieli uciekać przed wychowankami szkół religijnych.

Sześć lat po zakończeniu walk Mikrorejon nadal wygląda jak krajobraz po bitwie. Budynki pełne są śladów po kulach i granatach. W wielu oknach szyby wciąż zastępuje folia.

Mieszkania mają pozarywane sufity, a najwyższe piętra zioną czarnymi dziurami w miejscach, gdzie kiedyś wybuchały rakiety, wznecając pożar. Kilka najcięższych walk wojny domowej stoczono właśnie w Mikrorejonie i większość mieszkańców uciekła. Na wzgórzu Marandżan, gdzie stacjonowały siły Hekmatiar, nikt jeszcze nie uprzątnął pozostałości po wojnie domowej. Resztki rakiet, zbombardowane pojazdy i czołgi leżą porzucone zaledwie piętnaście minut spacerkiem od domu rodziny Sułtana Chana. To było kiedyś ulubione

miejsce pikników. Tutaj znajduje się mauzoleum zamordowanego w zamachu w 1933 roku Nadera Szaha, ojca Zahera Szaha. Teraz z grobowca zostały tylko ruiny, kopuła ma pełno dziur, kolumny są porozbijane. Znacznie skromniejszy grobowiec jego małżonki, zbudowany tuż obok, został jeszcze bardziej zniszczony. Nad miastem niczym szkielet sterczy rozbity kamień nagrobny. Ktoś próbował złożyć go tak, by można było odczytać wyryty na nim fragment Koranu.

Całe zbocze naszpikowano minami, ale pośród połamanych części rakiet i kawałków metalu można też dostrzec coś, co świadczy, że nadeszły spokojniejsze czasy. Przed rzędem okrągłych kamieni kwitną pomarańczowe nagietki, jedyne rośliny na wzgórzu Marandżan, które przetrwały wojnę domową, suszę i talibów.

Ze wzgórza, jeśli patrzy się z określonej perspektywy, Mikrorejon wygląda jak typowe osiedle w Związku Sowieckim. Bo też tutejsze budynki są darem od Rosjan. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych sowieccy inżynierowie zostali wysłani do Afganistanu, by budować tak zwane bloki chruszczowowskie, jakich w Związku Sowieckim było pełno.

Wszystkie one, w Kabulu, w Kaliningradzie czy w Kijowie, wyglądają jednakowo: czteropiętrowe budynki podzielone na dwu-, trzy- i czteropokojowe mieszkania.

Z bliska widać, że owo wrażenie ruiny i opuszczenia bierze się nie ze zwykłego sowieckiego upadku, lecz jest wynikiem wojny i ostrzałów. Nawet betonowe ławki przed blokami są porozbijane, leżą niczym wraki na podziurawionych, wyboistych drózkach, które kiedyś były pokryte asfaltem.

W Rosji na takich ławkach przesiadują babuszki, stare kobiety z laskami, wąsami i w chustkach na głowie, pilnie śledząc wszystkich i wszystko, co się rusza w pobliżu bloków. W Mikrorejonie przed domami siedzą starzy mężczyźni i rozmawiają, przesuając jednocześnie w palcach paciorki różańców. Siedzą pod ocalałymi z pożogi drzewami, dającymi skąpy cień. Kobiety przebiegają pospiesznie obok, kryjąc pod burkami torby pełne zakupów. Kobieta, która przystanęła, by pogawędzić z sąsiadami, to rzadki widok. Mieszkanca Mikrorejonu, jeśli ma ochotę porozmawiać, idzie z wizytą do znajomej i bardzo uważa, by jej nie zobaczył jakiś mężczyzna spoza własnej rodziny.

Chociaż bloki zostały zbudowane w sowieckim duchu równości, żadnej równości ani poza nimi, ani w obrębie ich murów nie ma. Wprawdzie wznoszeniu bloków przyświecała idea stworzenia bezklasowych mieszkań dla bezklasowego społeczeństwa, ale Mikrorejon od początku traktowany był jako dzielnica klasy średniej. Kiedy powstawał, przeniesienie się z glinianej chaty we wsi pod Kabulem do mieszkania z bieżącą wodą oznaczało wyraźne podniesienie statusu.

Sprowadzali się tu inżynierowie, nauczyciele, drobni sklepikarze i kierowcy ciężarówek. Ale pojęcie "klasa średnia" znaczy niewiele w kraju, w którym większość ludzi utraciła wszystko i w którym standard życia się obniżył. Ta budząca dawniej zazdrość bieżąca woda w ciągu ostatnich dziesięciu lat to los na loterii. Na parterze zimna woda jest w rurach codziennie rano przez kilka godzin. Potem przestaje lecieć. Do pierwszego piętra woda dochodzi czasami, natomiast na pozostałe piętra nigdy, bo ciśnienie jest za słabe. Przed domami wykopano więc studnie i każdego ranka po schodach w dół i w górę ciągną szeregi dzieci z wiadrami, garnkami i butelkami.

Dumą tych bloków była też elektryczność, teraz są przeważnie pogrążone w ciemnościach. Z powodu suszy energia elektryczna jest rygorystycznie racjonowana. Co drugą dobę dom ma prąd przez cztery godziny, od szóstej do dziesiątej wieczorem. Kiedy jedna dzielnica ma prąd, druga tonie w mroku. Często bywa, że ciemno jest wszędzie. Nie pozostaje nic innego, jak tylko wyjąć oliwne lampki i siedzieć w półmroku, nie bacząc na to, że swąd wyciska z oczu łzy.

W jednym z najstarszych bloków nad wyschniętą rzeką Kabul mieszka rodzina Sułtana Chana. Tutaj przesiaduje Bibi Gol i pogrążona w ponurym nastroju rozmyśla o życiu, od najwcześniejszego dzieciństwa, które spędziła na wsi otoczonej spękaną, pokrytą kamieniami pustynią, do dziś. Po śmierci męża Bibi Gol nigdy nie czuła się szczęśliwa. Zdaniem potomstwa mąż Bibi Gol, a ich ojciec, był człowiekiem ciężko pracującym, głęboko religijnym, surowym, ale sprawiedliwym.

Po śmierci ojca tron przejął Sułtan. Jego słowo jest teraz prawem. Ten, kto go nie posłucha, zostanie ukarany, najpierw ustnie, a potem fizycznie. Panuje on nie tylko nad tymi, którzy nadal mieszkają w domu, ale próbuje też decydować o życiu rodzeństwa, które odeszło już na swoje.

Młodszy o dwa lata brat całuje go w rękę przy spotkaniu i biada mu, gdyby próbował sprzeciwić się Sułtanowi albo, co gorsza, pierwszy zapalić papierosa. Starszemu należy się szacunek pod każdym względem.

Jeżeli nie pomagają napomnienia lub razy, sięga się po inną karę - odrzucenie. Z jednym z młodszych braci, Faridem, Sułtan nie rozmawia, nawet o nim nie wspomina. Od chwili kiedy Farid odmówił pracy w księgarni Sułtana i na własną rękę zajął się introligatorstwem oraz handlem książkami, Sułtan nie odezwał się do niego ani słowem. Pozostałym członkom rodziny też tego zabroniono. Nie wolno wspominać imienia Farida, on nie jest już bratem Sułtana.

Farid także mieszka w jednym ze zbombardowanych domów w Mikrorejonie, parę minut drogi od domu matki i brata. Kiedy Sułtan jest w księgarni, Bibi Gol chętnie odwiedza rodzinę Farida, ale starszy syn o tym nie wie. Podobnie zachowuje się reszta rodzeństwa. Mimo zakazu Sułtana Szakila przed swoim ślubem przyjęła zaproszenie brata i spędziła u niego cały wieczór, choć Sułtanowi powiedziała, że była w odwiedzinach u ciotki. Kiedy bowiem dziewczyna wychodzi za mąż, wszyscy krewni powinni ją zaprosić na pożegnalny obiad. Na rodzinne uroczystości zapraszany jest Sułtan, nie jego brat. Nikt, żaden wuj ani ciotka, nie chce narazić się na wrogość Sułtana; to nie tylko nieprzyjemne, to się po prostu nie oplaca. Ale Farida lubią bardziej.

Nikt już teraz nie pamięta, o co właściwie im poszło.

Wiedzą tylko, że Farid opuścił starszego brata w gniewie, a Sułtan krzyczał za nim, że wszelkie więzy między nimi zostały zerwane. Bibi Gol prosiła obu, żeby się pogodzili, ale bracia wzruszali tylko ramionami. Sułtan dlatego, że to młodszy zawsze powinien prosić o wybaczenie, a Farid dlatego, że jego zdaniem wina była po stronie Sułtana.

Bibi Gol urodziła trzynaścioro dzieci. Kiedy miała czternaście lat, na świat przyszła jej córka Firoza i nareszcie życie młodej żony zyskało sens. Pierwsze lata po ślubie przepłakała, wciąż sama była dzieckiem. Teraz nastąpiła zmiana na lepsze.

Jako najstarsza córka w rodzinie Firoza nigdy nie miała szans na chodzenie do szkoły. Byli biedni, więc dziewczynka nosiła wodę, zamiatała i pilnowała młodszego rodzeństwa.

W wieku piętnastu lat została wydana za czterdziestoletniego mężczyznę. Znaleźli bogatego zięcia, Bibi Gol myślała, że bogactwo przyniesie szczęście. Firoza była śliczną dziewczyną, dostali za nią całe dwadzieścia tysięcy afgani. Mąż jednak pił i uprawiał hazard, zniszczył sobie zdrowie i stracił pieniądze. Lata mijały, a Firoza nie rodziła dziecka, to wielki wstyd. Jakby życie straciło wszelki sens. W końcu wzięła na wychowanie chłopca i dziewczynkę. Teraz ów adoptowany syn dba o nią, utrzymuje też swoją adopcyjną siostrę, własną żonę i córkę oraz przybranego ojca alkoholika. Niewielka rodzina Firozy również mieszka w Mikrorejonie, o rzut kamieniem od domu Bibi Gol.

Dwoje kolejnych dzieci zmarło niedługo po urodzeniu.

W Afganistanie czwarta część dzieci umiera przed ukończeniem pięciu lat. Kraj ma najwyższą na świecie śmiertelność dzieci. Umierają w wyniku odry, świnki, przeziębień, ale przede wszystkim z powodu biegunki. Wielu rodziców uważa, że choremu na biegunkę nie wolno dawać nic do jedzenia ani picia, bo i tak wszystko przez niego przeleci. Myślą, że chorobę można "wysuszyć", i to nieporozumienie kosztuje życie tysiące maleństw, które

umierają z odwodnienia. Bibi Gol już nie pamięta, na co umarły jej dzieci.”Po prostu umarły i już” - wzdycha.

Potem urodził się Sułtan, ukochany Sułtan, szanowany Sułtan. Gdy Bibi Gol nareszcie powiła syna, który przeżył, jej pozycja w rodzinie męża bardzo się poprawiła. Wartość panny młodej to jej błona dziewicza, wartość żony to liczba synów, których urodziła.

Jako najstarszy syn Sułtan dostawał zawsze wszystko, co najlepsze, chociaż rodzinie nadal powodziło się marnie. Pieniądze, które dostali za Firozę, posłużyły na opłacenie nauki Sułtana. Od wczesnego dzieciństwa jemu przypadła przywódcza rola w rodzinie i to jemu ojciec powierzał odpowiedzialne zadania. Już jako siedmiolatek po lekcjach pracował.

Kilka lat po Sułtanie na świat przyszedł Farid. Rozrabiaka, który nieustannie wdawał się w bójkę i wracał do domu w podartym ubraniu, z krwawiącym nosem. Palił i pił, oczywiście tak, by rodzice nie widzieli, ale kiedy się akurat nie złościł, to nie było miłego dziecka. Bibi Gol znalazła dla niego żonę i teraz Farid ma już własną rodzinę, dwie córki i syna. Niestety, został wyklęty, nie wolno mu przekraczać progu mieszkania w bloku na osiedlu Mikrorejón. Bibi Gol wzdycha. Serce jej się kraje na myśl o wrogości między dwoma starszymi synami.”Że też oni nie mogą pójść po rozum do głowy!”

Następna po Faridzie jest Szakila. Wesoła, dzielna, silna Szakila. Bibi Gol roni łzę. Znowu oczyma wyobraźni widzi, jak córka taszczy dwa ciężkie wiadra ze studni.

Kolejnym dzieckiem był Naser Ahmad. Kiedy Bibi Gol o nim myśli, łzy płyną jeszcze obficie. Naser Ahmad był wesoły, życzliwy i zdolny do nauki. Chodził w Kabulu do gimnazjum i chciał zostać inżynierem, jak Sułtan. Pewnego dnia jednak nie wrócił do domu. Koledzy powiedzieli matce, że policja wojskowa zabrała najsilniejszych chłopców z klasy i siłą wcieliła ich do armii. Działo się to podczas okupacji sowieckiej, kiedy rządowe oddziały afgańskie stanowiły wsparcie dla Armii Czerwonej. Wysyłano je na pierwszą linię walki przeciwko mudżahedinom. Mudżahedini byli lepiej wyszkoleni, znali teren i okopywali się w górach. Czekali, aż Rosjanie i wspomagający ich Afgańczycy zdecydują się wkroczyć na górskie przełęcze. Na jednej z takich przełęczy zaginął Naser Ahmad. Bibi Gol wierzy, że syn nadal żyje. Może dostał się do niewoli? A może stracił pamięć? Może po prostu mieszka gdzieś daleko i ma się dobrze? Matka codziennie modli się do Allaha, by pozwolił mu wrócić do domu.

Od Nasera Ahmada młodsza jest Bolbol, która zachorowała ze zmartwienia z powodu ojca i teraz przeważnie siedzi w domu, patrząc przed siebie.

Więcej życia miała w sobie Marjam, urodzona kilka lat później. Była zdolna, energiczna i bardzo dobrze uczyła się w szkole. Wyrosła na piękną pannę i szybko zdobyła

wielu konkurentów. Jako osiemnastolatka została wydana za chłopca z tej samej wsi. Mąż posiadał sklepik i Bibi Gol uważała, że jest świetną partią. Marjam przeprowadziła się do domu męża, w którym mieszkali też jego rodzice. Spadła na nią właściwie cała praca, bo teściowa miała niesprawne ręce, poparzyła je podczas pieczenia chleba. Straciła większość palców, a te, które zostały, zrosły się w trakcie gojenia. Z obu kciuków zostały połówki, więc mogła sama jeść i wykonywać proste czynności, pilnować dzieci i przenosić przedmioty, jeśli trzymała je w objęciach.

Marjam była szczęśliwa w swoim nowym domu, dopóki nie wybuchła wojna domowa. Jakiś czas potem jeden z kuzynów Marjam miał się żenić w Dżalalabadzie i rodzina postanowiła tam pojechać, choć drogi były niebezpieczne. Tylko mąż Marjam, Karimullah, został w Kabulu, by zajmować się sklepem. Kiedy pewnego ranka szedł do pracy, dostał się pod ostrzał. Kula trafiła go prosto w serce i zginął na miejscu. Marjam płakała trzy lata. W końcu Bibi Gol oraz matka Karimullaha postanowiły, że należy ją wydać za brata zmarłego męża, Hazima. Tak więc Marjam otrzymała nową rodzinę, miała się zajmować mężem i dwojgiem swoich dzieci. Teraz jest w ciąży z piątym potomkiem. Najstarszy syn z małżeństwa z Karimullahem, Fazel, ma dziesięć lat i już pracuje. Nosi skrzynki i sprzedaje książki w jednej z księgarni Sułtana.

I mieszka u niego, by odciążać Marjam.

Wreszcie urodził się Junus, ukochany syn Bibi Gol. To on opiekuje się nią najserdeczniej, kupuje jej różne drobiazgi, pyta, czy czegoś nie potrzebuje, i wieczorami, po kolacji, kiedy rodzina leży na materacach i drzemie, chętnie opiera głowę na jej kolanach. Junus jest jedynym z dzieci, którego datę urodzin matka dokładnie zna, przyszedł bowiem na świat tego dnia, kiedy w wyniku zamachu stanu Zaher Szah stracił władzę, czyli 17 lipca 1973 roku.

Pozostałe dzieci nie znają dnia ani nawet roku swoich urodzin. W dokumentach Sułtana data urodzenia zmienia się od roku 1947 do 1955. Kiedy Sułtan sumuje lata dzieciństwa, nauki szkolnej, studiów, jedną wojnę, drugą wojnę, trzecią wojnę, to mu wychodzi, że ma pięćdziesiąt lat i trochę.

Wszyscy inni obliczają swój wiek w ten sam sposób. A ponieważ nikt nie zna go naprawdę, można mieć tyle lat, ile się chce. Dzięki temu Szakila mówi, że ma trzydzieści, choć tak naprawdę ma pewnie pięć, sześć lat więcej.

Po Junusie urodził się Basir. Teraz jest w Kanadzie, gdzie matka znalazła mu żonę, mieszkającą tam kuzynkę. Bibi Gol nie widziała go ani z nim nie rozmawiała od dwóch lat, od chwili gdy wyjechał z domu, żeby się ożenić. Bibi Gol roni jeszcze jedną łzę. Najgorsze,

co może spotkać matkę, to życie z dala od swoich dzieci. Dzieci są wszystkim, co Bibi Gol ma w życiu, jeśli nie liczyć glazurowanych migdałów na dnie skrzyni.

Potem urodził się Tadźmir. To z jego powodu Bibi Gol zaczęła się tak objadać. Kilka dni po urodzeniu syna musiała go oddać na wychowanie bezdzietnym krewnym. Mleko ciekło jej z piersi i Bibi Gol płakała. Ona wie, że chłopcu jest dobrze, ale nadal oplakuje stratę. Kiedy go spotyka, musi udawać, że go nie zna, że nie jest jej synem, bo obiecała to jego nowej matce.

Najmłodszą córką jest Lejla. Zdolna, bystra Lejla, która wykonuje większość prac domowych. Jako ostatnie dziecko, osoba dziewiętnastoletnia, stoi najniżej w rodzinnej hierarchii. Najmłodsza, niezamężna, dziewczyna.

Kiedy Bibi Gol była w jej wieku, już zdążyła urodzić czworo dzieci, dwoje, które umarły, i dwoje żyjących. Ale nie myśli o tym, teraz martwi się, że herbata wystygła. Chowa migdały pod materac i pragnie, by ktoś jej podał wełniany szal.

- Lejla! - krzyczy.

I Lejla odrywa się od garnków.

pokusy

Dziewczyna wchodzi wraz ze słonecznym światłem. Falująca radość wkracza do mrocznego pomieszczenia. Mansur budzi się z drzemki, stara się wyostrzyć wzrok, wpatrzony w przemykającą wzdłuż regałów istotę.

- Może mógłbym w czymś pomóc?

Od razu wie, że stoi przed piękną, młodą kobietą. Poznaje to po jej postawie, po stopach, po dłoniach, po tym, jak trzyma torebkę. Ma długie, białe palce.

- Czy macie Chemię dla zaawansowanych?

Mansur kieruje na nią swoje najbardziej profesjonalne spojrzenie księgarza. Wie, że takiej książki nie posiada, ale zaprasza klientkę w głąb lokalu, żeby razem mogli poszukać.

Stoi tuż przy niej, bliźniutko, przegląda książki, a zapach perfum dziewczyny drażni jego nos. Wspina się na palce i pochyla, udaje, że pilnie szuka. Zarazem zwraca się ku niej i próbuje dojrzeć jej oczy. Nigdy nie słyszał o książce, o którą jej chodzi.

- Niestety, chyba jest wyprzedana, ale mam parę egzemplarzy w domu. Gdybyś zechciała przyjść znowu jutro, przyniosę ci jeden, dobrze?

Przez cały następny dzień Mansur czeka na cud, wprowadzie bez podręcznika do chemii, ale za to z gotowym planem. Czekaając, fantazjuje, wymyśla wciąż nowe sytuacje, w jakich mogliby się znaleźć. I tak przez cały dzień, aż zaczyna się zmierzchać i trzeba zamykać sklep. Rozczarowany, że dziewczyna nie przyszła, zaciąga metalowe kraty, które w nocy chronią okna z popękkanymi szybami.

Mija jeszcze jeden dzień. Mansur w okropnym humorze siedzi skrzywiony za ladą. W pomieszczeniu panuje półmrok, bo nie ma prądu. W strumyczkach słonecznego światła wpadającego przez okna i drzwi wiruje kurz i sprawia, że to wewnątrz wydaje się jeszcze bardziej ponure. Kiedy przychodzi klient i pyta o książki, Mansur odpowiada niechętnie, że ich nie ma, nawet jeśli poszukiwany tytuł stoi na półce za jego plecami. Przeklina to, że jest przykuty do księgarni ojca, że nawet w piątek nie ma wolnego, że ojciec nie pozwala mu studiować, nie pozwala kupić roweru ani widywać się z przyjaciółmi. Nienawidzi tych zakurzonych dzieł na półkach.

Właściwie to nienawidzi książek, zawsze tak było. Odkąd go zabrali ze szkoły, nie przeczytał od początku do końca ani jednej książki.

Z ponurego zamyślenia wyrывa go odgłos lekkich kroków na schodach i szelest ciężkiej tkaniny. Ona, tamta dziewczyna, jak poprzednio stoi w blasku słońca, a wokół jej

postaci wiruje pył. Mansur musi bardzo nad sobą panować, żeby się z radości nie zerwać z miejsca, i przybiera minę księgarza profesjonalisty.

- Czekałem na ciebie wczoraj - mówi z zawodową życzliwością. - Mam książkę w domu, ale nie wiedziałem, które wydanie, w jakiej oprawie i za jaką cenę chciałabyś kupić.

Jest już tyle wydań tego podręcznika, nie mogłem przynieść wszystkich egzemplarzy. Więc może pojechałabyś i wybrała ten, który ci najbardziej odpowiada?

Burka spogląda na niego zdumiona. Niepewnie przesuwa palce po torebce.

- Pojechać do ciebie do domu?

Przez chwilę oboje stoją bez ruchu. Milczenie przekonuje najlepiej, myśli Mansur, ale drży ze zdenerwowania. Wystąpił z nader śmiałym zaproszeniem.

- Potrzebujesz tej książki, prawda? - mówi w końcu.

Cud nad cudy, dziewczyna się godzi. W samochodzie siada z tyłu, ale tak, by mogła widzieć jego twarz w lusterku.

Rozmawiają i Mansur stara się nie spuszczać oczu z tego, co - jak sądzi - jest jej wzrokiem.

- Piękny samochód - mówi dziewczyna. - Jest twój?

- Mój, ale to nic szczególnego - odpowiada Mansur z nonszalancją, bo wtedy samochód wydaje się jeszcze ładniejszy, a on jeszcze bogatszy.

Jedzie jakby nigdy nic ulicami Kabulu z burką na tylnym siedzeniu. Nie ma w domu obiecanej książki, a co gorsza, czeka tam babka i wszystkie ciotki. Jest zdenerwowany i podniecony tym, że siedzi tak blisko nieznajomej. W przyływie odwagi prosi ją, by pokazała mu twarz. Ona przez kilka sekund siedzi całkiem sztywno, potem unosi zasłaniającą twarz część burki i wytrzymuje jego wzrok w lusterku. Tak, wiedział o tym od początku, dziewczyna jest bardzo piękna.

Ma cudowne, wielkie, ciemne oczy, pomalowane powieki, jest o kilka lat od niego starsza. Dzięki niezwyklej przebiegłości, osobistemu czarowi i zdolności przekonywania Mansur nakłania dziewczynę, by zapomniała o książce do chemii, i zaprasza ją do restauracji. Zatrzymuje samochód, dziewczyna wbiega po schodkach do restauracji Marco Polo, gdzie Mansur zamawia niemal wszystko, co mają w karcie, grillowanego kurczaka, kebab, mantu, czyli coś w rodzaju pierogów nadziewanych mięsem, pilaw i na deser pudding pistacjowy.

Podczas posiłku stara się skłonić swoją towarzyszkę do uśmiechu, spowodować, by czuła się wybrana, żeby jadła więcej. Ona siedzi zasłonięta, odwrócona plecami do sali, a ich stolik znajduje się w mrocznym kącie. Nie używa noża i widelca, jak większość Afgańczyków je palcami. Opowiada mu o swoim życiu, o rodzinie i studiach, ale Mansur

słucha nieuważnie, jest zbyt podniecony. To jego pierwsza schadzka. Jego pierwsza, absolutnie bezprawna schadzka. Kiedy wychodzą, daje kelnerom sowite napiwki. Studentka robi wielkie oczy. Po jej ubraniu poznaje, że nie jest bogata, ale też nie biedna. Mansur musi się spieszyć do księgarni, burka wskakuje więc do taksówki. Za czasów talibów coś takiego mogłoby się skończyć chłostą i więzieniem, zarówno dla niej, jak i dla taksówkarza. Teraz wiele się zmieniło, na szczęście dla Mansura. Obiecuje, że jutro przyniesie książkę.

Przez cały następny dzień obmyśla, co powie, kiedy dziewczyna przyjdzie do księgarni. Musi zmienić taktykę, z księgarza stać się uwodzicielem. Jediną wiedzę na temat miłostnego języka Mansur czerpie z hinduskich i pakistańskich filmów, w których jedna dramatyczna fraza goni drugą.

Film zwykle zaczyna się od spotkania, potem jest gniew, zdrada i rozczarowanie, ale wszystko kończy się wspaniałymi słowami o wiecznej miłości. Naprawdę dobra szkoła dla młodych uwodzicieli. Za ladą, nad stosami książek i papierów, Mansur marzy i zastanawia się, jak powinna się potoczyć rozmowa ze studentką:

„Od chwili kiedy mnie wczoraj opuściłaś, nie było sekundy, bym o tobie nie myślał. Wiem, że z tobą to coś wyjątkowego, że jesteś mi pisana. Jesteś moim przeznaczeniem”.

Z pewnością to się jej spodoba, tylko że przez cały czas powinien patrzeć jej w oczy, może nawet chwycić ją za nadgarstek.”Muszę zostać z tobą sam na sam. Chcę oglądać cię całą, chcę zatonać w twoich oczach” - tak powinien mówić.

A może lepsza byłaby nieco większa powściągliwość?”Nie proszę o wiele, chciałbym tylko, żebyś zaszła do mnie czasem, gdy nie masz nic innego do roboty. Powiedzmy raz na tydzień...”

Może należałoby złożyć obietnicę:”Kiedy skończę osiemnaście lat, weźmiemy ślub”.

Powinien jednak występować jako Mansur z drogim samochodem, Mansur z pięknym sklepem, Mansur dający napiwki, Mansur w zachodnich ubraniach. Musi ją kusić życiem, jakie mogłaby prowadzić u jego boku:”Będiesz mieć duży dom i mnóstwo służby, a na wakacje będziemy jeździć za granicę”. I musi sprawić, by czuła się wybrana, pokazać jej, jak wiele dla niego znaczy:”Kocham tylko ciebie.

Cierpię w każdej sekundzie, kiedy cię przy mnie nie ma”.

Jeżeli ona nie zgodzi się na to, o co ją poprosi, powinien zacząć przemawiać bardziej dramatycznie:”Skoro chcesz mnie porzucić, to lepiej mnie zabij! Bo jak nie, to podpalę cały świat!”

Ale studentka nie przychodzi następnego dnia po wizycie w restauracji. Drugiego dnia też nie, ani trzeciego. Mansur nadal ćwiczy, co jej powie, choć jest coraz bardziej

zniechęcony. Czy jej się nie spodobał? A może rodzice odkryli, co zrobiła? Czy zamknęli ją w areszcie domowym? Czy ktoś ich widział razem i doniósł? Jakiś sąsiad albo krewny? Może on, Mansur, powiedział coś głupiego?

Starszy mężczyzna z laską, w turbanie na głowie, wchodzi do księgarni i przerywa rozmyślania chłopca. Mamrocze pozdrowienie i pyta o jakąś religijną książkę. Zirytowany Mansur znajduje egzemplarz na półce i obojętnie kładzie go na ladę. To nie jest Mansur uwodziciel. To Mansur księgarz, pogrążony w rozkosznych marzeniach.

Codziennie czeka z nadzieją, że studentka jednak przyjdzie. I codziennie wieczorem zamyka kratę na drzwiach rozgoryczony, że nie przyszła. Coraz trudniej mu znieść te wszystkie godziny w sklepie.

Przy ulicy, gdzie znajduje się księgarnia Sułtana, jest jeszcze wiele sklepików, które sprzedają artykuły piśmienne, oprawiają książki lub kopiują dla ludzi dokumenty. W jednym z nich pracuje Rahimullah, który często zachodzi do Masnura, żeby się napić herbaty i pogadać. Tego dnia to Mansur idzie do niego, by się poskarżyć na swój los. Ale Rahimullah po prostu się z niego śmieje.

- Nie powinieneś zaczynać ze studentkami. One są za bardzo cnotliwe. Spróbuj lepiej z taką, która potrzebuje pieniędzy. Najłatwiej jest z żebraczkami i powiem ci, że większość z nich wcale nie jest taka najgorsza. Albo idź tam, gdzie ONZ rozdaje mąkę i oliwę. Do takich punktów przychodzi mnóstwo młodych wdów.

Mansur słucha z otwartymi ustami. Zna miejsce, gdzie rozdzielane są produkty żywnościowe najbardziej potrzebującym, przede wszystkim właśnie wdowom wojennym z małymi dziećmi. Przydział dostają raz w miesiącu, ale wiele kobiet czeka potem na placu, by sprzedać część swojej racji i zdobyć trochę pieniędzy na inne wydatki.

- Idź tam i poszukaj sobie jakiejś wyglądającej młodo.

Kup butelkę oliwy i powiedz jej, żeby później przyszła tutaj.

Ja zawsze im mówię: „Jeśli przyjdiesz do mnie do sklepu, to pomogę ci też na przyszłość” - poucza Rahimullah. - A kiedy tu przyjdzie, zabieram ją na zaplecze. Przyszła w burce, wychodzi w burce, nie wzbudzi w nikim żadnych wątpliwości.

Ja dostaję to, czego mi trzeba, a ona pieniądze dla dzieci.

Mansur z niedowierzaniem patrzy na Rahimullaha, który otwiera drzwi na zaplecze, by pokazać mu, jak załatwia takie sprawy. Pomieszczenie ma ledwie parę metrów kwadratowych. Na podłodze leży tektura z podartych kartonów, brudna i zdeptana. Wielkie, ciemne plamy wżarły się w papier.

- Zdejmuję z niej zasłonę, suknię, sandały, spodnie, bieliznę. Kiedy już tu weszła, jest za późno, by żałować. I krzyk też nie pomoże, bo nawet gdyby ktoś przybiegł z odsieczą, to wina i tak spadnie na nią. A skandal zniszczy jej życie.

Z wdowami wszystko idzie jak po maśle. Ale kiedy trafiają się młode dziewczyny, dziewice, ja robię to między ich udami. Proszę tylko, żeby mocno zacisnęły nogi. Poza tym robię to od tyłu, no wiesz, od tyłu - tłumaczy kupiec.

Mansur gapi się na niego zaszokowany. To naprawdę takie proste?

Ale kiedy tego samego popołudnia zatrzymuje samochód przed niebieskim tłumem kobiet w burkach, nic już proste nie jest. Kupuje butelkę oliwy. Tylko że dłoń, która mu ją podaje, jest szorstka i zniszczona. Rozgląda się wokół i widzi wyłącznie ubóstwo, rzuca butelkę na tylne siedzenie i pospiesznie odjeżdża.

Przestał już powtarzać frazy zaczerpnięte z filmów. Pewnego dnia jednak stwierdza, że może mimo wszystko mógłby mieć z nich pożytek. Do księgarni przychodzi bowiem młoda dziewczyna i pyta o słownik angielski. Mansur robi swoje najsympatyczniejsze miny. Dowiaduje się, że dziewczyna zapisała się właśnie na kurs dla początkujących. Elegancki syn księgarza oferuje jej pomoc w nauce.

- Tak niewielu ludzi przychodzi tutaj, więc mógłbym cię czasami przepytąć, powtórzyć z tobą lekcję.

Pomoc zaczyna się na kanapie w sklepie i jest kontynuowana za regałem, pojawia się nawet obietnica małżeństwa i zapewnienie o dozgonnej wierności. Raz Mansur odsłania twarz dziewczyny i całuje ją. Ta wyrywa mu się przerażona i już więcej nie wraca.

Pewnego dnia sprowadza dziewczynę z ulicy, analfabetkę, która nigdy nie przeczytała żadnej książki. Stała na przystanku przed księgarnią i czekała na autobus, Mansur podszedł i powiedział, że chciałby jej coś pokazać. Dziewczyna jest ładna. Ładna i delikatna. Od czasu do czasu przychodzi do sklepu, jej również Mansur obiecuje wspaniałą przyszłość u swego boku. Czasami może dotykać jej ciała pod burką. Ale to rozpala go jeszcze bardziej.

Czuje się brudny.

- Jestem brudny w głębi serca - zwierza się młodszemu bratu, Eghbalowi. Wie, że nie powinien myśleć o tych dziewczynach.

- Zastanawiam się, dlaczego one są takie nudne - mówi z kolei Rahimullah, gdy któregoś dnia Mansur wstępuje do niego na szklaną herbatę.

- Jak to nudne? - nie rozumie Mansur.

- Tutejsze kobiety nie są takie jak te z filmów. Są sztywne, leżą bez ruchu - precyzuje swoje zarzuty doświadczony kolega. Dorwał się do kilku filmów porno i opowiada

Mansurowi ze szczegółami, co tam widział, co kobiety robią, jak wyglądają. - Może afgańskie kobiety są inne? - zastanawia się. - Próbuję im wyjaśniać, jak powinny się zachowywać, ale one chyba do tego nie dorosły - wzdycha. Mansur wzdycha razem z nim.

Do sklepu wchodzi mała dziewczynka, dwunasto, może czternastoletnia. Wyciąga prośbą gestem brudną rękę i patrzy bez słowa. Na głowę i ramiona ma narzucony brudny szal, biały w czerwone kwiaty. Jest za mała, by nosić burkę, dopiero w okresie dojrzewania dziewczynki wkładają ten strój. Żebracy często przychodzą do sklepów. Zwykle Mansur wyrzuca ich za drzwi. Ale Rahimullah stoi, patrzy na dziecięcą buzię w kształcie serca i wyjmując z kieszeni plik banknotów. Żebraczka wytrzeszczonymi oczyma patrzy na pieniądze, pożądliwie wyciąga po nie rękę. Rahimullah w ostatniej chwili cofa plik. Zatacza szeroki krąg ręką trzymającą banknoty i cały czas patrzy małej w oczy.

- W życiu nie ma nic za darmo.

Dłoń dziewczynki sztywnieje. Rahimullah podaje jej dwa banknoty.

- Idź do łaźni, umyj się i potem tu wróć, to dostaniesz resztę.

Mała wpycha pospiesznie pieniądze do kieszeni sukienki i zasłania twarz brudnym szalem w czerwone kwiaty. Patrzy teraz na chłopców jednym okiem. Na policzkach ma blizny po przebytej ospie, czoło popstrzone przez muchy. Odwraca się i wychodzi, drobne ciało znika na kabulskiej ulicy.

Po kilku godzinach wraca, świeżo wymyta. Mansur jest znowu u kolegi z wizytą.

- Może być - mruczy Rahimullah pod nosem, choć dziewczynka ma na sobie wciąż to samo brudne ubranie. - Chodź ze mną na zaplecze, to dostaniesz resztę pieniędzy - uśmiecha się do małej. - A ty tymczasem pilnuj sklepu - zwraca się do Mansura.

Dziecko i Rahimullah spędzają na zapleczu mnóstwo czasu. Kiedy kupiec kończy, ubiera się, ale dziewczynce każe nadal leżeć na pokrytej tekturą podłodze.

- Jest twoja - oznajmia Mansurowi.

Ten stoi i patrzy na niego bez słowa. Tylko raz spogląda pospiesznie w stronę drzwi na zaplecze, potem ucieka ze sklepu.

wezwanie od Alego

Przez wiele dni męczą go mdłości. To niewybaczalne, myśli. Niewybaczalne. Próbuje zmyć z siebie brud, ale to nie pomaga. Próbuje się modlić, też bez skutku. Kartkuje Koran w poszukiwaniu jakiejś wskazówki, chodzi do meczetu, ale wciąż czuje się tak samo brudny. Nieczyste myśli, jakie go ostatnimi czasy nawiedzały, sprawiły, że stał się złym muzułmaninem. Bóg mnie ukarze. Wszystko, co człowiek czyni, w końcu do niego wraca, myśli. To było dziecko. Zgrzeszyłem przeciwko dziecku. Pozwoliłem Rahimullahowi, by tak z nią postąpił. Nie zrobiłem nic, by mu przeszkodzić.

W miarę jak wspomnienie zebraczki zamazuje się w pamięci, mdłości zmieniają się w zmęczenie życiem. Ma dość rutyny, ciągłych wymagań, jest zły i niechętny dla wszystkich.

Najbardziej zły jest na ojca, który przykuł go do tego sklepu, gdy tymczasem życie toczy się gdzie indziej.

Mam siedemnaście lat, myśli. I moje życie skończyło się, zanim w ogóle zdążyło się zacząć.

Siedzi zgorzkniała za pokrytą kurzem ladą, z łokciami na blacie i czołem wspartym na rękach. Unosi głowę i rozgląda się wokół. Patrzy na książki o islamie, o Proroku Mahomecie, na słynne komentarze do Koranu. Patrzy na książki zawierające afgańskie baśnie, biografie afgańskich królów i władców, wspaniałe książki o afgańskich kamieniach szlachetnych, na podręczniki do nauki afgańskiego haftu i cieniutkie kopie opisów afgańskich obyczajów i tradycji. Patrzy na to wszystko i wali pięścią w blat.

Dlaczego urodziłem się Afgańczykiem? Nienawidzę tego, że jestem Afgańczykiem. Wszystkie te skostniałe obyczaje i tradycje powoli mnie zabijają. Szanuj to, szanuj tamto, nie mam odrobiny wolności, o niczym nie mogę decydować sam. Sultana interesuje tylko liczenie pieniędzy ze sprzedaży książek, myśli.

- Może sobie w dupę wsadzić te swoje książki - mówi półgłosem i ma nadzieję, że nikt go nie słyszy.

Allah i prorocy chcieli, by to ojciec stał najwyżej w afgańskim społeczeństwie. Nawet taki buntownik jak Mansur nie może się sprzeciwić ojcu. Zaczepia więc wszystkich, kłóci się z ciotkami, siostrami, matką, braćmi, ale nigdy z ojcem. Jestem niewolnikiem, użala się nad sobą. Zaharowuję się na śmierć za utrzymanie i czyste ubranie. Najbardziej ze wszystkiego Mansur chciałby studiować. Tęskni za przyjaciółmi i życiem, jakie prowadził, kiedy mieszkał w Pakistanie. Tutaj nie ma czasu na przyjaciół, a jedyne go przyjaciela, jakiego miał, czyli Rahimullaha, nie chce więcej oglądać.

Zbliża się afgański Nowy Rok - nauruz. W całym kraju trwają przygotowania do wielkich uroczystości. Przez ostatnie pięć lat talibowie zakazywali jakichkolwiek obchodów.

Uważali Nowy Rok za święto pogańskie, święto czcicieli słońca, ponieważ ma swoje korzenie w zoroastryzmie, religii panującej w Persji w okresie od trzeciego do siódmego stulecia naszej ery. Dlatego zakazali również tradycyjnych pielgrzymek noworocznych do grobu Alego w Mazare Szarif.

Przez stulecia tłumy pielgrzymów odwiedzały grób Alego, by oczyścić się z grzechów, prosić o łaskę, doznać uzdrowienia, a także by powitać Nowy Rok, który według afgańskiego kalendarza wypada 21 marca, w czasie wiosennego zrównania dnia z nocą.

Ali był kuzynem Proroka Mahometa oraz jego zięciem i czwartym kalifem. To o niego toczy się walka między szyitami i sunnitami. Dla szyitów Ali jest drugi w szeregu dziedziców Mahometa, dla sunnitów zaś czwarty. Lecz także dla sunnitów - jak Mansur i większość Afgańczyków - Ali jest jednym z wielkich bohaterów islamu. Dzielny wojownik z mieczem w dłoni, mówi o nim historia. Został zamordowany w Mekce w 658 roku i według większości historyków pochowany w Kufie, w Iraku. Afgańczycy twierdzą jednak, że został odkopany przez swoich wyznawców, którzy obawiali się, że wrogowie zechcą się mścić i zbezczeszczać zwłoki kalifa. Przytroczyli je zatem do grzbietu białej wielbłądzicy i zmusili ją, by biegła, dopóki starczy jej sił. Postanowili, że w miejscu, gdzie wielbłądzica padnie, pochowane zostaną szczątki Alego. Zgodnie z legendą tym miejscem było Mazare Szarif, a nazwa ta oznacza "grób szlachetnego". Przez pięć wieków na grobie nie było nic prócz niewielkiego kamienia, ale w dwunastym wieku, po tym, jak pewnego lokalnego mułłę nawiedził we śnie Ali, zbudowano kalifowi grobowiec. Później na tereny te najechał Czyngischan i zniszczył między innymi grobowiec. Znowu przez setki lat grób nie miał żadnych szczególnych oznakowań. Dopiero pod koniec wieku szesnastego, w miejscu gdzie zdaniem Afgańczyków spoczywają szczątki Alego, ponownie zbudowano mauzoleum. Ten właśnie grobowiec i wzniesiony później meczet są celem pielgrzymów.

Mansur postanowił odbyć pielgrzymkę do grobu kalifa i oczyścić się z grzechów. Długo o tym myślał, teraz chodzi tylko o pozwolenie Sułtana, wyjazd oznacza bowiem, że Mansura przez wiele dni nie będzie w sklepie. Jeśli Sułtan czegoś nie znosi, to właśnie nieobecności Mansura.

Tymczasem chłopiec znalazł sobie nawet towarzysza podróży. Jest to pewien irański dziennikarz, który często kupuje u niego książki. Kiedyś zaczęli rozmawiać o obchodach Nowego Roku i okazało się, że Irańczyk wybiera się na pielgrzymkę, a w dodatku ma w

samochodzie wolne miejsce. Jestem uratowany, pomyślał Mansur. Ali mnie wzywa. Chce mi wybaczyć.

Ojciec jednak zgody nie wyraził. Za nic nie chciał go puścić ze sklepu na cały tydzień, a tyle właśnie trwa wyprawa.

Twierdził, że Mansur musi prowadzić rejestr, pilnować stolarza, który robi nowe regały, sprzedawać książki, a on, Sułtan, nikomu innemu nie ufa. Nawet swego przyszłego szwagra, Rasula, nie zostawiłby w sklepie samego. Mansur gotuje się ze złości. Ponieważ bał się zapytać ojca o zgodę, odkładał tę rozmowę do ostatniego wieczora przed wyjazdem. No i usłyszał, że nie ma o czym mówić. Mansur nalega, ojciec odmawia.

- Jesteś moim synem i masz robić to, co ja chcę - powiada Sułtan. - Potrzebuję cię w firmie.

- Książki, książki, pieniądze, pieniądze, ty myślisz tylko o pieniądzach! - krzyczy Mansur. - Mam sprzedawać książki o Afganistanie, ale kompletnie nie znam kraju, przecież nigdzie nie wyjeżdżałem, czasem tylko pod Kabul - kłóci się syn.

Następnego ranka Irańczyk wyjeżdża. Mansur się buntuje. Jak ojciec mógł mu tego odmówić? Odwozi go do sklepu, ale po drodze nie odzywa się ani słowem, a pytany o cokolwiek odpowiada monosylabami. Gromadząca się miesiącami złość na ojca buzuje w nim coraz bardziej. Mansur chodził zaledwie do dziesiątej klasy, kiedy Sułtan zabrał go ze szkoły i kazał pracować w księgarni. Nie pozwolił mu skończyć gimnazjum. Na każdą prośbę syna Sułtan zawsze odpowiada: nie. Jedyne, co mu dał, to samochód, żeby miał go kto wozić, i odpowiedzialność za księgarnię, gdzie biedak gnije między półkami.

- Jak chcesz - mówi w końcu. - Będę robił wszystko, co mi każesz, ale nie oczekuj, że będę to robił z radością. Nigdy nie pozwalasz mi na to, czego ja pragnę. Niszczysz mnie.

- Pojedziesz w przyszłym roku - obiecuje Sułtan.

- Nie. Nigdy nie pojedę. Nigdy już o nic cię nie poproszę.

Mówi się, że tylko ten, kogo wzywa Ali, może pojechać do Mazar. Dlaczego Ali nie chce, by Mansur przyjechał? Czy jego postęпки są naprawdę niewybaczalne? Czy też to ojciec nie słyszy, że Ali wzywa jego syna?

Sułtana przenika chłód wobec takiej wrogości Mansura.

Patrzy spod oka na zaciskające wargi wyrośniętego nastolatka i ogarnia go lęk.

Po odwiezieniu ojca do jego księgarni i dwóch braci do ich sklepów Mansur jedzie do siebie i siada za zakurczonym biurkiem. Pograża się w ponurych rozmyślaniach, wsparłszy łokcie na blacie, czuje pętające go więzy życia i wszędzie widzi świeże warstwy kurzu wydobywającego się z książek.

Przyszedł nowy transport. Musi się orientować, czego dotyczą książki, niechętnie więc zaczyna je przeglądać. Trafia na zbiór wierszy Rumiego, jednego z ulubionych poetów ojca i jednego z najbardziej znanych afgańskich sufistów, czyli muzułmańskich mistyków. Rumi urodził się w trzynastym wieku w Balchu, niedaleko Mazare Szarif. Jeszcze jeden znak, stwierdza Mansur. Postanawia szukać czegoś, co potwierdziłoby, że racja jest po jego stronie, a ojciec popełnił błąd. Wiersze mówią o potrzebie oczyszczania się i zbliżenia do Boga, który jest doskonałością. Przypominają, że należy zapomnieć o sobie samym, o swoim ego. Rumi powiada, że ego jest zasłoną między człowiekiem a Bogiem. Mansur czyta o tym, jak powinien się zwracać do Boga, o tym, że życie powinno się toczyć wokół Boga, a nie wokół nas samych. Zatrzymuje się przy jednym z najprostszych wierszy:

Woda rzekła do zabrudzonego: Chodź tutaj.

Brudny odpowiedział: Za bardzo się wstydę.

A woda na to: Jak więc chcesz zmyć swój grzech beze mnie?

Woda, Rumi, a nawet Bóg chyba zawiedli Mansura. Irańczyk jest już pewnie daleko w górach Hindukuszu, myśli rozczarowany chłopiec. Przez cały dzień dławi go złość. Zaczyna się zmierzchać, pora więc zamknąć sklep, zabrać ojca oraz braci i odwieźć ich do domu, na jeszcze jeden posiłek z nieśmiertelnego ryżu, jeszcze jeden wieczór z rodziną.

Kiedy zakłada kratę na drzwi i zamyka ją na ciężką kłódkę, nagle przybiega Akbar, ów irański dziennikarz. Mansur myśli, że mu się przywidziało.

- Nie pojechałeś? - pyta zdumiony.

- Pojechaliśmy, ale dzisiaj tunel Salang był zamknięty, jutro będziemy próbować znowu - tłumaczy Irańczyk. - Przed chwilą spotkałem twojego ojca. Poprosił, żebym cię zabrał. Wyruszamy ode mnie o piątej rano, zaraz po zakończeniu godziny policyjnej.

- On naprawdę tak powiedział? - Mansur stoi ogłupiały.

- To musi być wezwanie Alego. Pomyśleć, że wzywa mnie tak stanowczo - mamrocze pod nosem.

Mansur nocuje u Akbara, żeby nie zasnąć, ale też i dla pewności, że ojciec się nie rozmyśli. Następnego ranka jeszcze przed świtem ruszają w drogę. Mansur właściwie nie ma bagażu, tylko plastikową torbę wyładowaną puszkami coli i fanty oraz ciastem z bananami i owocami kiwi. Akbar zabrał jeszcze jednego przyjaciela i nastrój w samochodzie jest znakomity. Słuchają indyjskiej muzyki filmowej i śpiewają, ile sił w płucach. Mansur ma ze sobą swój skarb, zachodnią kasetę: Pop from the 80's. /s this love?, \$aby, don't hurt me, don't hurt me no more" - rozlega się w chłodnym brzasku poranka. Przez pierwsze pół godziny

drogi Mansur zjadł placek i wypił dwie cole. Czuje się wolny! Ma ochotę krzyknąć i wystawia głowę przez okno:

- Juhuuu! Aliii! Ali! Pędzę do ciebie!

Jadą przez okolice, których nigdy przedtem nie widział.

Dokładnie na północ od Kabulu leży dolina Taloghanu, jeden z najczęściej nawiedzanych przez wojny region kraju. Tutaj bomby z amerykańskich samolotów B-52 spadały jeszcze kilka miesięcy temu.

- Jak pięknie! - krzyczy Mansur.

I rzeczywiście, z oddalenia równina jest piękna, z potężnymi, pokrytymi śniegiem szczytami Hindukuszu na horyzoncie. Hindukusz, czyli morderca Hindusów. W tym łańcuchu górskim tysiące indyjskich żołnierzy zamarzło podczas wyprawy na Kabul.

Kiedy się jednak wjedzie w dolinę, wyłania się krajobraz wojenny. W przeciwieństwie do indyjskich żołnierzy amerykańskie B-52 nie zostały zatrzymane przez Hindukusz. Wielu zbombardowanych obozów talibskich jeszcze nie uprzątnięto. Szałasy albo zniknęły w kraterach po bombach, albo zostały wyrzucone w powietrze, gdy bomba trafiła w zbocze.

Pokrzywione żelazne łóżko, na którym może jakiś talibski bojownik został zastrzelony we śnie, leży na skraju drogi podobne do szkieletu. Podziurawiony materac tuż obok.

Ale większość rzeczy została z tych obozów rozkradziona. Już kilka godzin po ucieczce talibów miejscowa ludność była na miejscu i zbierała żołnierskie miski do mycia, lampy gazowe, kołdry i materace. Nędza czyni okradanie zwłok czymś naturalnym. Nikt nie oplakiwał tych, którzy padli przy drodze lub w piasku. Przeciwnie, wiele zwłok miejscowi profanowali. Wydłubowali trupom oczy i odcinali członki, odzierali ze skóry i masakrowali ciała. To była zemsta za to, że talibowie latami terroryzowali mieszkańców doliny Taloghanu.

Tutaj przez pięć lat przebiegała linia frontu między talibami i ludźmi Masuda z Sojuszu Północnego, a władza sześć lub nawet siedem razy przechodziła z rąk do rąk. Ponieważ front wciąż się przemieszczał, ludność musiała uciekać albo do doliny Pandższiru, albo na południe, w stronę Kabulu.

Mieszkali tu przeważnie Tadżycy, toteż ci, którzy nie zdążyliby uciec, mogli się stać ofiarami przeprowadzanych przez talibów czystek etnicznych. Talibowie, zanim się wycofali, zatruli studnie i wysadzili w powietrze systemy nawadniające, tak ważne dla życia w suchej dolinie, która przed wojną domową była rolniczym zapleczem Kabulu.

Mansur w milczeniu patrzy na budzące grozę wsie, przez które przejeżdżają - większość to po prostu ruiny sterczące niczym szkielety w wymarłym krajobrazie. Talibowie systematycznie palili te wioski, próbując zdobyć panowanie nad resztą kraju, dziesiątą

częścią, jaka jeszcze została, czyli nad doliną Pandższiru, Hindukuszem oraz pustynnymi terenami na granicy z Tadżykistanem po drugiej stronie. Może by im się to udało, gdyby nie wydarzenia z 11 września, po których świat zaczął się interesować Afganistanem.

Wszędzie leżą resztki porozbijanych czołgów, zbombardowane wojskowe pojazdy i kawały metalu, Mansur może jedynie zgadywać, czym były. Samotny człowiek chodzi po równinie z pługiem. Pośrodku jego pola leży ogromny czołg.

Rolnik mozolnie orze ziemię dookoła czołgu, który jest za ciężki, żeby go usunąć.

Samochód pędzi po wyboistej, pełnej dziur drodze. Mansur próbuje odszukać rodzinną wieś matki, w której nie był, odkąd skończył pięć albo sześć lat. Palec wskazuje coraz to nowe ruiny: Tam! Tam! Ale właściwie jedna wieś nie różni się od drugiej. Miejsce, gdzie jako mały chłopiec odwiedzał krewnych, może się znajdować pod każdym stosem ruin po drodze. Pamięta, jak biegał po polach i drózkach. Teraz dolina to największe na świecie pole minowe. Tylko drogi są jako tako bezpieczne. Na poboczach spotyka się dzieci z naręczami drewna i kobiety dźwigające wiadra z wodą. Starają się omijać rozpadliny, bo mogą w nich jeszcze leżeć miny i niewypały. Samochód pielgrzymów przejeżdża obok oddziału saperów, który systematycznie usuwa bądź wysadza w powietrze groźne pozostałości wojny. Codziennie oczyszczają kilka metrów kwadratowych powierzchni.

Ponad śmiertelnymi pułapkami w rozpadlinach mienia się łąny intensywnie różowych tulipanów na krótkich łądzkach. Są to jednak kwiaty, które należy podziwiać z bezpiecznej odległości. Ktoś, kto chciałby je zrywać, ryzykuje, że mina urwie mu rękę lub nogę.

Akbar pęka ze śmiechu nad przewodnikiem, wydanym przez afgańskie przedsiębiorstwo turystyczne w roku 1967:

-”Przy drogach stoją dzieci i sprzedają wieńce z różowych tulipanów - czyta głośno. - Wiosną uwagę przejeżdżających starają się na siebie zwrócić kwitnące drzewa wiśni, moreli, migdałów i grusz. Widok nieprzebranej masy kwiatów towarzyszy podróżnym przez całą drogę z Kabulu”. - Śmieją się wszyscy trzej. Tej wiosny można tylko gdzieś dostrzec jakieś uparte wiśniowe drzewko, które przetrwało bomby, rakiety, trzy lata suszy i zatrucie wody w studniach. Ciekawe poza tym, czy do owoców, które wyda, znajdzie ktoś ścieżkę wolną od min.

- -”Miejscowa ceramika należy do najpiękniejszych w Afganistanie. Warto się zatrzymać i obejrzeć przydrożne warsztaty, w których rzemieślnicy wyrabiają misy i garnki zgodnie z liczącą tysiące lat tradycją” - czyta dalej Akbar.

- Wygląda na to, że owe tradycje zostały na serio przerwane - komentuje Said, przyjaciel Akbara, prowadzący samochód.

Po drodze do przełęczy Salang nie napotykają ani jednej pracowni garncarskiej. Auto wolno pnie się w górę. Mansur otwiera czwartą colę, wypija i z wdziękiem wyrzuca puszkę przez okno, bo lepiej wyrzucić śmieci do leja po bombie niż zanieczyścić samochód. Krętym szlakiem mozolnie zmierzają ku najwyżej na świecie położonemu tunelowi. Droga jest coraz węższa, po jednej stronie wznoszą się górskie ściany, po drugiej płynie woda, to jako strumień, to jako wodospad.

„Rząd dokonał zarybienia rzeki. Za kilka lat będą w niej żyć pstrągi i trocie” - czyta Akbar. Teraz ryb w rzece nie ma z całą pewnością. W czasach po wydaniu tego przewodnika rząd miał nieco inne zmartwienia niż zarybianie górskich potoków.

Zniszczone czołgi leżą w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach. Na pochyłym zboczach albo do połowy zanurzone w rzece, zaczepione na skalnym występie, pionowo, do góry nogami, lub rozbite na wiele części. Większość pochodzi z czasów wojny przeciwko Związkowi Sowieckiemu, kiedy to Armia Czerwona wkroczyła ze środkowoazjatyckich republik do północnej części Afganistanu i myślała, że zdobyła kontrolę nad Afgańczykami. Tymczasem Rosjanie szybko padli ofiarą mudżahedinów i ich przemyślnego sposobu prowadzenia wojny. Mudżahedin porusza się po górskich zboczach niczym kozica. Ze swoich punktów obserwacyjnych w górach z daleka może śledzić ciężkie sowieckie czołgi w ślimaczym tempie pełzające w dolinie. Partyzant, nawet wyposażony w broń domowej roboty, jest całkowicie bezpieczny, jeśli czai się z tyłu. Żołnierze mudżahedinów byli wszędzie. Poprzebierani za pasterzy, kałasznikowy ukrywali pod brzuchami kóz. Mogli w każdej chwili przypuścić błyskawiczny atak na czołgi.

- Pod brzuchami długowłosych owiec mogli nawet ukrywać rakiety - mówi Akbar, który przeczytał prawie wszystko o krwawej wojnie przeciwko Związkowi Sowieckiemu.

Aleksander Wielki także wspinał się na te szczyty. Po zdobyciu Kabulu wracał do Iranu, wówczas Persji, właśnie przez Hindukusz. Aleksander miał jakoby pisywać ody do tych gór, które”pobudzają wyobraźnię zarówno do mistycznych wizji, jak i myśli o wiekiustym spoczynku” - czyta Akbar w przewodniku.

- Rząd planował wybudowanie tutaj centrum narciarskiego! - krzyczy nagle i przygląda się uważniej stromym zboczom. - W 1967 roku! Tutaj piszą, że wkrótce droga zostanie wyasfaltowana!

Drogę wyasfaltowano, jak to przewidział turystyczny przewodnik, tylko że teraz po asfalcie nie ma już ani śladu.

Centrum narciarskie pozostało jedynie w planach.

- To mogłyby być bombowe zjazdy - zaśmiewa się Akbar. - Można by też miny zaznaczać slalomowymi bramkami! Adventurous Travels\ Albo Afgan AdvenTours, dla zmęczonych życiem obywateli świata!

Wszyscy się śmieją. Tragiczna rzeczywistość jawi się niekiedy jako film rysunkowy, częściej jednak jako ponury thriller. Mogą zobaczyć w wyobraźni, jak kolorowo ubrani snowboardowcy rozszarpani na kawałki spadają na śnieg.

Turystyka, niegdyś ważne źródło dochodów Afganistanu, należy do czasów minionych. Drogę, którą teraz jadą, nazywano kiedyś the hippietrail. Tutaj ciągnęli postępowi albo i nie tacy znowu postępowi młodzi ludzie w poszukiwaniu pięknej natury i prostego stylu życia oraz najlepszego na świecie haszyszu. Dla bardziej doświadczonych było opium.

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych co roku do górskiej krainy przybywało tysiące hippisów, wypożyczali stare łady i ruszali w drogę. Również kobiety podróżowały samotnie po kraju. Wtedy też można było paść ofiarą bandytów lub pospolitych rabusiów, ale to czyniło wyprawę jeszcze bardziej ekscytującą. Nawet zamach na Zahera Szaha w 1973 roku nie powstrzymał tego strumienia. Dopiero komunistyczny przewrót w 1978 roku oraz inwazja w następnym roku zastopowały przyjazdy hippisów.

Trzej młodzi mężczyźni jechali dwie, może nawet trzy godziny, zanim dotarli do kolejki pielgrzymów, stojącej bez ruchu.

Zaczyna padać śnieg. Mgła gęstnieje. Samochód ślizga się po lodzie. Said nie ma łańcuchów.

- Przy napędzie na cztery koła łańcuchy nie są potrzebne - zapewnia.

Coraz więcej samochodów stoi i buksuje w głębokich, pokrytych lodem i śniegiem koleinach. Kiedy jeden się zatrzyma, stają wszystkie pozostałe. Jest zbyt wąsko, by można było wyprzedzić zawalidrogę. Tego dnia ruch odbywa się z południa na północ, z Kabulu do Mazar. Jutro będzie odwrotnie. Górską drogą nie pomieści samochodów jadących w obie strony. Pokonanie liczącej czterysta pięćdziesiąt kilometrów trasy z Kabulu do Mazar zabiera co najmniej dwanaście godzin, bywa jednak, że i dwa razy tyle, a nawet cztery.

Mijają autobus, który spowodował korek. Został zepchnięty na skraj drogi, a jego pasażerowie udający się do grobu Alego próbują teraz zatrzymywać wlokące się w ślimaczym tempie pojazdy. Mansur wybucha śmiechem na widok napisów na autobusie: "Hmbork - Franfork - Landan - Kabal" - odczytuje, a śmieje się jeszcze bardziej, kiedy widzi, co zostało napisane na masce autobusu: "Wellcam! Kaing of Road" - zachęcają świeżo wymalowane czerwone litery.

- No, to rzeczywiście królewska jazda - szydzi Mansur.

Chociaż w samochodzie jest miejsce, nie zabierają machających rękami pasażerów nieszczęsnego kabulskiego ekspresu. Said, Mansur i Akbar mają dość własnych problemów.

Wjeżdżają do pierwszej galerii - ciężkie betonowe słupy podtrzymują dach chroniący przed śnieżycami. Ale i przez galerie trudno przebrnąć, do środka nawiało tyle śniegu, że potworzyły się zlodowaciałe zasy. Głębokie koleiny pokryte lodem są prawdziwym wyzwaniem dla samochodu bez łańcuchów.

Tunel Salang, trzy tysiące czterysta metrów nad poziomem morza, i położone jeszcze wyżej galerie to dar dla Afganistanu z czasów, gdy Związek Sowiecki próbował uczynić z tego kraju państwo satelickie. Sowieccy inżynierowie rozpoczęli prace w roku 1956, a tunel został oddany do użytku w 1964. W latach pięćdziesiątych Rosjanie zaczęli asfaltować pierwsze drogi w kraju. Traktowali Afganistan pod rządami Zahera Szaha jak państwo usposobione przyjaźnie. Liberalny król uznał, że jest zmuszony zwrócić się do Związku Sowieckiego, skoro ani USA, ani Europa nie interesowały się inwestowaniem w górzystym kraju. Król potrzebował pieniędzy i ekspertów i wołał nie dostrzegać, że więzi z komunistycznym supermocarstwem coraz bardziej się zacieśniają.

Tunel miał wielkie strategiczne znaczenie dla oporu przeciwko talibom. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych został wysadzony w powietrze przez Masuda, bohatera mudżahedinów, w ostatniej desperackiej próbie powstrzymania zwycięskiego marszu talibów na północ. Doszli do tego miejsca, ale dalej już nie.

Zrobiło się całkiem ciemno, a raczej całkiem szaro. Samochód się ślizga, wpada w śnieżne zasy, zakleszcza się w zlodowaciałych koleinach. Wiatr gwizdże, w śnieżycy nie widać kompletnie nic i Said musi się poruszać wzdłuż tego, co uważa za koleiny. Jadą po śniegu i lodzie. Bez łańcuchów jedynie Ali może im zagwarantować bezpieczną jazdę. Przecież nie mogę umrzeć, dopóki nie dotrę do jego grobu, pociesza się Mansur. Przecież mnie wezwał.

Przejaśnia się odrobinę. Są teraz przed wjazdem do tunelu Salang, galerie mają za sobą. Na dużej tablicy przed tunelem ostrzeżenie: "Uwaga! Niebezpieczeństwo zatrucia.

W razie uwięzienia w tunelu należy natychmiast zgasić silniki i biec w stronę najbliższego wyjścia". Mansur spogląda pytająco na Akbara.

- Niecały miesiąc temu lawina uwięziła w tunelu pięćdziesięciu ludzi - opowiada zawsze dobrze poinformowany Irańczyk. - Było dwadzieścia stopni mrozu, więc kierowcy zostawili silniki na chodzie, by ogrzewać samochody. Po wielu godzinach, kiedy śnieg usunięto, w tunelu znaleziono dziesiątki osób, które zasnęły, zatrute tlenkiem węgla, i zmarły. Takie rzeczy zdarzają się często - opowiada Akbar, gdy samochód wolno pokonuje tunel. W

końcu muszą się zatrzymać, cała kolejka stoi. - To z pewnością tylko wyobraźnia - mówi Akbar - ale czuję, że zaczyna mnie boleć głowa.

- Zgadza się, mnie też - przyłącza się Mansur. - Czy mamy ruszać ku najbliższemu wyjściu?

- Nie. Miejmy raczej nadzieję, że kolumna jednak wkrótce, wolno, bo wolno, ale wytoczy się z tunelu - uspokaja Said. - Pomyśl, co by się stało, gdyby kolumna ruszyła, a nas nie byłoby w samochodzie. Spowodowałibyśmy straszny korek.

- To tak właśnie się umiera od zatrucia spalinami? - pyta Mansur. Okna samochodu są zamknięte. Said zapala papierosa. Mansur krzyczy.

- Czyś ty zwariował? - wrzeszczy Akbar, wrywa papierosa z ust kierowcy i gasi. - Chcesz nas jeszcze bardziej truć?

Atmosfera w samochodzie staje się napięta, niemal bliska paniki. Nadal stoją w korku. W końcu jednak coś się dzieje, samochody przed nimi wolno ruszają. Trzej młodzi mężczyźni wydostają się z tunelu z dudniącym bólem głowy. Ale po paru głębszych oddechach na świeżym powietrzu ból znika jak ręką odjął. W dalszym ciągu jednak nic nie widać, bo mgła przypomina szarobiałą, wirującą, gęstą kaszę. Pozostaje trzymać się kolein i posuwać za ledwo widocznymi światełkami poprzedzającego samochodu. Zawrócić nie można. Samochody muszą jechać razem, złączone przez los.

Wszyscy pielgrzymi podążają tymi samymi rozjeżdżonymi, pokrytymi lodem koleinami. Mansur przestał nawet chrupać ciastka, panuje kompletna cisza. Wydaje im się, że jadą w nicość, ale w nicość, z której w każdej chwili może się wyłonić śmiertelne zagrożenie - przepaść, mina, lawina i nie wiadomo co jeszcze.

Mgła w końcu zaczęła ustępować, ale samochody wciąż jadą brzegiem przepaści. Właściwie teraz, kiedy widzą otoczenie, jest gorzej. Mansur częstuje towarzyszy colą i zapala papierosa.

- Korzystasz z okazji, jak widzę. Gdyby twój ojciec zobaczył, że palisz, pewnie by się nie ucieszył - mówi Akbar.

Sułtan za nic nie powinien się dowiedzieć, że Mansur pali. Ale tutaj, w tej śnieżycy, na wolności, bierze jednego papierosa po drugim. Tutaj robi to, co koledzy.

Zaczął się zjazd na dół. Samochodem rzuca to w jedną, to w drugą stronę. Nagle obraca się na lodzie i sunie tyłem.

Said traci kontrolę nad kierownicą i klnie. Mansur i Akbar trzymają się kurczowo uchwyty, jakby to miało pomóc, kiedy samochód się wywróci. Znowu zalega pełna napięcia

cisza. Auto wciąż stacza się tyłem, na moment jakby przystaje, zjeżdża jeszcze kawałek, po czym zaczyna się ślizgać. Mijają tablicę, która jeszcze potęguje ich przerażenie: "Uwaga!

Wielkie zagrożenie minami!" A więc dokładnie na wprost nich, a może nawet w obrębie tego potwornie śliskiego odcinka, z którego nie mogą się wydostać, aż się roi od min!

Żaden śnieg na świecie nie jest w stanie ochronić samochodu przed minami przeciwpancernymi. To kompletne szaleństwo, myśli Mansur, ale nic nie mówi. Nie chce, żeby tamci sobie pomyśleli, że się boi, a poza tym jest najmłodszy.

Spogląda na porzucone, na wpół przysypane śniegiem czołgi, których także tutaj nie brakuje, i wraki samochodów, którym nie udało się pokonać rozpaczliwie trudnej trasy. Mansur odmawia modlitwę. Przecież Ali by go nie wzywał tylko po to, by zginął w drodze na jakimś górskim zboczu, to nie miałoby sensu. Chociaż wiele jego postępów nie pozostawało w zgodzie z islamem, to przecież jedzie, by się oczyścić, wyrzec się grzesznych myśli i stać się dobrym muzułmaninem. Ostatni odcinek drogi w dół przeżywa jak w transie.

Po dłuższym czasie, który wydaje im się wiecznością, wjeżdżają na wolny od śniegu step i ostatnie godziny do Mazare Szarif są niemal jak zabawa.

Wyprzedzają ich pikapy pełne uzbrojonych po zęby mężczyzn. Na otwartych ciężarówkach siedzą brodaci żołnierze, trzymający wycelowane we wszystkie strony kałasznikowy.

Z prędkością stu kilometrów na godzinę podskakują na wyboistej drodze. Krajobraz jest przeważnie pustynny, czasem przechodzi w step, raz po raz mijają kamieniste wzgórza, a także niewielkie zielone oazy i wioski z glinianymi chatami. Przy wjeździe do miasta zatrzymuje ich posterunek drogowy. Dwaj mężczyźni z ponurymi minami machają do nich zza bariery, którą stanowi lina rozciągnięta między dwiema zepsutymi rakietami.

Wjeżdżają do miasta sztywni i zmęczeni. To prawie niewiarygodne, ale pokonali drogę w niespełna dwanaście godzin.

- Był to więc całkiem zwyczajny przejazd przez tunel Salang - stwierdza Mansur. - A pomyślcie o tych wszystkich, którzy potrzebują na to wiele dni i nocy. Juhuu! Jesteśmy na miejscu! Ali, here I come!

Na wszystkich dachach stoją żołnierze z gotową do strzału bronią. Władze obawiają się zamieszek w noworoczny wieczór, a na miejscu nie ma żadnych międzynarodowych sił pokojowych, są za to dwaj lub nawet trzej zwalczający się komendanci ze swoimi oddziałami. Żołnierze na dachach należą do sił gubernatora, który jest Hazarem. Żołnierze z pikapów to ludzie Tadżyka Atty Muhammada. Krój munduru jest znakiem rozpoznawczym dla tych, którzy biją się po stronie Uzbeki Abdula Raszida Dostuma. Wszyscy kierują lufy w dół, na

ulice, po których tysiące pielgrzymów krążą z miejsca na miejsce lub siedzą w grupach i rozmawiają. Są wszędzie - pod meczetem, w parku, na chodnikach.

Niebieski meczet rozświetla mrok i wygląda jak zjawisko. To najpiękniejsza budowla, jaką Mansur kiedykolwiek widział. Przebogate oświetlenie jest darem od amerykańskiej ambasady w związku z noworoczną wizytą ambasadora w mieście. Czerwone latarnie oświetlają park wokół meczetu, który teraz jest po brzegi wypełniony pielgrzymami.

Tutaj Mansur będzie się modlił o wybaczenie swoich grzechów. Tutaj ma zostać oczyszczony. Napatrzył się już do syta na wielką świątynię. I poczuł głód. Cola i ciasto z owocami to marny prowiant na podróż.

Restauracje są pełne pielgrzymów. Mansur, Akbar i Said w końcu znajdują w mrocznym lokalu przy ulicy, gdzie przygotowuje się kebaby, kawałek wolnego dywanu, na którym mogą usiąść. Wszędzie unosi się mdły zapach grillowanej baraniny, podawanej z chlebem i małymi cebulkami.

Mansur napycha sobie usta cebulą i czuje się niemal pijany od nadmiaru przeżyć. Ma ochotę krzyczeć i skakać, siedzi jednak spokojnie i pochłania jedzenie jak wszyscy wokół, nie jest przecież dzieckiem, stara się zachowywać tak jak Akbar i Said, swobodnie, ale spokojnie, jak światowiec.

Następnego ranka budzą Mansura modlitewne nawoływania mułłów. "Allahu akbar - Bóg jest wielki" - dudni, jakby tuż przy jego uszach zamontowano ogromne megafony.

Chłopiec wygląda przez okno, patrzy na błękitny meczet, który mieni się w porannym blasku. Nad świętym miejscem latają setki białych gołębi. Mają one gniazda w dwóch wieżach przed grobem Alego i ludzie mówią, że jeżeli w stadzie trafi się jakiś szary gołąb, to po czterdziestu dniach jemu też wyrastają białe pióra. Poza tym co siódmy z tych gołębi jest podobno świętym duchem.

Koło wpół do siódmej Mansur razem z Akbarem i Saidem przeciskają się przez ogrodzenie do meczetu. Dzięki prasowej legitymacji Akbara docierają prawie do samego podium. Wielu spędziło tutaj całą noc, żeby być jak najbliżej, kiedy Hamid Karzaj, nowy przywódca Afganistanu, będzie wciągał na maszt flagę Alego. Po jednej stronie siedzą kobiety, niektóre w burkach, inne tylko w białych chustach. Po drugiej stronie mężczyźni. O ile kobiety spokojnie siedzą na ziemi, o tyle po stronie męskiej panuje niewiarygodny tłok i nieustanne przepychanki. Drzewa na zewnątrz też są pełne ludzi. Policjanci kręcą się w tłumie, bo coraz więcej osób przedziera się przez barierę. Przeskakują i uciekają przed policyjnymi batami. Policja musi bardzo surowo strzec bezpieczeństwa, bo oczekuje się tu dzisiaj wszystkich ministrów.

W końcu wkracza rząd, pojawia się Hamid Karzaj w charakterystycznym niebieskim płaszczu. Karzaj ubiera się zawsze tak, by reprezentować cały Afganistan - czapka z owczej skóry z Kandaharu, z południa, płaszcz z terenów północnych i koszula z prowincji zachodnich, położonych na granicy z Iranem.

Mansur wyciąga szyję i próbuje podejść jak najbliżej.

Nigdy jeszcze nie widział Karzaja, człowieka, który zdołał wypędzić talibów z ich głównej siedziby, Kandaharu, i który o mało nie został zabity, kiedy amerykańska rakietka zoczyła z toru i spadła na jego oddział. Karzaj, Pasztun z Kandaharu, sam przez krótki okres popierał talibów, jednak później wykorzystał swoją pozycję plemiennego przywódcy z potężnego klanu Popolzaj, by zdobyć zwolenników do walki z nimi. Kiedy Amerykanie rozpoczęli bombardowania, podjął samobójczą wyprawę motocyklową, aby dostać się na kontrolowane przez talibów terytorium i przekonać starszyznę plemienną, iż dni talibów są policzone. Mówi się, że przekonał ich nie tyle argumentami, ile swą odwagą. Gdy wybuchły walki o Kabul i to Karzaj dowodził ofensywą, delegaci na konferencję ONZ w Bonn wybrali go na nowego przywódcę kraju.

- Oni próbowali zniszczyć naszą kulturę. Próbowali zaprzepaścić nasze tradycje. Próbowali odebrać nam islam!

- krzyczy Karzaj do tłumu. - Talibowie chcieli zbrukać islam, chcieli wdeptać nas wszystkich w błoto, skłócić nas z całym światem. Ale my wiemy, czym islam jest naprawdę. Islam to pokój! Ten nowy rok, który się zaczyna dzisiaj (według rachuby muzułmańskiej rok 1381), będzie rokiem odbudowy.

To rok, w którym będzie się w Afganistanie żyło bezpiecznie i spokojnie, umocnimy pokój i rozwój naszego społeczeństwa! Dzisiaj otrzymujemy pomoc z całego świata, ale pewnego dnia... pewnego dnia staniemy się krajem, który będzie pomagał światu! - woła, a tłum wiwatuje.

- My? - szepcze Mansur. - My będziemy pomagać światu?

To dla niego absurdalna myśl. Mansur całe swoje życie spędził w kraju objętym wojną, dla niego Afganistan wszystko dostaje z zewnątrz, od żywności po broń.

Po Karzaju głos zabiera eksprezydent Burhanuddin Rabbani. Człowiek o wielkim znaczeniu, ale niewielkiej władzy.

Rabbani, teolog i profesor uniwersytetu w Kairze, założył partię Dżamijate Eslami, która wchłonęła jedną z frakcji mudżahedinów. Był z nim wojskowy strateg Ahmad Szah Masud, późniejszy bohater walk ze Związkiem Sowieckim, wojny domowej i oporu przeciwko talibom. Masud był charyzmatycznym przywódcą, człowiekiem głęboko

religijnym, ale zwróconym ku Zachodowi. Mówił płynnie po francusku i pragnął modernizować kraj. Dwa dni przed terrorystycznymi atakami w USA został zamordowany przez dwóch tunezyjskich terrorystów samobójców i stał się mitem. Tunezyjczycy mieli paszporty belgijskie i podawali się za dziennikarzy.”Komendancie, co pan zrobi z Osamą ben Ladenem, kiedy podbije pan cały Afganistan?” - brzmiało ostatnie pytanie, jakie Masud usłyszał. Zdażył jeszcze - po raz ostatni - wybuchnąć śmiechem, nim terroryści odpalili bombę ukrytą w kamerze. Nawet Pasztunowie wieszają teraz portrety Tadżyka Masuda, Lwa Pandższiru.

Rabbani dedykuje swoje przemówienie Masudowi, ale czasem sławy Rabbaniego była święta wojna przeciwko Związkowi Sowieckiemu.

- Wypędziliśmy komunistów z naszego kraju. I tak samo wypędzimy wszystkich intruzów z naszego świętego Afganistanu! - krzyczy. - Gdyby nie nasz dżihad, cały świat nadal by tkwił w okowach komunizmu. Mur berliński upadł, bo to my zadaliśmy rany Związkowi Sowieckiemu. To my staliśmy się inspiracją dla innych uciskanych narodów. To my wyzwoliliśmy narody spod komunizmu! Dżihad sprawił, że na świecie jest więcej wolności. Uratowaliśmy świat, ponieważ tu, w Afganistanie, komunizm poniósł ostateczną klęskę!

Mansur stoi i wywija na wszystkie strony aparatem fotograficznym. Precyzyjnie się niemal do samego podium, by z bliska zrobić zdjęcia wszystkich mówców. Zależy mu zwłaszcza na Karzaju. Pstryka więc i pstryka, fotografuje tego niewysokiego, drobnego mężczyznę. Będzie co pokazywać ojcu.

Mężczyźni na podium przemawiają jeden po drugim, przemawiają i modlą się. Jakiś mułła dziękuje Allahowi, minister edukacji mówi o tym, że Afganistan powinien stać się krajem, w którym internet zastąpi broń.

- Zamieńcie karabiny na komputery! - woła. I dodaje, że Afgańczycy muszą zlikwidować dotychczasową wrogość między różnymi grupami etnicznymi. - Patrzcie na Amerykę, tam wszyscy, wszyscy są Amerykanami. I żyją razem bez problemów!

Podczas przemówień policjanci nie przestają używać batów wobec niezdyscyplinowanych słuchaczy, co nie bardzo pomaga, bo coraz więcej ludzi usiłuje pokonać ogrodzenie i wdrzeć się do świętego miejsca. Tyle jest krzyku wśród zgromadzonych, że chyba niewiele dociera do nich z tego, o czym przekonują mówcy. A wszystko razem bardziej przypomina happening niż ceremonię religijną. Na schodach i pobliskich dachach stoją uzbrojeni żołnierze. Grupa chyba dziesięciu żołnierzy amerykańskich sił specjalnych, z karabinami maszynowymi i w ciemnych

przeciwsłonecznych okularach, zajęła pozycję na płaskim dachu meczetu, by ochraniać amerykańskiego ambasadora. Inni stoją przed wejściem i po bokach świątyni. Dla wielu Afgańczyków jest świętokradztwem, że niewierni chodzą po tym dachu. Żaden niemuzułmanin nie ma prawa wejść do meczetu. Strażnicy czuwają, by wyprosić każdego, kto by próbował to zrobić. Dzisiaj nie ma wielu intruzów, zachodni turyści nie walą tłumnie do Afganistanu tej pierwszej wiosny po upadku talibów. Tylko paru pracowników organizacji pomocowych miało ochotę wziąć udział w noworocznym wieczorze.

Miejsce na podium otrzymali również lokalni komendanci, Atta Muhammad i generał Abdul Raszid Dostum. Tadzycy Atta Muhammad jest tym, który rządzi teraz miastem, Uzbek Dostum zaś tym, który uważa, że to on powinien rządzić. Ci dwaj zaprzysięgli wrogowie stoją ramię w ramię i słuchają mówców. Atta Muhammad z brodą, niczym jakiś talib. Dostum z godnością odesłanego na wcześniejszą emeryturę boksera. Bardzo niechętnie współpracowali ze sobą podczas ostatniej ofensywy przeciw talibom. Teraz znowu dzieli ich chłodny front. Dostum jest najsławniejszym członkiem nowego rządu i został do niego włączony z jednego prostego powodu, żeby mianowicie nie kusiło go sabotowanie prac tego rządu. O mężczyźnie, który teraz stoi z rękami spokojnie skrzyżowanymi na potężnej klatce piersiowej i mruży oczy, patrząc pod słońce, opowiada się w Afganistanie najbardziej ponure historie. Za karę, z powodu byle jakiego drobnego przewinienia, potrafi przywiązywać żołnierzy do czołgów i ciągnąć ich po ziemi dopóty, dopóki nie zostaną z nich jedynie krwawe strzępy. Kiedyś kazał tysiące talibskich bojowników wywieźć daleko na pustynię i zamknąć w kontenerach. Gdy po wielu dniach kontenery otworzono, więźniowie byli martwi, a ich skóra zrobiła się czarna od gorąca. Dostum jest również znany jako mistrz zdrady, służył wielu panom i zdradzał wszystkich po kolei. Walczył po rosyjskiej stronie, kiedy Związek Sowiecki zaatakował Afganistan, był wtedy ateistą i tego pił wódkę. Teraz stoi pokornie, sławi Allaha i robi z siebie pacyfistę: - W roku 1381 nikt nie ma prawa rozprawiać broni, bo mogłoby to spowodować walki i dalsze konflikty. To jest rok, w którym będziemy zbierać broń od ludzi, a nie rozdzielać nową!

Mansur się śmieje. O Dostumie wiadomo, że słabo sobie radzi z czytaniem. Zmaga się teraz ze swoim rękopisem, jąka się i sylabizuje niczym pierwszoklasista. Czasami przerywa, ale wtedy zbiera siły, by krzyknąć jeszcze głośniejsze.

Ostatni mułła wzywa do walki z terroryzmem. We współczesnym Afganistanie tym mianem można określić wszystko, co jest akurat niewygodne albo czego się nie lubi, dlatego cele walki z terroryzmem zmieniają się w zależności od tego, kto ją właśnie proklamuje.

- Islam to jedyna religia, której Święta Księga mówi, że należy zwalczać terroryzm. Terroryści zwrócili swoje twarze w stronę Afganistanu i naszym obowiązkiem jest ich zwalczać. W żadnej innej Świętej Księdze tego nie napisano. Bóg powiedział do Mahometa: Nie będziesz się modlił w meczecie, który zbudowali terroryści. Prawdziwi muzułmanie nie są terrorystami, bo islam jest najbardziej tolerancyjną ze wszystkich religii. Kiedy Hitler mordował Żydów w Europie, w krajach muzułmańskich byli oni bezpieczni. Terroryści to fałszywi muzułmanie!

Po trwających godzinami przemówieniach można nareszcie wciągnąć flagę na maszt. Zieloną flagę Alego, której nie wieszano przez pięć lat. Maszt leży na ziemi, szczytem skierowany ku meczetowi. Przy akompaniamencie bicia w bębny i okrzykach tłumu Karzaj ustawia maszt i religijna flaga zostaje wciągnięta. Będzie tu powiewać przez czterdzieści dni. Słychać strzały w powietrze i policjanci usuwają prowizoryczne ogrodzenie. Tysiące ludzi, którzy stali po tamtej stronie, ruszają do meczetu, do grobu i flagi.

Mansur ma dość tłoku i całej ceremonii, postanowił iść na zakupy. Ali może poczekać. Chłopiec długo myślał o tym, że każdy w rodzinie powinien dostać od niego podarek z pielgrzymki. Jeśli wszystkim przywiezie coś z tej wyprawy, to może ojciec będzie łagodniej usposobiony do jego życzeń w przyszłości.

Najpierw kupuje dywaniki do modlitwy, chustki i różańce. Następnie wyrusza po cukier w głowach. Wielkie głowy kruszy się na kawałki i pogryza do herbaty. Mansur wie, że jego babka, Bibi Gol, wybaczy mu wszystkie grzechy, jakie kiedykolwiek popełnił i jakie może jeszcze popełnić, jeśli wróci do domu z ważącymi około kilograma głowami cukru, które wytwarza się tylko w Mazar. Kupuje jeszcze suknie i ozdoby dla ciotek oraz okulary przeciwsłoneczne dla braci i wujów. Okulary, jakich nigdy nie widział w sprzedaży w Kabulu. Obładowany zakupami poupychanymi w wielkich różowych plastikowych torbach z reklamą *Pleasure - Special light cigarettes* wraca do grobu kalifa Alego. Noworoczne podarunki muszą zostać pobłogosławione.

Niesie je do samej krypty, do mułłów siedzących pod złotą ścianą komory grobowej. Rozkłada podarki, by mułłowie odczytali nad nimi fragmenty Koranu. Po skończonej modlitwie Mansur pakuje z powrotem swoje rzeczy i spieszy dalej.

Przy złotej ścianie może wypowiedzieć jakieś pragnienie.

Chyba pod wpływem patriotycznych przemówień opiera czoło o złotą ścianę i modli się, by dożył chwili, kiedy będzie dumny, iż jest Afgańczykiem, dumny z siebie i ze swojego kraju. Modli się też, by Afganistan zyskał szacunek świata.

Nawet sam Hamid Karzaj lepiej by tego nie ujął.

Oszołomiony wszystkimi wrażeniami Mansur zapomniał o modlitwie za grzechy oraz prośbach o wybaczenie i oczyszczenie, choć przecież właśnie z tego powodu przyjechał do Mazar. Zapomniał o grzechu zaniechania wobec małej żebraczki, zapomniał o jej drobnym, dziecięcym ciele, o wielkich jasnobrzązowych oczach i potarganych włosach.

Zapomniał, że nie zrobił nic, by powstrzymać przestępstwo, jakiego się wobec tej małej dopuścił wielki sprzedawca ołówków.

Wychodzi z komory grobowej i udaje się do flagi Alego.

Również przy maszcie stoją mułłowie, którzy zajmą się torbami Mansura. Tym razem jednak nie ma czasu na wypakowywanie podarków. Kolejka czekających na pobłogosławienie dywanów, różańców, jedzenia i chustek jest ogromna.

Mułłowie biorą torby od Mansura, pospiesznie ocierają każdą o maszt flagi, szybko mamrocą modlitwy i oddają prezenty.

Mansur wręcza im parę banknotów i odchodzi z ponownie pobłogosławionymi dywanikami i głowami cukru.

Już się cieszy na chwilę, kiedy będzie je rozdawał: babce, Sułtanowi, ciotkom i wujom. Mansur spaceruje z uśmiechem na twarzy. Tego dnia jest uosobieniem radości. Wyrwał się ze sklepu, uciekł od ucisku ojca. Razem z Akbarem i Saidem chodzi po ulicy koło meczetu.

- To najlepszy dzień w moim życiu! Najlepszy dzień! - krzyczy. Akbar i Said patrzą na niego zdumieni, nawet skrzępowani, ale z drugiej strony wydaje im się wzruszające, że chłopak jest taki szczęśliwy. - Kocham Mazar, kocham Alego, kocham wolność! Kocham też was! - woła Mansur i biegnie w podskokach. To pierwsza podróż w życiu, jaką podjął na własną rękę, i pierwszy dzień, w którym nie widzi nikogo z rodziny.

Wszyscy trzej pielgrzymi postanawiają obejrzeć walki buzkaszi. Regiony północne słyną z tego, że tutaj są one najbardziej zaciekle, dzikie i najszybciej rozgrywane. Z daleka widać, że walki noworoczne już się rozpoczęły. Tumany kurzu osiadają na ziemi w dolinie, kiedy dwustu mężczyzn na koniach walczy o pozbawiony głowy korpus cielaka. Konie gryzą i wierzgają, stają dęba i skaczą, podczas gdy jeźdźcy z biczami w zębach próbują pochwycić skrwawione strzępy z ziemi. Chwytające cielaka ręce zmieniają się z taką szybkością, że patrzącym się wydaje, jakby mężczyźni rzucali do siebie tym ścierwem. Celem jest przeciągnięcie cielaka z jednego końca ogromnego placu na drugi i ułożenie go w specjalnie wyznaczonym kręgu. Niekiedy walki są takie gwałtowne, że cielec zostaje rozszarpane na strzępy.

Zanim człowiek zorientuje się, o co chodzi w tej walce, ma wrażenie, że konie ścigają się po równinie z jeźdźcami balansującymi w siodłach. Jeźdźcy mają długie haftowane peleryny i ozdobne skórzane buty na obcasach, sięgające do połowy uda. Noszą okrągłe pikowane czapki, obszyte baranim lub karakułowym futrem.

- Karzaj! - woła Mansur, bo dostrzegł na równinie afgańskiego przywódcę. - I Dostum!

Wódz plemienny i komendant wojskowy walczą, by pochwytać ciele. Jeśli chce się uchodzić za silnego przywódcę, trzeba uczestniczyć w walkach buzkaszi naprawdę, a nie tylko jeździć konno skrajem równiny, poza miejscem największych zmagania. Trzeba być w centrum, tam gdzie walka wrze. Chociaż wszystko można załatwić za pomocą pieniędzy. Potężni panowie często płacą za pomoc w zwycięstwie.

Karzaj krąży po obrzeżach i nie bardzo sobie radzi z utrzymaniem morderczego tempa narzuconego przez innych jeźdźców. Przywódca plemienny z południa nigdy w pełni nie opanował reguł walki. To jest sztuka pochodząca ze stepów. Dlatego zwycięża wielki syn stepów, generał Dostum, lub też uczestnicy walki pozwalają mu zwyciężyć. To może się opłacić. Dostum siedzi na koniu jak wielki wódz i przyjmuje aplauz tłumu.

Czasem walczą ze sobą dwie drużyny, a czasem wszyscy ze wszystkimi. Buzkaszi jest najdzikszy sportem świata, sprowadzonym do Afganistanu przez Mongołów, którzy podbijali ten kraj pod wodzą Czyngischana. Jest to również gra o pieniądze. Bogaci mężczyźni spośród publiczności przy każdej kolejce obiecują nagrody wysokości wielu milionów afgani. Im większe pieniądze, tym dziksza walka.

Buzkaszi to także gra o wielkim znaczeniu politycznym.

Lokalny wódz musi albo sam być dobrym graczem, albo posiadać stajnię świetnych koni i jeźdźców. Zwycięstwo daje mu szacunek.

Od lat pięćdziesiątych władze Afganistanu próbowały sformalizować walki. Uczestnicy kiwali tylko głowami, dobrze wiedzieli, że nowe reguły i tak nie będą przestrzegane, bo to niemożliwe. Nawet po sowieckiej inwazji organizowano turnieje, choć kraj pogrążony był w chaosie i wielu jeźdźców nie docierało na miejsca spotkań, bo musieli się przedzierać przez okolice objęte działaniami wojennymi.

Komuniści, którzy starali się wypełnić większość zakorzenionych afgańskich tradycji, buzkaszi nie odważyli się zaatakować. Na odwrót, starali się zdobywać popularność, organizując turnieje, podczas których komunistyczni dyktatorzy chętnie zasiadali na trybunach, jeden po drugim, zastępując poprzednika usuniętego w krwawym zamachu. Mimo wszystko komuniści uniemożliwili przestrzeganie wielu zasad walki. Kiedy wprowadzono

reformę rolną, mało kto mógł sobie pozwolić na utrzymywanie stajni z odpowiednio wytrenowanymi końmi. Stada przeznaczone do walk buzkaszi zostały rozproszone, konie poszły do pracy w polu. Kiedy znikał właściciel majątku, wraz z nim znikaly konie i jeźdźcy.

Talibowie zakazali walk, ponieważ uznali je za niemuzułmańskie. Podczas wieczoru noworocznego w Mazar odbyły się pierwsze duże walki buzkaszi od upadku talibów.

Mansur znalazł miejsce na samym przodzie. Wielokrotnie musiał odskakiwać w tył, by nie dostać kopytem w głowę, kiedy koń tuż przed publicznością stawał dęba.

Wypstrykał wiele filmów, zrobił mnóstwo zdjęć końskich brzuchów, wierzchowce wyglądały, jakby chciały przez niego przeskoczyć, sfotografował wielkie chmury pyłu wzbijane w powietrze, uwiecznił zmasakrowanego cielaka, Karzaja widocznego z daleka i zwycięskiego Dostuma. Po zakończeniu walk sfotografował samego siebie u boku jednego z uczestników walki, czyli czapandaz.

Słońce zaczyna się chylić ku zachodowi i rzuca czerwone promienie na zasypaną mialkim piaskiem równinę. Również pielgrzymi pokryci są warstwą kurzu. Zmęczeni, znajdują jadłodajnię pod otwartym niebem. Siadają obok siebie na matach i pożywiają się w milczeniu. Zupa, ryż, baranina i surowa cebula. Mansur pochłania porcję i zamawia następną.

Pozdrawiają milcząco jakichś mężczyzn, którzy siedzą nieopodal w kręgu i próbują się na ręce. Przy herbacie można zacząć rozmowę.

- Z Kabulu? - pytają mężczyźni.

Mansur kiwa głową.

- Wy też na pielgrzymce?

Tamci zwlekają z odpowiedzią.

- No, nie całkiem. My jeździmy z przepiórkami - odpowiada stary, niemal całkiem bezzębny mężczyzna. - Jesteśmy z Heratu. Zrobiliśmy wielką rundę, przez Kandahar, Kabul i w końcu tutaj. Tu mają najlepsze walki przepiórek. - Stary bardzo ostrożnie wyjmuje z kieszeni płócienny woreczek.

Z worka wyskakuje ptak, nastroszona mała przepiórka. - Ta wygrała wszystkie walki, do jakich ją wystawiliśmy - mówi mężczyzna. - Zarobiliśmy na niej mnóstwo pieniędzy. Teraz jest warta parę tysięcy dolarów - chwali się.

Spracowanymi, pokrzywionymi niczym orle szpony palcami zaczyna karmić ptaka. Przepiórka otrząsa pióra i ożywia się. Jest taka mała, że mieści się w zniszczonych dłoniach swojego właściciela, najwyraźniej człowieka pracy, który zrobił sobie wolne. Po pięciu latach prowadzonych po kryjomu walk przepiórek, w tajemnicy przed talibami, może teraz otwarcie przeżywać swoją namiętność: patrzeć na dwa ptaki, które zadziobują się na śmierć, albo

ściślej biorąc: wiwatować, że jego mała przepiórka zadziobuje na śmierć inną małą przepiórkę.

- Przyjdźcie jutro, zaczynamy o siódmej rano - mówi stary. Kiedy odchodzą, podaje im sporą porcję haszyszu. - Najlepszy na świecie - zachwala. - Z Heratu.

W hotelu nasi pielgrzymi próbują haszyszu, robią sobie jednego skręta po drugim. A potem śpią jak kamienie przez dwanaście godzin.

Mansur zrywa się, kiedy muła po raz drugi wzywa wiernych. Jest wpół do pierwszej. W meczecie naprzeciwko zaraz się zacznie modlitwa. Modlitwa piątkowa. Chłopiec czuje nagle, że nie umiałby dalej żyć bez piątkowej modlitwy. Musi tam iść. I musi zdążyć. Zostawił w domu swój szalwar kamiz, czyli długą koszulę i szerokie spodnie. Nie może iść na piątkową modlitwę w zachodnim ubraniu. Jest zdesperowany.

Jak zdoła kupić teraz odpowiedni strój? Wszystkie sklepy są pozamykane. Chłopak wścieka się i klnie.

- Allah nie będzie się przejmował tym, co ty masz na sobie - burczy zaspany Akbar w nadziei, że się go pozbędzie.

- Muszę się umyć, a w hotelu zamknęli wodę - rozpacza Mansur. Tutaj jednak nie ma żadnej Lejli, na którą można by nakrzyczeć, Akbar zaś próbuje wyrzucić go za drzwi natychmiast, gdy tylko zaczyna jęczeć.

No ale woda! Muzułmanin nie może się modlić, nie obmywszy przedtem twarzy, rąk i stóp. Mansur zawodzi dalej:

- Nijak nie zdążę.

- Woda jest przed meczetem - uspokaja go Akbar i ponownie zamyka oczy.

Mansur wybiega w swoim brudnym podróżnym ubraniu.

Jak mógł wyruszyć na pielgrzymkę bez stroju do modlitwy? i bez czapki? Przeklina własne roztrzepanie, biegnąc do meczetu, by się nie spóźnić. Przy wejściu dostrzega jakiegoś żebraka ze zdeformowaną nogą. Jest sztywna i opuchnięta, skóra ma dziwną barwę. Mansur zrywa czapkę z głowy żebraka.

- Zaraz dostaniesz ją z powrotem - woła i biegnie dalej, ściskając w ręce szarobiałą czapeczkę z przepoconym brzegiem.

Zdejmuje buty przy wejściu i idzie po marmurowych płytach, wyślizganych przez tysiące bosych stóp. Obmywa ręce i nogi, wkłada czapkę na głowę i z godnością podchodzi do rzędów mężczyzn, leżących z twarzami zwróconymi w stronę Mekki. Zdążył. Na wielkim placu w dziesiątkach rzędów, po co najmniej stu ludzi w każdym, klęczą pielgrzymi. Mansur znajduje miejsce z tyłu i modli się wraz z nimi, po chwili klęczy w samym środku tłumu

rozmodlonych, bo za nim wciąż tworzą się nowe rzędy. Jest jedynym, który przyszedł w zachodnim ubraniu, ale robi wszystko to, co inni, przyciska czoło do ziemi, wypinając tyłek, prostuje się, znowu się pochyla, i tak piętnaście razy. Recytuje modlitwy, które zna, i słucha pokojowego przemówienia Rabbaniego - powtórzenia z dnia wczorajszego.

Modlitwy odbywają się przed ogrodzeniem otaczającym meczet, gdzie siedzą ciężko chorzy i czekają na uzdrowienie. Zostali umieszczeni za wysokimi parkanami, żeby nie zarazili zdrowych. Z zapadniętymi, żółtobludymi policzkami siedzą mężczyźni cierpiący na gruźlicę, prosząc Allaha, by dał im siłę. Są tu także opóźnieni w rozwoju umysłowym.

Kilkunastoletni chłopiec klaszcze gorączkowo w dłonie, a starszy brat próbuje go uspokoić. Większość jednak spogląda tylko przez szpary matowym wzrokiem. Nigdy jeszcze Mansur nie widział tak wielu śmiertelnie chorych ludzi naraz. Od tej grupy niesie się woń śmierci. Tylko najciężej chorzy dostąpili honoru siedzenia przy ścianie grobu i tutaj modlą się do Alego o cud. Im bliżej niebieskiej mozaikowej ściany, tym bliżej uzdrowienia.

Za dwa tygodnie oni wszyscy będą już martwi, myśli Mansur. Napotyka wzrok mężczyzny o przenikliwych czarnych oczach i twarzy pokrytej głębokimi, czerwonymi bliznami. Jego długie, kościste ręce pełne są ran rozdrapanych do krwi, podobnie wyglądają nogi wystające spod długiej koszuli. Ale ten człowiek ma piękne, cienkie, jasnorożowe wargi. Wargi jak płatki wiosennego kwiatu brzoskwini.

Mansura przenika dreszcz, odwraca więc wzrok. Zatrzymuje go na kolejnej zagrodzie, w której siedzą cierpiące kobiety i dzieci. Niebieskie burki z chorymi dziećmi w objęciach. Jedna z matek usnęła, a jej mongoloidalne dziecko próbuje coś powiedzieć. Ale jakby mówiło do posągu okrytego niebieską narzutą. Może matka szła przez wiele dni boso, by w noworoczny wieczór przynieść dziecko do meczetu i do grobu Alego. Może dźwigała swoje dziecko w ramionach, by zostało uzdrowione. Żaden lekarz nie potrafił jej pomóc, może Ali potrafi.

Inne dziecko rytmicznie uderza głową o złożone ręce.

Jedne kobiety siedzą apatyczne, inne drzemią, są też kulawe i niewidome. Większość jednak przyszła tutaj ze swoimi dziećmi. Czekają w nadziei, że Ali sprawi cud.

Mansura wciąż przenikają dreszcze. Porwany niezwykłym nastrojem obiecuje, że się zmieni. Chce być dobrym człowiekiem i pobożnym muzułmaninem. Będzie przestrzegał czasu modlitwy, będzie dawał jałmużnę, będzie pościł i chodził do meczetu, nawet nie spojrzy na żadną dziewczynę, dopóki się nie ożeni, nie zapuści brody i nie pojedzie do Mekki.

W momencie kiedy modlitwa się kończy, a Mansur składa swoją obietnicę, zaczyna padać. Pada deszcz i świeci słońce. Święte budowle mienią się w blasku. Światło załamuje się

w kroplach deszczu. Po chwili zaczyna lać, Mansur biegnie, odnajduje swoje buty i żebraka, któremu oddaje czapkę.

Rzuca mu w podzięcie parę banknotów i biegnie dalej przez plac w ulewnym deszczu.

- Zostałem pobłogosławiony! - krzyczy. - Uzyskałem wybaczenie! Jestem oczyszczony!

Woda rzekła do zabrudzonego: Chodź tutaj.

Brudny odpowiedział: Za bardzo się wstydzę.

A woda na to: Jak więc chcesz zmyć swój grzech beze mnie?

zapach kurzu

Nagie ciała parują. Ręce poruszają się szybko, rytmicznie.

Promienie słońca przenikają przez dwa otwory w dachu, rzucają mdłe światło na pośladki, piersi i uda. Ciała w tym rozgrzanym pomieszczeniu ledwie mającą zza kłębow pary, dopóki wzrok nie przywyknie do magicznego światła. Twarze są skoncentrowane. To nie jest zabawa, to ciężka praca.

W dwóch przestronnych halach leżą, siedzą albo stoją kobiety i szorują. Szorują same siebie, swoje dzieci i jedna drugą nawzajem. Niektóre są po rubensowsku tęgie, inne tak wychudzone, iż żebra sterczą pod skórą. Wielkimi rękawicami kąpielowymi domowej roboty trą sobie nawzajem plecy, ramiona i nogi. Pumeksem zdzierają zrogowaciałą skórę ze stóp. Matki szorują gotowe do małżeństwa córki i przy okazji uważnie oglądają ich ciała. Niewiele brakuje, a małe dziewczynki o klatkach piersiowych jak u chudego ptaka staną się karmiącymi matkami. Drobne kilkunastolatki mają szerokie rozstępy na skórze po ciążyach, do których ciało nie było jeszcze gotowe. Niemal wszystkie kobiety mają takie rozstępy na brzuchach po zbyt wczesnych i zbyt licznych porodach.

Dzieci wyją i wrzeszczą, ze strachu albo z radości. Te już wyszorowane do czysta i opłukane bawią się w napełnionych wodą baliach. Inne krzyczą z bólu i miotają się jak ryby w sieci. Tutaj nikt nie zasłania dzieciom oczu, by mydło nie dostało się do środka. Matki trą swoje pociechy wielkimi rękawicami, aż brudne, ciemnobrunatne dziecięce ciała staną się jasnoczerwone. Kąpiel i mycie to walka, w której dzieci skazane są na przegraną w zdecydowanych rękach matek.

Lejla ściera z ciała brud i starą skórę. Czarne maleńkie wałeczki wciskają się w rękawicę lub spadają na podłogę.

Minęły tygodnie od gruntownego mycia, a ostatni raz w łaźni Lejla była przed wieloma miesiącami. W domu rzadko bywa woda i Lejla nie widzi powodu, by myć się zbyt często, przecież i tak człowiek zaraz się zabrudzi.

Dzisiaj jednak przyszła do łaźni z matką i kuzynkami.

Jako panny, ona i kuzynki są szczególnie skrępowane, nie zdjęły majtek ani biustonoszy. Kąpielowa rękawica omija te miejsca. Ale ramiona, uda, nogi, barki, plecy i kark szorowane są z całych sił. Krople potu i wody mieszają się na ich twarzach, kiedy trą, masują i skrobą, im mocniej, tym czyściej.

Matka Lejli, siedemdziesięcioletnia Bibi Gol, siedzi naga w kałuży na podłodze. Długie siwe włosy spadają jej na plecy, wszędzie poza łaźnią zawsze ukrywa je pod

błękitnym szalem. Tylko tutaj pozwala sobie odkryć głowę. Włosy są takie długie, że końce moczą się w kałuży. Bibi Gol siedzi jak w transie, z przymkniętymi oczami rozkoszuje się ciepłem.

Od czasu do czasu podejmuje leniwą próbę umycia się. Zanurza myjkę w misce, którą postawiła przed nią Lejla. Szybko jednak rezygnuje, nie jest w stanie umyć sobie brzucha, a ręce ma zbyt ciężkie, by je podnieść. Obwisłe piersi opierają się o wielki brzuch. Nadal trwa więc jak w transie, sztywna niczym szary posąg.

Lejla raz po raz spogląda na matkę, by się przekonać, czy czegoś nie potrzebuje, podczas gdy ona szoruje się i rozmawia z kuzynkami. Jest dziesięcioletką i ma jeszcze dziecięce ciało, etap pośredni między dziewczyną i kobietą.

Wszyscy członkowie rodziny są raczej okrągli, przynajmniej jak na afgańskie standardy. Tłuszcz i oliwa, której nie żałują do jedzenia, daje o sobie znać w ich wyglądzie. Placki smażone w głębokim tłuszczu, ziemniaki ociekające oliwą, baranina w sosie z oliwy z przyprawami. Skóra Lejli jest biała i pozbawiona znamion, miękka jak pupa niemowlęcia. Barwa twarzy zmienia się od bledkości, poprzez odcień żółtawy, do szarego. Życie, jakie prowadzi, zostawia ślad na jej wciąż dziecięcej cerze, która nigdy nie widuje słońca, i na rękach, szorstkich i popękanych jak u starej kobiety. Lejla długo miała zawroty głowy, aż w końcu poszła do lekarza. Powiedział, że brak jej słońca, witaminy D.

Tymczasem Kabul należy do najbardziej nasłonecznionych miast świata. Słońce piecze niemal codziennie przez okrągły rok, na wysokości 1800 metrów nad poziomem morza. Słońce sprawia, że wyschnięta ziemia pęka, słońce wysusza żyzne dawniej ogrody, słońce pali skórę dzieci. Lejla jednak go nie widuje. Bo słońce nigdy nie zagląda do mieszkania na parterze bloku w Mikrorajonie, nigdy też nie dociera pod jej burkę. Ani jeden dający zdrowie promyk nie przecisnie się przez zrobioną z nici kratkę przed oczyma dziewczyny. Tylko gdy odwiedza starszą siostrę Marjam, która w swoim wiejskim domu ma tylne podwórko, Lejla pozwala, by słońce ogrzewało jej skórę. Ale rzadko ma czas, by pójść do siostry.

Lejla jest w rodzinie tą osobą, która wstaje najwcześniej i najpóźniej się kładzie. Najpierw, używając cienkich patyczków, rozpala ogień w dużej izbie, kiedy inni jeszcze tam smacznie chrapią. Potem pali w piecu łazienkowym, by nagrzać wody do mycia, na śniadanie, do prania i zmywania.

Wciąż jeszcze jest ciemno, kiedy nalewa wody do butelek, misek i garnków. O tej porze nigdy nie ma elektryczności i Lejla nauczyła się chodzić po omacku w ciemnościach. Czasem nosi ze sobą małą lampę. Potem gotuje herbatę. Herbata musi być gotowa o wpół do

siódmej, kiedy mężczyźni zaczną się budzić, bo w przeciwnym razie wybuchnie awantura. Dopóki jest woda w kranie, Lejla nieustannie napełnia garnki, przecież nigdy nie wiadomo, kiedy zakręca kurek.

Czasem woda bywa przez godzinę, a czasem nawet przez dwie.

Każdego ranka Eghbal kwiczy jak zarzynane prosię.

Wrzaski przenikają wszystkich do szpiku kości. Chłopiec leży lub siedzi skulony na macie i nie chce wstać. Czternastolatek codziennie wymyśla nową chorobę, żeby tylko nie musiał spędzać w księgarni dwunastu godzin. Ale i tak nie ma zmiłowania. Chłopak w końcu wstaje, lecz następnego dnia jego krzyki są tak samo przejmujące.

- Ty wstrętna babo! Ty stary leniu! Moje skarpetki są dziurawe - wrzeszczy i ciska skarpetkami w Lejlę. Mści się, na kim może.

- Lejla, woda wystygła! Nie ma dość ciepłej wody! Gdzie moje ubranie? Nie mam skarpetek! Przynies herbaty! Śniadanie! Wyczyść mi buty! Dlaczego wstałaś tak późno?

Słychać trzaskanie drzwiami, stukanie w ściany. Jakby w tych pokojach, na korytarzach i w łazience nagle wybuchła wojna. Synowie Sułtana kłócą się, krzyczą i płaczą. Sułtan przeważnie siedzi z Sonją, pije herbatę i je śniadanie. Sonja zajmuje się nim, Lejla robi resztę. Napełnia wodą miednice, wyjmuje ubrania, podaje herbatę, smaży jajka, kroi chleb, czyści buty. Pięciu mieszkających w tym domu mężczyzn wybiera się do pracy.

Z największą niechęcią Lejla pomaga trzem swoim bratankom, Mansurowi, Eghbalowi i Ajmalowi. Nigdy nie usłyszy od nich słowa podziękki, nigdy nikt jej nie pomoże.

- Niewychowane bachory - syczy Lejla sama do siebie, kiedy trzech chłopcy, kilka lat od niej młodszy, nieustannie jej rozkazują.

- Nie mamy mleka? Przecież mówiłem, żebyś kupiła - warczy Mansur. - Ty pasożycie! - dorzuca. Jeśli Lejla protestuje, otrzymuje zawsze tę samą, raniącą odpowiedź: - Zamknij pysk, babo! - Chłopak chętnie przy tym się zamierza, by uderzyć ją w brzuch albo w plecy. - To nie twój dom, tylko mój - syczy z zaciętością.

Lejla wcale nie uważa, że to jej dom. To dom Sułtana, Sułtana, jego synów i jego drugiej żony. Ona, Bolbol, Bibi Gol i Junus czują się w tej rodzinie niepotrzebni. Ale ucieczka stąd też nie jest żadnym wyjściem. Rozbicie rodziny to wielki skandal. Poza tym są dobrzy służącymi. Przynajmniej Lejla.

Po porannym zamieszaniu, kiedy Sułtan i jego synowie już wyjeżdżają, Lejla może odetchnąć, napić się herbaty, zjeść śniadanie. Potem trzeba po raz pierwszy tego dnia pozamiatać mieszkanie. Chodzi pochylona z niewielką miotłą z różeg i zamiata, zamiata, zamiata pokoje. Większa część kurzu wzbija się w powietrze, wiruje i osiada za Lejlą. Zapach

kurzu nigdy nie znika z mieszkania. A ona nigdy nie pozbędzie się tego kurzu, który nawarstwia się na jej ciele, hamuje jej ruchy, przesłania jej myśli. Ale zgarnia przynajmniej okruchy chleba, kawałki papieru, inne śmieci. Zamiata pokoje wielokrotnie każdego dnia. Tutaj wszystko dzieje się na podłodze, więc podłoga brudzi się najbardziej.

I właśnie ten brud powstający z kurzu Lejla próbuje zeskrobać z siebie w łaźni. To on turla się po jej skórze w postaci małych czarnych kluseczek. To kurz, który lepi się do jej życia.

- Pomyśleć, gdybym tak miała dom, który mogłabym myć tylko raz dziennie i który potem byłby czysty i aż do następnego ranka nie trzeba by było zamiatać - wzdycha Lejla do swoich kuzynek. One kiwają głowami. Jako najmłodsze córki w rodzinach prowadzą takie samo życie.

Lejla zabrała ze sobą trochę bielizny, którą chciałaby tutaj wyprać. Zwykle pranie odbywa się w półmroku, w kącie łazienki, obok otworu kloacznego. Ma wtedy kilka wielkich miednic, w jednej jest woda z mydłem, w innej Woda bez mydła, jedna na jasne rzeczy, druga na ciemne. W miskach pierze się prześcieradła, narzuty, ręczniki i ubrania. Trze się je, a przed rozwieszeniem do suszenia wywraca na lewą stronę. Suszenie to wielki problem, zwłaszcza w zimie.

Przed blokami są sznury, ale złodzieje często kradną rozwieszony tam pranie, więc Lejla z nich nie korzysta. Chyba że dzieci pilnują, dopóki nie wyschnie. Przeważnie wieszka się pranie gęsto na maleńkim balkonie. Ma on kilka metrów kwadratowych i jest wypełniony zapasami jedzenia oraz różnymi gratami. Stoi tam skrzynia ziemniaków, koszyk z cebulą, drugi z czosnkiem, wielki worek ryżu, jakieś kartony, stare buty, ścierki i inne rzeczy, których nikt nie zdecyduje się wyrzucić, bo może się jeszcze kiedyś przydadzą.

W domu Lejla chodzi ubrana w stare swetry, zniszczone i postrzępione, koszule pełne plam i spódnicę, która ciągnie się po podłodze. Spódnica wzbija w powietrze kurz, którego Lejla nie zdołała zmieścić. Na nogach ma stare, rozdeptane plastikowe sandały, a na głowie chusteczkę. Jedyne, co na tSS. niej błyszczy, to duże malowane na złoto kolczyki i plastikowa bransoletka.

- Lejla!

Głos woła cicho, wydaje się zmęczony w tym krzyku dzieci. Ledwo jest w stanie się przedrzeć przez chlupot wody, którą kobiety wylewają z wiader jedna na drugą.

- Lejlaaa!

To Bibi Gol ocknęła się z transu. Siedzi z myjką w ręce i bezradnie patrzy na Lejlę. Ta niesie w stronę wielkiej, nagiej matki dużą balię, kąpielową rękawicę, mydło i szampon.

- Połóż się na plecach - mówi.

Bibi Gol, manewrując ostrożnie, układa się na podłodze.

Lejla trze i masuje tłuste ciało matki. Piersi zwisają na boki.

Brzuch, który jest tak wielki, że kiedy Bibi Gol siedzi lub stoi, przesłania jej łono, teraz leży niczym biała, bezkształtna masa. Matka śmieje się, również ona dostrzega komizm sytuacji. Drobną, kruchą córką i potężną starą matką. Różnica wieku między nimi to blisko pięćdziesiąt lat. Kiedy one się śmieją, inne kobiety też zaczynają się uśmiechać. i nagle wszystkie wybuchają śmiechem z tego skrobania na podłodze.

- Jesteś taka tłusta, mamó, że możesz z tego umrzeć - robi matce wymówki Lejla, starając się wymyć wszystkie miejsca, do których matka sama nie sięga. Po chwili przewraca ją na brzuch. Korzysta też z pomocy kuzynek, teraz każda szoruje inną część ogromnego ciała Bibi Gol. Na koniec myją jej długie, gładkie włosy. Na tył głowy wylewają różowy chiński szampon. Lejla ostrożnie masuje skórę, jakby się bała, że wyrwie resztkę matczynej włosów. Butelka z szamponem powoli robi się pusta. To jeszcze pozostałość z czasów talibów, kobieca głowa na etykiecie została starannie zamazana czarnym wodoodpornym tuszem. Policja religijna, która niszczyła książki Sułtana, zajmowała się też etykietami. Jeśli napotkała wizerunek kobiety na butelce szamponu czy buzię dziecka na kostce mydła, wszystko kazała zamazywać.

Woda zaczyna stygnąć. Dzieci, które nie zostały jeszcze dobrze wymyte, wrzeszczą głośniejsz niż dotąd. Wkrótce w tym niedawno jeszcze pełnym dymiącej pary pomieszczeniu będzie tylko zimna woda. Kobiety opuszczają łaźnię, a w miarę jak wychodzą, widać, ile śmieci po sobie zostawiły. W kątach leżą skorupki jaj i zgniłe jabłka. Na podłodze gnój, bo kobiety przyszły do łaźni w tych samych plastikowych sandałach, w których poruszają się po wiejskich ścieżkach i wchodzą do ustępów na swoich tylnych podwórkach.

Bibi Gol z Lejlą i kuzynkami wciąż jeszcze są zajęte. Po myciu problemem jest włożenie ubrania. Nie przyniesiono nic na zmianę, trzeba z powrotem włożyć to, w czym się przyszło. Na koniec wszystkie wciągają przez świeżo wymyte głowy burki. Burki z ich własnym zapachem. Ponieważ pod ten strój dostaje się z zewnątrz bardzo niewiele powietrza, każda burka ma swoją specyficzną woń. Burka Bibi Gol rozsiewa ten nieokreślony zapach, jaki ją zawsze otacza, zapach starego oddechu pomieszany ze słodką wonią kwiatów i czymś cierpkim. Burka Lejli pachnie młodym potem i oparami kuchennymi. Właściwie wszystkie burki w rodzinie Sułtana Chana cuchną tym starym tłuszczem i w ogóle jedzeniem, bo w domu wiszą na gwoździach tuż przy kuchni. Teraz kobiety są czyste pod burkami i bielizną,

ale zapach różowego szamponu walczy o lepsze z wonią jedzenia. Wkrótce odzyskają woń, która tkwi w ich burkach. Zapach starej niewolnicy, zapach młodej niewolnicy.

Bibi Gol kroczy przodem, trzy młode dziewczyny mają okazję porozmawiać. Idą obok siebie i chichoczą. Na pustej ulicy pozwalają sobie nawet odsłonić twarze. Tutaj spotkać można tylko małych chłopców i psy. Chłodny wietrzyk dobrze robi skórze, która wciąż się poci. Powietrze jednak nie jest takie świeże. Boczne uliczki i zaułki Kabulu cuchną gnijącymi śmieciami i szambem. Pełen gnojówki rynsztok ciągnie się wzdłuż ubitej drogi między glinianymi chatami. Ale dziewczyny nie zauważają smrodu rynsztoka ani kurzu, który z wolna osiada im na twarzach i zasklepia pory. Czują słońce na skórze i śmieją się uradowane. Nagle pojawia się jakiś mężczyzna na rowerze.

- Zasłaniajcie się dziewczyny, boja płonę! - woła, przejeżdżając obok nich.

One spoglądają po sobie i śmieją się z zabawnego wyrazu jego twarzy. Ale kiedy zawraca i znowu jedzie w ich stronę, wszystkie zasłaniają twarze.

- Jak król wróci, przestanę nosić burkę - oznajmia Lejla, nagle bardzo poważna. - Bo wtedy w kraju zapanuje pokój.

- On na pewno już nie wróci - stwierdza kuzynka zza zasłony.

- Ludzie mówią, że ma wrócić jeszcze tej wiosny - upiera się Lejla.

Tymczasem jednak bezpieczniej jest się zasłaniać, zwłaszcza że dziewczyny są na ulicy same.

Całkiem sama Lejla nigdy nie wychodzi. Młoda kobieta nie powinna poruszać się poza domem bez towarzystwa. Kto wie, dokąd idzie? Może na spotkanie z kimś, a może po to, żeby grzeszyć. Nawet na targ warzywny, parę minut drogi od domu, Lejla nie chodzi sama. Zabiera ze sobą przynajmniej małego synka sąsiadów. Albo go prosi, żeby zrobił dla niej zakupy. Sama - tego pojęcia Lejla nie zna. Nigdy nie była sama w mieszkaniu, nigdy nigdzie sama nie poszła, nigdy sama nie spała. Wszystkie noce swego życia spędziła na macie u boku matki. Lejla nie wie, co to znaczy być samą, i wcale za tym nie tęskni. Jedyne, czego by mogła pragnąć, to więcej spokoju. I nieco mniej pracy.

Kiedy wraca do domu, zastaje tam kompletny chaos.

Wszędzie stoją skrzynie, torby i walizki.

- Szarifa wróciła do domu! Szarifa! - pokazuje palcem Bolbol, uszczęśliwiona, że Lejla już jest i przejmie rolę gospodyni. Szabnam, najmłodsza córka Szarify i Sułtana, biega po pokojach szczęśliwa jak młody żreback. Obejmuje Lejlę, która z kolei obejmuje Szarifę. Pośrodku tego wszystkiego stoi i uśmiecha się druga żona Sułtana z Latifą na rękach.

Całkiem nieoczekiwanie Sułtan przywiózł Szarifę i Szabnam z Pakistanu do domu.

- Na lato - mówi Sułtan.

- Na zawsze - szepcze Szarifa.

Sułtan pojechał już do księgarni, w domu są tylko kobiety. Rozsiadają się kręgiem na podłodze. Szarifa rozdziela prezenty. Suknia dla Lejli, szal dla Sonji, torebka dla Bolbol, szydełkowy zakiet dla Bibi Gol, ubrania i plastikowe ozdoby dla reszty rodziny. Swoim synom przywiozła mnóstwo kupionych na pakistańskich bazarach ubrań, jakich w Kabulu nie można dostać. I zabrała z mieszkania swoje ulubione rzeczy.

- Nigdy więcej tam nie wrócę - mówi. - Nienawidzę Pakistanu.

Ale dobrze wie, że wszystko jest w rękach Sułtana. Jeśli Sułtan zechce, by pojechała, będzie musiała to zrobić.

Dwie żony Sułtana siedzą i gadają jak stare przyjaciółki.

Oglądają materiały, przymierzają bluzki i ozdoby. Sonja głaszcze rzeczy, które dostała dla siebie i córeczki. Sułtan rzadko przywozi młodej żonie prezenty, więc powrót Szarify jest miłą odmianą w jej monotonnej egzystencji. Ubiera Latifę niczym lalkę w nową czerwoną sukienkę.

Zaczyna się wymiana nowin - nie widziały się od ponad roku. W mieszkaniu nie ma telefonu, więc nawet tak nie mogły porozmawiać. Najważniejsze wydarzenie, jakie przeżyły kobiety w Kabulu, to wesele Szakili, teraz więc opowiadają z najdrobniejszymi szczegółami o tym, jakie prezenty dostała panna młoda, o sukniach, jakie one na sobie miały.

Mówią o pozostałych krewnych. O ich dzieciach, zaręczynach, ślubach, wyliczają, kto umarł.

Szarifa przekazuje nowiny z życia uchodźców w Pakistanie. O tym, kto wrócił do domu, a kto został.

- Saligha się zaręczyła - opowiada. - To się musiało tak skończyć, chociaż rodzina dziewczyny była przeciwna. Chłopak nie ma przecież nic i leń z niego też okropny, do niczego się nie nadaje - mówi wzburzona Szarifa, a pozostałe kobiety przytakują.

Wszystkie pamiętają Salighę jako wielką strojnisię, ale mimo to żal im dziewczyny, która będzie musiała wyjść za ubogiego chłopaka.

- Po tym, jak spotkała się z nim w parku, miała miesiąc domowego aresztu - relacjonuje Szarifa. - Aż pewnego dnia matka i ciotka chłopaka przyszły prosić o jej rękę. Rodzice Salighi zgodzili się, bo przecież nie mieli wyboru, szkoda już i tak się stała. A to przyjęcie zaręczynowe! Prawdziwy skandal!

Kobiety słuchają z wielkim zainteresowaniem. Szczególnie Sonja. Ona chłonie takie historie wszystkimi zmysłami.

Opowieści Szarify to są jej mydlane opery.

- Prawdziwy skandal - powtarza Szarifa, by podkreślić wagę swoich słów.

Jest rzeczą normalną, że rodzina przyszłego pana młodego opłaca uroczystość zaręczynową, suknie, biżuterię i tak dalej.

- Kiedy przyszło do planowania uroczystości, to ojciec chłopaka położył parę tysięcy rupii na ręce ojca dziewczyny, który właśnie przyjechał z Europy, by zająć się rodzinną tragedią. Jak zobaczył, ile pieniędzy mu dają, to je po prostu cisnął na podłogę. Zawołał: "Ty myślisz, że możesz urządzić zaręczyny za parę miedziaków?" - Szarifa siedziała na schodach, kiedy to się działo, i wszystko słyszała, więc teraz mówi prawdę. - "Nie, zabieraj sobie te swoje drobne", powiedział. "Sami wszystko opłacimy".

Ojciec Salighi też nie miał wiele pieniędzy, czekał na azyl w Belgii, by potem ściągnąć do siebie rodzinę. Dostał już odmowę w Holandii i teraz żyje za pieniądze belgijskiego państwa. Ale przecież uroczystość zaręczynowa to ważne wydarzenie, bo zaręczyny są prawie nierozzerwalne. Jeśli jednak zostaną zerwane, to niezależnie od przyczyny, z jakiej do tego doszło, dziewczyna będzie miała poważne kłopoty ze znalezieniem innego kandydata na męża. Uroczystość zaręczynowa jest również sprawdzianem rodziny, odzwierciedleniem jej sytuacji. Widać, jakie kupiono ozdoby i ile kosztowały. Jakie jedzenie, ile kosztowało. Jaka suknia, ile kosztowała. Jaka orkiestra, ile kosztuje. Goście muszą widzieć, że rodzina chłopaka ceni przyszłą synową, nowego członka rodziny. Jeżeli uroczystość jest biedna, to znaczy, że nie szanują narzeczonej, a tym samym jej rodziny. Że ojciec musiał się zadłużyć na zaręczyny, z których nikt oprócz Salighi i jej ukochanego właściwie nie jest zadowolony, to nic w porównaniu ze wstydem, jaki by ich spotkał, gdyby przyjęcie zaręczynowe było nie takie, jak trzeba.

- Ona już zaczęła żałować - krzyczy Szarifa. - Bo kawaler nie ma pieniędzy. Bardzo szybko się przekonała, jaki to golec. No, ale jest za późno. Jeżeli zerwie zaręczyny, to nikt inny jej nie zechce. Chodzi teraz i podzwania sześciora bransoletkami, które od niego dostała. Mówi, że są złote, ale i ja wiem, i ona wie, że bransoletki są stalowe, pomalowane złotą farbą. Na wieczór noworoczny nawet nie kupił jej nowej sukni. Czy wyście kiedy słyszały o pannie, której narzeczony nie kupił nowej sukni na noworoczny wieczór? - Szarifa nabiera powietrza w płuca i mówi dalej: - Teraz on przesiaduje u nich całymi dniami. Naprawdę za dużo czasu tam spędza.

Jej matka nie ma żadnej kontroli nad tym, co młodzi robią.

Okropne, okropne, co za wstyd, tak jej powiedziałam - wzdycha Szarifa, a trzy siedzące przy niej kobiety już mają gotowe kolejne pytania.

O tego i o tego, i o tamtego. Nadal wielu krewnych mieszka w Pakistanie, różne ciotki, wujowie, rodzeństwo, ci wszyscy, którzy nie uważają, że sytuacja jest na tyle bezpieczna, by wracać. Inni nie mają do czego wrócić, bo ich dom został zbombardowany, ziemia naszpikowana minami, sklep spalony. Ale wszyscy tęsknią do swoich, jak Szarifa.

Wkrótce minie rok, odkąd nie widziała synów.

Lejla musi iść do kuchni gotować obiad. Cieszy się, że Szarifa wróciła. Taka sytuacja jest najwłaściwsza. Boi się jednak kłótni, które zawsze pojawiają się razem z bratową, kłótni z synami, ze szwagierkami, z teściową. Dobrze pamięta, jak Szarifa kazała im się wynosić. „Zabieraj swoje córki i wyprowadzaj się - mówiła do Bibi Gol - nie mamy tu dla was miejsca. Chcemy mieszkać sami!” - krzychała, kiedy Sułtana nie było w domu. Dopiero w ostatnich latach, po tym jak Sułtan wziął sobie nową żonę, Szarifa przybrała nieco łagodniejszy ton wobec jego rodziny.

I będzie teraz jeszcze mniej miejsca, wzdycha Lejla. Zamiast jedenastu osób, będzie nas mieszkać trzynastoro w tych ciasnych pokoikach.

Dziewczyna sieka cebulę i wylewa nad nią gorzkie łzy.

Prawdziwy płacz to u niej rzadkość, stłumiła w sobie pragnienia, tęsknoty i rozczarowania. Zapach świeżo wymytego w łaźni ciała już dawno się ulotnił. Olej z patelni przyska jej na włosy i zostawia tam woń zjełczałego tłuszczu. Pięką ją popękane dłonie, kiedy wżera się w nie sos chili.

Przygotowuje prosty obiad, nic szczególnego, z okazji powrotu Szarify do domu. W ich rodzinie nie zwykło się urządzać uroczystości na cześć kobiet. Poza tym musi gotować to, co lubi Sułtan. Mięso, ryż, szpinak i fasolę. W baranim tłuszczu. Często mięso jest tylko dla Sułtana i jego synów, może też kawałek dla Bibi Gol, reszta je ryż i fasolę.

„Wy przecież nie zarabiacie. Żyjecie na mój koszt” - mówi im Sułtan.

Każdego wieczora Sułtan przynosi pliki pieniędzy ze swoich księgarni. I każdego wieczora zamyka je w szafie na klucz. Często przynosi też torby pełne soczystych granatów, słodkich bananów, mandarynek i jabłek. Ale wszystkie owoce też się zamyka w szafie na klucz. Mogą je jeść tylko Sułtan i Sonja. Tylko oni mają klucz. Owoce są drogie, zwłaszcza po sezonie.

Lejla spogląda na kilka małych, twardych pomarańcz leżących na okiennym parapecie. Zaczęły schnąć i Sonja wyłożyła je w kuchni do ogólnego użytku. Lejli jednak nawet by do głowy nie przyszło ich spróbować. Skoro została skazana na to, by jeść fasolę, to będzie jeść fasolę. A pomarańcze niech sobie leżą, dopóki nie zgniją albo nie wyschną na kamień. Lejla prostuje kark i stawia ciężki garnek z ryżem na prymusie. Posiekaną cebulę

wrzuca na patelnię napełnioną do połowy rozgrzanym olejem, dokłada pokrajane pomidory, przyprawy i ziemniaki. Lejla jest bardzo zręczną kucharką. Zresztą Lejla jest zręczna do wielu rzeczy. Dlatego właśnie jej powierza się większość prac. W czasie posiłków ona siedzi zazwyczaj w kącie przy drzwiach i zrywa się co chwilę, gdy ktoś czegoś potrzebuje, albo żeby dołożyć do półmisek. Dopiero kiedy wie, że wszyscy się najedli, kładzie na swój talerz, co jeszcze zostało. Przeważnie trochę ryżu z olejem i resztkę gotowanej fasoli.

Została wychowana do służenia i jest służącą. Wszyscy jej rozkazują. A w miarę jak przybywa rozkazów, ubywa szacunku dla sługi. Jeśli ktoś jest w złym humorze, krzyczy na Lejlę. Plama, która się nie sprąła ze swetra, źle upieczone mięso, każdy powód jest dobry, jeśli się szuka kogoś, na kim można wyładować swój gniew.

Kiedy zaprasza się krewnych, to Lejla drepcze po mieszkaniu od bladego świtu, bo najpierw musi przygotować śniadanie dla rodziny, a potem obierać ziemniaki, gotować mięso, krajać jarzyny. Nie ma nawet czasu, żeby się ładnie ubrać na przyjęcie gości, ponieważ wciąż podaje do stołu, a potem resztę czasu spędza na zmywaniu. Jest jak Kopciuszek, tyle że w świecie Lejli nie istnieje żaden książę.

Wraca do domu Sułtan z Mansurem, Eghbalem i Ajmalem. Całuje Sonję w korytarzu, a w izbie krótko pozdrawia Szarifę. Spędzili razem w samochodzie cały dzień w drodze z Peszawaru do Kabulu, nie ma więc potrzeby prowadzenia dalszych rozmów. Sułtan i synowie siadają. Lejla przynosi w cynowej misce wodę do mycia rąk i dzbanek. Po kolei stawia miskę przed każdym z nich, żeby umyli ręce, a potem podaje im ręcznik. Ceratowy obrus został rozpostarty na podłodze i można podawać jedzenie.

Wrócił do domu również Junus, najmłodszy brat Sułtana, i serdecznie wita się z Szarifą. Wypytuje ją o krewnych, choć na ogół raczej milczy. Podczas posiłku rzadko się odzywa.

Jest spokojny i rozważny, nieczęsto bierze udział w rodzinnych rozmowach. Jakby go nic nie obchodziło i jakby chciał wszelkie doznania zachować dla siebie. Ten dwudziestoosmioletni mężczyzna jest głęboko niezadowolony ze swojego losu. Pieskie życie - powiada. - Praca od rana do wieczora i okruchy z braterskiego stołu”.

Junus jest jedynym w rodzinie, któremu Lejla chętnie służy. Bo tego brata lubi naprawdę. On też często wraca do domu z drobnymi podarkami dla niej; a to przyniesie plastikową spinkę, a to grzebyk.

Tego wieczora Junus rozmyśla o konkretnej sprawie.

Woli jednak poczekać z zadawaniem pytań. Szarifa wychodzi mu naprzeciw.

- Sprawa z Belghisą się skomplikowała - mówi. - Ojciec dziewczyny by się zgodził, ale matka jest przeciwna. Z początku ona też chciała, ale potem porozmawiała z jakimś krewnym, który również ma synów i młodszego chciałby ożenić z Belghisą. Zaproponowali sporo pieniędzy i matka zaczęła mieć wątpliwości. Poza tym ten krewny rozpowiada nieprzyjemne rzeczy o naszej rodzinie. Tak że nie mam dla ciebie żadnej odpowiedzi.

Junus czerwieni się i spogląda na zebranych w milczeniu.

Cała sytuacja jest przykra. Mansur chichocze.

- Wnuczka nie chciała wychodzić za dziadka - mamrocze tak, żeby usłyszał Junus, ale Sułtan nie. Junus czuje, że jego ostatnia nadzieja zgasła. Jest zmęczony. Zmęczony szukaniem, zmęczony czekaniem, zmęczony mieszkaniem w ciasnocie.

- Herbaty! - rozkazuje, by przerwać potok słów Szarify o tym, dlaczego rodzina Belghisy nie chce wydać za niego swojej córki.

Lejla wstaje. Jest rozczarowana, że Junusowi tak się nie wiedzie z ożenkiem. Miała nadzieję, że kiedy brat założy własną rodzinę, zabierze ją i matkę do siebie. Mogliby mieszkać wszyscy razem, Lejla byłaby miła, bardzo miła.

Nauczyłyby Belghisę wszystkiego, zresztą sama wykonywałaby najcięższe prace. Belghisa mogłaby nawet dalej się uczyć, gdyby chciała. Byłoby im razem naprawdę bardzo dobrze.

Zrobiłaby wszystko, żeby tylko wyjść z domu Sułtana, gdzie nikt jej nie ceni. Sułtan ma pretensje, że nie przygotowuje takiego jedzenia, jakie on lubi, że sama je za dużo, że nie robi tego, o co Sonja ją prosi. Mansur stale ją zaczepia i dokucza jej, wciąż powtarza:

- Mnie nie obchodzi nikt, kto nie ma znaczenia dla mojej przyszłości. A ty, ty nic dla mnie nie znaczysz. Siedzisz tu na utrzymaniu mojego ojca, wynoś się. - I śmieje się szyderczo, bo dobrze wie, że ciotka nie ma dokąd pójść.

Lejla przynosi herbatę. Słabą zieloną herbatę. Pyta Junusa, czy wyprasować mu spodnie na jutro. Właśnie je uprała, a Junus ma tylko dwie pary, więc Lejla musi wiedzieć, czy te uprane nie będą mu jutro potrzebne. Junus kiwa głową, że tak.

- Moja ciotka jest głupia - mówi Mansur. - Zawsze kiedy ma się odezwać, z góry wiem, co powie. Jest najnudniejszą osobą, jaką znam - szydzi i kpi. Wychowywał się razem ze swoją o trzy lata starszą ciotką, ale nie jako brat, lecz jako szef.

Lejla zawsze powtarza wszystko dwa razy, ponieważ nie wierzy, że ludzie jej słuchają. Przeważnie mówi o codziennych sprawach, bo to jest jej świat. Ale potrafi też się weselić i śmiać z kuzynkami, siostrami lub siostrzenicami. Lejla potrafi zaskoczyć opowiadaniem zabawnej historii. Umie śmiać się tak, że cała jej twarz się zmienia. Ale to nie

zdarza się nigdy podczas rodzinnego obiadu. Wtedy przeważnie milczy. Czasami śmieje się z prostackich dowcipów bratanków, ale jak powiedziała do jednej kuzynki: śmieję się ustami, nie sercem.

Po wysłuchaniu nieprzyjemnej historii o Belghisie nikt już właściwie nie ma nic do powiedzenia podczas tego pierwszego posiłku po powrocie Szarify. Ajmal bawi się z Latifą, Szabnam bawi się lalkami małej, Eghbal kłóci się z Mansurem, Sułtan flirtuje z Sonją. Reszta je w milczeniu, dopóki nie przychodzi pora kłaść się spać. Szarifa i Szabnam zostają umieszczone w pokoju, w którym już sypiają Bibi Gol, Lejla, Bolbol, Eghbal, Ajmal i Fazel. Sułtan i Sonja zatrzymują swoją sypialnię. O północy wszyscy leżą już na matach, jedno blisko drugiego.

Tylko Lejla stoi jeszcze w blasku świecy i szykuje jedzenie. Sułtan chce mieć w pracy posiłki przygotowane w domu. Lejla smaży więc kurczaka w oliwie, gotuje ryż, przygotowuje sos warzywny. Gdy wszystko dochodzi na piecu, ona zmywa po rodzinnym obiedzie. Płomień świecy oświetla jej twarz. Ma wielkie cienie pod oczami. Kiedy jedzenie jest gotowe, zdejmuje garnki z ognia, owija je szczelnie i mocno przywiązuje pokrywy, by nie pospadały, gdy Sułtan i synowie będą je rano wieźli. W końcu zmywa olej z dłoni i kładzie się spać. W tym samym ubraniu, w którym chodziła przez cały dzień. Rozkłada na podłodze matę, okrywa się kołdrą i zasypia. Na parę godzin, dopóki mułła jej nie obudzi. Wtedy Lejla zaczyna nowy dzień przy akompaniamencie Allahu akbar.

Nowy dzień, który smakuje i pachnie tak jak wszystkie inne dni. Dzień, który pachnie kurzem.

próba

Pewnego popołudnia Lejla wkłada burkę oraz wyjściowe buty na wysokich obcasach i wymyka się z mieszkania.

Mija wypaczone główne drzwi bloku, przebiega obok suszącego się prania. Na podwórzu zabiera ze sobą małego chłopca od sąsiadów, dla towarzystwa i w charakterze przyzwoitki. Przechodzą przez most na wyschniętej rzece Kabul i znikają pod drzewami jednej z nielicznych w mieście alej.

Mijają pucybutów, sprzedawców melonów i piekarzy. i mężczyzn, którzy tylko stoją i patrzą. Tych mężczyzn Lejla obawia się najbardziej. Takich, co to mają czas i dają sobie czas, by się gapić.

Liście na drzewach są zielone po raz pierwszy od bardzo dawna. W ciągu ostatnich trzech lat w Kabulu spadło dosłownie parę kropel deszczu i pąki na drzewach czerniały w słońcu, zanim zdążyły się rozwinąć. Tej wiosny, pierwszej po ucieczce talibów, deszcz pada często, błogosławiony deszcz, cudowny deszcz. Wprawdzie nie jest go aż tyle, by rzeka Kabul mogła się znowu wypełnić po brzegi, ale wystarczająco dużo, by tych parę drzew, które przetrwały suszę, zdołało się zazielenić. I wystarczająco dużo, żeby pył między drzewami nie wzbijał się w powietrze przy lada podmuchu.

Pył, ten piękny piaskowy pył, który jest przekleństwem Kabulu. Podczas deszczu pył przemienia się w glinę, ale kiedy robi się sucho, wiruje w powietrzu, zatyka nosy, drażni oczy i wywołuje zapalenie spojówek, wdziera się do gardła i osiada w płucach. Tego przedpołudnia padało i powietrze jest rześkie. Ale wilgotne powietrze nie przenika pod burkę.

Lejla czuje jedynie zapach własnego, nerwowego oddechu i pulsowanie w skroniach.

Na betonowym bloku numer 4 w osiedlu Mikrorejon wisi wielki napis "Kurs". Przed budynkiem stoi długa kolejka zainteresowanych. Będą tu prowadzone kursy dla analfabetów, kursy komputerowe i językowe. Lejla chciałaby chodzić na kurs języka angielskiego. Koło drzwi przy małym stoliku siedzą dwaj mężczyźni prowadzący zapisy. Lejla płaci wpisowe, po czym w tłumie innych kandydatów idzie szukać swojej klasy. Schodzi po schodach do piwnicy, która wygląda jak schron przeciwbombowy. Ślady po kulach układają się na ścianach w rozmaite wzory. Podczas wojny domowej pomieszczenie było magazynem broni, tuż nad nim mieszkali ludzie. Poszczególne "klasy" są od siebie pooddzielane przegrodami z desek. W każdej znajduje się tablica, patyk do pokazywania i kilka ławek. W niektórych są nawet pulpity. Zewsząd dociera przyciszony szum głosów, w pomieszczeniach zaczyna być gorąco.

Lejla odnajduje swoją klasę. Angielski dla średnio zaawansowanych. Przyszła wcześniej, a razem z nią paru wyrostków.

Czy to naprawdę możliwe? W jednej grupie z chłopcami? Zastanawia się. Ma ochotę zawrócić i odejść stąd, ale powstrzymuje się całą siłą woli. Siada w ostatniej ławce.

W drugim kącie siedzą bez ruchu jakieś dwie dziewczyny.

Głosy z sąsiednich pomieszczeń łączą się w głuchy szum.

Muszą czekać dosyć długo na nauczyciela. Chłopcy tymczasem zaczynają wypisywać na tablicy jakieś angielskie słowa, pussy, dick, fuck. Lejla przygląda się temu bez zainteresowania. Ale ma ze sobą słownik angielskopolski i sprawdza pod ławką, tak by chłopcy nie zauważyli. Tych słów jednak w słowniku nie znajduje. Dziewczyna zaczyna się czuć bardzo źle. Sama, prawie sama z tłumem chłopców w swoim wieku, a nawet młodszych. Nie powinna była tu przychodzić.

Teraz żałuje. No bo gdyby tak któryś do niej zagadał? Cóż za wstyd! A ona na dodatek zdjęła burkę. Przecież w klasie nie siedzi się w burce, pomyślała. I wystawiła się na widok publiczny odsłonięta.

Wchodzi nauczyciel i chłopcy pospiesznie zmazują to, co napisali. Ta lekcja to godzina udręki. Wszyscy muszą się przedstawić, powiedzieć, ile mają lat, opowiedzieć coś po angielsku. Nauczyciel, szczupły, młody mężczyzna, kieruje patyk do pokazywania w stronę Lejli i prosi, by teraz ona się przedstawiła. A ona czuje się tak, jakby musiała obnażyć własną duszę przy tych chłopcach. Czuje, że się zbrukała, odsłoniła się, splamiła swoją cześć. Czego oczekiwała, zapisując się na ten kurs? Nigdy w życiu nie przyszłoby jej do głowy, że chłopcy i dziewczyny mogą chodzić do tej samej klasy. Nigdy. To nie był jej błąd.

Nie ma odwagi wyjść w czasie lekcji. Nauczyciel by za nią pobiegł i pytał dlaczego. Ale gdy tylko zajęcia się kończą, zrywa się z miejsca i ucieka. W domu, już bezpieczna, wiesza w korytarzu na gwoździu burkę.

- Okropne! W klasie byli chłopcy.

Kobiety patrzą na nią z otwartymi ustami.

- To niedobrze - powiada w końcu matka. - Nie możesz tam więcej chodzić.

Lejli nawet by przez myśl nie przeszło, żeby wrócić do tej szkoły. Talibowie wprawdzie zniknęli z życia kraju, ale pozostali w głowie Lejli. I w głowie Bibi Gol, Szarify oraz Sonji.

Kobiety w Mikrorejonie cieszyły się, kiedy czas talibów minął, bo teraz mogą słuchać muzyki, tańczyć, malować paznokcie u nóg, jeśli nikt tego nie zobaczy, i nadal mogą się

ukrywać pod dającą poczucie bezpieczeństwa burką. Lejla jest prawdziwym dzieckiem wojny domowej, rządów mułłów i talibów. Jest dzieckiem strachu. Teraz serce jej krwawi.

Próbowała się wyrwać, zrobić coś samodzielnie, nauczyć się czegoś, ale popełniła błąd. Przez pięć lat dziewczętom nie wolno było się niczego uczyć. Teraz już wolno, ale tamten zakaz ciągle w nich trwa. Żeby chociaż Sułtan pozwolił jej chodzić do gimnazjum, toby nie było problemu. Tam są klasy wyłącznie dla dziewcząt.

Usiadła na podłodze w kuchni, by obierać cebulę i ziemniaki. Siedzi tam już Sonja, karmi piersią Latifę i je smażone jajka. Lejla nie jest w stanie z nią rozmawiać. Ta głupia dziewczyna nie zdołała się nawet nauczyć alfabetu. Zresztą wcale za bardzo nie próbowała. Sułtan wynajął prywatnego nauczyciela, żeby nauczył ją czytać i pisać. Ale młodej żonie jakoś nie szło, każda lekcja była jak pierwsza, ostatecznie w ciągu paru miesięcy opanowała pięć liter i dała za wygraną, poprosiła Sułtana, by pozwolił jej zakończyć naukę. Mansur od samego początku szydził z tego prywatnego kształcenia Sonji. "Pewien człowiek miał wszystko, już sam nie wiedział, co dalej robić, więc postanowił nauczyć swojego osła mówić" - powtarzał ze śmiechem. Nawet Lejla, która przeważnie nie lubiła żartów Mansura, musiała się z tego śmiać.

Lejla próbowała mścić się na Sonji, jak tylko mogła, i krytykowała wszystko, co tamta powiedziała głupiego, ale tylko pod nieobecność Sułtana. Dla Lejli Sonja była biedną wiejską dziewczyną, która została wyniesiona do ich względnego dobrobytu tylko dlatego, że jest ładna. Nie lubiła bratowej za wszystkie przywileje, które Sułtan przyznał młodej żonie, a także dlatego, że rozdział pracy między te dwie równe wiekiem kobiety był taki niesprawiedliwy. Właściwie nic nie miała do Sonji, która przeważnie siedziała z łagodną, jakby nieobecną miną i przyglądała się wszystkiemu, co się wokół niej działo. W rzeczywistości wcale też nie była leniwa, w rodzinnej wsi, kiedy musiała pracować u rodziców, świetnie sobie radziła. To Sułtan nie pozwalał jej nic robić. Kiedy nie było go w domu, ona chętnie zajmowała się tym i owym.

Mimo wszystko irytowała Lejlę. Siedziała po całych dniach i czekała na Sułtana, zrywała się z miejsca dopiero, gdy przychodził. Kiedy wyjeżdżał w interesach, chodziła nieumyta, w brudnym ubraniu. Gdy był w domu, pudrowała na białą smagłą twarz, czerniła oczy i malowała usta.

Sonja w wieku szesnastu lat z dziecka stała się żoną. Płakała przed ślubem, ale jako dobrze wychowana córka szybko pogodziła się z myślą, że będzie miała męża. Dorastała bez specjalnych oczekiwań wobec życia, a Sułtan dobrze wykorzystał dwa miesiące narzeczeństwa. Tak nastawił rodziców dziewczyny, że pozwolili mu przebywać z nią sam na

sam przed weselem. Właściwie narzeczeni nie powinni się spotkać ani razu między uroczystością zaręczynową a ślubem, choć zakaz ten jest często łamany. Ale co innego chodzić razem na zakupy, a co innego spędzać razem noc. To po prostu niesłychane. Starszy brat Sonji chciał z nożem w rękę bronić jej czci, kiedy się dowiedział, że Sułtan dał rodzicom pieniądze, by móc nocować z Sonją przed ślubem. Ale nawet rozgniewanego brata dało się uciszyć brzęczącą monetą i Sułtan otrzymał to, czego chciał. On zresztą uważał, że robi Sonji przysługę. "Trzeba ją przygotować do nocy poślubnej, bo jest jeszcze bardzo młoda, ja zaś jestem doświadczonym mężczyzną - tłumaczył jej rodzicom. - Jeśli teraz będziemy spędzać więcej czasu razem, noc poślubna nie będzie dla niej takim wielkim szokiem. Obiecuję jednak, że jej nie wykorzystam" - zapewniał. I krok po kroku przygotowywał szesnastolatkę do roli żony.

Po dwóch latach małżeństwa Sonja jest zadowolona ze swojego monotonnego życia. Nie pragnie niczego więcej, jak siedzieć spokojnie w domu, czasem pójść z wizytą do krewnych, czasem ich zaprosić do siebie, dostać nową suknię i co pięć lat złotą bransoletkę.

Pewnego razu Sułtan zabrał ją do Teheranu, gdy jechał tam w interesach. Spędzili w Iranie miesiąc i wszystkie kobiety w Mikrorejonie były bardzo ciekawe, co też Sonja przeżyła za granicą. Ale gdy wrócili, Sonja nie miała nic do opowiadania. W Teheranie mieszkali u krewnych i ona bawiła się ze swoją córeczką na podłodze jak zwykle. Ledwo widziała miasto i wcale nie chciała poznawać go bliżej. Jedyne, co potrafiła powiedzieć, to że na bazarze w Teheranie są rzeczy ładniejsze niż w Kabulu.

Dla Sonji ważne jest tylko jedno, żeby urodzić więcej dzieci, to znaczy synów. Teraz jest znowu brzemienna i śmiertelnie się boi, że mogłaby mieć drugą córkę. Kiedy Latifa ściąga z niej szal lub chce się nim bawić, daje jej klapsa i wrywa szal. Bo ludzie mówią, że jeśli najmłodsze dziecko bawi się szalem matki, następna przyjdzie na świat córka.

- Jeżeli będę miała córkę, to Sułtan weźmie sobie trzecią żonę - wzdycha Sonja, kiedy tak siedzą z Lejlą w milczeniu na podłodze w kuchni.

- On tak powiedział? - pyta Lejla zaskoczona.

- Tak, wczoraj.

- E, tak tylko mówi, żeby cię straszyć.

Sonja jednak nie słucha.

- Nie mogę urodzić drugiej córki, nie mogę mieć córki - mamrocze, aż dziecko na jej kolanach zasypia, ukołysane monotonnym głosem matki.

Głupia krowa, myśli Lejla o równej sobie wiekiem bratowej. Nie jest w nastroju do rozmów. Musi stąd odejść, wie to na pewno. Wie, że nie będzie już w stanie siedzieć całymi

dniami w domu z Sonją, Bolbol, Szarifą i matką. Ja tu zwariuję, myśli. Nie jestem w stanie dłużej tu mieszkać. To nie jest moje miejsce.

Wspomina Fazela i sposób, w jaki potraktował go Sułtan.

Ta sprawa uświadomiła jej, że czas stanąć na własnych nogach, i dlatego wymyśliła ten kurs angielskiego.

Jedenastoletni Fazel całymi dniami pracował, dźwigał skrzynki z książkami w księgarni, wieczorami jadał z rodziną, a w nocy kulił się na cienkiej macie tuż obok Lejli. Fazel jest najstarszym synem Marjam, siostrzeńcem Lejli i Sułtana.

Marjam i jej mąż nie mieli dość pieniędzy, by wykarmić wszystkie dzieci, więc gdy Sułtan potrzebował pomocnika do sklepu, z radością przyjęli propozycję, by syn pracował u niego za wikt i opierunek. Zapłatą za utrzymanie miała być praca Fazela przez dwanaście godzin. Tylko w piątki dostawał wolne i mógł pojechać do matki i ojca na wieś.

Fazel czuł się dobrze. W ciągu dnia sprzątał w sklepie i nosił skrzynki, wieczorami bawił się i bił z Ajmalem. Jedynym członkiem rodziny, którego nie lubił, był Mansur, bo Mansur bił go po głowie lub zaciśniętą pięścią walił w plecy, gdy chłopiec zrobił coś nie po jego myśli. Ale Mansur potrafił też być miły, nagle zabierał na przykład kuzyna do sklepu i kupował mu nowe ubranie. Lub szli razem do restauracji na południowy posiłek, czyli nahar. W zasadzie Fazel lubił życie z dala od błotnistej drogi w swojej wsi. Pewnego wieczora Sułtan powiedział nieoczekiwanie:

- Mam cię dość. Wracaj do domu. Nie pokazuj mi się więcej w sklepie.

Nikt się nie odezwał, rodzina patrzyła na nich w milczeniu. Przecież Sułtan obiecał Marjam, że zajmie się chłopcem.

Nikt mu jednak tego nie przypomniał. Fazel też nie. Dopiero kiedy już leżał na macie, zaczął płakać. Lejla próbowała go pocieszać, ale co tu można powiedzieć? Słowo Sułtana jest prawem.

Następnego ranka zapakowała tych parę rzeczy, które malec posiadał, i wyprawiła go do domu. Sam będzie musiał wytłumaczyć matce, dlaczego został wyrzucony. Po prostu Sułtan ma go dość.

Lejla aż się gotowała z irytacji. Jak Sułtan mógł tak potraktować Fazela? Ale ona sama może być następną, która zostanie odepchnięta. Jak najszybciej powinna sobie czegoś poszukać.

Lejla wymyśliła więc nowy plan. Pewnego ranka, kiedy Sułtan i synowie wyjechali do pracy, ona włożyła na siebie burkę i wyszła z domu. Znowu wzięła do towarzystwa małego syna sąsiadów. Tym razem poszła jednak zupełnie inną drogą, poza granice osiedla

Mikrorejon, poza tę zbombardowaną betonową pustynią. Na krańcach osiedla domy były tak zniszczone, że nie nadawały się do mieszkania, ale kilka rodzin osiedliło się mimo wszystko w ruinach i próbowało utrzymywać się, zebrząc wśród sąsiadów równie biednych jak oni, którzy jednak przynajmniej mieli dach nad głową.

Lejla przecięła niewielką łąkę, gdzie na wypalonej trawie pasło się stadko owiec, a pastuszek drzemał w cieniu jedyne drzewa, jakie tu jeszcze zostało i dawało odrobinę cienia. To była granica między wsią i miastem. Po drugiej stronie łąki zaczynała się wieś Deh Chodadad. Tam mieszka jej starsza siostra Szakila.

Bramę otworzył Said, najstarszy syn Wakila, męża Szakili. Said nie ma trzech palców u jednej ręki. Stracił je w wyniku eksplozji akumulatora do samochodu, który próbował naprawić. On jednak wszystkim mówi, że to od wybuchu miny. Zostać rannym w ten sposób to jednak coś lepszego, zyskuje się wyższy status, to niemal tak, jakby walczył na wojnie. Lejla nigdy nie lubiła tego chłopaka, uważa, że to prostak i ordynus. Nie umie pisać ani czytać, mówi jak wieśniak. Podobnie zresztą jak Wakil. Na widok Saida przeniknął ją dreszcz. On uśmiechnął się krzywo i dotknął jej burki, kiedy przechodziła obok. Wtedy Lejla zadrżała znowu.

Drżała ze strachu, że jej życie mogłoby się skończyć u boku tego człowieka. Wielu w rodzinie bowiem próbowało ich wyswatać. Nawet Szakila i Wakil przychodzili z tym do Bibi Gol. "Za wcześnie" - odpowiedziała matka, chociaż to już najwyższy czas wydać Lejlę. "Najwyższy czas" - powiedział Sułtan. Lejli nikt nie pytał, zresztą i tak by nie odpowiedziała. Dobrze wychowana dziewczyna nie odpowiada, kiedy ją pytają, czy podoba jej się ten lub tamten. Ale miała nadzieję, miała głęboką nadzieję, że tego małżeństwa uda jej się uniknąć.

Szakila, kołysząc się, wyszła z domu. Roześmiana, promienna. Wszystkie lęki, jeśli chodzi o jej małżeństwo z Wakilem, okazały się nieuzasadnione. Mąż pozwolił jej podjąć pracę w szkole i Szakila teraz uczy biologii. Jego dzieci ją ubóstwiają, ona zaś wyciera im nosy i pierze ich ubrania.

Skłoniła męża, by odnowili dom, dał jej nawet pieniądze na nowe firanki i poduszki, a ona posłała jego dzieci do szkoły, o co przedtem on sam i jego zmarła żona specjalnie nie dbali. Najstarsi synowie krzywili się trochę, bo uważali, że to upokarzające siedzieć w jednej klasie z maluchami, ale ona powiedziała krótko: "Jeszcze bardziej upokarzająca będzie wasza sytuacja później, jeśli nie skończycie szkoły".

Szakila była uszczęśliwiona, że nareszcie i ona ma męża.

Oczy lśniły jej jakimś nowym blaskiem. Wyglądała na zakochaną. Po trzydziestu paru latach panieństwa znakomicie odnalazła się w roli gospodyni. Siostry ucałowały się nawzajem w oba policzki.

Szakila wkłada burkę i obie wychodzą. Lejla w swoich czarnych butach na wysokich obcasach, Szakila w białych czółenkach ze złotymi sprzączkami. To jej ślubne buty, też oczywiście na bardzo wysokich obcasach. Buty są ważne w sytuacji, gdy nie można pokazać sylwetki ani ubrania, włosów ani twarzy.

Droga jest błotnista, drepczą jej skrajem po zastygłej glinie, wpadają w głębokie koleiny, a kamienie uwierają je przez cienkie podeszwy. Idą do szkoły. Lejla zamierza tam szukać pracy w charakterze nauczycielki. To właśnie jest ten jej zastępczy tajny plan.

Szakila dowiedziała się, że u niej w szkole potrzebują nauczyciela angielskiego. Lejla skończyła tylko dziewięć klas, ale uważa, że z nauczaniem początkujących dałaby sobie świetnie radę. Kiedy mieszkała w Pakistanie, chodziła wieczorami na dodatkowe lekcje angielskiego.

Szkoła znajduje się za glinianym murem, tak wysokim, że z drogi nic nie widać. Przy wejściu siedzi stary dozorca. Pilnuje, żeby nie wszedł nikt niepowołany, szczególnie mężczyzna, bo to jest szkoła dla dziewcząt i pracują w niej też tylko kobiety. Dziedziniec niegdyś porastała trawa, teraz uprawia się tu ziemniaki. Wokół ziemniaczanego pola, jakby wbudowane w ten gliniany mur, znajdują się otwarte pomieszczenia klasowe. Każde ma trzy ściany: z tyłu mur i dwie ściany boczne, każde jest otwarte na dziedziniec. W ten sposób dyrektorka może przez cały czas śledzić, co się dzieje w poszczególnych klasach. Jest w nich miejsce na parę ławek, stół i tablicę. Tylko najwyższe dziewczynki mają stoliki i krzesła, reszta siedzi na ziemi i patrzy na tablicę. Wielu uczennic nie stać na zeszyty, piszą więc rysikami na własnych małych tabliczkach albo ołówkami na skrawkach papieru, które udało im się zdobyć.

Wciąż panuje wielkie zamieszanie. Codziennie zjawiają się nowe uczennice, które chciałyby podjąć naukę. Klasy nieustannie się rozrastają. Kampania oświatowa zaczyna przynosić rezultaty. W całym kraju porozwieszano wielkie plakaty pokazujące uszczęśliwione dzieci z książkami pod pachą. "Wracamy do szkoły" to jedyny tekst, resztę mówią fotografie.

Kiedy Szakila i Lejla wchodzi, dyrektorka jest zajęta rozmową z jakąś młodą kobietą, która chce się zapisać do szkoły. Mówi, że skończyła trzy klasy i chciałaby teraz zacząć od czwartej.

- Nie mogę odnaleźć twojego nazwiska na naszych listach - mówi dyrektorka i nadal szuka w kartotece uczniów, która na szczęście przeleżała w szafie cały czas panowania talibów. Kobieta milczy. - Umiesz czytać i pisać? - pyta dyrektorka.

Kobieta zwleka z odpowiedzią. W końcu przyznaje, że nigdy do szkoły nie chodziła.

- Ale dobrze by było zacząć od czwartej klasy - szepcze.

- W pierwszej dzieci są takie małe. To wstyd uczyć się z nimi.

Dyrektorka tłumaczy, że jeśli chce się czegoś nauczyć, to musi zacząć od początku, od pierwszej klasy. A tam chodzą różne dzieci, od pięcio - do kilkunastolatków. Ona byłaby najstarsza. Kobieta dziękuje i wychodzi.

Teraz kolej na Lejlę. Dyrektorka pamięta ją z czasów przed rządami talibów. Chodziła do tej szkoły i dyrektorka chętnie by ją zatrudniła.

- Najpierw jednak musisz się zarejestrować jako nauczycielka - wyjaśnia. - Trzeba iść do Ministerstwa Edukacji po papiery i dopiero wtedy starać się o pracę u nas.

- Ale skoro szkoła nie ma nauczyciela angielskiego, czy nie mogłaby się postarać o zarejestrowanie mnie? - pyta Lejla.

- Nie, najpierw musisz osobiście dostać pozwolenie władz na pracę w charakterze nauczycielki. Takie są zasady.

Krzyki hałaśliwych małych dziewczynek wdzierają się do otwartego biura. Jakaś nauczycielka wymachuje gałęzią, by uciszyć uczennice, więc rozpierzchają się na wszystkie strony, każda do swojej klasy.

Przygnębiona Lejla wychodzi za szkolną bramę i wrzaski podnieconych dziewcząt zostawia za sobą. Wlecze się z powrotem do domu i zapomina nawet, że idzie sama w tych swoich butach na wysokich obcasach. Jak mogłaby dotrzeć do Ministerstwa Edukacji, żeby nikt tego nie zauważył? Wymyśliła sobie, że najpierw znajdzie pracę, a dopiero później powie o tym Sułtanowi. Taki miała plan. Gdyby on się o tym dowiedział zawczasu, mógłby jej nie pozwolić, ale jeśli już będzie miała pracę, no to może brat zgodzi się, by ją zatrzymała? Szkoła zabierałaby jej zresztą tylko parę godzin, mogłaby wstawać jeszcze wcześniej i przez resztę dnia pracować jeszcze ciężiej.

Jej świadectwa szkolne zostały w Pakistanie. Ma ochotę zrezygnować. Potem jednak przypomina sobie ciemne mieszkanie i ciągle brudne podłogi w Mikrorejonie i biegnie do pobliskiego telefonu. Dzwoni do krewnych w Peszawarze z prośbą, żeby pomogli jej zdobyć potrzebne papiery. Obiecują załatwić wszystko i wysłać dokumenty przez kogoś, kto pojedzie do Kabulu. Afgańska poczta nie funkcjonuje, więc przesyłki wozi się przy okazji.

Po paru tygodniach papiery przychodzą. Następny krok to wizyta w Ministerstwie Edukacji. Ale jak ma tam pójść?

Sama? To niemożliwe. Prosi Junusa, on jednak uważa, że siostra pracować nie powinna.

- Nigdy nie wiadomo, jaką pracę ci dadzą - mówi. - Siedz lepiej w domu i opiekuj się swoją starą matką.

Ulubiony brat nie chce pomóc. Bratanek Mansur tylko prychnął, kiedy się do niego zwróciła. Lejla nie wie, co począć, zresztą rok szkolny dawno się zaczął.

- Już za późno - mówi matka. - Poczekaj do przyszłego roku.

Lejla jest przygnębiona. A może nie powinnam uczyć?

- zastanawia się. Wie, że byłoby jej lżej, gdyby zrezygnowała z planu. Może nie mam już na to ochoty?

Lejla drepcze w miejscu. Utknęła w kurzu tradycji, w nawozie wytwarzanym przez społeczeństwo. Drepcze w systemie, który dojrzał przez stulecia i który paraliżuje połowę ludności kraju. Ministerstwo Edukacji znajduje się pół godziny drogi autobusem od jej domu. Jest to dystans nie do pokonania. Lejla nie przywykła, by o coś walczyć, wprost przeciwnie, przywykła do rezygnowania, dawania za wygraną.

Ale przecież musi być jakieś wyjście, Lejla musi je znaleźć.

czy Bóg może umrzeć

Niežnośna nuda przepisywania tekstu za karę przygniata Fazela. Malec ma ochotę zerwać się i wyć, ale tłumi tę chęć, jak może. Jedenastoletni chłopiec, który nie nauczył się lekcji, musi ponieść karę. Ręka z uporem skrobie po arkuszu.

Fazel pisze małymi literkami, żeby nie marnować za dużo papieru, bo zeszyty są bardzo drogie. Blask gazowej lampy rzuca na papier czerwone smugi. Jakbym pisał na płomieniu, myśli chłopiec.

W kącie siedzi babka i spogląda na niego swoim jednym okiem. Drugie jej się wypaliło, kiedy straciła równowagę i wpadła do pieca wymurowanego na podłodze. Jego matka, Marjam, karmi piersią dwuletniego Osipa. Im bardziej Fazel jest zmęczony, z tym większą zawziętością pisze. Musi to skończyć, choćby miał siedzieć całą noc. Nie zniósłby jeszcze raz bicia przez nauczyciela kijem po palcach. W każdym razie nie zniósłby wstydu.

Ma napisać po dziesięć razy, kim jest Bóg: Bóg jest stwórcą, Bóg jest wieczny, Bóg jest wszechmocny, Bóg jest dobry, Bóg jest wiedzą, Bóg jest życiem, Bóg widzi wszystko, Bóg słyszy wszystko, Bóg wie wszystko, Bóg kieruje wszystkim, Bóg osądza wszystko, Bóg...

Powodem kary jest to, że źle odpowiadał na lekcji religii.

- Ja zawsze odpowiadam źle - skarży się matce. - Jak tylko nauczyciel na mnie popatrzy, to się tak boję, że wszystko zapominam. On jest zawsze zły i jak tylko popełnisz najmniejszy błąd, od razu cię nienawidzi.

Kiedy więc ostatnio Fazel został wywołany do tablicy i miał powiedzieć, czego się nauczył o Bogu, wszystko od początku do końca ułożyło się źle. Przecież się przygotował, ale jak tylko stanął przy tablicy, to było tak, jakby myślał o czymś zupełnie innym, nie o tym, czego się uczył, i nie pamiętał nic. Nauczyciel religii, mężczyzna z długą brodą, w turbanie, koszuli i szerokich spodniach, popatrzył na niego przenikliwymi czarnymi oczami i spytał:

- Czy Bóg może umrzeć?

- Nie - odpowiedział Fazel, dygocząc pod spojrzeniem tamtego. Bał się, że cokolwiek powie, i tak będzie źle.

- Dlaczego nie?

Fazel stał i milczał. Dlaczego Bóg nie może umrzeć? Czy żaden nóż się go nie ima? Żadna kula nie może go zranić?

Myśli krążyły mu w głowie jak szalone.

- No? - ponagla nauczyciel.

Fazel czerwieni się i jąka, ale nie może wykrztusić ani słowa. Odpowiada inny chłopiec:

- Dlatego że Bóg jest wieczny.

- Bardzo dobrze. A czy Bóg może mówić? - pyta dalej nauczyciel.

- Nie - odpowiada Fazel. - Albo tak.

- Jeśli uważasz, że Bóg może mówić, to jak twoim zdaniem to robi? - nauczyciel domaga się odpowiedzi.

Fazel znowu milczy. Jak Bóg mówi? Może grzmiącym głosem? Cichym głosem? Może szeptem? Także i tym razem nie potrafi odpowiedzieć.

- Powiedziałeś, że Bóg może mówić - upiera się nauczyciel. - To chyba ma język? Czy Bóg ma język?

Fazel próbuje znaleźć właściwą odpowiedź. Nie uważa, że Bóg ma język, ale nie śmie powiedzieć ani słowa. Lepiej milczeć, niż palnąć jakieś głupstwo, z którego cała klasa będzie się śmiać. Nauczyciel znowu wzywa do odpowiedzi innego chłopca.

- Bóg mówi do nas poprzez Koran - recytuje tamten.

- To Koran jest językiem Boga.

- Bardzo dobrze. Czy Bóg może widzieć? - pyta znowu nauczyciel.

Fazel dostrzega, że jego prześladowca obraca w dłoniach patyk do pokazywania, potem uderza się nim lekko w rękę, jakby ćwiczył ciosy, które zaraz spadną na palce Fazela.

- Tak - odpowiada.

- A jak widzi? Czy Bóg ma oczy?

Fazel stoi przez chwilę w milczeniu, po czym mówi:

- Ja nigdy nie widziałem Boga. Skąd mam to wiedzieć?

Nauczyciel uderza go po palcach, aż łyzy tryskają chłopcu z oczu. Czuje się najgłupszy w klasie. Ból palców to nic w porównaniu ze wstydem, kiedy tak stoi pośrodku klasy.

Skończyło się na tym, że musi za karę pisać to wszystko wiele razy.

Nauczyciel religii przypomina Fazelowi taliba. Nie dalej niż pół roku temu wszyscy mężczyźni tak się ubierali.

- Jeżeli się tego nie nauczysz, nie będziesz mógł chodzić nadal do tej klasy - oznajmił nauczyciel na koniec.

Może on naprawdę jest talibem, myśli Fazel. Wie, że talibowie są bardzo surowi.

Kiedy już napisał dziesięć razy, kim jest Bóg, musi się tego nauczyć na pamięć. Mamrocze pod nosem, a potem powtarza głośno przed matką. No i w końcu umie, wszystko siedzi w głowie. Babka uzala się nad wnuczkiem. Sama nigdy do szkoły nie chodziła i uważa,

że lekcje są za trudne dla takiego małego chłopca. Babka trzyma w okaleczonych dłoniach szklankę z herbatą i siorbie głośno.

- Kiedy Prorok Mahomet pił, to nigdy nie siorbał - upomina ją Fazel surowo. - Za każdym razem, kiedy upijał łyk, trzykrotnie odejmował szklankę od ust i dziękował Bogu - opowiada dalej.

Babka łypie na niego swoim jedynym okiem.

- Co ty powiesz, naprawdę?

Życie Proroka Mahometa jest dalszą częścią lekcji. Fazel doszedł do rozdziału opisującego jego przyzwyczajenia i czyta głośno, przesuwając przy tym palec wzdłuż liter, od prawej do lewej:

- Prorok Mahomet, niech pokój będzie z Nim, zawsze siadał na ziemi. W swoim domu nie miał żadnych mebli, uważał bowiem, że człowiek powinien iść przez życie niczym podróżny, który odpocznie w cieniu i znowu rusza dalej. Dom nie powinien być niczym więcej, jak tylko miejscem odpoczynku i ochroną przed zimnem, przed upałem oraz dzikimi zwierzętami, powinien też być osłoną prywatnego życia.

Mahomet, niech pokój będzie z Nim, zwykł odpoczywać wsparty na lewym ramieniu. Kiedy się głęboko zamyślał, lubił kopać w ziemi patykiem lub jakimś narzędziem albo siedział bez ruchu, obejmując kolana rękami. Kiedy spał, leżał na prawym boku i prawą rękę podkładał pod policzek. Czasami sypiał na plecach, czasami układał jedną nogę na drugiej, ale zawsze dbał, by każda część ciała była dokładnie przykryta. Bardzo nie lubił leżeć twarzą w dół i zabraniał tego również innym. Nie lubił sypiać w ciemnym pokoju ani na otwartym dachu. Mył się zawsze, zanim się położył, i przed zaśnięciem odmawiał modlitwy. Przez sen chrapał cicho.

Kiedy obudził się w nocy, by oddać mocz, to po powrocie mył twarz i dłonie. W łóżku miał na sobie przepaskę biodrową, ale zwykle zdejmował koszulę. Ponieważ w tamtych czasach nie było w domach latryn, Prorok zwykł chodzić wiele kilometrów za miasto, by nikt go nie widział, i starał się wybierać miękką ziemię, żeby ciało nie zostało przypadkiem opryskane. Bardzo też uważał, by zasłaniało go jakieś wzniesienie lub przynajmniej kamień. Kąpał się zawsze za zasłoną lub używał przepaski na biodra, kiedy kąpał się w deszczu. Przy kichaniu zasłaniał nos szmatką.

Dalej Fazel czyta o zwyczajach żywieniowych Proroka.

Że lubił daktyle, zwłaszcza z mlekiem lub masłem. Że nad wszystko inne przedkładał karki i boki zwierząt, nigdy natomiast nie jadał cebuli ani czosnku, bo nie znosił brzydkiego oddechu. Zanim usiadł do jedzenia, najpierw zdejmował buty i mył ręce. Przy posiłkach

posługiwał się tylko prawą ręką i zawsze jadł wyłącznie ze swojej części miski, nigdy nie dalej. Nie używał sztućców i posługiwał się tylko trzema palcami. Za każdy kęs, który wkładał do ust, dziękował Bogu.

A poza tym przy picu nie siorbał.

Chłopiec zamknął książkę.

- Trzeba się już kłaść, Fazel.

Marjam przygotowała dla niego miejsce w pokoju, w którym siedzieli i jedli. Przy jego materacu już dawno chrapie troje młodszego rodzeństwa. Fazel musi jednak odmówić modlitwy po arabsku. Klepie niezrozumiałe słowa z Koranu i nareszcie pada na swój materac, kompletnie ubrany. O siódmej następnego ranka powinien już być w szkole.

Denerwuje się, bo na pierwszej lekcji ma religię. Zасыpia zmęczony, śpi niespokojnie i śni mu się, że znowu został wezwany do tablicy, ale na żadne pytanie nie potrafi odpowiedzieć poprawnie. Zna odpowiedzi, lecz nie może ich z siebie wykrztusić.

Wysoko nad nim ciągną ponad miastem wielkie i ciemne chmury. Gdy tylko chłopiec zasnął, na ziemię lunął deszcz.

Deszcz pada na gliniany dach i bębni o mur. Chłodny strumień powietrza wpada do pokoju, babka się budzi i rozgląda dookoła.

- Bogu niech będą dzięki - mówi, widząc, że pada. Gładzi twarz kikutami rąk, jak w modlitwie, przewraca się na drugi bok i śpi dalej. Czworo dzieci oddycha spokojnie obok.

Kiedy o wpół do szóstej rano Fazel się obudził, deszcz już ustał i pierwsze promienie słońca muskały wzniesienia otaczające Kabul. Zanim zdążył się umyć w wodzie, którą przygotowała matka, zanim się ubrał i spakował torbę, słońce zdołało już prawie wysuszyć wszystkie kałuże. Fazel pije herbatę i je śniadanie, po czym wybiega z domu. Jest zły i niegrzeczny dla matki. Wścieka się, kiedy ona nie dość szybko podaje mu to, o co ją prosi. Myśli jedynie o lekcji religii.

Marjam zupełnie nie wie, co jeszcze mogłaby zrobić dla najstarszego syna. Z czworga dzieci to on dostaje najlepsze jedzenie, jemu poświęca najwięcej troski. Wciąż się martwi, że nie daje mu posiłków wystarczająco dobrych dla jego umysłu. To jemu kupuje ubranie, jeśli jej się czasem trafią jakieś ekstra pieniądze. I to z nim wiąże największe nadzieje. Dobrze pamięta, jaka była szczęśliwa przed jedenastoma laty. Było jej dobrze w małżeństwie z Karimullahem. Pamięta poród i radość, że wydała na świat chłopca. Urządzono wielkie przyjęcie, a ona i synek dostali wspaniałe prezenty. Dbano o nią, mnóstwo ludzi ją odwiedzało. Dwa lata później urodziła dziewczynkę, wtedy już nie było ani przyjęcia, ani prezentów.

Z Karimullahem żyła krótko. Kiedy Fazel skończył trzy latka, ojciec zginął w strzelaninie. Marjam została wdową i myślała, że życie ma już za sobą. Ale jednooka teściowa i jej własna matka, Bibi Gol, postanowiły wydać ją za młodszego brata Karimullaha, Hazima. Nowy mąż nie okazał się podobny do brata, nie jest taki zręczny ani silny. Wojna domowa doprowadziła do bankructwa sklep Karimullaha i teraz trzeba żyć z tego, co zarabia Hazim jako urzędnik celny.

Ale Fazel skończy studia i stanie się wybitnym człowiekiem. Marjam ma taką nadzieję. Najpierw myślała, że będzie pracował w księgarni jej brata Sułtana. Cieszyła się, bo to inspirujące środowisko. Sułtan podjął się karmić chłopca i Fazel dostawał tam dużo lepsze jedzenie niż w domu. Płakała biedaczka przez cały dzień, kiedy Sułtan odesłał jej syna z powrotem. Bała się, że mały zrobił coś złego, ale знаła przecież zmienne humory Sułtana i rozumiała, że po prostu nie ma już dla Fazela zajęcia.

Wtedy przyszedł do niej najmłodszy brat, Junus, i zaproponował, że zapisze Fazela do Esteghlal, jednej z najlepszych szkół w Kabulu. Chłopcu się poszczęściło - pozwolono mu zacząć od czwartej klasy. W gruncie rzeczy wszystko ułożyło się jak najlepiej, cieszyła się Marjam. Ze zgrozą myślała o rówieśniku Fazela, jedenastoletnim Ajmalu, synu Sułtana, który prawie nie widywał słońca, tylko pracował od świtu do nocy w jednym z ojcowskich sklepów.

Marjam klepie Fazela po głowie, zanim syn pobiegnie pokrytą nawozem drogą. Chłopiec stara się omijać błotniste kałuże i skacze z jednej wysepki piasku na drugą. Fazel musi przejść przez całą wieś, zanim dotrze do przystanku autobusowego. Wsiada z przodu, gdzie są miejsca przeznaczone dla mężczyzn, i trzęsie się w podskakującym autobusie do samego Kabulu.

Jest jednym z pierwszych w klasie, siada na swoim miejscu w trzecim rzędzie. Chłopcy zaczynają się z wolna schodzić. Większość ubrana jest marnie, zbyt lekko. Inni znowu noszą rzeczy za duże, prawdopodobnie po starszych braciach. W klasie widzi się wielką różnorodność stylów, niektórzy wciąż ubierają się tak, jak nakazywali talibowie.

Spodnie mają często nogawki nadsztukowane kawałkami materiału, bo właściciele z nich wyrosli. Jeden z uczniów jest w kombinezonie roboczym, a szerokie spodnie związane w pasie rzemieniem wyglądają jak balony, inni noszą spodnie rozszerzane na dole. Jeden ma zdecydowanie za małe ubranie i żeby się osłonić, podciągnął kalesony tak wysoko, że widać je spod za krótkiego pulovera. Kilku chodzi z rozpiętymi rozporkami. Do niedawna, od wczesnego dzieciństwa, nosili długie koszule i zapominają o tym nowym dla nich, skomplikowanym zapięciu. Niektórzy uczniowie mają takie same kraciaste koszule, jakie

noszą rosyjskie sieroty z domów dziecka. I jak sieroty mają głodne, nieco dzikie spojrzenie. Jeden nosi za wielką na niego, zniszczoną marynarkę od garnituru, której rękawy pozawijał aż do łokci.

Chłopcy bawią się i krzyczą, rzucają różnymi przedmiotami. Kiedy rozlega się dzwonek i wchodzi nauczyciel, pięćdziesięciu uczniów siedzi na miejscach. Mają wysokie ławki z drewna, połączone z pulpitemi. Ławki są dwuosobowe, ale w wielu siedzi po trzech uczniów, żeby starczyło miejsca dla wszystkich.

Na widok nauczyciela uczniowie zrywają się błyskawicznie i witają go:

- Salam alejkum. Pokój Boży niech będzie z tobą.

Nauczyciel wolno przechodzi wzdłuż ławek i sprawdza, czy wszyscy mają odpowiednie książki i czy odrobili zadania domowe. Krzyczy, kiedy widzi brudne paznokcie, ubranie lub buty.

- No to idziemy dalej - powiada. - Haram - mówi głośno i pisze obce słowo na tablicy.

- Czy ktoś z was wie, co to znaczy?

Jeden chłopiec wyciąga rękę.

- Zły postępek to jest haram.

Ma rację.

- Zły postępek, taki, jakiego islam nie pochwała, to jest haram - potwierdza nauczyciel. - Jak na przykład morderstwo bez przyczyny. Picie alkoholu, zażywanie narkotyków, grzeszenie to jest haram. Jedzenie wieprzowiny to też haram.

Niewierni nie przejmują się, jeśli coś jest haram. Wiele z tych rzeczy, które dla muzułmanów są haram, oni uznają za dobre. To źle.

Nauczyciel spogląda na klasę. Rysuje na tablicy wielki schemat trzech pojęć: haram, halal i mubah. Haram oznacza to, co jest złe i zakazane, halal oznacza to, co jest dobre i dozwolone, mubah zaś to postęпки moralnie i prawnie obojętne.

- I wreszcie makruh, czyli to, co nie jest dobre, ale nie jest też grzechem - mówi. - Na przykład zjedzenie wieprzowiny, kiedy nie ma nic innego do jedzenia i człowiekowi grozi śmierć głodowa. Albo polowanie, czyli zabijanie, by przeżyć.

Chłopcy piszą i piszą. Na koniec nauczyciel stawia swoje zwyczajowe pytanie, czy wszystko zrozumieli.

- Kim jest człowiek, który uważa, że haram to nic złego?

Nikt nie potrafi odpowiedzieć.

- Jest niewiernym - nauczyciel religii musi w końcu odpowiedzieć sobie sam. - A haram jest dobry czy zły?

Teraz niemal wszyscy podnoszą ręce. Fazel nie ma odwagi tego zrobić, potwornie się boi, że mógłby odpowiedzieć źle. Stara się być jak najmniejszy na swoim miejscu w trzecim rzędzie. Nauczyciel wskazuje na jednego z chłopców, który zrywa się natychmiast i wykrzykuje:

- Zły!

Fazel też tak by odpowiedział. Niewierny jest zły.

smutny kąt

Ajmal jest najmłodszym synem Sultana, ma dwanaście lat i dwunastogodzinny dzień pracy. Codziennie, siedem dni w tygodniu, budzą go o świcie. On kuli się, próbuje dalej spać, dopóki Lejla lub matka siłą nie ściągną go z posłania.

Obmywa bladą twarz, ubiera się, je smażone jajka palcami, maczając kawałki chleba w żółtku, i pije herbatę.

O ósmej Ajmal otwiera drzwi do małego sklepiku w holu jednego z kabulskich hoteli. Tutaj chłopiec sprzedaje czekoladę, ciastka, napoje i gumę do żucia. Liczy pieniądze i nudzi się. W duchu nazywa sklepik smutnym kątem. Każdego rana, otwierając drzwi, czuje klucie w sercu i w żołądku. Bo będzie musiał tu siedzieć cały dzień. Dopiero o ósmej wieczorem zostanie zabrany do domu. Wtedy będzie już całkiem ciemno, chłopiec jedzie do domu, żeby zjeść ciepły posiłek i pójść spać.

Dokładnie na wprost jego drzwi stoją trzy wielkie balie.

Recepcjonista bezskutecznie próbuje łapać kapiącą z dachu wodę. Żeby nie wiadomo ile tych balii było, to i tak zawsze, właśnie przed drzwiami Ajmala, tworzy się błotnista sadzawka, a ludzie omijają zarówno balie, jak i sklepik. Hol często tonie w mroku. Za dnia obsługa rozsuwa w takich sytuacjach ciężkie zasłony w oknach, ale dzienne światło nie dociera do najciemniejszych zakątków. Wiezorami, jeśli jest prąd, zapala się lampy elektryczne, gdy zaś prądu nie ma, na ladzie w recepcji stawia się wielkie lampy gazowe.

Hotel ten, kiedy go budowano w latach sześćdziesiątych, był najbardziej nowoczesny w Kabulu. W foyer aż się wtedy roiło od panów w eleganckich garniturach oraz kobiet w krótkich spódniczkach i zachodnich fryzurach. Podawano alkohole i grano zachodnią muzykę. Nawet król chętnie tu przychodził na spotkania lub żeby zjeść obiad.

Lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte to dla Kabulu okres najbardziej liberalny. Najpierw za rządów prowadzącego światowe życie Zahera Szaha, potem za jego kuzyna Dauda, który zaostrzył kurs i zappełnił więzienia skazanymi za przekonania polityczne, ale pozostawił rozrywkową, zachodnią i nowoczesną fasadę. Budynek mieścił i bary, i nocne kluby.

Potem jednak hotel podupadł, tak jak podupadło afgańskie państwo. W czasie wojny domowej obrócił się w kompletną ruinę. Pokoje od strony miasta były wielokrotnie ostrzeliwane, granaty lądowały na balkonach, rakiety rozrywały dach.

Po wojnie domowej, kiedy władzę przejęli talibowie, prace restauracyjne się przeciągały. Gości zjawiało się wciąż niewielu, nie było zapotrzebowania na zbombardowane

pokoje. Mułowie, którzy sprawowali rządy, nie interesowali się rozwojem turystyki, wprost przeciwnie, chcieli, by do kraju przyjeżdżało jak najmniej cudzoziemców. Dachy więc ostatecznie się zawaliły, a korytarze w zbombardowanej, na wpół zrujnowanej budowli nie zapewniały bezpieczeństwa.

Teraz, kiedy kolejny reżim pragnie odcisnąć swe piętno na Kabulu, podjęto prace remontowe, zamurowuje się dziury w ścianach i wymienia potłuczone szyby w oknach. Ajmal często stoi i przygląda się reperacji dachu lub towarzyszy elektrykom, którzy ponawiają desperackie próby uruchomienia generatora, bo w hotelu ma się odbyć ważna konferencja, potrzebne będą mikrofony i nagłośnienie. Hol jest placem zabaw Ajmala. Tutaj może się ślizgać na mokrej posadzce, tutaj wędruje, obserwuje ludzi i wydarzenia. Ale to przeważnie wszystko. Potwornie nudno. Potwornie samotnie.

Niekiedy rozmawia z innymi ludźmi w tym holu smutku.

Z mężczyznami, którzy myją i zmiatają, z recepcjonistami, portierami, strażnikami, od czasu do czasu z jakimś gościem, a najczęściej ze sprzedawcami z innych sklepików, bardzo rzadko bowiem któryś ma klienta. Jeden z nich, dorosły mężczyzna, sprzedaje tradycyjne afgańskie ozdoby. On także stoi całymi dniami i się nudzi. Wśród hotelowych gości nie ma wielkiego popytu na ozdoby. Inny sprzedaje pamiątki. Po cenach, które sprawiają, że nikt ich nie kupi ani ponownie tu nie przyjdzie.

Wiele okien wystawowych zasłonięto firankami lub papierem. Na zniszczonym szyldzie można przeczytać "Ariana Airlines" - afgańskie narodowe towarzystwo lotnicze. Niegdyś miało ono wiele samolotów. Śliczne stewardesy obsługiwały pasażerów, którzy mogli zamawiać i whisky, i koniak.

Część samolotów została zniszczona w czasie wojny domowej, resztę zbombardowali Amerykanie podczas pościgu za Osamą ben Ladenem i mułłą Omarem. Jeden jedyny samolot uniknął tego losu, a to dlatego, że 11 września stał na lotnisku w New Delhi. I ten właśnie samolot ma uratować Arianę, nadal lata tam i z powrotem na linii KabulNew Delhi. To jednak nie wystarczy, by ponownie otwierać hotelowe biuro towarzystwa.

Na jednym końcu foyer znajduje się restauracja serwująca najgorsze jedzenie w Kabulu, ale za to pracują tutaj najsympatyczniejsi kelnerzy w stolicy. Jakby mieli gościom zrekompensować pozbawiony smaku ryż, wysuszone kurczaki i nasiąknięte wodą marchewki.

Pośrodku holu wyznaczono specjalne miejsce, kilka metrów kwadratowych. Niska drewniana barierka oddziela wyłożony dywanem placyk od reszty pomieszczenia. Można tam zobaczyć hotelowych gości, ministrów, portierów i kelnerów, jak pochylają się obok siebie na małych dywanikach, ułożonych na dużym, zielonym. W modlitwie wszyscy są sobie równi.

Większe miejsce do modlitwy znajduje się też w hotelowej piwnicy, na ogół wierni zadowolają się jednak kilkoma minutami spędzonymi na zielonym dywanie.

Na chwiejnym stoliku w holu króluje telewizor, który jest stale włączony. Chociaż znajduje się na wprost sklepiku Ajmala, chłopiec rzadko się przed nim zatrzymuje, żeby popatrzeć. Telewizja Kabul, jedyny kanał w Afganistanie, nieczęsto ma coś interesującego do zakomunikowania. Nadaje mnóstwo programów religijnych, jakieś długie dyskusje, trochę wiadomości, a poza tym tradycyjną muzykę afgańską jako akompaniament do przesuwających się po ekranie zdjęć afgańskiej przyrody. Na ekranie pojawiły się kobiety, które czytają wiadomości, niedopuszczalne jednak jest pokazywanie tancerek czy śpiewaczek. Ludzie nie są jeszcze na to gotowi - wyjaśnia kierownictwo. Czasami telewizja pokazuje polskie lub czeskie filmy rysunkowe. Wtedy Ajmal biegnie do telewizora. Często jednak przeżywa rozczarowanie, bo większość z nich oglądał już dawniej.

Przed hotelem znajduje się coś, co niegdyś było jego dumą, mianowicie basen. Otworzono go pewnego letniego dnia z wielką pompą i wszyscy mieszkańcy Kabulu, w każdym razie ich męska połowa, zostali zaproszeni do korzystania z niego. Skończyło się jednak żałośnie. Bardzo szybko woda zrobiła się szarobrunatna, nikt bowiem nie pomyślał, by zainstalować system oczyszczający. Woda była coraz brudniejsza i w końcu basen zamknięto. Ludzie skarżyli się, że po kąpieli dostali ropnych wysięków lub innych chorób skóry. Pojawiły się nawet plotki o wypadkach śmiertelnych.

Wodę z basenu wypuszczono i nigdy więcej nie nalano świeżej.

Teraz błękitne dno pokrywa gruba warstwa kurzu i tylko wyschłe różane krzewy usiłują zasłonić potworka. Tuż obok basenu znajdują się korty tenisowe, których też nikt nie używał. W spisie telefonów hotelu w dalszym ciągu figuruje instruktor tenisa. Jeśli jednak szczęście mu dopisało, to znalazł sobie inną pracę, bo na jego usługi także nie było specjalnego zapotrzebowania tej wiosny, kiedy wszystko w Kabulu zaczynało się od początku.

Dni Ajmala mijają na bezustannych wędrówkach między sklepikami, restauracją i grupami zmęczonych ludzi. Jest odpowiedzialny, więc wciąż obserwuje swój punkt sprzedaży, na wypadek gdyby przyszedł jakiś klient. Dawniej ruch był wielki, a towary dosłownie znikwały z półek. Kiedy talibowie uciekli z miasta, na korytarzach hotelowych zaroilo się od dziennikarzy, którzy przez wiele miesięcy towarzyszyli żołnierzom Sojuszu Północnego, jedli z nimi zgniły ryż i pili zieloną herbatę, więc gdy tylko nadarzyła się taka możliwość, napełniali żołądki czekoladkami bounty i snickersami ze sklepu Ajmala,

szmuglowanymi z Pakistanu. Kupowali wodę po pięć dolarów za butelkę, małe topione serki po trzydzieści dolarów za opakowanie i słoiczki z oliwkami, płacąc majątek za każdą oliwkę.

Dziennikarze nie przejmowali się cenami, bo teraz to oni zdobyli Kabul i rozbili talibów. Byli brudni i zarośnięci jak partyzanci, kobiety nosiły męskie ubrania i wielkie, wojskowe buty. Wielu z nich miało rude włosy i jasnoróżową skórę.

Ajmal zakradał się czasem na dach, gdzie dziennikarze z mikrofonami w dłoniach mówili do wielkich kamer. Już nie wyglądali jak górscy partyzanci, zdążyli się umyć i ogarnąć.

Hol pełen był zabawnych typów, którzy żartowali i rozmawiali z chłopcem. Ajmal nauczył się trochę angielskiego w Pakistanie, gdzie mieszkał przez większą część swojego życia.

W tamtym pierwszym okresie nikt go też nie pytał, dlaczego nie jest w szkole. Po prostu żadne szkoły jeszcze nie działały. On liczył dolary, pomagał sobie kalkulatorem i marzył, że zostanie wielkim przedsiębiorcą. Wtedy był z nim także Fazel i obaj chłopcy wielkimi ze zdziwienia oczami obserwowali ten niezwykle świat, który nagle podbił hotel.

I napelniali swoją kasę pieniędzmi.

Jednak po kilku krótkich tygodniach dziennikarze zniknęli z hotelu, w którym wielu miało pokoje bez wody, prądu i bez szyb w oknach. Wojna się skończyła, przywódca został zaprzysiężony, Afganistan przestał być interesujący.

Po dziennikarzach do hotelu wprowadzili się nowi afgańscy ministrowie, ich sekretarze i pomocnicy. Kanapy w holu zajmowali teraz smagli Pasztunowie w turbanach z Kandaharu, Afgańczycy, którzy powrócili do kraju z emigracji ubrani w szyte na miarę garnitury, i świeżo ogoleni komendanci wojskowi. Hotel był domem tych, którzy kierowali krajem, ale nie mieli w Kabulu gdzie mieszkać. Żaden z nich nie zwracał uwagi na Ajmala ani nie kupował nic w jego sklepiku. Oni nigdy nie próbowali bounty, a wodę pili ze źródła.

Do głowy by im nie przyszło wyrzucać pieniądze na importowane wyroby Ajmala. Włoskie oliwki czy francuskie serki Kiri, którym minął termin ważności, dla nich nie stanowią pokusy.

Bywa niekiedy, że jeden czy drugi dziennikarz wróci jeszcze do Afganistanu, do hotelu, no i oczywiście do sklepiku.

„Jeszcze tu tkwisz? Dlaczego nie jesteś w szkole?” - pytają zwykle. „Chodzę na popołudnie” - odpowiada Ajmal, jeśli pytają rano. „Chodzę rano” - mówi, jeśli pytają go po południu.

Nie ma zamiaru się przyznawać, że on, jak zwyczajny chłopak z ulicy, wcale do szkoły nie chodzi. Bo Ajmal jest dzieckiem z zamożnego domu. Jego ojciec, bogaty księgarz, płonie miłością do słowa i historii, ma wielkie plany i wielkie marzenia o przyszłości swojego książkowego imperium, ale też nie ufa ludziom i nie powierzyłby kierowania którymkolwiek sklepem nikomu oprócz własnych synów. Jego ojciec nie zatroszczył się o to, żeby zapisać tych synów do szkół, gdy tylko zostały otwarte podczas noworocznego zrównania dnia z nocą. Ajmal prosił i prosił, ale ojciec wbijał mu do głowy własne zasady: "Ty masz zostać przedsiębiorcą, a tego najlepiej się nauczysz właśnie w sklepie".

Z każdym dniem Ajmal czuje się gorzej i jest coraz bardziej niezadowolony. Bardzo zbladł i ma niezdrową skórę.

Dziecięce ciało zrobiło się wiotkie, nie ma w nim sprężystości. "Ten smutny chłopiec" - mówią o nim. Kiedy wraca do domu, bije się z braćmi, to jego jedyny sposób na wyładowanie energii. Ajmal z zazdrością spogląda na kuzyna Fazela, który trafił do szkoły Esteghlal, wspieranej przez rząd francuski. Fazel przyniósł do domu składane książeczki, pióro, linijkę, papier, temperówkę, ubłocone spodnie i mnóstwo wesołych historii.

- Ten biedny Fazel, który nie ma ojca, może chodzić do szkoły - skarżył się Ajmal najstarszemu bratu, Mansurowi. - A ja? Ja mam ojca, który przeczytał wszystkie książki świata, i muszę pracować po dwanaście godzin dziennie, zamiast kopać piłkę, mieć kolegów, biegać.

Mansur przyznawał mu rację. Jemu też nie podobało się to, że Ajmal całymi dniami tkwi w ciemnym sklepiku. Również on prosił Sułtana, by posłał najmłodszego syna do szkoły.

- Później - odpowiada ojciec. - Później. Na razie musimy stanąć na nogi. Teraz kładziemy fundamenty pod nasze imperium.

I co Ajmal może zrobić? Uciec? Odmówić wstawania o świcie?

Kiedy ojca nie ma, Ajmal ma odwagę wyjść z holu. Zamyka sklepik na klucz i robi spacer po parkingu. Może znajdzie jakiegoś rówieśnika, z którym będzie mógł pogadać lub pokopać kamienie. Pewnego dnia, kiedy stał na parkingu, przyszedł pracownik brytyjskiej organizacji pomocowej. Nieoczekiwanie trafił na swój samochód, który mu ukradli jeszcze za talibów. Okazało się, że teraz właścicielem samochodu jest pewien minister, który jednak przysięga, że kupił go całkiem legalnie. Skarżący się Brytyjczyk często bywa w sklepiku Ajmala. Dotychczas zawsze Ajmal go pytał, czy nic nie wiadomo o samochodzie.

- Możesz być pewien, że straciłem wóz na zawsze - zwierza się teraz Ajmalowi. - Nowi złodzieje zajęli miejsca dawnych!

Czasami zdarza się coś, co przerywa monotonię. Hol napęłnia się ludźmi i wcale nie słyhać echa kroków Ajmala, kiedy idzie do toalety. Tak było w dniu, gdy został zamordowany minister lotnictwa. Podobnie jak inni ministrowie, którzy pochodzą spoza Kabulu, Abdur Rahman mieszkał w hotelu. Podczas konferencji ONZ w Bonn, kiedy talibowie upadli i trzeba było w największym pośpiechu stworzyć nowy rząd, miał tylu popleczników, że wyznaczono go na ministra. Playboy i szarlatan, mówili o nim przeciwnicy.

Do dramatu doszło, kiedy dwa tysiące pielgrzymów udających się do Mekki zostało na lotnisku w Kabulu oszukanych przez biuro turystyczne. Biuro sprzedawało bilety, choć nie miało samolotów. Ariana wyczarterowała maszynę, która latała tam i z powrotem do Mekki, ale wszystkich i tak przewieźć nie zdołała.

Nagle pielgrzymi zobaczyli, że jakiś samolot Ariany kołuje po pasie startowym, i rzucili się, by zdobyć w nim miejsce.

Wielki samolot jednak nie leciał do Mekki, tylko z ministrem lotnictwa do New Delhi. Pielgrzymi w białych religijnych strojach nie mogli wejść na pokład. Rozwścieczeni pobili stewardesy i wdarli się do wnętrza. Zastali tam ministra z kilkoma współpracownikami. Wyciągnęli go na środek i po prostu zatłukli.

Ajmal był jednym z pierwszych, którzy dowiedzieli się o sprawie. W holu hotelowym aż się gotowało, ludzie chcieli szczegółów.

Minister zabity przez pielgrzymów? Kto za tym stoi?

Jedna szeptana wiadomość po drugiej docierała do uszu Ajmala. Czy to początek zbrojnego powstania? A może bunt etniczny? Może sprawcami są Tadżycy, zawsze gotowi mordować Pasztunów? Czy to nie osobista zemsta? A może jednak zabili go zdesperowani pielgrzymi?

Nagle w holu zrobiło się jeszcze straszniej. Szum głosów, poważne twarze, podniecone twarze. Ajmal miał ochotę płakać.

Wrócił do swojego smutnego kąta. Usiadł przy stoliku.

Zjadł snickersa. Na powrót do domu musi czekać jeszcze cztery godziny.

Posługacz przyszedł pozamiatać podłogę i wyrzucić papiery z kosza na śmieci.

- Smutno dzisiaj wyglądasz, Ajmal.

- Dżegarchoram - odparł chłopiec. To znaczy: moje serce krwawi, czuję wielki żal.

- Znales go? - spytał posługacz.

- Kogo?

- No, tego ministra.

- Nie - zaprzeczył Ajmal. - A zresztą trochę znałem.

Lepiej, by jego serce krwawiło z powodu ministra niż z powodu własnego przegranego dzieciństwa.

stolarz

Mansur wpada zdyszany do księgarni ojca. W ręce trzyma niedużą paczuszkę.

- Dwieście kartek pocztowych! - dyszy. - Próbował ukraść dwieście kartek pocztowych!

Na twarzy Mansura perli się pot. Ostatni odcinek drogi pokonał biegiem.

- Kto? - pyta ojciec. Odsuwa maszynę do liczenia, wpisuje jakąś liczbę do księgi rachunkowej i spogląda na syna.

- Stolarz!

- Stolarz? - ojciec nie posiada się ze zdumienia. - Jesteś tego pewien?

Dumny, jakby uratował przedsiębiorstwo przed atakiem mafijnej bandy, syn podaje mu brązową kopertę.

- Dwieście kart pocztowych - powtarza. - Kiedy się zbierał do wyjścia, wydało mi się, że ma jakąś dziwną minę. Ale to był jego ostatni dzień, myślałem więc, że dlatego. Zapytał, czy jest jeszcze coś do zrobienia. Mówił, że potrzebuje pracy. Powiedziałem, że zapytam ciebie. Półki są przecież gotowe. I wtedy coś mi mignęło w kieszeni jego kamizelki."Co to jest?" - spytałem."Co takiego?" - zdziwił się i wyglądał na bardzo spłoszonego."Co tam masz w kieszeni?" - pytam.

„To, co miałem już przedtem” - odpowiada."No to pokaż mi” - zażądałem. Nie chciał pokazać, więc sam wyrwałem mu paczuszkę z kieszeni. I oto ona! Próbował ukraść nam pocztówki! Ale dopóki ja pilnuję, to mu się nie uda!

Mansur ubarwił trochę swoją historię. Siedział jak zwykle i drzemał, kiedy Dżalaluddin już miał wychodzić. To chłopak do sprzątania, Abdur, złapał stolarza na gorącym uczynku.

Abdur widział, jak tamten bierze kartki."Czy nie powinieneś pokazać Mansurowi, co masz w kieszeni?" - zapytał. Dżalaluddin po prostu bez słowa szedł ku drzwiom. Chłopak jest biednym Hazarem, należy do grupy etnicznej znajdującej się na samym dole drabiny społecznej w Kabulu. Rzadko kiedy się w ogóle odzywa."Pokaż Mansurowi, co masz w kieszeniach!" - krzyknął za stolarzem. Dopiero wtedy Mansur zareagował i wyrwał pocztówki z kieszeni Dżalaluddina. Teraz stoi przed ojcem i przestępuje z nogi na nogę w oczekiwaniu na uznanie.

Ale Sułtan przekłada spokojnie stos kartek i mówi:

- Hm. Gdzie on jest teraz?

- Odesłałem go do domu, ale zapowiedziałem, że nie ujdzie mu to na sucho.

Sułtan milczy. Pamięta, jak ten stolarz przyszedł do jego księgarni. Obaj pochodzą z tej samej wsi, byli niemal sąsiadami. Dżalaluddin pozostał taki sam jak za lat chłopięcych, chudy jak tyczka, o wielkich, przestraszonych, trochę wylupiastych oczach. Teraz jest może nawet jeszcze chudszy niż przedtem. I przygarbiony, mimo że ledwie skończył czterdzieści lat. Pochodzi z biednej, ale szanowanej rodziny.

Ojciec też był stolarzem, dopóki wzrok mu nie osłabł tak, że nie mógł już pracować.

Sułtan był zadowolony, że może dać ziomkowi pracę, Dżalaluddin cieszył się opinią zdolnego rzemieślnika, a Sułtanowi potrzebne były nowe półki na książki. Dotychczas miał w swoich sklepach zwyczajne półki, na których książki stały tak, by można było widzieć, co jest na grzbietach. Półki pokrywały całe ściany, prócz tego miał regały rozstawione w całym pomieszczeniu. Teraz jednak potrzebował półek, na których mógłby książki lepiej eksponować. Teraz, kiedy drukował tyle nowych tytułów, potrzebował półek ustawionych skośnie, z wąską listwą z przodu. Wtedy miałyby księgarnię taką, jakie mają na Zachodzie. Zgodzili się na zapłatę około czterech dolarów dziennie i następnego dnia Dżalaluddin przyszedł z młotkiem, piłą, calówką, gwoździami i pierwszą partią desek.

Magazynek na zapleczu księgarni został zamieniony na warsztat stolarski. Dżalaluddin codziennie ciął drewno i wbijał gwoździe w sąsiedztwie regałów z pocztówkami. Te pocztówki stanowiły najważniejsze źródło dochodów Sułtana. Drukował je za bezcen w Pakistanie, a sprzedawał drogo.

Z zasady wybierał motywy, które jemu samemu się podobały, i nie zastanawiał się nad honorariami dla malarza czy fotografa. Znajdował obrazki, zawoził je do Pakistanu i zlecał druk. Zresztą niektórzy fotografowie sami dawali mu swoje zdjęcia, nie dopominając się o pieniądze. A pocztówki sprzedawały się znakomicie. Największą grupę nabywców stanowili żołnierze z międzynarodowych sił pokojowych. Patrolując ulice Kabulu, zatrzymywali się chętnie przed sklepem Sułtana i kupowali pocztówki. Kartki przedstawiające kobiety w burkach, dzieci bawiące się na czołgach, królowe z minionych czasów w wydekolowanych sukniach, posągi Buddy z Bamjan przed wysadzeniem przez talibów w powietrze i to, co z nich zostało po wyczynach talibów, konie do walk buzkaszi, dzieci w strojach narodowych, dzikie krajobrazy, Kabul dawniej i dziś. Sułtan bardzo trafnie wybierał motywy i żołnierze chętnie kupowali dziesiątki obrazków.

Dzienny zarobek Dżalaluddina równał się dokładnie wartości dziewięciu pocztówek, a na zapleczu leżało ich mnóstwo, w paczkach i na stosach, w kopertach i bez kopert, z ozdobnymi szlaczkami dookoła i bez szlaczków, w skrzynkach, pudełkach i na półkach, setki egzemplarzy każdego motywu.

- Dwieście, powiadasz? - Sułtan stoi zamyślony. - Myślisz, że zrobił to pierwszy raz?

- Nie wiem. Powiedział, że chciał za nie zapłacić, ale zapomniał.

- Zapomniał, w to akurat wierzę.

- Ktoś musiał zamówić u niego te kartki, prosić, żeby ukradł - stwierdził Mansur. - On nie jest taki sprytny, żeby sam mógł je sprzedać. Bo przecież chyba nie chciał powiesić ich sobie w domu na ścianie. - Nic nie ściąga na człowieka takiej pogardy, jak przyłapanie na kradzieży.

Sułtan klnie. Nie ma teraz czasu na zajmowanie się takimi problemami. Za dwa dni wyjeżdża do Iranu, musi jeszcze załatwić mnóstwo spraw, no ale to jednak nie może czekać.

Nikt nie będzie go okradał i odchodził jakby nigdy nic.

- Pilnuj mojej księgarni, a ja jadę do niego do domu.

Musimy się do sprawy zabrać serio - mówi Sułtan.

Wziął ze sobą Rasula, który dobrze zna stolarza, i pojechali na wieś, do Deh Chodadad.

Obłok kurzu unosi się nad samochodem przez całą drogę, w końcu zatrzymują się na bocznej ścieżce, przy której jest dom Faiza, ojca Dżalaluddina.

- Pamiętaj, nikt nie może się o tym dowiedzieć - nakazuje Sułtan Rasulowi. - Nie ma potrzeby, żeby cała rodzina się za niego wstydziała.

Przy wiejskim sklepie na końcu ścieżki stoi grupa mężczyzn, wśród nich Faiz. Uśmiecha się do przybyłych, ściska dłoń Sułtana, obejmuje go.

- Wejdźcie na herbatę - zaprasza serdecznie i najwyraźniej nic nie wie o ukradzionych pocztówkach. Pozostali mężczyźni też by chętnie zamienili parę słów z Sułtanem, jednym z tych, którzy coś osiągnęli, wyszli na ludzi.

- Chcieliśmy tylko porozmawiać z twoim synem - informuje Sułtan. - Możesz go zawołać?

Stary biegnie do domu. Po chwili wraca z synem, Dżalaluddin idzie wolno, dwa kroki za ojcem. Wzrok ma rozbiegany, kiedy wita się z Sułtanem.

- Potrzebujemy cię w sklepie, pojedziesz z nami? - pyta Sułtan.

Tamten kiwa głową.

- No to na herbatę wstąpcie innym razem - woła za nimi stary.

- Ty wiesz, o co chodzi - mówi Sułtan cierpko, kiedy obaj siedzą już z tyłu w samochodzie prowadzonym przez Rasula, opuszczając wieś.

Jadą teraz do Mirdżana, brata Wakila, który jest policjantem.

- Ja chciałem sobie na nie popatrzeć, oddałbym je, miałem je tylko pokazać dzieciom. To takie piękne kartki.

Stolarz siedzi skulony, wciśnięty w kąt, jakby nie chciał zajmować zbyt dużo miejsca. Zaciśnięte pięści trzyma między kolanami. Raz po raz wbija paznokcie w ciało. Kiedy mówi, nerwowo popatruje na Sułtana, wygląda jak przerażony, nastroszony kurczak. Sułtan siedzi, wygodnie oparty na tylnym siedzeniu, i spokojnie go wypytuje.

- Muszę wiedzieć, ile tych pocztówek wzięłeś.

- Tylko te, które widzieliście.

- Nie wierzę ci.

- Kiedy to prawda.

- Jeśli nie przyznasz się, że wzięłeś więcej, złożę na ciebie meldunek na policji.

Stolarz chwytając dłoń Sułtana i pokrywa ją pocałunkami.

Sułtan wrywa rękę.

- Daj spokój, nie zachowuj się jak głupek!

- Na Allaha! Na mój honor i sumienie, nie wzięłem więcej. Nie wtrącaj mnie do więzienia, proszę cię, zapłacę za wszystko, jestem honorowym człowiekiem. Byłem głupi, wybacz mi, głupi byłem. Przecież ja mam siedmioro dzieci, dwie córki chorują na polio, a żona znowu jest brzemienna.

Nie mamy co jeść, moje dzieci chudną, żona codziennie płacze, bo zarabiam tak mało, że nie starcza na wykarmienie wszystkich. Jemy tylko ziemniaki i gotowane warzywa, nie stać nas nawet na ryż. Moja matka chodzi do kuchni szpitalnych i restauracji kupować resztki. Czasem zostaje im trochę gotowanego ryżu. Poza tym muszę się opiekować pięciorgiem dzieci mojej siostry, bo jej mąż nie ma pracy, i w dodatku mieszkam ze starą matką i starym ojcem.

- Wybór należy do ciebie - mówi Sułtan. - Jeśli się przyznasz, że wzięłeś więcej, to nie pójdziesz do więzienia.

Rozmowa toczy się jakby w kółko, stolarz skarży się, że jest taki biedny, a Sułtan żąda, by się przyznał do większej kradzieży i powiedział, komu sprzedał pocztówki. Przejechali przez cały Kabul i znowu są na wiejskiej drodze. Rasul wiezie ich pokrytymi gnojem uliczkami, mijają spieszących się ludzi, którzy muszą zdążyć do domu, zanim się ściemni.

Jakieś bezdomne psy walczą o kość, bosa dzieciaki biegną za samochodem. Mężczyzna na rowerze stara się zachować równowagę, bo na bagażniku wiezie żonę w burce. Stary człowiek w sandałach mocuje się z wózkiem pomarańcz, jego stopy zapadają się w

głębokie koleiny, które samochody wyłobily po ostatnim ulewnym deszczu. Na ziemi dawniej twardej i wyschniętej potworzyły się teraz błotniste potoki brudu, resztek jedzenia, zwierzęcych odchodów, które deszcz wypłukiwał z jednych miejsc i zostawiał gdzie indziej na skraju drogi.

Rasul zatrzymuje się przed jakąś bramą. Sułtan prosi go, żeby zapukał, i po chwili wychodzi Mirdżan, wita się przyjaźnie z wszystkimi i zaprasza do środka.

Kiedy mężczyźni wchodzi po schodach, zewsząd dociera szelest sukien, to kobiety mieszkające w tym domu uciekają, by się schować. Niektóre stają za uchylonymi drzwiami, inne za zasłoną. Jakaś młoda dziewczyna wygląda przez szczelinę w drzwiach, żeby zobaczyć, kto przyszedł tak późno. Starsi chłopcy podają gościom herbatę, przygotowaną w kuchni przez matkę i siostry.

- A więc o co chodzi? - pyta Mirdżan.

Siedzi ze skrzyżowanymi nogami, w swojej tradycyjnej koszuli i szerokich spodniach do kompletu, w ubraniu, jakie za talibów musieli nosić wszyscy mężczyźni. Mirdżan kocha ten strój, czuje się w nim dobrze, bo jest niewysokim i tęgim mężczyzną. Ale teraz, niestety, przy nowych porządkach, powinien nosić mundur, którego nie cierpi. Dawny mundur afgański, używany przez policję przed rządami talibów, po pięciu latach w szafie zrobił się okropnie ciasny. Poza tym bardzo w nim gorąco. Mundury bowiem policja ma tylko zimowe, szyte z grubego sukna, ponieważ jedynie one przetrwały długie lata w magazynach. Wzorowane na mundurach rosyjskich lepiej się nadają na Syberię niż do Kabulu. Więc Mirdżan poci się w te wiosenne dni, kiedy temperatura przekracza nawet trzydzieści stopni ciepła.

Sułtan wyjaśnia, z czym przychodzi. Jak podczas przesłuchania, Mirdżan pozwala się wypowiedzieć obu stronom.

Sułtan siedzi obok niego, Dżalaluddin naprzeciwko. Policjant kiwa ze zrozumieniem na wszystko, co zostało powiedziane, stara się utrzymać swobodny nastrój. Sułtan i Dżalaluddin zostali poczęstowani herbatą i cukierkami śmietankowymi i teraz składają wyjaśnienia.

- Tylko na dobre ci wyjdzie, jeśli sprawę rozwiążemy tutaj, zamiast chodzić na posterunek policji - przekonuje Mirdżan.

Dżalaluddin wpatruje się w podłogę, składa ręce i w końcu, jękając się, wyznaje, co zrobił. Zwraca się jednak nie do Sułtana, lecz do Mirdżana:

- Wziąłem może pięćset. Mam je wszystkie w domu, dostaniecie je z powrotem, nawet ich nie tknąłem.

- No widzisz - mówi policjant.

Sułtanowi jednak przyznanie stolarza nie wystarcza.

- Jestem pewien, że ukradłeś o wiele więcej. Powiedz nareszcie: komu je sprzedałeś?

- Będzie dla ciebie lepiej, jeśli teraz przyznasz się do wszystkiego - powtarza Mirdzan.

- Bo jeśli dojdzie do policyjnego przesłuchania, zostanie ono przeprowadzone w zupełnie inny sposób niż tutaj, bez cukierków - straszy, wpatrując się w Dżalaluddina.

- Ale to najprawdziwsza prawda, nikomu ich nie sprzedałem. Na Allaha, przysięgam - powiada oskarżony i spogląda to na jednego, to na drugiego.

Sułtan nalega, obaj wciąż powtarzają te same słowa, robi się późno, czas wracać. O dziesiątej zaczyna się godzina policyjna, a muszą jeszcze zdążyć odwiedzić stolarza do domu.

Każdy, kto po godzinie policyjnej prowadzi samochód, będzie aresztowany. Niektórzy zostali nawet zastrzeleni, ponieważ żołnierze uznali, że stanowią dla nich zagrożenie.

W milczeniu wsiadają do samochodu. Rasul bardzo prosi stolarza, by wyznał całą prawdę.

- Bo jak nie, to nigdy się nie uwolnisz od tej sprawy, Dżalaluddin - przekonuje.

Na miejscu stolarz idzie do domu, żeby przynieść pocztówki. Wraca prawie natychmiast z niewielkim węzełkiem w ręce. Kartki owinięte są w chustkę w pomarańczowozielone wzory. Sułtan bierze węzełek i z podziwem patrzy na swoje kartki, które znowu znajdują się w rękach prawowitego właściciela i niebawem wrócą na półkę w księgarni. Najpierw jednak wykorzysta je jako dowód. Rasul odwozi Sułtana. Stolarz z opuszczoną głową zostaje w miejscu, gdzie zaczyna się ścieżka wiodąca do jego domu.

Czteryście osiemdziesiąt pocztówek. Eghbal i Ajmal siedzą na matach i liczą. Sułtan ocenia, ile stolarz mógł wziąć.

Pocztówki mają różne motywy. Na zapleczu leżą w paczuszkach po sto sztuk.

- Jeśli zniknie cała paczka, trudno się zorientować, ale jeżeli brakowałoby po trochu w różnych, to możliwe, że złodziej otworzył kilka paczek i wziął jakąś część z każdej - rozważa Sułtan. - Jutro obejrzymy i policzymy wszystko dokładnie.

Następnego ranka, kiedy są zajęci liczeniem, nieoczekiwanie w drzwiach pojawia się stolarz. Stoi na progu i jest jeszcze bardziej zgarbiony niż poprzedniego dnia. Nagle rzuca się do Sułtana i zaczyna całować jego stopy. Sułtan gwałtownie podnosi go z podłogi i syczy:

- Opanuj się, człowieku! Ja nie chcę słuchać twoich prośb!

- Wybacz mi, wybacz, za wszystko ci zapłacę, wszystko zwrócę, ale ja mam w domu głodne dzieci - powtarza stolarz.

- A ja mówię to samo co wczoraj. Nie chcę twoich pieniędzy. Chcę tylko wiedzieć, komu sprzedałeś pocztówki i ile ich wzięłeś.

Przyszedł też Faiz, stary ojciec Dżalaluddina. On również próbuje całować stopy Sultana, ale ten gwałtownie protestuje. Nie wypada, żeby ktoś całował mu buty, a już zwłaszcza żeby to robił stary sąsiad.

- Powinieneś wiedzieć, że biłem go przez całą noc. Tak okropnie się wstydzę. Zawsze wychowywałem go na uczciwego robotnika, a tu masz! Teraz mam złodzieja za syna - powtarza, spoglądając z ukosa na Dżalaluddina, który stoi w kącie i się trzęsie. Zgarbiony, spracowany stolarz wygląda jak dzieciak, który coś ukradł i nakłamał, a teraz dostanie za to różgi.

Sułtan spokojnie opowiada ojcu stolarza, co się stało.

Otóż Dżalaluddin wziął kartki z księgarni i zabrał je do domu. Sułtan musi wiedzieć, ile tego było, ile ich już sprzedał i co najważniejsze, komu je sprzedał.

- Daj mi jeden dzień - prosi stary. - Już ja go zmuszę, żeby się przyznał, jeśli tylko ma się do czego przyznać.

Szwy butów Faiza w wielu miejscach popuszczają. Nie ma skarpetek, spodnie podwiązał w pasie sznurkiem. Jego marynarka jest wyświecona na łokciach. Ma taką samą twarz jak syn, tylko trochę ciemniejszą, zamkniętą i policzki bardziej zapadnięte. Obaj są drobni i szczupli. Faiz stoi niepewnie przed Sułtanem. Sułtan też nie wie, co zrobić, czuje się skrzepowany obecnością starego człowieka, który mógłby być jego ojcem.

W końcu Faiz rusza z miejsca. Zdecydowanym krokiem podchodzi do półki, przy której stoi syn. I nagle błyskawicznym ruchem uderza go w twarz. Pośrodku sklepu, na oczach wszystkich tłucze swojego dorosłego syna.

- Ty nędzniku, ty podstępny złodzieju! Okryłeś hańbą całą rodzinę! Obyś się nigdy nie urodził! Ty oszuście, ty draniu! - krzyczy ojciec, okładając syna. Kopie go kolanem w brzuch, stopą w uda, pięścią tłucze po plecach. Dżalaluddin się nie broni, stoi pochylony, rękami zasłania piersi, a ciosy spadają na niego jeden po drugim. W końcu jednak wyrwa się staremu i ucieka. Trzema susami pokonuje odległość dzielącą go od drzwi, zbiega po schodach i znika na ulicy.

Na podłodze leży czapka Faiza z owczej skóry, która spadła mu z głowy w czasie szarpaniny. Podnosi ją teraz, otrzepuje i wkłada na głowę. Prostuje się, żegna Sultana i wychodzi. Sułtan widzi przez okno, jak wsiada z trudem na stary rower, patrzy najpierw w prawo, potem w lewo i jedzie sztywny, spokojny z powrotem do swojej wsi.

Kiedy w księgarni opadł kurz po nieprzyjemnym wydarzeniu, Sułtan niewzruszony wraca do liczenia.

- On pracował tutaj czterdzieści dni. Powiedzmy, że kradł po dwieście kartek każdego dnia, to daje osiem tysięcy. Tak, jestem pewien, że ukradł mi co najmniej osiem tysięcy kartek - mówi do Mansura, który po prostu wzrusza ramionami. To było naprawdę niemiłe przeżycie, kiedy na ich oczach stary człowiek bił swego nieszczęsnego syna.

Mansur ma gdzieś kartki pocztowe. Uważa, że powinni zapomnieć o całej sprawie, skoro dostali je z powrotem.

- On by nie potrafił ich sprzedać. Przestań już o tym myśleć - prosi.

- Ale to mogła być kradzież na zamówienie. Przecież wiesz, że ci wszyscy kioskarze, którzy się u nas zaopatrują, nie pokazywali się tu od jakiegoś czasu. Myślałem, że może mają zapasy, ale teraz sam widzisz. Kupili dużo taniej pocztówki od stolarza. A on jest taki głupi, że pewnie sprzedawał im za bezcen. Co o tym myślisz?

Mansur znowu wzrusza ramionami. Zna ojca i wie, że będzie teraz drążył sprawę do dna. Domyśla się też, że każe ją wyjaśnić jemu, skoro sam wyjeżdża do Iranu i ma tam zostać ponad miesiąc.

- Myślę, że ty i Mirdżan moglibyście przeprowadzić dochodzenie pod moją nieobecność. Prawda z pewnością niedługo wyjdzie na jaw. Nikt nie będzie okradał Sułtana - mówi z uporem w oczach. - On mógł zrujnować całe nasze przedsiębiorstwo - dodaje. - No bo pomyśl sam. Stolarz kradnie tysiące pocztówek i sprzedaje je kioskarzom w całym Kabulu. Oni mogą je sprzedawać o wiele taniej niż ja.

Więc ja tracę klientów, tracę przede wszystkim żołnierzy, którzy kupują u mnie kartki. Tracę też klientów kupujących książki, bo rozchodzą się pogłoski, że u mnie jest drożej niż u innych. I w końcu mógłbym zbankrutować.

Mansur jednym uchem słucha katastroficznych teorii ojca. Jest zły i zirytowany, że ma jeszcze jedno zadanie do wykonania pod jego nieobecność. Na dodatek do rejestrowania książek, noszenia wciąż nowych skrzyń przychodzących z drukarni w Pakistanie i załatwiania całej papierkowej roboty związanej z funkcjonowaniem księgarni ojca. Będzie też szoferem wożącym braci do pracy i z powrotem, będzie pilnował własnej księgarni, a teraz jeszcze musi prowadzić policyjne śledztwo.

- Zajmę się tym - mówi krótko. Nic innego przecież powiedzieć nie może.

- Tylko nie bądź miękki, nie bądź miękki - to ostatnie słowa, które Sułtan wypowiada, zanim wsiądzie do samolotu, który zawiezie go do Teheranu.

Kiedy ojciec zniknął na dobre, Mansur natychmiast zapomniał o sprawie stolarza. Już dawno pożegnał się z okresem pobożności po pielgrzymce do grobu Alego. Trwał ten okres jakiś tydzień, nie więcej. Mansur stwierdził bardzo szybko, że nie ma żadnej korzyści z odmawiania modlitwy pięć razy dziennie, zarost zaczął go kłuć i wszyscy mówili, że chodzi zaniedbany. Nie lubił też siebie w szerokiej koszuli.

Skoro nie jestem w stanie wyrzucić z głowy niedozwolonych myśli, to na resztę też mogę machnąć ręką - powiedział sam do siebie i zrezygnował z pobożności równie szybko, jak się jej poddał. Pielgrzymka do Mazare Szarif pozostała jedynie wycieczką turystyczną.

Na pierwszy wieczór po wyjeździe ojca zaplanował imprezę z dwoma kolegami. Kupili na czarnym rynku uzbeckiej wódki, armeńskiego koniaku i wina za niebotyczną sumę.

- To najlepsze, co istnieje - zapewniał sprzedawca, wszystko ma moc czterdziestu procent, ba, wino nawet czterdzieści dwa.

Chłopcy zapłacili po czterdzieści dolarów za butelkę. Nie wiedzieli tylko, że sprzedawca własnoręcznie domalował dwie cienkie kreseczki na etykiecie francuskiego czerwonego wina stołowego, przez co jego moc podskoczyła z dwunastu do czterdziestu dwóch procent. Bo chodzi o to, by alkohol był mocny. Większość klientów czarnego rynku alkoholowego to właśnie młodzi chłopcy, którzy wyrwawszy się spod czujnych spojrzeń rodziców, piją, żeby się upić.

Mansur nigdy nie próbował alkoholu, bo to w islamie jedna z najsurowiej zakazanych rzeczy. Obaj jego koledzy wzięli się do picia wcześniej wieczorem. Mieszali w szklankach koniak z wódką i po kilku takich drinkach zaczęli się przewracać i czołgać po hotelowym pokoju, który wynajęli, by pobalować sobie z dala od rodziców. Mansura jeszcze wtedy tam nie było, bo musiał odwiedzić młodszych braci do domu, a kiedy nareszcie przyszedł, jego koledzy stali na balkonie, wylali i chcieli skakać na dół. Potem pobiegli do łazienki, żeby wymiotować.

Mansur się rozmyślił, alkohol przestał go kusić. Jeżeli człowiek jest po wypiciu taki chory, to on woli dać sobie spokój.

Tamci dwaj nieco od niego starsi chłopcy przywlekli się z powrotem i zaczęli snuć wstrętne plany. Obu bardzo się podobała pewna Japonka, młoda, śliczna dziennikarka.

Mieszkała w tym samym hotelu, zastanawiali się, czyby jej nie zaprosić do pokoju. Uznali jednak, że teraz nie wypada. Ale jeden z nich miał ponury pomysł na później. Przez rok pracował w aptece ojca i na odchodne zabrał stamtąd mnóstwo lekarstw, między innymi znieczulających i oszłamiających.

- Możemy ją zaprosić innym razem, jak będziemy trzeźwi, dosypimy jej lekarstwa do napoju, a kiedy zaśnie, możemy się nawet z nią przespać, a ona niczego nie zauważy.

Drugiemu pomysł bardzo się spodobał.

- - Musimy pamiętać, żeby to kiedyś zrobić!

W domu Dżalaluddina nikt nie może spać. Dzieci leżą na podłodze i cicho płaczą. Ostatnia doba była najstraszniejszym czasem, jaki przeżyły: ich kochany, dobry tata został pobity przez dziadka i nazwany złodziejem. Jakby nagle cały świat wywrócił się do góry nogami. Ojciec Dżalaluddina krąży po podwórzu. "Że też doczekałem się takiego syna!

- powtarza. - Ściągnął hańbę na całą rodzinę. Co ja złego zrobiłem?"

Najstarszy syn, ten złodziej właśnie, siedzi na macie w jedynym pokoju rodziny. Nie może leżeć, bo plecy mu krwawią, boleśnie podrapane grubą gałęzią, którą ojciec go bił.

Po karze, jaką ojciec wymierzył mu w księgarni, obaj wrócili do domu. Stary pierwszy, na rowerze, za nim syn - piechotą.

I ojciec kontynuował to, co przerwał w sklepie, a syn, podobnie jak tam, nie stawiał oporu. Kiedy ciosy spadały na plecy nieszczęśnika, a wyzwiska sypały się na jego głowę, patrzyła na to cała przerażona rodzina. Kobiety próbowały usunąć dzieci, ale nie miały dokąd z nimi pójść.

Dom stał równolegle do ścieżki, okna, pozasłaniane folią, wychodziły na podwórze. W jednym pokoju mieszkał stolarz, jego żona i dzieci, w drugim rodzice, a w trzecim siostra z mężem i ich dzieci. Prócz tego znajdowała się tam wspólna kuchnia z piecem, prymusem i półkami na naczynia.

Maty, na których kuliły się teraz dzieci stolarza, zostały zrobione ze szmat i resztek tkanin. Tu i ówdzie na podłodze leżał kawał tektury albo folii lub kilkakrotnie złożone kawałki grubego płótna. Każda z dziewczynek, które chorowały na polio, miała na jednej nodze aparat, przy każdej leżała kula. Dwoje innych dzieci cierpiało na jakąś okropną egzemę, całe ich ciała były pokryte rozdrapanymi strupami, które krwawiły.

Koledzy Mansura wielokrotnie chodzili wymiotować, zanim po przeciwnej stronie miasta dzieci stolarza nareszcie posnęły.

Kiedy Mansur ocknął się rano, był oszołomiony buzującym poczuciem swobody. Jest wolny! Sułtan wyjechał! Stolarz poszedł w zapomnienie. Mansur włożył przeciwsłoneczne okulary z Mazar i gnał setką po ulicach Kabulu, mijając objuczone osły i brudne kozy, żebraków i dobrze wyćwiczonych żołnierzy z Niemiec. Pokazał Niemcom palec, podskakiwał na dziurawych jezdniach, szorował podwoziem po wyboistym asfalcie, przeklinał i bluźnił,

rozganiał spłoszonych pieszych niczym stada kur. Mijał jedną dzielnicę po drugiej, poruszał się w mozaice ruin i rozpadających się domów, zostawiał to wszystko za sobą.

„On musi za coś odpowiadać, to będzie dobre dla kształtowania jego charakteru” - powiedział Sułtan. Mansur siedzi w samochodzie i złości się. Od tej chwili to Rasul będzie nosił książki i przekazywał informacje. Mansur będzie się bawił, dopóki ojciec nie wróci do domu. Z wyjątkiem otwarcia sklepów każdego ranka, bo bracia mogliby naskarżyć ojcu, nie będzie robił nic a nic. Ojciec jest jedynym człowiekiem, którego Mansur się boi. Przeciwko jego słowom nigdy by się nie odważył protestować, tylko jemu okazuje szacunek, przynajmniej kiedy stoi z nim twarzą w twarz.

Celem Mansura jest poznanie jakichś dziewczyn. To nie jest takie łatwe w Kabulu, gdzie większość rodzin strzeże córek jak złotego skarbu. Wpadł mu do głowy świetny pomysł. Zapisuje się na kurs angielskiego dla początkujących.

Mansur biegle zna angielski po latach nauki w Pakistanie, sądzi jednak, że w grupie początkujących spotka najmłodsze i najładniejsze dziewczyny. I nie pomylił się. Już po pierwszej lekcji znalazł sobie jedną. Ostrożnie próbuje z nią rozmawiać. Raz dostaje nawet zgodę na odwiezienie jej w pobliże domu. Zaprasza ją, by przyszła do księgarni, ale dziewczyna nigdy się nie pojawia. Widuje ją tylko na kursie.

Kupuje jej telefon komórkowy, żeby mogli ze sobą rozmawiać, i pokazuje, jak go ustawić, by nie dzwonił, tylko wibrował. Dzięki temu nikt z rodziny nie zauważy, że ona ma komórkę. Mansur obiecuje dziewczynie małżeństwo i piękne prezenty. Pewnego razu mówi, że nie może się z nią spotkać, bo musi wozić samochodem jakiegoś cudzoziemca, znajomego ojca. Już dawno odkrył, że informacja o spotkaniu z cudzoziemcem działa znakomicie. Ale tego samego popołudnia dziewczyna widzi go w samochodzie z inną. Nie ma dla niego zmiłowania. Wymyśla mu, że jest draniem i uwodzicielem, krzyczy, że nie chce go więcej widzieć. Nigdy już nie pokazuje się na kursie. Mansur nie może jej spotkać, bo nie wie dokładnie, gdzie mieszka. Telefonu też nie odbiera.

Mansur tęskni za nią, ale uważa, że przede wszystkim jest to strata dla niej, przerwała kurs, a tak chciała się uczyć.

Szybko jednak zapomina o studentce angielskiego. Bo w życiu Mansura tej pierwszej wiosny nic nie jest wieczne i nic nie dzieje się naprawdę. Pewnego razu został zaproszony na przyjęcie na obrzeżach miasta. Paru jego znajomych wynajmuje dom, a właściciel trzyma straż w ogrodzie. Potajemnie szmuglują tam całe skrzynie napojów wyskokowych i dwie lub trzy prostytutki. Mansur trzyma się z daleka od tych pań.

- Paliliśmy suszonego skorpiona - opowiada Mansur entuzjastycznie następnego dnia swemu koledze. - Rozcieraliśmy go najpierw na proszek i mieszałyśmy z tytoniem. Potem byliśmy kompletnie oszołomieni. I trochę źli także. Ja zasnąłem ostatni. Super zabawa, mówię ci - chwali Mansur.

Posługacz Abdur domyślił się, że Mansur poluje na dziewczyny, i proponuje mu znajomość ze swoją kuzynką.

Następnego dnia na kanapie w księgarni siedzi Hazarka o skośnych oczach. Zanim jednak Mansur zdążył się z nią zapoznać, ojciec przysłał wiadomość, że jutro wraca. Mansur momentalnie otrząsa się z oszołomienia, nie zrobił ani jednej rzeczy, o które ojciec go prosił. Nie rejestrował książek, nie sprzątał zaplecza, nie sporządził listy nowych zamówień, nie poprzemienił paczek z książkami, które zalegają magazyn.

Sprawie stolarza i dochodzeniu, które miał przeprowadzić, nie poświęcił ani jednej myśli.

Szarifa drepcze wokół niego.

- Co ci jest, synku? Chory jesteś?

- Nic mi nie jest! - syczy wściekle Mansur.

Ona jednak domaga się wyjaśnień.

- Wracaj do Pakistanu, przestań marudzić! - krzyczy Mansur. - Odkąd przyjechałaś, nie ma tu chwili spokoju, ciągle czegoś chcesz!

Szarifa zalewa się łzami.

- Jak to możliwe, żebym miała takich synów? Co ja złego zrobiłam? Oni nie chcą znać własnej matki!

Szarifa zawodzi i krzyczy na wszystkie swoje dzieci, Latifa zaczyna płakać. Bibi Gol siedzi i się kiwa. Bolbol pustym wzrokiem patrzy przed siebie, Sonja próbuje uspokoić Latifę, a Lejla zmywa naczynia. Mansur trzaska drzwiami do pokoju, który zajmuje z Junusem. Tam Junus leży i chrapie. Zaraził się żółtaczką B, całe dni spędza w łóżku i zażywa lekarstwa. Oczy zrobiły mu się żółte, twarz jeszcze bardziej matowa i smutna niż zwykle.

Kiedy następnego dnia Sułtan wraca do domu, Mansur jest taki zdenerwowany, że nie może spojrzeć mu w oczy.

Okazuje się jednak, że niepotrzebnie chłopak tak się bał, Sułtana najbardziej interesuje Sonja. Dopiero drugiego dnia, w sklepie, pyta syna, czy zrobił wszystko, co powinien. Zanim jednak Mansur zdążył odpowiedzieć, ojciec już wydaje nowe polecenia. Podróż do Iranu bardzo mu się udała, odnalazł dawnych współpracowników i wkrótce zaczną przychodzić

skrzynie z perskimi książkami. O jednej sprawie jednak nie zapomniał, a mianowicie o stolarzu.

- Niczego nie wyjaśniłeś? - Sułtan badawczo przygląda się synowi. - Podkopujesz moją działalność? Jutro pójdziesz na policję i złożysz na niego meldunek. Jego ojciec obiecał, że zmusi go do przyznania się już następnego dnia, a tymczasem minął miesiąc! Jeśli on nie będzie siedział za kratkami, kiedy wrócę z Pakistanu, to nie będziesz moim synem - straszy. - Ten, kto wyciąga rękę po moją własność, nigdy nie będzie szczęśliwy - dodaje z naciskiem.

Sułtan wybiera się do Pakistanu już następnego ranka.

Mansur oddycha z ulgą. Bał się, że któraś z dziewczyn może przyjść do księgarni w czasie obecności ojca. Co by to było, gdyby podeszła do niego i powiedziała coś, co by zwróciło uwagę Sułtana. Będzie musiał im powiedzieć, jak ojciec wygląda. Wtedy mogą po prostu obejrzeć książki i spokojnie wyjść, gdyby akurat na niego trafiły. Ojciec nigdy się nie zwraca do klientek w burkach.

Zaraz następnego dnia Mansur poszedł do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, by złożyć meldunek na stolarza, i dzięki pomocy Mirdżana w ciągu kilku godzin zebrał wszystkie pieczętki na dokumentach, jakich potrzebował. Te papiery zawiózł na lokalny posterunek policji we wsi Deh Chodadad, do ulepionego z gliny budynku, którego strzegli uzbrojeni policjanci. Zabrał stamtąd ubranego po cywilnemu oficera, by pokazać mu dom stolarza. Jeszcze tego samego wieczora policjanci mieli go aresztować.

Rankiem, następnego dnia po tych wydarzeniach, zanim się jeszcze rozwidniło, dwie kobiety z dwojgiem dzieci zaczęły się dobijać do drzwi rodziny Sułtana Chana. Otworzyła zaspana Lejla, a przybyłe wybuchnęły rozpaczliwym płaczem. Minęła dłuższa chwila, zanim Lejla się zorientowała, że stoi przed nią babka i ciotka stolarza z dwojgiem jego dzieci.

- Zmiłujcie się, wybaczcie mu, wybaczcie mu - powtarzają kobiety. - Zmiłujcie się, na Boga, bądźcie dobrzy. - Stara babka ma blisko czterdzieści lat, jest małeńka i wysuszona, jej twarz przypomina mysi pyszczek. Ma ostry podbródek, a na nim mnóstwo włosów. Jest matką ojca stolarza, tego ojca, który przez ostatnie tygodnie próbował biciem wydobyć z syna prawdę. - Nie mamy co jeść, głodujemy, spójrzcie tylko na dzieci. Ale oddamy pieniądze za te pocztówki.

Lejla nie widzi innego wyjścia, jak tylko zaprosić je do środka. Drobną, podobną do myszy babka rzuca się do nóg kobietom z rodziny, które zostały obudzone krzykami i wstały. Wyglądają na skępowane tą nędzą i nieszczęściem, które nagle wypełnia izbę. Krewne stolarza przyprowadziły ze sobą dziesięcioletniego chłopca i jedną z dziewczynek chorych na

polio. Mała z wielkim mozołem siada na podłodze. Sztywna noga w aparacie leży prosto. Dziecko trwa bez ruchu i słucha, o czym mówią kobiety.

Kiedy przyszła policja, Dżalaluddina nie było w domu, więc zamiast niego wzięli ojca i wuja. Zapowiedzieli, że po stolarza przyjdą jutro rano. Nikt nie spał przez całą noc.

O świcie, zanim jeszcze zjawili się policjanci, obie stare kobiety wybrały się do Sułtana, prosić o łaskę i wybaczenie dla swojego krewniaka.

- Jeżeli on coś ukradł, to tylko dlatego, że chciał ratować swoją rodzinę, patrzcie na nie, patrzcie na te dzieci, chude jak patyki. Ani porządnego ubrania, ani co jeść.

Serca w Mikrorejonie miękną, ale jedynym skutkiem wizyty jest współczucie. Kobiety w rodzinie Sułtana Chana nie mogą nic zrobić, jeśli on wbił sobie coś do głowy. A już zwłaszcza jeśli sprawa ma jakiś związek z księgarnią.

- Bardzo byśmy chciały pomóc, ale naprawdę nic od nas nie zależy. To Sułtan decyduje - tłumaczy. - A Sułtana nie ma w domu.

Tamte nie przestają płakać i zawodzić. Wiedzą, że to prawda, ale tak trudno wyzbyć się nadziei. Lejla podaje smażone jajka i świeży chleb. Dla dzieci zagotowała też mleka.

Mansur wchodzi do izby, a krewne stolarza rzucają się całować jego stopy. Odtrąca je ze złością. One wiedzą, że Mansur jako najstarszy syn ma władzę pod nieobecność ojca.

Ale Mansur postanowił, że zrobi, o co ojciec go prosił.

- Od kiedy Sułtan skonfiskował jego narzędzia stolarskie, Dżalaluddin nie może pracować. Od wielu tygodni nie jedliśmy porządnego posiłku. Zapomnieliśmy już, jak smakuje cukier - płacze babka. - Ryż, który kupujemy, jest na pół zgniły. Jego dzieci robią się coraz chudsze. Patrzcie, to sama skóra i kości.

Kobiety z Mikrorejonu obiecują, że zrobią, co będą mogły, by przebłagać Sułtana, choć wiedzą, że to się na nic nie zda.

Kiedy delegacja złożona ze starych kobiet i dzieci wlokła się z powrotem na wieś, przyszli policjanci i zabrali Dżalaluddina.

Po południu Mansur udaje się na policję w charakterze świadka. Siedzi teraz na krześle przy stole szefa policji, założył nogę na nogę. Siedmiu mężczyzn uczestniczy w tym przesłuchaniu. Jest za mało krzeseł, więc dwie osoby muszą siedzieć na jednym. Stolarz przykucnął pod ścianą. Policjanci stanowią dziwne, barwne zbiorowisko. Niektórzy są w szarych, grubych zimowych mundurach, inni mają na sobie tradycyjne ubrania, jeszcze inni zielone żołnierskie uniformy.

Na tym posterunku dzieje się niewiele, więc sprawa kradzieży pocztówek budzi wielkie zainteresowanie. Jeden z policjantów stoi w progu, jakby nie mógł się zdecydować, czy wziąć udział w przesłuchaniu, czy nie.

- Musisz powiedzieć, komu sprzedałeś kartki, bo jak nie, to pójdziesz do centralnego więzienia - mówi szef posterunku.

Słowa: centralne więzienie, wywołują ponury nastrój, bo to tam trafiają prawdziwi kryminaliści. Stolarz kuli się pod ścianą, wygląda beznadziejnie. Siedzi i zaciska spracowane dłonie. Noszą one ślady setek większych i mniejszych skaleczeń - wszędzie blizny układające się w zygzakowaty wzór.

W ostrym blasku słońca pod oknem widać, jak dłuta, piły i świdry uszkadzały skórę. Wydaje się, że stolarz to te ręce, a nie jego twarz, która teraz spogląda z rezygnacją na siedmiu mężczyzn. Jakby cała sprawa już go nie dotyczyła.

W końcu i tak go odeślą z powrotem do celi o powierzchni metra kwadratowego, gdzie nie może leżeć wyprostowany, może jedynie stać, siedzieć lub leżeć skurczony.

To, co się stanie z Dżalaluddinem, zależy od rodziny Mansura. Tylko oni mogą wycofać lub podtrzymać skargę.

Jeśli się zdecydują ją podtrzymać, oskarżony wpadnie w tryby wymiaru sprawiedliwości, a wtedy będzie już za późno, żeby go uwolnić. Wtedy decydować będzie policja.

- Tutaj możemy go trzymać siedemdziesiąt dwie godziny - mówi szef posterunku. - Musicie więc coś postanowić. - On uważa, że Dżalaluddin powinien ponieść karę. Dla niego nędza nie jest powodem, żeby kraść. - Wielu jest biednych ludzi. Gdyby ich nie karać, kiedy kradną, mielibyśmy kompletnie niemoralne społeczeństwo. To ważne, byśmy pokazywali przykłady, żeby każdy, kto przekroczy granicę, poniósł karę.

Głośno mówiący szef posterunku siedzi i dyskutuje z Mansurem, który zaczyna wątpić w sens tego wszystkiego.

Kiedy dociera do niego, że Dżalaluddin może dostać sześć lat więzienia za kradzież pocztówek, zaczyna myśleć o jego dzieciach, o ich głodnych spojrzeniach, podartym ubraniu.

Myśli o swoim własnym życiu, o tym, jakie jest proste, i o tym, że on może w ciągu kilku dni wydać więcej pieniędzy, niż rodzina stolarza ma na cały miesiąc.

Ogromny bukiet plastikowych kwiatów zajmuje niemal połowę biurka. Kwiaty już dawno pokryła warstwa kurzu, ale mimo to upiększają pomieszczenie. Policjanci w Deh Chodadad najwyraźniej lubią kolory, ściany są jaskrawozielone, lampa czerwona, bardzo

czerwona. Na ścianie wisi duży portret bohatera wojennego Masuda, jak zresztą we wszystkich urzędach w Kabulu.

- Nie zapominaj, że za talibów odcięto by mu rękę - mówi szef posterunku z naciskiem. - Spotkało to ludzi, którzy popełnili mniejsze przestępstwa niż on. - Szef policji opowiada o pewnej wiejskiej kobiecie, która została sama z dziećmi, bo mąż zmarł. - Była bardzo biedna. Najmłodszy syn nie miał butów i okropnie marzły mu nogi. Była zima i chłopiec nie mógł wychodzić z domu. Najstarszy syn, ledwie kilkunastoletni, ukradł buty dla młodszego brata. Przyłapano go na gorącym uczynku i obcięto prawą rękę. To okrutne - uważa policjant. - Ale ten stolarz... On ujawnił swój drański charakter, bo kradł wielokrotnie. Jeżeli kradniesz po to, by nakarmić dzieci, to kradniesz raz - kończy zdecydowanie.

Szef posterunku pokazuje Mansurowi skonfiskowane dowody, które przechowuje w szafie. Są tam noże sprężynowe, noże kuchenne, scyzoryki, noże z ciężkimi trzonkami, pistolety, latarki kieszonkowe, a nawet talia kart. Bo za grę w karty grozi kara sześciu miesięcy więzienia. Talię kart zabraliśmy, ponieważ ten, który przegrał, pobił zwycięzcę i dźgnął go tym oto nożem. A przedtem się popili, więc został ukarany za pchnięcie nożem, pijaństwo i grę w karty - wyjaśnia ze śmiechem. - Drugi gracz uniknął odpowiedzialności, bo został inwalidą, a to chyba wystarczająca kara, co?

- A co grozi za picie? - pyta Mansur zaniepokojony. Wie, że według prawa szariatu to ciężki grzech, surowo karany.

W Koranie jest mowa o chłości, osiemdziesięciu batach.

- Szczerze mówiąc, ja zazwyczaj przymykam oczy na takie przestępstwa. Kiedy jest na przykład wesele, to mówię, że mają dzień wolny, ale że wszystko ma się odbywać z umiarem i w rodzinie - opowiada policjant.

- No a co z niewiernością?

- Jeżeli oboje pozostają w związkach małżeńskich, to czeka ich kara śmierci przez ukamienowanie, jeśli nie, to chłosta, po sto batów, i muszą wziąć ślub. Jeśli jedno zawarło wcześniej związek małżeński i dotyczy to mężczyzny, a kobieta jest niezamężna, to ten mężczyzna musi ją wziąć jako drugą żonę. Jeśli zaś ona jest zamężna, natomiast on nie ma żony, to kobieta powinna zostać skazana na karę śmierci, a on wychłostany i wtrącony do więzienia. Ale ja na to też zwykle patrzę przez palce. Bo na przykład często są wdowy, które bardzo potrzebują pieniędzy, wtedy staram się im pomóc, skierować je na właściwą drogę.

- No tak, w przypadku osób uprawiających prostytutkę.

Ale co ze zwykłymi ludźmi?

- Pewnego razu przyłapaliśmy parę w samochodzie.

Zmusiliśmy ich do małżeństwa, a dokładniej, zrobili to rodzice młodych. Moim zdaniem to wystarczyło, a ty co o tym sądzisz?

- Hm - mruczy Mansur. Raczej sobie nie wyobraża, że mógłby się ożenić z którąś ze swoich przyjaciółek.

- My przecież nie jesteśmy talibami - mówi dalej policjant. - Nie powinniśmy dopuszczać do tego, by ludzie byli kamienowani. Afgańczycy już dość wycierpieli.

Szef policji daje Mansurowi trzy dni do namysłu. Wciąż może ułaskawić grzesznika, ale jeśli przekaże go wyższej instancji policyjnej, będzie za późno.

Mansur wychodzi z posterunku zamyślony. Nie jest w nastroju, by wracać do sklepu, idzie więc do domu na południowy posiłek, czego ostatnio prawie nigdy nie robił. Rzuca się na matę i dopóki jedzenie nie będzie gotowe, może cieszyć się spokojem.

- Zdejmij buty, Mansur - mówi matka.

- Idź do diabła - odpowiada Mansur.

- Mansur, masz słuchać matki - nie ustępuje Szarifa.

Mansur nie odpowiada, kładzie się na podłodze, jedną nogę opiera na drugiej i podnosi w górę. Butów nie zdejmuje. Matka zaciska gniewnie wargi.

- Do jutra musimy zdecydować, co zrobimy ze stolarzem - informuje Mansur i zapala papierosa, na widok czego matka wybucha płaczem.

Mansur nigdy, ale to nigdy by nie zapalił w obecności ojca. Kiedy jednak ojciec wychodzi z domu, nie kryje się z papierosami, co więcej, denerwuje matkę, paląc przed posiłkiem, po nim, a nawet w jego trakcie. W pokoju zalega teraz gruba chmura dymu. Bibi Gol od dawna narzekała, że jest taki niedobry dla matki, żądała, by jej słuchał i przestał palić.

Tym razem jednak w niej także ochota zwycięża, wyciąga rękę do wnuka i pyta szeptem:

- Mogę dostać jednego?

Zapada grobowa cisza.

- Mamo! - krzyczy po chwili Lejla i wyrywa matce papierosa z rąk. Mansur podaje babce kolejnego, więc Lejla na znak protestu opuszcza pokój. Bibi Gol jest szczęśliwa, ęmi papierosa i śmieje się cicho. Przestaje się nawet kiwać, kiedy tak siedzi z podniesionym wysoko papierosem i zaciąga się głęboko.

- Dzięki temu będę mniej jeść - tłumaczy.

- Wypuść go - mówi, kiedy już się nacieszyła papierosem. - On już dostał swoją karę, bicie od ojca, wstyd, no i przecież oddał te pocztówki.

- Czy ty widziałeś jego dzieci? - wspiera teściową Szarifa. - Jak one sobie poradzą bez ojca?

- Jeśli jego dzieci pomrą, odpowiedzialność może spaść na nas - wtrąca Lejla, która wróciła do izby, gdy matka skończyła palić. - Pomyśl, co będzie, jeśli zachorują, przecież nie stać ich na doktora, więc umrą. Albo umrą, bo nie będą miały co jeść - mówi. - Poza tym sam stolarz też może umrzeć w więzieniu. Wielu ludzi nie przeżywa tam sześciu lat, umierają na jakieś zarazy, na gruźlicę i mnóstwo innych chorób.

- Okaż miłosierdzie - prosi Bibi Gol.

Mansur dzwoni ze swojego nowo kupionego telefonu do Sułtana do Pakistanu. Prosi o pozwolenie zwolnienia stolarza. W pokoju panuje kompletna cisza, wszyscy śledzą rozmowę. Słyszą głos Sułtana, który krzyczy z Pakistanu:

- Ten drań chciał zniszczyć moje przedsiębiorstwo, chciał obniżyć moje ceny! Dostawał u mnie dobrą zapłatę, nie musiał kraść. Ale to drań! Okradł mnie i prawda powinna zostać z niego wyciśnięta. Nikt nie ma prawa niszczyć mojego dorobku!

- On może dostać sześć lat więzienia! Kiedy wyjdzie, jego dzieci mogą już nie żyć! - woła Mansur w odpowiedzi.

- A niech dostanie i sześćdziesiąt! Nic mnie to nie obchodzi. Ma być bity tak długo, dopóki nie wyjawia, komu sprzedał kartki.

- Ty tak mówisz, bo masz pełny żołądek! - krzyczy Mansur. - A mnie chce się płakać, jak sobie pomyślę o tych wychudzonych dzieciach. Jego rodzina jest po prostu skazana na śmierć.

- Jak śmiesz przeciwstawiać się własnemu ojcu! - wrzeszczy Sułtan w słuchawkę. Wszyscy zebrani w pokoju znają ten jego głos i wiedzą, że teraz jest czerwony na twarzy i cały się trzęsie. - Co z ciebie za syn? Masz robić wszystko, co ci każę, wszystko! Co się z tobą dzieje? Dlaczego jesteś nieposłuszny?

Na twarzy Mansura widać, jaką wewnętrzną walkę toczy.

Nigdy nie zrobił nic innego niż to, co ojciec mu polecił. To znaczy, jeśli chodzi o sprawy, o których ojciec wie. Nigdy się otwarcie przeciwko niemu nie zbuntował i nie może, nie odważy się zaryzykować tego, by cały gniew ojca zwrócił się przeciwko niemu.

- Tak jest, ojcie - mówi i kończy rozmowę.

Rodzina siedzi w milczeniu.

- On ma serce z kamienia - stwierdza Szarifa.

Sonja się nie odzywa.

Każdego ranka i każdego wieczora przychodzą do nich ludzie z rodziny stolarza. Często babka, potem matka, ciotka lub żona. Zawsze mają ze sobą któreś z jego dzieci. Za każdym razem dostają tę samą odpowiedź. Że to Sułtan decyduje. I że kiedy już wróci do domu, sprawy na pewno się ułożą.

Wszyscy wiedzą jednak, że to nieprawda, Sułtan już wydał wyrok.

W końcu nikt nie jest już w stanie otwierać kobietom z rodziny stolarza. Siedzą więc cicho i udają, że nikogo nie ma w domu. Mansur znowu idzie na miejscowy posterunek policji i prosi o odroczenie, chce zaczekać, aż ojciec wróci i sam się zajmie sprawą. Ale szef policji czekać nie może.

W tej celi o powierzchni metra kwadratowego nie wolno trzymać aresztanta dłużej niż kilka dni. Jeszcze raz proszą stolarza, aby się przyznał, że jednak wziął więcej pocztówek, i powiedział, komu je sprzedał, ale on nie chce, tak samo jak przedtem. Dżalaluddin zostaje więc zakuty w kajdanki i wywieziony z glinianej chaty.

Ponieważ szef wiejskiej policji nie ma samochodu, to Mansur musi odwieźć aresztanta do głównej komendy policji w Kabulu.

Przed posterunkiem stoi ojciec stolarza, jego syn i babka. Kiedy Mansur idzie do samochodu, podchodzą z wahaniem. Dla Mansura sytuacja jest okropna. Pod nieobecność Sułtana w oczach rodziny stolarza on jest człowiekiem bezdusznym.

- Ja muszę zrobić to, co ojciec mi każe - usprawiedliwia się, wkłada przeciwsłoneczne okulary i wsiada do samochodu. Babka i mały synek Dżalaluddina idą do domu. Ojciec wsiada na swój pokrzywiony rower i jedzie za samochodem.

Nie zawraca, chce jak najdłużej towarzyszyć synowi. Długo jeszcze widzą jego coraz bardziej oddalającą się sylwetkę.

Mansur prowadzi spokojniej i wolniej niż zwykle. Być może stolarz nie będzie widział tych ulic przez wiele lat.

Przyjeżdżają do siedziby policji. Za czasów talibów był to jeden z najbardziej znieawidzonych budynków. Tutaj, w Departamencie Krzewienia Cnoty i Zapobiegania Występkom, miała swoją siedzibę policja religijna talibów. Przywożono tu mężczyzn, którzy nosili za krótkie brody, kobiety, które przyłapano na ulicy w towarzystwie mężczyzn niebędących ich krewnymi, kobiety, które pod burką miały umalowane usta. Ci ludzie musieli tygodniami siedzieć w areszcie w oczekiwaniu na wyrok skazujący bądź uniewinniający. Kiedy talibowie uciekli, areszt tymczasowy został otwarty, więźniowie wyszli na wolność, a w pomieszczeniach znaleziono narzędzia tortur, rozmaite kable, drewniane pałki i inne przedmioty. Mężczyźni byli bici nago, kobiety na czas tortur owijano w prześcieradła. Przed

talibami urzędowali tu bezlitośni słudzy sowieckiego reżimu, a potem nie do końca zorganizowane siły policyjne mudżahedinów.

Stolarz wchodzi po masywnych schodach na piąte piętro.

Stara się iść obok Mansura i wciąż zwraca ku niemu błagalny wzrok. Wydaje się, że jego oczy zrobiły się jeszcze większe podczas tego tygodnia spędzonego w areszcie. Błagające gałki omal nie wyskoczą z twarzy.

- Wybacz mi, wybacz mi. Będę do końca życia pracował dla was za darmo! Tylko mi wybacz!

Mansur patrzy prosto przed siebie, nie chce teraz być miękkim. Sułtan dokonał wyboru, a on nie śmie przeciwstawiać się ojcu. Bo mógłby zostać wydziedziczony, wypędzony z domu. Już i bez tego czuje, że faworytem ojca jest młodszy brat. To Eghbal został posłany na kurs komputerowy, to Eghbalowi Sułtan obiecał rower. Jeśli Mansur teraz nie podporządkuje się decyzji ojca, Sułtan może zerwać wszelkie więzi z najstarszym synem. A tego Mansur nie chce ryzykować dla stolarza, chociaż bardzo mu go żal.

Czekają na przesłuchanie i na rejestrację skargi. System działa w ten sposób, że oskarżony siedzi w więzieniu, dopóki nie zostanie udowodniona jego wina lub niewinność. Każdy może złożyć doniesienie, na kogo zechce, i ten człowiek idzie do więzienia na nie wiadomo jak długo.

Mansur wykłada sprawę. Stolarz znowu siedzi w kucki na podłodze. Palce u nóg ma długie i pokrzywione. Pod paznokciami grube czarne obwódki. Sweter i kamizelka wiszą na nim luźno, spodnie opadają na biodrach.

Przesłuchujący usiadł za stołem i starannie zapisuje, co obie strony powiedziały. Piszze wyraźnym piśmem na papierze z kalką.

- Dlaczego aż tak ci się podobają pocztówki z widokami Afganistanu? - policjant się śmieje, bo cała sprawa wydaje mu się cokolwiek kuriozalna, ale zanim stolarz zdążył mu odpowiedzieć, mówi dalej: - Powiedz nam teraz, komu sprzedałeś te kartki, bo przecież wszyscy wiemy, że nie ukradłeś ich po to, by wysłać krewnym.

- Ja wziąłem tylko dwieście i Rasul dał mi kilka - stolarz trzyma się swojej wersji.

- Rasul nie dawał ci żadnych kartek, to kłamstwo - protestuje Mansur.

- Powinieneś zapamiętać sobie ten pokój jako miejsce, w którym dostałeś jeszcze jedną szansę na powiedzenie prawdy - zachęca policjant.

Dżalaluddin siedzi, przełyka ślinę, wyłamuje palce i oddycha z ulgą, gdy policjant zwraca się ponownie do Mansura z pytaniem, kiedy, gdzie i w jaki sposób doszło do przestępstwa. Za plecami policjanta leży jedno z kabulskich wzgórz.

Jest poryte maleńkimi domkami, które przywarły do zbocza.

Ścieżki schodzą zygzakowato w dół. Przez okno stolarz widzi też ludzi, którzy przypominają małe mrówki biegające tam i z powrotem. Domy zbudowane są z tego, co można znaleźć w zrujnowanym przez wojnę Kabulu. Jakaś płyta z blachy falistej, to znowu kawał płótna, plastik, odłamki muru, fragmenty innych ruin.

Nagle prowadzący przesłuchanie policjant siada w kucki na podłodze przy nim.

- Ja wiem, że twoje dzieci są głodne. I wiem, że nie jesteś kryminalistą. Dlatego chcę ci dać jeszcze ostatnią szansę.

Tej szansy nie powinienes zaprzepaścić. Jeśli powiesz, komu sprzedałeś pocztówki, to puszcze cię wolno. Ale jeżeli nie powiesz, czeka cię wiele lat więzienia.

Mansur słucha bez zainteresowania. Już chyba setny raz ktoś prosi stolarza, żeby się przyznał, kto te kartki od niego kupił. Mansur patrzy na zegarek i ziewa.

Nieoczekiwanie z ust Dżalaluddina pada jakieś imię.

Wymawia je tak cichutko, że prawie nic nie słyhać.

Mansur podskakuje na krześle.

Człowiek, którego nazwisko Dżalaluddin wymienił, ma na bazarze kiosk i sprzedaje w nim kalendarze, ołówki, kartki. Kartki na uroczystości religijne, na śluby, zaręczyny i urodziny. A prócz tego pocztówki z afgańskimi motywami.

Zwykle kupował je w księgarni Sułtana, ale ostatnio jakoś się nie pokazywał. Mansur pamięta go bardzo dobrze, bo zawsze głośno narzeka, że ceny są takie wysokie.

Nagle jakby rozwiązał się jakiś węzeł. Dżalaluddin opowiada, ale wciąż się jeszcze trzęsie.

- Ten człowiek przyszedł do mnie pewnego popołudnia, kiedy już się zbierałem do domu. Trochę gadaliśmy, a on spytał, czy nie potrzebuję pieniędzy. A ja bardzo ich potrzebuję. Wtedy spytał, czy nie mógłbym mu przynieść trochę pocztówek. Najpierw odmówiłem, ale on powiedział, ile mógłbym za to dostać, a ja myślałem o moich dzieciach w domu. Z pracy stolarza nie jestem w stanie wyżywić rodziny. Myślałem o żonie, której zaczynają wypadać zęby, a ma dopiero trzydzieści lat. Myślałem o wszystkich tych pełnych wyrzutu spojrzeniach, kierowanych na mnie w domu, bo nie potrafię zarobić wystarczająco dużo. Myślałem o ubraniach i butach, których moje dzieci nigdy nie będą miały, o doktorze dla chorych dziewczynek, na którego mnie nie stać, o tym marnym jedzeniu, które dostają. I wtedy przyszło mi do głowy, że gdybym tak podbierał te kartki po trochu, dopóki pracuję w księgarni, to mógłbym rozwiązać wiele moich problemów. Sułtan niczego by nie zauważył.

On ma mnóstwo pocztówek, ma też mnóstwo pieniędzy. No i w końcu wziąłem trochę kartek i sprzedałem.

- Musimy tam jechać i zabezpieczyć dowody - mówi policjant, wstaje i rozkazuje stolarzowi, Mansurowi i jeszcze jednemu policjantowi, by mu towarzyszyli. Jadą na bazar, do kiosku z kartkami. W małym pomieszczeniu zastają młodego chłopca.

- Gdzie Mahmud? - pyta policjant, który jest w cywilnym ubraniu.

Okazuje się, że Mahmud poszedł coś zjeść. Policjant pokazuje chłopcu policyjną legitymację i informuje, że muszą zobaczyć pocztówki. Chłopiec wprowadza ich do ciasnego pomieszczenia przylegającego do kiosku. Mansur i policjant zrzucają z półek pocztówki. Wszystkie drukowane na zamówienie Sułtana były przechowywane w jednym worku.

W końcu nazbierało się ich kilka tysięcy, ale trudno powiedzieć, które Mahmud kupił oficjalnie, a które od Dżalaluddina. Zabierają pocztówki i chłopca z kiosku na policję.

Zamykają kiosk. Tego dnia nikt nie kupi tutaj ani kartki z podziękowaniami, ani wizerunku żadnego dumnego bohatera wojennego.

Kiosk zostaje zamknięty. Policjant czeka na Mahmuda.

Kiedy go w końcu przywozi na policję, wciąż jeszcze z zapachem kebabu na rękach, zaczyna się nowe przesłuchanie.

Najpierw Mahmud zaprzecza, że kiedykolwiek przedtem widział stolarza. Mówi, że kartki kupował zgodnie z prawem u Sułtana, ujunusa, Eghbala albo u Mansura. Potem zmienia zeznania i oświadcza, że owszem, pewnego dnia przyszedł do niego stolarz z kartkami, ale on nie kupił nic.

Kioskarz również musi spędzić noc w areszcie, Mansur natomiast może w końcu wyjść. Na korytarzu stoi ojciec stolarza, jego wuj, syn i bratanek. Podbiegają do Mansura, próbują łapać go za ubranie i patrzą przerażonym wzrokiem, kiedy ich pospiesznie mijają. Nie jest już w stanie znieść ich obecności, ma ich dość. Stolarz się przyznał, Sułtan będzie zadowolony, sprawa jest załatwiona. Teraz, kiedy kradzież i sprzedaż pocztówek została udowodniona, może się zacząć proces.

Mansur myśli o tym, co powiedział ów prowadzący przesłuchanie policjant: To jest twoja ostatnia szansa. Jeżeli się przyznasz, puszcze cię wolno i będziesz mógł wrócić do swojej rodziny.

Mansur czuje się źle. Chce jak najszybciej stąd wyjść. Nie może zapomnieć ostatnich słów, jakie Sułtan wypowiedział przed wyjazdem: „Ja ryzykowałem życie, by stworzyć moje sklepy. Siedziałem w więzieniu i byłem bity. Ręce sobie urabiałem po łokcie, by uczynić coś dla Afganistanu, a tu przychodzi jakiś przekłety stolarz i podkopuje moje dzieło.

W takim razie kara nie może go ominąć. Nie bądź miękki, Mansur, nie bądź miękki”.

W rozpadającej się glinianej chacie we wsi Deh Chodadad siedzi kobieta i patrzy przed siebie. Jej najmłodsze dzieci płaczą, jeszcze nie dostały nic do jedzenia, i czekają na dziadka, aż wróci z miasta. Może coś przywiezie. Biegną mu na powitanie, kiedy pojawia się w bramie ze swoim rowerem. Ale dziadek nie ma nic w rękach, nic nie leży na bagażniku. Zatrzymują się na widok jego mrocznej twarzy. Stoją przez chwilę cicho, a potem znowu wybuchają płaczem, tuląc się do dziadka.

- Gdzie jest tata? Kiedy wróci tata?

moja matka, Osama

Tadžmir podnosi Koran do czoła, całuje go i odczytuje jakiś przypadkowy werset. Ponownie całuje książkę, chowa ją do kieszeni marynarki i wygląda przez okno. Samochód wyjeżdża z Kabulu. Kieruje się na wschód, ku najbardziej niespokojnym rejonom Afganistanu, na granicy z Pakistanem, gdzie talibowie oraz AlKaida nadal cieszą się dużym poparciem i gdzie, jak sądzą Amerykanie, w niedostępnym górskim terenie ukrywają się terroryści. Toteż przeczesują okolice, przesłuchują miejscową ludność, wysadzają w powietrze skały, szukają magazynów broni, znajdują kryjówki, bombardują i zabijają cywilów w pościgu za terrorystami i największym trofeum, o jakim marzą - Osamą ben Ladenem.

Właśnie na tym terenie miała miejsce największa ofensywa przeciwko AlKaidzie, operacja "Anakonda", kiedy to międzynarodowe siły specjalne pod amerykańskim dowództwem toczyły w Afganistanie ciężkie walki przeciwko zwolennikom Osamy. Podobno wielu żołnierzy AlKaidy nadal znajduje się na tych terenach, terenach, których wodzowie nigdy nie uznali władzy centralnej i gdzie nadal rządzi prawo plemienne. W pasztuńskim pasie granicznym trudno jest Amerykanom i władzom z Kabulu przenikać do wsi. Rządowe siły specjalne są przekonane, że jeśli Osama ben Laden oraz przywódca talibów, mułła Omar, nadal żyją i znajdują się w Afganistanie, to z pewnością właśnie tutaj.

To ich Tadžmir ma próbować znaleźć. Albo przynajmniej odszukać kogoś, kto słyszał o takich, co widzieli, lub sądzą, że widzieli, kogoś do nich podobnego. W przeciwieństwie do człowieka, którego wiezie, Tadžmir ma nadzieję, że nikogo takiego tu nie ma. Tadžmir nie lubi zagrożeń. Nie lubi jeździć na terytoria plemienne, gdzie w każdej chwili może wybuchnąć walka. Na tylnym siedzeniu samochodu leżą kamizelki kuloodporne i hełmy.

- Co czytałeś, Tadžmir?

- Święty Koran.

- Tak, to widziałem, ale czy było to jakieś specjalne miejsce? Mam na myśli coś w rodzaju Travellersection?

- Nie, ja nigdy nie otwieram w określonym miejscu, po prostu zdaję się na przypadek. Teraz trafiłem na werset o tym, że ten, kto jest posłuszny Bogu i jego przykazaniom, zostanie wprowadzony do ogrodów Raju, gdzie szumią strumyki, natomiast kto odwraca się plecami do Boga, zostanie boleśnie ukarany we własnym domu. Ja czytam Koran zawsze, kiedy się czegoś boję lub jestem smutny.

- Oh, yeah - mówi Bob i opiera głowę o szybę. Mrużąc oczy, patrzy na znikające pokryte kurzem ulice Kabulu. Jadą w stronę słońca, które, choć to jeszcze wczesny ranek, świeci tak, że Bob musi zamykać oczy.

Tadźmir siedzi i rozmyśla o czekającym go zadaniu. Dostał pracę tłumacza w dużej amerykańskiej gazecie. Wcześniej, za talibów, pracował dla pewnej organizacji pomocowej i odpowiadał za rozdział mąki i ryżu dla biednych. Kiedy po 11 września cudzoziemcy z organizacji opuścili Afganistan, on musiał sam kierować wszystkim. Talibowie blokowali wszelkie jego poczynania. Rozdział żywności został zawieszony, a pewnego dnia bomba wpadła do pomieszczenia, w którym zazwyczaj wydawano pomoc. Tadźmir dziękował Bogu, że w odpowiednim momencie przerwał pracę. Aż strach pomyśleć, co by to było, gdyby w magazynie stała akurat długa kolejka zdesperowanych kobiet i dzieci.

Wydaje mu się jednak, że w tej organizacji pomocowej pracował bardzo dawno temu. Kiedy do Kabulu zaczęli napływać dziennikarze, amerykańska gazeta nawiązała z nim kontakt. Zaproponowali mu dzienną stawkę równą jego wynagrodzeniu za dwa tygodnie. Pomyślał więc o rodzinie, która potrzebowała pieniędzy, porzucił dotychczasową pracę i zaczął tłumaczyć, posługując się swoim pełnym fantazji i pomysłowości angielskim.

Tadźmir jest jedynym żywicielem rodziny, która jak na afgańskie normy jest raczej mała. Mieszka razem z matką, ojcem, siostrą, żoną i rocznym dzieckiem w niewielkim mieszkaniu na osiedlu Mikrorejon, niedaleko Sułtana i jego rodziny.

Sułtan jest bratem matki i jego, Tadźmira, wujem.

W każdym razie oficjalnie. W rzeczywistości bowiem to nie kobieta, którą Tadźmir nazywa matką, go urodziła. Matka, która go wychowała, jest właściwie jego siostrą, a swoją rodzoną matkę zawsze uważał za babkę.

A było to tak: Firoza, najstarsza córka Bibi Gol, pięć lat starsza od Sułtana, wcześniej została wydana za operatywnego przedsiębiorcę. Po ślubie Firoza przeprowadziła się do domu swojego o dwadzieścia lat starszego męża.

Lata mijały, a ona nie zachodziła w ciążę. Próbowwała wszystkiego, słuchała wszelkich możliwych rad, zażywała lekarstwa, modliła się do Boga, rozpaczała. Kiedy ona starała się tak bezskutecznie, jej matka wciąż rodziła kolejne dzieci.

Od ślubu Firozy wydała już na świat trzech synów jednego po drugim i wiele córek. Kobieta zyskuje wartość dzięki temu, że jest matką, przede wszystkim matką synów. Kiedy Firoza już piętnaście lat była bezpłodna, a jej matka oczekiwała właśnie dziesiątego potomka, córka poprosiła, by jej to dziecko oddała.

Bibi Gol nie chciała się zgodzić.

- Przecież nie mogę się wyrzec własnego dziecka.

Ale Firoza nie przestawała prosić, błagać, w końcu grozić.

- Miej litość nade mną, ty, która masz liczną gromadę, a ja nie mam ani jednego. Daj mi tylko to jedno - łkała. - Nie mogę dłużej żyć bez dziecka.

W końcu Bibi Gol obiecała, że spełni jej prośbę. I gdy Tadźmir przyszedł na świat, zatrzymała go przy sobie tylko dwadzieścia dni. Karmiła go piersią, pieściła i płakała, że będzie musiała go oddać. Bibi Gol była kobietą wartościową dzięki swoim dzieciom i najchętniej urodziłaby ich tyle, ile tylko można. Poza nimi nie miała nic, bez nich była nikim. Po umówionych dwudziestu dniach oddała synka Firozie i chociaż mleko lało się jej z piersi, Firoza nie pozwoliła jej więcej karmić małego. Nie powinien w żaden sposób przywiązywać się do matki, która od tej chwili miała być jego babką.

Firoza okazała się najsurowszą z matek. Od najwcześniejszego dzieciństwa Tadźmir nie mógł przebywać poza domem z innymi dziećmi, musiał bawić się spokojnie sam, pod nadzorem Firozy, a kiedy podrósł, najważniejsze stało się odrabianie lekcji. Zawsze prosto ze szkoły musiał wracać do domu, nie mógł odwiedzać kolegów ani nikogo ze sobą przyprowadzać. Tadźmir nie protestował, nie można było przeciwstawiać się Firozie. Bo Firoza biła, i to biła mocno.

- Ona jest gorsza niż Osama ben Laden - wyznaje Tadźmir Bobowi, kiedy musi uzasadnić, dlaczego się spóźnił lub dlaczego musi nagle zakończyć pracę.

Swoim nowym amerykańskim przyjaciółom opowiada mrozące krew w żyłach historie o "Osamie". Oni zaś wyobrażają sobie, że to jakaś furia ubrana w burkę. Ale kiedy ją spotkali podczas wizyty u Tadźmira, zobaczyli jedynie łagodną, niewysoką kobietę o badawczym, uważnym spojrzeniu.

Firoza nosi na piersiach wielki medalion ze złota z wygrawerowanym muzułmańskim wyznaniem wiary. Kupiła go sobie natychmiast, jak tylko Tadźmir przyniósł do domu pierwsze pieniądze zarobione u Amerykanów. Firoza dokładnie wie, ile syn zarabia, i Tadźmir musi oddawać wszystko matce, a ona w razie potrzeby wydziela mu kieszonkowe.

Tadźmir pokazuje gościom na ścianach w domu wszystkie ślady po przedmiotach, którymi matka w niego ciskała. Czasem były to buty, czasem co innego. Teraz się z tego śmieje.

Matka tyran stała się bohaterką zabawnych opowieści.

Firoza gorąco pragnęła, by Tadźmir wyszedł na ludzi, by stał się kimś ważnym. Zawsze, kiedy zdobyła trochę dodatkowych pieniędzy, zapisywała go na jakiś kurs - a to język angielski, a to uzupełniające lekcje matematyki albo kurs komputerowy. Analfabetka,

która została wydana za męża, by zdobyć pieniądze dla rodziny, chciała zostać szanowaną matką. Mogła to osiągnąć dzięki udanemu synowi.

Ojciec mniej dbał o Tadźmira. Był to sympatyczny, trochę nieśmiały mężczyzna, ale niestety pił i znikał z domu czasem na bardzo długo. W swoich dobrych latach jeździł w celach handlowych do Indii i Pakistanu. Czasem przywoził do domu pieniądze, czasem nie. Z latami coraz częściej leżał w łóżku i pił.

Pijaństwo jest w Afganistanie problemem mało rozpowszechnionym. Niewielu podejmuje ryzyko przemykania alkoholu do kraju, a drogocenne butelki sprzedaje się tylko w wielkiej tajemnicy. Nie zawsze jednak tak było. W liberalnym okresie, gdy Zaher Szah kierował krajem, serwowano nawet drinki w restauracjach i barach, a podczas okupacji sowieckiej strumieniami płynęła wódka, którą żołnierze sprzedawali za bezcen. Potem nastąpiła wojna domowa i rządy mudżahedinów. Islamiści ustanowili surowe kary za sprzedaż, kupno i spożycie alkoholu. Talibowie jeszcze te kary zaostrzyli.

Niezależnie jednak od reżimu ojciec Tadźmira zawsze znajdował dostęp do tego, za czym jego organizm tak tęsknił, i nieważne, czy był to denaturat, czy środek do czyszczenia mebli. Zwłaszcza za talibów upijał się do nieprzytomności. U jego boku żyła zatroskana Firoza, przejęta i zawstydzona tym mężem pijakiem, którego Bóg jej przeznaczył. Tadźmira mogła w tajemnicy przed ludźmi porządnie zbić, ale dla męża nigdy nie była surowa, choć od dawna nie ulegało wątpliwości, kto w tym małżeństwie jest silniejszy. Z wiekiem Firoza się zmieniła, była teraz zażywną damą, okrągłą niczym mała piłka, w grubych okularach balansujących na czubku nosa lub zawieszonych na szyi. Mąż przeciwnie, był wychudzony, siwy i kruchy jak sucha gałąź.

W miarę jak mąż pogrążał się w nałogu, rolę głowy rodziny przejmowała Firoza. Kiedy kilka lat po urodzeniu Tadźmira Bibi Gol spodziewała się kolejnego dziecka, Firoza zażądała również tego, które miało się urodzić. Bibi Gol znowu odmówiła, Firoza, jak poprzednio, nie przestawała nalegać.

- To niedobrze dla Tadźmira, żeby był jedynakiem; bądź dobra, ty masz ich już tyle - prosiła, znowu ze łzami w oczach, i groziła na przemian. Tym razem jednak Bibi Gol była stanowcza i kiedy na świat przyszła Lejla, nie oddała jej.

Lejla często z goryczą myśli o tym, co się stało. Mój Boże, gdybym tak była siostrą Tadźmira. Wtedy mnie też posyłano by na kursy komputerowe i lekcje angielskiego, mogłabym teraz chodzić na uniwersytet. Miałabym piękne ubrania i nie musiałabym pracować jak służąca. Lejla kocha swoją matkę, to nie o to chodzi, ale czuje, że tak naprawdę nikt się nią nigdy nie zajmował. Zawsze czuła się ostatnia w szeregu, co też jest prawdą, bo

po niej Bibi Gol nie miała już więcej dzieci. Tak więc zamiast być siostrą Tadźmira, Lejla została jego o pięć lat młodszą ciotką.

Firoza jednak nie wyzbyła się marzenia o następnych dzieciach. Skoro matka jej odmówiła, poszła do kabulskiego domu dziecka. Tam znalazła Czeszmesz, którą ktoś podrzucił na progu, zawiniętą w brudną poszewkę. Wzięła ją i wychowywała jako siostrę Tadźmira. O ile jednak nikt, kto widzi rodzinę po raz pierwszy, ani przez sekundę nie wątpi, że Firoza urodziła Tadźmira, bo on wygląda jak skóra zdjęta z matki, ta sama okrągła twarz, ten sam duży brzuch i kołyszący się krok, to z Czeszmesz sprawy mają się zupełnie inaczej.

Czeszmesz jest zestresowaną, trudną do opanowania dziewczynką, chudą jak przecinek, o znacznie ciemniejszej skórze niż reszta rodziny. Ma we wzroku coś dzikiego, jakby życie w jej głowie było dużo bardziej podniecające niż to, które rozgrywa się w rzeczywistym świecie. Czeszmesz biega na rodzinnych uroczystościach niczym szalony żrebak, ku wielkiej rozpaczyci Firozy. Tadźmir w dzieciństwie posłusznie spełniał żądania matki, natomiast Czeszmesz była zawsze brudna, zawsze potargana, zawsze podrapana. Nikt jednak nie jest bardziej oddany niż ona, kiedy ma lepszy nastrój, nikt nie obdarza matki słodszyimi pocałunkami ani mocniejszymi uściskami. Gdziekolwiek Firoza idzie, Czeszmesz jej towarzyszy. Niczym mały, wiotki cień kroczy obok zażywej matki.

Podobnie jak inne dzieci Czeszmesz szybko się dowiedziała, kim byli talibowie. Pewnego dnia ona i jej koleżanka zostały strasznie pobite przez taliba w bramie domu. Bawiły się z jego synem, który w pewnym momencie przewrócił się i uderzył. Ojciec złapał obie dziewczynki i zbił je grubym kijem. Rezultat był taki, że już nigdy nie chciały się bawić z nikim, kto miał ojca taliba. Talibowie to ci, którzy zakazali jej chodzić do szkoły razem z chłopcami z podwórka, talibowie to ci, którzy nie pozwolili ludziom śpiewać ani klaskać w ręce, którzy zabronili im tańczyć. Talibowie to ci, którzy zabronili jej wynosić lalki na dwór. Posiadanie lalek i pluszowych zwierzątek zostało absolutnie zakazane, bo to wizerunki istot żywych. Kiedy policja religijna robiła w domach rewizje, niszczyła ludziom telewizory i kasety z muzyką.

Chętnie zabierano też dziecięce zabawki, lalkom wrywano ręce i nogi, rozszarpywano je na strzępy i miażdżono na oczach śmiertelnie przerażonych dzieci.

Kiedy Firoza przyniosła wiadomość o ucieczce talibów, Czeszmesz natychmiast wzięła swoją ulubioną lalkę i wyszła z domu, by pokazać jej świat. Tadźmir zgolił brodę. Firoza wyjęła ze schowka zakurzoną kasetę i stary magnetofon.

Kręciła się po mieszkaniu w rytm muzyki i mówiła: "Teraz będziemy świętować za pięć straconych lat!"

Więcej dzieci, którymi Firoza mogłaby się zająć, już nie było. Zaraz po tym, jak przyniosła do domu Czeszmesz, wybuchła wojna domowa i Firoza razem z rodziną Sułtana wyemigrowała do Pakistanu. Kiedy wróciła z wygnania, był czas najwyższy rozejrzeć się za żoną dla Tadźmira i nie miała ani chwili na szukanie po szpitalach podrzuconych dziewczynek.

Tak jak o wszystkim w życiu Tadźmira, matka zdecydowała też o tym, kto ma zostać jego żoną. On sam był głęboko zakochany w pewnej dziewczynie, z którą w Pakistanie chodził na kurs angielskiego. Byli parą, chociaż nigdy się nie całowali ani nie trzymali za ręce. Rzadko zdarzało im się być sam na sam, ale pisywali do siebie karteczki oraz długie miłosne listy. Tadźmir nigdy by się nie odważył opowiedzieć Firozie o tamtej dziewczynie, choć marzył, że się z nią ożeni.

Była krewną bohaterą wojennego Masuda i Tadźmir wiedział, że matka bałaby się, iż zostaną wplątani w jakąś awanturę. Niezależnie jednak od tego, kim była dziewczyna, Tadźmir nigdy by się nie odważył zwierzyć matce, że jest zakochany. Nie został nauczony, że może o coś prosić, nigdy nie mówił Firozie, co czuje, swoje wobec niej podporządkowanie uważał za okazywanie matce szacunku.

- Znalazłam dziewczynę, z którą się ożenisz - oznajmiła któregoś dnia Firoza.

- Dobrze - odparł Tadźmir. Poczuł, że ścisną go w gardle, ale nie zaprotestował ani słowem. Wiedział tylko, że musi napisać list do ukochanej w Pakistanie i powiedzieć, że to koniec. - Kto to taki? - spytał.

- Jest twoją kuzynką w trzecim pokoleniu. To Chadźidza, nie widziałeś jej, odkąd byliście mali. Jest zdolna i pracowita, pochodzi z dobrej rodziny.

Tadźmir po prostu skinął głową. Dwa miesiące później spotkał Chadźidzę po raz pierwszy. Było to podczas uroczystości zaręczynowej. Przez cały wieczór siedzieli obok siebie i nie zamienili ani słowa. Tę będe mógł pokochać, myślał Tadźmir.

Chadźidza przypominała paryską gwiazdę jazzową z lat dwudziestych. Miała czarne, falujące włosy do ramion, białą, mocno upudrowaną twarz, podkreślone czarną kredką oczy i czerwoną szminkę na wargach, szczupłe policzki i wydatne usta. Wyglądała tak, jakby całe życie pozowała do fotografii z papierosem w długiej cygarniczce. Według afgańskich standardów nie mogła jednak być uważana za piękną. Była za drobna. I za chuda. W Afganistanie ideałem jest kobieta okrągła, o pełnych policzkach, pełnych biodrach, wyraźnie zarysowanym brzuchu.

- Teraz ją kocham - opowiada Tadźmir. Zbliżają się do Gardes i Tadźmir zdążył już opowiedzieć Bobowi, amerykańskiemu reporterowi, całą historię swojego życia.

- Wow - powiada tamten. - What a story. So you really love your wife now? What about the other girl?

Tadźmir nie ma najmniejszego pojęcia, co się stało z dziewczyną z Pakistanu. Wcale też o tym nie myśli. Teraz żyje sprawami swojej małej rodziny. Przed rokiem Chadźidza urodziła mu córeczkę.

- Chadźidza strasznie się bała, że to będzie dziewczynka - opowiada Bobowi. - Chadźidza zawsze się czegoś boi, i wtedy najbardziej się bała, że urodzi dziewczynkę. No to ja mówiłem jej i wszystkim dookoła, że bardzo chcę mieć córkę. Że najbardziej ze wszystkiego chciałbym mieć córkę. Bo gdyby się naprawdę urodziła córka, to nikt by się nad nami nie użalał, nie mówił, jaka to szkoda, tylko wszyscy by wiedzieli, że tego właśnie chciałem. No a gdyby urodził się chłopczyk, to też nikt by nic nie mówił, wszyscy by się po prostu cieszyli.

- Hm - mruczy Bob, który najwyraźniej nie pojmuje tej logiki.

- Teraz Chadźidza się boi, bo nie może po raz drugi zająć w ciążę, wciąż próbujemy, ale jakoś nic. No to jej tłumaczę, że właściwie jedno dziecko by wystarczyło. Bardzo dobrze jest mieć jedno dziecko. Na Zachodzie jest wiele takich rodzin. Więc gdybyśmy nie mieli już więcej dzieci, wszyscy by mówili, że przecież chcieliśmy tylko jednego. Gdyby się urodziło więcej, to się ucieszą jeszcze bardziej.

- Hm.

Zatrzymują się w Gardes, by kupić napoje i papierosy.

Tadźmir, kiedy jest w pracy, pali jednego za drugim. Paczkę na dzień, dwie paczki. Musi jednak bardzo uważać, żeby matka nie zauważyła. Nigdy by nie zapalił papierosa w jej obecności. To po prostu niemożliwe. Kupują karton papierosów po parę centów paczka, kilogram ogórków, dwadzieścia jaj i chleb. Jadą sobie samochodem, obierają ogórki i tłuką skorupki jajek, kiedy Bob nagle krzyczy:

- Stop!

Na skraju drogi siedzi co najmniej trzydziestu mężczyzn.

Kałasznikowy położyli przed sobą na ziemi. Taśmy z nabojami mają przewieszane przez piersi.

- To ludzie Pandzi Chana! - woła Bob. - Zatrzymaj samochód!

Bob bierze Tadźmira i rusza w kierunku tamtych. Pośrodku kręgu siedzi sam Pandzi Chan, największy komendant wojskowy w prowincjach wschodnich i jeden z najgłośniejszych przeciwników Hamida Karzaja.

Kiedy talibowie uciekli, Pandzi Chan został mianowany gubernatorem prowincji Paktia, uważanej za najbardziej niespokojną część kraju. Jako gubernator terytoriów, na których sieci AlKaidy nadal cieszyły się poparciem, Pandzi Chan stał się ważnym człowiekiem dla amerykańskich sił specjalnych. Ich skuteczność zależała od tego, czy będą mieć miejscowych współpracowników, i komendant był tak samo dobry jak inni. Zadaniem Pandzi Chana było ustalenie, gdzie kryją się żołnierze talibów i AlKaidy. W tym celu został nawet wyposażony w telefon satelitarny. Używał go zresztą z wielką chęcią. Nieustannie dzwonił i informował Amerykanów o przegrupowaniach sił AlKaidy w terenie. I Amerykanie strzelali. To zbombardowali wioskę tutaj, to znowu gdzie indziej. To ostrzelali przywódców plemiennych, którzy przyjechali do Kabulu na ceremonię zaprzysiężenia Karzaja, to grupę mężczyzn w jakimś budynku, jak się zaraz okazało, sojuszników Ameryki. Żaden z nich nie miał nic wspólnego z AlKaidą, wszystkich jednak łączyło to, że byli wrogami Pandzi Chana. Lokalne protesty przeciwko działalności upartego gubernatora, który nagle zaczął zarządzać amerykańskimi bombowcami B-52 i myśliwcami F-16, były tak gwałtowne, że Karzaj uznał za stosowne odwołać go ze stanowiska.

Wtedy Pandzi Chan rozpoczął własną małą wojnę. Zrzucał rakiety na wioski, w których znajdowali się jego wrogowie, wybuchały otwarte walki między różnymi frakcjami.

Zginęło wielu niewinnych ludzi, gdy komendant próbował odzyskać utraconą władzę. W końcu jednak musiał zrezygnować. Bob długo go poszukiwał, a tu nagle Pandzi Chan siedzi na piasku w otoczeniu bandy brodatych mężczyzn.

Wstaje na widok podróżnych. Z Bobem wita się krótko, ale Tadźmira obejmuje i ściska jowialnie.

- No i co słyhać, mój przyjacielu? Jak idzie?

Spotykali się często podczas operacji "Anakonda". Tadźmir tłumaczył, to wszystko. Nigdy nie był przyjacielem Pandzi Chana.

Pandzi Chan przywykł rządzić regionem jak własnym podwórkiem, pomagali mu w tym zawsze jego trzej bracia.

Nie dawniej jak przed tygodniem zrzucił deszcz rakiet na miasto Gardes, teraz kolej na Chost. Przybył tam właśnie nowy gubernator, socjolog, który ostatnie dziesięć lat spędził w Australii. Ukrywa się teraz przed oddziałami Pandzi Chana.

- Moi ludzie są gotowi - mówi Pandzi Chan do Tadźmira, który tłumaczy to Bobowi, a ten gorączkowo notuje. - Teraz właśnie siedzimy i dyskutujemy, co robić - ciągnie Pandzi Chan, spoglądając na swoich brodaczy. - Brać go zaraz czy raczej poczekać. A wy jedziecie

do Chostu? To powiedzcie mojemu bratu, że musi się jak najszybciej pozbyć gubernatora. Powiedzcie mu, niech go zapakuje i odeśle do Karzaja!

Pandzi Chan macha rękami, imitując pakowanie i odsyłanie. Wszyscy mężczyźni patrzą na swojego wodza, potem na Tadźmira, wreszcie na jasnowłosego Boba, który nie przestaje notować.

- Posłuchajcie no - mówi Pandzi Chan. Nie ma najmniejszej wątpliwości, kogo on uważa za prawowitego władcę tych trzech prowincji, które Amerykanie śledzą jastrzębim wzrokiem. Komendant używa nogi Tadźmira, żeby dokładnie wyjaśnić swoje poglądy, kreśli na jego udzie mapę, drogi, fronty. A za każdym razem, gdy jest zadowolony z tego, co powiedział, uderza go z całej siły. Tadźmir tłumaczy mechanicznie. Po jego stopach pełzają największe mrówki, jakie kiedykolwiek widział.

- Karzaj grozi, że w przyszłym roku przyśle swoje oddziały. Co z tym zrobisz? - pyta Bob.

- Jakie oddziały? Karzaj nie ma żadnych oddziałów! On ma kilkuset ochroniarzy szkolonych przez Brytyjczyków.

Nikt nie może mnie pobić na moim terenie - oznajmia Pandzi Chan, spoglądając na swoich ludzi.

Ci siedzą w zniszczonych sandałach i podartych ubraniach; jedyne, co jest świeżo wypolerowane i lśniące, to broń. Niektóre kolby karabinów ozdobiono kolorowymi paciorkami, inne mają przywiązane haftowane wstążki.

Młodszy przystroili swoje karabiny nalepkami. Na różowym tle widnieją czerwone litery: kiss. Wielu z tych ludzi jeszcze rok temu walczyło po stronie talibów. "Nas nie można posiadać, nas można najwyżej wynająć" - mówią Afgańczycy o tych swoich wielokrotnych zmianach frontu. Teraz są ludźmi Pandzi Chana, niekiedy wynajmują ich też Amerykanie. Ale najważniejsza dla nich jest walka z tym, kogo Pandzi Chan uważa obecnie za swojego wroga. Amerykanie i polowanie na AlKaidę muszą zejść na drugi plan.

- On oszalał - mówi Tadźmir, kiedy znowu siedzą w samochodzie. - To przez takich jak on nie ma pokoju w Afganistanie. Bo władza jest dla nich ważniejsza niż pokój. On jest wystarczająco szalony, by igrać życiem tysięcy ludzi dla odzyskania władzy. Że też Amerykanie z takimi współpracują.

- Gdyby chcieli współpracować tylko z tymi, którzy nie mają krwi na rękach, to w tych prowincjach nikogo by nie znaleźli - mówi Bob. - Nie mają wyboru.

- Ale oni się wcale nie przejmują szukaniem talibów dla Amerykanów, teraz skierowali broń przeciwko sobie nawzajem - upiera się Tadźmir.

Tadžmir i Bob całkiem co innego rozumieją przez udany wyjazd. Bob pragnie akcji, im więcej, tym lepiej. Tadžmir chce jak najszybciej wrócić do domu. Za kilka dni będą z Chadżidzą obchodzić drugą rocznicę ślubu i ma nadzieję, że do tego czasu do niej dotrze. Chciałby zaskoczyć żonę pięknym prezentem. Bob natomiast chciałby przygotowywać do druku opisy ekscytujących wydarzeń. Takich jak na przykład to sprzed kilku tygodni, kiedy obaj z Tadžmirem omal nie zginęli od wybuchającego granatu. Nie trafił w nich, na szczęście, tylko w samochód jadący tuż za nimi. Albo jak wtedy, kiedy musieli w ciemnościach szukać schronienia, bo na drodze do Gardes zostali uznani za wrogów i kule gwizdały im nad głowami. Takie wydarzenia niezwykle ożywiają Boba, on lubi spędzić noc w okopach, a Tadžmir wtedy przeklina, że zdecydował się na zmianę pracy. Jedyne, co jest dobre w tych wyjazdach, to dodatek wojenny. Firoza o nim nie wie, więc Tadžmir może pieniądze zachować dla siebie.

Tadžmir, podobnie jak większość mieszkańców Kabulu, z tą częścią Afganistanu najmniej się identyfikuje. Uważa, że okolice są dzikie i panuje w nich przemoc. Mieszkają tu ludzie, którzy nigdy nie podporządkują się władzy państwowej. Tutaj Pandzi Chan i jego bracia mogą rządzić całym regionem. I tak było zawsze. Prawo silniejszego.

Jadą teraz przez nieurodzajny, pustynny krajobraz. Raz po raz widzą nomadów i wielbłądy, spokojne i dumne, kołyszące się nad wydmami. Gdźieniedzie nomadowie rozbili swoje wielkie namioty koloru piasku. Chodzą między nimi kobiety w powiewających na wietrze barwnych sukniach.

Kobiety z tych plemion znane są jako najbardziej wyzwolone w Afganistanie. Nawet talibowie nie próbowali ich zmusić, by włożyły burki, dopóki przebywają poza obrębem miast.

Również ten koczowniczy lud wiele wycierpiał w ostatnich latach. Z powodu walk i min nomadowie musieli zmienić swoje odwieczne trasy wędrówek i poruszać się po znacznie mniejszym terenie niż przedtem. Długotrwałe susze sprawiły, że wiele ich kóz i wielbłądów padło.

Krajobraz staje się coraz bardziej jałowy. W dole rozciąga się pustynia, w górze są szczyty, wszystko w różnych odcieniach brązu. Na zboczach ciemnieją jakieś zygzakowate wzory. Kiedy lepiej się przyjrzeć, widać, że to długie szeregi owiec posuwających się jedna przy drugiej na skalnych półkach w poszukiwaniu pożywienia.

Samochód zbliża się do Chostu. Tadžmir nienawidzi tego miasta. Tutaj przywódca talibów, mułła Omar, znalazł najwierniejszych zwolenników. Chost i otaczające go terytoria prawie nie zauważyły, że kraj został znowu talibom odebrany, bo różnica dla tutejszych ludzi

jest niewielka. Tutaj i tak kobiety nie mogą pracować poza domem, a dziewczynki nie chodzą do szkoły. Burki nosiły, jak daleko sięgną pamięcią, nie z rozkazu państwa, lecz rodziny.

Chost jest miastem bez kobiet, w każdym razie na ulicach. Kobiety w Kabulu podczas tej pierwszej wiosny zaczęły zdejmować burki i czasami można nawet zobaczyć je w restauracji, tutaj natomiast kobiet w ogóle się nie spotyka, nawet ukrytych pod burkami. Prowadzą życie w zamknięciu, na swoich tylnych podwórkach, nie mają prawa wychodzić z domu, pójść na zakupy, rzadko mogą kogoś odwiedzić. Tutaj całkowita segregacja kobiet i mężczyzn, parde, przetrwała w najbardziej surowej postaci.

Tadźmir i Bob jadą prosto do młodszego brata Pandzi Chana, Kamala. Okupuje on siedzibę gubernatora, a sam gubernator przebywa w rodzaju aresztu domowego w budynku policji. W ogrodzie kwiatowym gubernatora aż się roi od ludzi Kamala Chana i jego braci. Żołnierze w różnym wieku, od szczuplutkich chłopców, po dojrzałych, siwiejących mężczyzn, siedzą, leżą lub krążą po alejkach. Atmosfera jest napięta, bardzo męcząca.

- Kamal Chan? - pyta Tadźmir.

Dwaj żołnierze prowadzą ich do komendanta, który siedzi w kręgu mężczyzn. Godzi się na wywiad, więc Tadźmir i Bob także siadają. Mały chłopiec wnosi herbatę.

- Jesteśmy gotowi do walki. Dopóki fałszywy gubernator nie opuści Chostu, a mój brat nie odzyska stanowiska, nie będzie pokoju - oznajmia młody mężczyzna.

Jego ludzie przytakują. Jeden gwałtownie kiwa głową, to zastępca komendanta Kamala Chana. Siedzi na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, słucha i popija herbatę. Przez cały czas czule pieści innego żołnierza. Obejmują się, trzymają się za ręce. Wielu żołnierzy posyła uwodzicielskie spojrzenia Tadźmirowi i Bobowi.

W części Afganistanu, szczególnie w prowincjach południowowschodnich, homoseksualizm jest rozpowszechniony i milcząco akceptowany. Komendanci utrzymują licznych kochanków i często można zobaczyć starszego mężczyznę w otoczeniu grupki młodych chłopców. Ci chętnie wpinają sobie kwiaty we włosy, noszą je zatknięte za ucho lub w dziurkach od guzików. Często homoseksualizm uważa się za następstwo wyjątkowo surowego przestrzegania parde właśnie w południowych i wschodnich prowincjach kraju.

Widuje się tutaj drepczących i kołyszących ciałami chłopców. Mają grubo obrysowane czarną kredką oczy, a ich ruchy przypominają zachowanie transwestytów na Zachodzie.

Rzucają zalotne spojrzenia, flirtują, kołyszą ramionami i biodrami.

Owi komendanci nie zawsze są po prostu homoseksualistami, większość z nich ma i żonę, i gromadkę dzieci. Rzadko jednak bywają w domu, a ich życie upływa wśród

mężczyzn. Ci młodzi kochankowie często bywają przyczyną wielkich dramatów, nierzadko zazdrość prowadzi do krwawej zemsty, bo na przykład jeden kochanek dzielił swoje względy między dwóch. Zdarzyło się nawet, że dwaj komendanci rozegrali na bazarze walkę o kochanka, w której użyli dwóch czołgów. Ofiarą padło wielu ludzi.

Kamal Chan, urodziwy mężczyzna nieco ponaddwudziestoletni, twierdzi, rzecz jasna, że to on i jego bracia mają prawo do rządzenia prowincją.

- Ludzie są po naszej stronie. Będziemy walczyć do ostatniego człowieka. I to nie dlatego, że chcemy władzy - wyznaje Kamal Chan rozbrajająco. - To naród, naród nas chce. My spełniamy tylko jego pragnienia.

Dwa długonogie pająki łążą po ścianie za jego plecami.

Kamal Chan wyjmuje z kieszeni kamizelki małą, brudną torebkę. Ma w niej jakieś tabletki, które wkłada do ust.

- Jestem trochę niezdrow - mówi, a w oczach pojawia się prośba o współczucie.

To są ludzie, którzy powstali przeciwko prezydentowi Hamidowi Karzajowi. To są ludzie, którzy próbują rządzić według prawa narzuconego przez komendantów wojskowych i nie chcą za nic poddać się dyktatowi Kabulu. To, że giną cywile, nie ma znaczenia. Tutaj chodzi o władzę, a władza oznacza dwie rzeczy, honor, że klan zachował kontrolę nad prowincją, oraz pieniądze - ściąganie haraczu z kwitnącego wciąż przemytu i cła za towary przewożone legalnie.

Powodem, dla którego amerykańska gazeta interesuje się lokalnym konfliktem w mieście Chost, nie są groźby Karzaja, że wyśle oddziały rządowe przeciw komendantom.

Prawdopodobnie zresztą nigdy do tego nie dojdzie, bo, jak powiedział Pandzi Chan, jeśli wyśle te oddziały, to zginie mnóstwo ludzi, a wina spadnie na Karzaja.

Nie, powodem są siły amerykańskie w regionie. Tajne amerykańskie siły specjalne, do których zbliżenie się jest niemożliwe. Tajni agenci, którzy czołgają się tu po górach w pościgu za AlKaidą. To o nich gazeta chce pisać, na przykład artykuł pod tytułem Pościg za AlKaidą. A najbardziej ze wszystkiego Bob chce znaleźć Osamę ben Ladena. Lub przynajmniej mułę Omara. Amerykanie ubezpieczają się i współpracują z obiema stronami lokalnego konfliktu, to znaczy zarówno z Pandzi Chanem i jego braćmi, jak i z ich wrogami.

Obie strony dostają pieniądze od Amerykanów, obie strony uczestniczą w ich akcjach, obie strony otrzymują broń, urządzenia łączności, sprzęt zwiadowczy. Bo po obu stronach Amerykanie mają dobre kontakty, po obu stronach znajdują się niedawni zwolennicy talibów.

Główny wróg Pandzi Chana i jego braci nazywa się Mustafa i jest szefem policji miasta Chost. Mustafa współpracuje i z Amerykanami, i z Karzajem. Po tym, jak niedawno

ludzie Mustafy zabili w strzelaninie czterech żołnierzy Kamala Chana, musiał się on na wiele dni zabarykadować w budynku policji. Czterej pierwsi, którzy opuszczą policję, zostaną zabici, ostrzegli bracia. Kiedy tamtym zabrakło wody i jedzenia, zgodzili się na rokowania. I dogadali się, by odłożyć rozstrzygnięcie sprawy. Niewiele to znaczy, czterej ludzie Mustafy mają wyroki śmierci, które mogą być wykonane w każdej chwili. Krew trzeba pomścić krwią, a już sama groźba wykonania wyroku śmierci może być wystarczającą torturą.

Na zakończenie Kamal Chan i jego młodszy brat, Wazir Chan, opisują Mustafę jako kryminalistę, który morduje kobiety i dzieci i którego jak najszybciej trzeba się pozbyć.

Tadźmir i Bob dziękują za gościnę. Do bramy odprowadzają ich dwaj młodzi chłopcy, przypominający wyglądem dziewczęta z wysp mórz południowych. Mają wielkie żółte kwiaty we włosach i obcisłe, szerokie pasy w talii, obaj spoglądają łakomie na Boba i Tadźmira, nie wiedząc, na którym najpierw zawiesić wzrok - na delikatnym Bobie o blond włosach czy krzepkim Tadźmirze o pyzatej twarzy.

- Miejcie się na baczności przed ludźmi Mustafy - ostrzegają. - Im nie można ufać, oni was zdradzą, zanim zdążycie się odwrócić. I nie wychodźcie na ulicę po zmroku! Bo mogliby was okraść!

Obaj podróżnicy ruszają jednak do wroga. Budynek policji leży niedaleko okupowanej siedziby gubernatora i służy również za więzienie. Jest to twierdza o ścianach metrowej grubości. Ludzie Mustafy otwierają im ciężką, żelazną bramę i wpuszczają na dziedziniec, gdzie też unosi się najpiękniejszy zapach kwiatów. Tylko że u Mustafy żołnierze nie wpinają ich sobie we włosy, kwiaty kwitną zwyczajnie, na krzewach i na gałęziach drzew. Żołnierzy Mustafy nietrudno odróżnić od bojowników Kamala Chana. Ci tutaj noszą ciemnobrązowe mundury, małe, prostokątne czapki z daszkiem i ciężkie wojskowe buty. Wielu ma usta i nos przewiązane chustą i ciemne okulary. To, że nie można zobaczyć ich twarzy, czyni ich jeszcze bardziej przerażającymi.

Tadźmir i Bob idą za przewodnikiem po wąskich schodach i ciasnych korytarzach twierdzy. W jednym z pokoi w głębi budynku siedzi Mustafa. Podobnie jak jego wróg Kamal Chan - w otoczeniu zbrojnych mężczyzn. Broń jest taka sama, brody takie same, spojrzenia takie same. Obrazek z Mekki na ścianie taki sam. Różnica polega wyłącznie na tym, że szef policji siedzi na krześle przy stole, a nie na podłodze. Poza tym nie ma tu chłopców przystrojonych kwiatami. Jedyne kwiaty to bukiet plastikowych żonkili w jaskrawych kolorach, żółtym, czerwonym i zielonym. Obok wazonu leży Koran w zielonym płótnie, a na postumencie miniaturka afgańskiej flagi.

- Karzaj jest po naszej stronie - mówi Mustafa. - Będziemy walczyć. Pandzi Chan już wystarczająco długo łupi tę ziemię, teraz skończymy z barbarzyństwem!

Siedzący wokół mężczyźni kiwają głowami.

Tadźmir tłumaczy i tłumaczy, te same groźby, te same słowa. O tym, dlaczego Mustafa jest lepszy niż Pandzi Chan i jak Mustafa zaprowadzi pokój. Ale właściwie Tadźmir tłumaczy powody, dla których w Afganistanie nigdy nie będzie spokojnie.

Mustafa brał udział w wielu wyprawach amerykańskich sił specjalnych. Opowiada, jak czatowali przed domem, w którym - byli tego pewni - mieli się ukrywać ben Laden i mułła Omar. Ale nigdy żadnego z nich nie znaleźli. Amerykanie nadal prowadzą poszukiwania, są one jednak otoczone największą tajemnicą, Bob i Tadźmir niczego więcej się nie dowiedzą. Bob pyta, czy mogą którejs nocy z nimi pójść.

Mustafa się śmieje:

- Nie, to jest top secret, to znaczy Amerykanie chcą, żeby tak było. I nie pomoże, żebyś nie wiem jak prosił, młody człowieku. Nie wychodźcie na ulicę po zmroku - surowo zakazuje Mustafa, kiedy zaczynają się żegnać. - Ludzie Pandzi Chana mogliby na was napaść.

Ostrzeżeni przez obie strony ruszają do miejscowej restauracji, gdzie serwuje się kebab. Jest to przestronne pomieszczenie, w którym na niskich ławach ułożono poduszki do siedzenia. Tadźmir zamawia kebab i pilaw, Bob prosi o gotowane jajka i chleb. Bob strasznie się boi bakterii i pasożytów. Jedzą i pospiesznie wracają do hotelu, bo właśnie zaczyna zapadać zmierzch. W tym mieście wszystko się może zdarzyć, dobrze więc przestrzegać pewnych zasad.

Ciężka brama do jedyne go w mieście hotelu otwiera się i zaraz potem zatrzaskuje za nimi. Patrzą na Chost, miasto z zamkniętymi sklepami, pełne zamaskowanych policjantów i sympatyków AlKaidy. Posępne spojrzenie jakiegoś przechodnia rzucone w stronę Boba sprawia, że Tadźmirowi robi się nieprzyjemnie. W tym rejonie wyznacza się ceny za głowy Amerykanów. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów ma dostać każdy, kto zabije Amerykanina. Wchodzą na dach hotelu, by ustawić telefon satelitarny Boba. Nad nimi lata helikopter. Bob próbuje odgadnąć, dokąd zmierza. Dziesięciu pilnujących hotelu żołnierzy zgromadziło się wokół nich. Z wytrzeszczonymi oczyma wpatrują się w bezprzewodowy telefon, do którego mówi Bob.

- Czy on rozmawia z Ameryką? - pyta jeden, wyglądający na przywódcę, długi, chudy, w turbanie, koszuli i sandałach.

Tadźmir przytakuje.

Żołnierze śledzą każdy ruch Boba. Tadźmir stoi i rozmawia z nimi przyciszonym głosem. Są zaabsorbowani telefonem, chcą wiedzieć, jak to działa. Mało który z nich widział wcześniej jakikolwiek telefon. Jeden z żołnierzy mówi z goryczą:

- Zdajesz sobie sprawę, na czym polega nasz problem tutaj? My wiemy wszystko o broni, umiemy jej używać, ale nie wiemy nic o tym, jak się posługiwać telefonem.

Po skończonej rozmowie z Ameryką przybysze schodzą na dół. Żołnierze podążają za nimi.

- Czy to ci, którzy mogą nas zaatakować, zanim zdążymy się odwrócić? - pyta Bob.

Żołnierze kręcą się po hotelu, każdy ze swoim kałasznikowem. Niektórzy mają przy nich bagnety. Tadźmir i Bob siadają na kanapie w holu. Nad nimi wisi zdumiewający obraz. Jest to duży, oprawiony plakat ze zdjęciem Nowego Jorku, na którym stoją jeszcze obie wieże World Trade Center. Ale to nie jest prawdziwe zdjęcie, bo z tyłu za wieżami wznoszą się potężne góry, z przodu zaś wklejony został widoczek zielonego parku z czerwonymi kwiatami. Nowy Jork wygląda jak małe miasteczko u podnóża górskiego masywu.

Obraz robi wrażenie, jakby znajdował się tu od dawna, jest pognieciony i przykurzony. Musiał wisieć tu jeszcze w czasie, kiedy nikt nawet nie przeczuwał, że właśnie ten motyw w groteskowy sposób będzie się łączyć z Afganistanem i miastem Chost oraz przyniesie krajowi jeszcze więcej tego, czego on zupełnie nie potrzebuje: bomb.

- Czy wiecie, co to za miasto? - pyta Bob.

Żołnierze potrząsają głowami. Nie widzieli przecież nic poza parterowymi domkami z gliny, trudno im więc sobie wyobrazić, że obrazek przedstawia prawdziwe miasto.

- Nowy Jork - mówi Bob. - Ameryka. To są te dwa budynki, które zniszczyły samoloty wysłane przez Osamę ben Ladena.

Żołnierze podskakują. Słyszeli o tych domach! To one?

Pokazują sobie i oglądają. Tak wyglądały? Patrzcie, a oni przechodzili koło tego obrazka codziennie i nie wiedzieli!

Bob ma egzemplarz swojej gazety i pokazuje im zdjęcie człowieka, którego zna każdy Amerykanin.

- A wiecie, kto to jest? - pyta. Potrząsają głowami, że nie. - To Osama ben Laden.

Żołnierze mrużą oczy, wrywają mu gazetę. Pochylają się nad nią kołem. Każdy chce zobaczyć.

- To on tak wygląda?

Są zafascynowani zarówno mężczyzną, jak i gazetą.

- Terrorysta - mówią, pokazują sobie palcami i śmieją się. Tutaj nie ma gazet ani pism, oni nigdy nie widzieli zdjęcia Osamy ben Ladena, człowieka, który jest powodem tego, że Amerykanie, a także Tadźmir i Bob znaleźli się w ich mieście.

Żołnierze siadają znowu, wyjmują dużą bryłę haszyszu i chcą poczęstować Boba i Tadźmira. Tadźmir wacha i dziękuje.

- Za mocny - mówi ze śmiechem.

Obaj podróżni kładą się spać. Przez całą noc słyszą strzały karabinów maszynowych. Następnego dnia zastanawiają się, co robić i jak zorganizować sobie pracę.

Chodzą po mieście Chost i rozglądają się. Nikt nie chce ich zabrać na ważne operacje ani na przetrząsanie jaskiń w poszukiwaniu AlKaidy. Codziennie odwiedzają śmiertelnych wrogów: Mustafę i Kamala Chana, by dowiedzieć się czegoś nowego.

- Musicie poczekać, aż Kamal Chan wyzdrowieje - słyszą w okupowanej siedzibie gubernatora.

- Dzisiaj nic nowego - brzmi jak echo odpowiedź na posterunku policji.

Pandzi Chan zapadł się pod ziemię. Mustafa siedzi nieruchomo za bukietem plastikowych kwiatów. Amerykańskich sił specjalnych ani widu, ani słyhu. Nic się nie dzieje, nic oprócz paru serii strzałów każdej nocy i helikopterów krążących nad miastem. Tadźmir i Bob znajdują się na terenach największego bezprawia na świecie i okropnie się nudzą. W końcu Bob postanawia, że trzeba wracać do Kabulu.

Tadźmir cieszy się jak szalony, choć nie daje tego po sobie poznać. Jak najdalej od Chostu, z powrotem do Mikrorejonu.

Kupi wielki tort na rocznicę ślubu.

Jedzie uszczęśliwiony do Osamy w swoim własnym domu. Do okrągłej kobiety o przenikliwym spojrzeniu. Do matki, którą kocha ponad wszystko na świecie.

zmiażdżone serce

Przez wiele dni Lejla dostawała listy. Listy, które sprawiały, że ze strachu przenikał ją chłód, serce tłukło się w piersi jak szalone, a z głowy ulatniały się wszelkie inne myśli. Po przeczytaniu każdego darła papier na drobniutkie kawałki i wrzucała do pieca.

Listy sprawiały również, że zaczynała marzyć. O innym życiu. Dawały jej jakąś obietnicę, a jej monotonnym dniom odrobinę podniecającego napięcia. I jedno, i drugie było dla Lejli czymś absolutnie nowym. Jakby nagle w jej głowie pojawił się świat, którego istnienia nawet nie podejrzewała.

- Chciałabym odlecieć! Chcę stąd uciec! - krzyczała pewnego dnia przy zamiataniu podłogi. - Jak najdalej! - wołała, wymachując miotłą po pokoju.

- Co powiedziałaś? - spytała Sonja i spojrzała na nią z poduszki, na której siedziała jakby nieobecna i wodziła palcem po wypukłym wzorze na tkaninie.

- Nic - odparła Lejla. W głębi duszy myślała, że dłużej tego nie znieśie, że dom jest więzieniem. - Dlaczego wszystko jest takie trudne? - żaliła się.

Ona, która nigdy nie lubiła wychodzenia z domu, poczuła nagle, że musi to zrobić. Pobiegnęła na bazar. Po kwadransie wróciła z pęczkiem cebuli, co wzbudziło podejrzenia.

- Wyszłaś z domu tylko po to, by kupić trochę cebuli?

Naprawdę tak lubisz pokazywać się na bazarze, że chodzisz tam, chociaż właściwie niczego nie potrzebujemy? - Szarifa jest w złym humorze. - Następnym razem pošlij któregoś z małych chłopców.

Zakupy to sprawa mężczyzn lub starych kobiet. Młodsze nie powinny zatrzymywać się i prowadzić rozmów ze sprzedawcami lub innymi mężczyznami na rynku. Wszyscy właściciele sklepików lub straganów na bazarze to mężczyźni. Za czasów talibów władze zakazywały kobietom chodzenia na targ bez towarzystwa kogoś z rodziny, a teraz Szarifa, ponura i niezadowolona, zabrania Lejli tego samego.

Lejla nie odpowiada. Czy Szarifa naprawdę myśli, że interesuje ją rozmowa ze sprzedawcą cebuli? Zużywa cały pęczek do obiadu, by pokazać bratowej, że naprawdę tego potrzebowała.

Stoi w kuchni, kiedy do domu wracają chłopcy. Słyszy, że Ajmal chrząka za jej plecami, i kurczy się ze strachu. Serce bije szybciej. Prosiła bratanka, żeby już nie odbierał tych listów, ale on podaje jej kolejny oraz jakąś twardą paczuszkę.

Lejla ukrywa i jedno, i drugie pod bluzką, biegnie do swojego kuferka i zamyka wszystko na klucz. Kiedy domownicy jedzą, wymyka się do pokoju, gdzie przechowuje swoje skarby. Drżącymi rękami otwiera kuferek i rozwija papier.

Droga L, tym razem musisz mi odpowiedzieć. Moje serce płonie dla Ciebie. Jesteś taka piękna, czy zechcesz uwolnić mnie od smutku, czy już na zawsze mam żyć w ciemnościach? Moje życie spoczywa w Twoich rękach. Bądź dobra, daj mi jakiś znak. Chciałbym Cię spotkać, daj mi odpowiedź. Chcę dzielić z Tobą życie.

Pozdrowienia. K.

W paczuszce leży dzwoneczek. Z niebieskiego szkła na pomalowanym na srebrno rzemyku. Lejla wyjmuje go, a potem szybko odkłada. Nigdy przecież nie będzie mogła go używać.

Co by powiedziała rodzinie, gdyby ktoś spytał, skąd go ma?

Rumieni się sama przed sobą. Co by to było, gdyby bracia się dowiedzieli, albo matka. Strach i przerażenie. Jaki wstyd!

I Sułtan, i Junus osądziliby ją jak najgorzej. Przyjmowanie takich listów to postępek naprawdę niemoralny.

Czy ty czujesz to samo co ja? - pytał w listach.

Szczerze mówiąc, ona nie czuje nic. Jest tylko śmiertelnie przerażona. Ma wrażenie, że jakaś nowa rzeczywistość wdarła się do jej umysłu. Po raz pierwszy w życiu ktoś żąda od niej odpowiedzi. Chce wiedzieć, co ona czuje, co sądzi.

Ale ona nie sądzi nic, nie przywykła do tego, by cokolwiek sądzić. I powiada sama sobie, że nie czuje nic, bo wie, że nie powinna nic czuć. Lejla została nauczona, że uczucia to wstyd.

Ale Karim czuje. Karim widział ją jeden jedyny raz. To było wtedy, kiedy ona i Sonja zanosły do hotelu obiad dla Sułtana i chłopców. Właściwie Karim widział ją tylko przez mgnienie oka, ale było w niej coś, co go przekonało, że to jest ta właściwa. Jej okrągła, blada twarz, piękna cera, oczy.

Karim mieszka sam w jednym pokoju i pracuje w japońskiej spółce telewizyjnej. Jest samotnym chłopcem. Matka zginęła od wybuchu granatu, który podczas wojny domowej spadł na ich podwórko. Ojciec szybko ożenił się z inną kobietą, której Karim nie polubił i która nie polubiła Karima.

Nie zajmowała się dziećmi z pierwszego małżeństwa męża i kiedy ojciec nie widział, biła je. Karim nigdy się nie skarżył, ojciec wybrał ją, nie dzieci. Po skończeniu szkoły

chłopiec pracował kilka lat w aptece ojca w Dżalalabadzie, ale z czasem nie był już w stanie mieszkać z jego nową rodziną.

Kiedy więc młodsza siostra została wydana za pewnego człowieka z Kabulu, Karim też się wyprowadził i zamieszkał u nich. Zaczął studiować na uniwersytecie, ale kiedy rząd talibów upadł i hordy dziennikarzy zalały kabulskie hotele i pensjonaty, Karim zgłosił się do nich jako człowiek dobrze znający język angielski. Miał szczęście i dostał pracę w towarzystwie, które otwierało biuro w Kabulu. Karimowi zaproponowano długoletni kontrakt i świetną pensję. Opłacono mu też pokój w hotelu. Tutaj poznał Mansura i resztę rodziny Sułtana Chana. Polubił ich, polubił ich księgarnie, ich wiedzę i trzeźwość umysłu. To dobra rodzina, myślał.

Kiedy Karimowi mignęła Lejla, po prostu przepadł. Ona jednak nigdy więcej nie przysłała do hotelu, tak naprawdę za pierwszym razem też zrobiła to bardzo niechętnie. To nie jest dobre miejsce dla młodej kobiety, Karim podziela jej zdanie.

Z nikim nie mógł o swoim zauroczeniu rozmawiać, Mansur by go po prostu wyśmiał, a w najgorszym razie starałby się wszystko mu popsuć. Bo dla Mansura nie istniało nic świętego, a ciotką się po prostu nie przejmował. Tylko Ajmal o tym wiedział i dochowywał tajemnicy. Ajmal więc stał się posłańcem Karima.

Gdybym był bardziej zaprzyjaźniony z Mansurem, myślał Karim, mógłbym przez niego wejść do rodziny. Ale szczęście mu dopisało, któregoś dnia Mansur zaprosił go do domu na obiad. To normalne, że młody człowiek przedstawia rodzinie swoich przyjaciół, a Karim był jednym z najbardziej godnych szacunku znajomych Mansura. Karim zrobił wszystko, co tylko mógł, żeby się spodobać, był czarujący, uważnie słuchał, co do niego mówią, i nie szczędził komplementów, wychwalając wspaniałe jedzenie. Szczególnie ważne było, by polubiła go babka, bo to do niej należy ostatnie słowo w sprawie losu Lejli. Ale ta, dla której tu przyszedł, Lejla, nie pokazała się ani na chwilę. Stała przy kuchni i szykowała jedzenie.

Szarifa lub Bolbol podawały je. Młody mężczyzna spoza rodziny nieczęsto widuje niezamężne córki. Kiedy obiad został zjedzony, herbata wypita i nadeszła pora snu, znowu na moment mignęła mu Lejla, bo to ona miała zmienić pokój jadalny w sypialnię. Porozkładała maty, wyjęła kołdry i poduszki, przygotowała też dodatkowe posłanie dla Karima. Nie była w stanie myśleć o niczym innym niż to, że autor listów znajduje się w jej domu.

Karim myślał, że Lejla już skończyła przygotowania, i chciał się pomodlić, zanim inni zaczną się kłaść. Lejla tymczasem nadal stała pochylona nad matą, długie włosy zaplecione w warkocz spadały na plecy okryte szalem. Chłopak zawrócił w prog, zdumiony i podniecony.

Lejla nawet go nie zauważyła, ale Karim na całą noc zachował w pamięci widok jej postaci pochylonej nad posłaniem. Rano jednak Lejli znowu nigdzie nie było, chociaż to ona przygotowała mu wodę do mycia, usmażyła dla niego jajka i zrobiła herbatę. Wyczyściła mu nawet buty, kiedy spał.

Następnego dnia Karim wysłał swoją siostrę do kobiet rodziny Sultana Chana. Ona poznała Lejlę. Kiedy ktoś ma nowych przyjaciół, to przedstawia rodzinie nie tylko tych przyjaciół, ale chętnie również ich krewnych, a właśnie siostra jest najbliższą krewną Karima. Siostra wiedziała o fascynacji Karima Lejlą, teraz miała przyjrzeć się dziewczynie i lepiej poznać całą rodzinę. Kiedy wróciła, opowiedziała Karimowi to, co już i tak wiedział.

- Dziewczyna jest zręczna i pracowita. Do tego ładna i zdrowa. Rodzina porządna i spokojna. Lejla to dobra partia.

- Ale co ona sama powiedziała? Jaka była? Jak wyglądała?

Karim nie mógł się nasłuchać jej odpowiedzi, wciąż i wciąż musiała mu powtarzać od nowa, choć jego zdaniem opisywała Lejlę zbyt powściągliwie.

- To porządna dziewczyna, już ci mówiłam - ucięła w końcu siostra.

Ponieważ Karim nie miał matki, roli swatki musiała się podjąć młodsza siostra. Na razie było jednak za wcześnie.

Siostra powinna najpierw lepiej poznać rodzinę, dowiedzieć się, czy nie łączą ich więzy pokrewieństwa. Gdyby się okazało, że nie, mógłby poprosić o jej rękę, ale i tak za pierwszym razem odmówią.

Po wizycie siostry Karima wszyscy zaczęli sobie dowcipkować na temat jego i Lejli. Ona nie reagowała na zaczepki.

Udawiała, że nic ją to nie obchodzi, choć wewnątrz płonęła.

Żeby się tylko nikt nie dowiedział o listach. Była zła na Karima, że naraża ją na niebezpieczeństwo, zmiażdżyła szklany dzwoneczek kamieniem i wyrzuciła go.

Bała się przede wszystkim tego, że Junus coś zauważy.

Junus bowiem pielęgnował w rodzinie najsurowsze zasady islamu, choć sam raczej ich tak bardzo nie przestrzegał. On też był najbliższym Lejli członkiem rodziny. Bała się, że gdyby dowiedział się o listach, o tym, że ona je przyjmuje, mógłby sobie pomyśleć coś złego. Kiedy jakiś czas temu zaproponowano jej pracę w niepełnym wymiarze godzin, przy której mogła wykorzystać swoją znajomość angielskiego, Junus się na to nie zgodził. Nie potrafił zaakceptować faktu, że pracowałyby w biurze razem z mężczyznami.

Lejla pamięta rozmowę z bratem na temat Dżamili. Szarifa opowiedziała jej o tym, że młoda dziewczyna została uduszona.

- Jak to uduszona? - wykrzyknął Junus. - Chodzi ci o tę dziewczynę, która umarła porażona prądem w wyniku krótkiego spięcia?

Junus nie wiedział, że historia o krótkim spięciu to kłamstwo i że Dżamila została zamordowana, bo przyjmowała w nocy kochanka. Lejla mu to wszystko wytłumaczyła.

- To potworne, potworne, potworne - powtarzał. Lejlaprzytakiwała. - Jak ona mogła? - Junus na koniec dał wyraz swojemu najwyższemu oburzeniu.

- Ona? - zawołała Lejla. Źle odczytała wyraz jego twarzy, uznała, że jest wstrząśnięty, zły i rozżalony tym, że Dżamila została uduszona przez rodzonego braci. Ale on przeżywał szok i gniew dlatego, że dziewczyna mogła mieć kochanka.

- Przecież jej mąż był bogaty i urodziwy - mówił Junus, wciąż roztrzęsiony po tym, co usłyszał. - Jaki wstyd! - powtarzał. - I w dodatku z Pakistańczykiem! To mnie przekonuje jeszcze bardziej, że powinienem wziąć sobie bardzo młodą żonę. Młodą i nietkniętą. I że muszę ją trzymać krótko - dodał z zaciętym wyrazem twarzy.

- No ale przecież to morderstwo! - krzyknęła Lejla.

- Jej przestępstwo było pierwsze.

Lejla również chce być młoda i nietknięta. I śmiertelnie się boi, że zostanie przyłapana. Nie dostrzega różnicy między niewiernością wobec prawowitego męża a odbieraniem listów od jakiegoś chłopaka. I jedno, i drugie jest niezgodne z zasadami, i to, i to jest złe, jeśli się wyda, będzie taki sam wstyd. Teraz, kiedy zaczęła patrzeć na Karima jako na wybawcę, który mógłby zabrać ją z tej rodziny, bardzo się boi, że Junus nie poprze jej sprawy, gdyby Karim się oświadczył.

O zakochaniu nie ma mowy, jeśli chodzi o Lejlę. Przecież ledwo widziała tego człowieka, tylko przez okno, kiedy szedł z Mansurem, a potem zza zasłony z kuchni. A to, co zobaczyła, podobało jej się raczej umiarkowanie.

- On wygląda jak dzieciak - powiedziała później do Sonji. - Mały i drobny, z dziecinną twarzą.

Ale był wykształcony, sympatyczny i nie miał rodziny.

Dlatego mógł być ratunkiem, mógł ją wyciągnąć z tego życia, które w przeciwnym razie pochłonie ją bez reszty. Najlepsze ze wszystkiego jest to, że nie ma dużej rodziny, Lejla nie musi się więc obawiać, że znowu będzie służącą. On by jej pozwolił studiować albo pracować. Byliby tylko we dwoje, mogliby nawet gdzieś pojechać. Może za granicę.

Nie o to chodzi, że Lejla nigdy nie miała starających się.

Miała, i to nawet trzech. Ale wszyscy byli krewnymi, a ona krewnego nie chciała.

Jeden to syn ciotki, analfabeta i bezrobotny, leń, do niczego nieprzydatny.

Drugi konkurent to syn Wakila, wyrośnięty drań. Nie ma pracy, czasami tylko ojciec zabiera go w drogę ciężarówką. „Ale masz szczęście - kpił sobie z niej Mansur. - Będziesz miała męża o dwóch palcach”.

Syna Wakila, który stracił trzy palce, reperując samochód, Lejla też nie chciała. Szakila natomiast, jej siostra, bardzo nalegała na ich małżeństwo. Chciała, żeby Lejla zamieszkała w jej domu i była zawsze do jej dyspozycji, a syn Wakila musiałby słuchać poleceń ojca.

Tam miałabym do prania rzeczy nie trzynastu osób, ale dwudziestu, myślała Lejla. Szakila byłaby godną szacunku gospodynią, Lejla służącą. Znowu. Poza tym już by się nie wyrwała ze znienawidzonego życia, znowu znalazłaby się w wielkiej rodzinie, jak Szakila otoczona drobiem, z gromadą dzieci trzymających się spódnicy po wieczny czas.

Trzeci był Chaled, też kuzyn Lejli, piękny, spokojny młody mężczyzna. Razem dorastali i Lejla dosyć go lubiła. Był miły i miał ładne, ciepłe oczy. Ale, niestety, miał rodzinę.

Straszną rodzinę. Przede wszystkim wielką, blisko trzydzieści osób. Jego ojciec, bardzo surowy stary mężczyzna, został właśnie wypuszczony z więzienia, do którego trafił oskarżony o współpracę z talibami. Podczas wojny domowej jego dom, jak zresztą większość domów w Kabulu i okolicach, został splądrowany, więc kiedy talibowie zaczęli zaprowadzać swoje prawa i porządek, on doniósł na kilku mudzahedinów ze swojej wsi. Aresztowano ich i skazano na wysokie kary więzienia. Po ucieczce talibów odzyskali władzę we wsi i teraz oni wsadzili ojca Chaleda do więzienia. „Dobrze mu tak - mówili ludzie. - Skoro był taki głupi, żeby donosić”.

Ojciec Chaleda był znany z okropnego charakteru. Poza tym miał dwie żony, które się nieustannie kłóciły, po prostu nie były w stanie wytrzymać w tym samym pomieszczeniu.

Ostatnio stary zaczął przemyśliwać, by wziąć sobie trzecią.

„One są już dla mnie za stare. Muszę mieć taką, która podtrzyma we mnie młodość” - oznajmił siedemdziesięcioletek.

Lejla nawet myśleć nie chciała o tym, że miałyby się znaleźć w takiej rodzinie, poza tym Chaled nie miał pieniędzy, więc nigdy by nie mogli zamieszkać osobno.

I oto los okazał się szczerzy, zesłał jej Karima. To nowe, trochę niebezpieczne życie rysowało się przed nią jako obietnica, której tak potrzebowała, i pozwalało mieć nadzieję. Nie chciała więc zrezygnować ze starań o zarejestrowanie się w Ministerstwie Edukacji, żeby móc pracować jako nauczycielka. Kiedy stało się jasne, że żaden z mężczyzn w rodzinie jej nie pomoże, Szarifa zlitowała się nad szwagierką.

Obiecała, że pójdzie z nią do tego ministerstwa. Czas jednak mijał, a one nie mogły się wybrać. Nie miały też możliwości, żeby się z kimś w ministerstwie umówić. Lejla znowu zaczynała tracić odwagę. Nieoczekiwanie jednak pojawiła się w tej sprawie jakaś nadzieja.

Siostra Karima powiedziała mu o problemach, jakie ma Lejla z rejestracją. No i po wielu tygodniach starań, ale głównie dlatego, że znał bliskiego współpracownika ministra edukacji, można powiedzieć jego prawą rękę, Karim zdołał zorganizować Lejli spotkanie z nowym ministrem Rasulem Aminem. Dziewczyna otrzymała pozwolenie od matki, by tam pójść, skoro dzięki temu mogłaby w końcu dostać tę pracę nauczycielki, której tak pragnęła. Sułtan na szczęście był za granicą i nawet Junus tym razem nie wkładał kija w szprychy. Jakby los zaczął jej sprzyjać. Przez całą noc poprzedzającą wizytę w ministerstwie Lejla leżała, nie śpiąc, i modliła się, by wszystko poszło dobrze, zarówno spotkanie z Karimem, jak i z ministrem.

Karim ma na nią czekać o dziewiątej. Lejla przymierza ubrania, wkłada różne rzeczy i zdejmuje je niezadowolona.

Mierzy ubrania Sonji, swoje, Szarify. Po wyjściu mężczyźni do pracy kobiety siadają na podłodze, a Lejla prezentuje im się coraz to w czym innym.

- Za ciasne!
- Zbyt wielki wzór!
- Za bardzo się błyszczą!
- Prześroczyste!
- Przecież to brudne!

We wszystkim znajdują jakąś wadę. Lejla prawie nie ma zwykłych ubrań, tylko albo zniszczone, stare, porozciągane swetry, które nosi po domu, albo połyskliwe bluzki ze złotą nicią. Nic normalnego. Dziewczyna rzadko kupuje sobie ubrania, a jeśli już, to na jakieś wesele lub zaręczyny i wtedy wybiera coś najbardziej błyszczącego, mieniącego się.

W końcu decyduje się na jedną z białych bluzek Sonji i szeroką czarną spódnicę. Wygląda porządnie, ale mimo wszystko otula się jeszcze długim szalem, który okrywa głowę, ramiona i spływa aż do bioder. Twarz jednak pozostawia odsłoniętą. Bo Lejla skończyła z burką. Obiecała sama sobie, że kiedy król wróci do kraju, ona zdejmie zasłonę, ponieważ wtedy Afganistan będzie nowoczesnym krajem. Tego kwietniowego poranka, kiedy ekskról Zaher Szah postawił stopę na afgańskiej ziemi po trzydziestu latach wygnania, Lejla na dobre powiesiła burkę na gwoździu i oznajmiła, że nigdy więcej nie włoży tego cuchnącego przyodziewku. I Sonja, i Szarifa poszły za jej przykładem. Dla Szarify było to proste, ona

przez większość dorosłego życia chodziła z odsłoniętą twarzą. Gorzej z Sonją, która z dziecka stała się od razu kobietą w burce, żoną i matką, i teraz czuła się skрэpowana.

W końcu to Sułtan zabronił jej noszenia burki. "Nie chcę mieć takiej prehistorycznej żony, wysłaś za liberała, a nie za jakiegoś fundamentalistę".

Pod wieloma względami Sułtan jest liberałem. Kiedy był w Iranie, kupił dla siebie i Sonji zachodnie ubrania. Na temat burki mówił często, że to klatka służąca ciemieniu kobiet i że jest rad, bo w nowym rządzie są też kobiety. Z całego serca życzył sobie, by Afganistan mógł być nowoczesnym krajem, i z zapalem dyskutował o wyzwoleniu kobiet. W rodzinie jednak pozostał autorytarnym patriarchą.

Kiedy w końcu przychodzi Karim, Lejla stoi przed lustrem, w tym swoim szalu, ale z błyskiem w oczach, jakiego nigdy w nich przedtem nie było. Jest bardzo zdenerwowana, nisko pochyla głowę. Szarifa staje przed nią. Witają się pospiesznie i wychodzą, najpierw Szarifa, Lejla za nią.

Wszystko układa się jak najlepiej, Lejla jest nadal spięta, ale największe zdenerwowanie opanowała. On wygląda całkiem niegroźnie. Jest miły, tylko trochę dziwny.

Karim rozmawia z Szarifą o tym i owym, o jej synach, o pracy, o pogodzie. Ona wypytuje go o rodzinę, o zajęcie.

Szarifa też by chciała wrócić do pracy nauczycielskiej. Ona, w przeciwieństwie do Lejli, papiery ma w porządku, wystarczy się tylko ponownie zarejestrować. Lejla zgromadziła spory plik dokumentów, świadectwa ze szkoły w Pakistanie, zaświadczenia o ukończeniu kursów angielskiego. Nie ma jednak wykształcenia nauczycielskiego, nawet gimnazjum nie skończyła, ale też szkoła, w której chciałaby pracować, nigdy nie znajdzie nauczyciela angielskiego, jeśli Lejla się tego nie podejmie.

Przed ministerstwem trzeba czekać wiele godzin na chwilę spotkania z ministrem. Wokół siedzą tłumy kobiet.

Przykucnęły w kątach i pod ścianami, są w burkach i bez.

Stoją w kolejkach przed rzędami barierek. Urzędnicy rzucają im jakieś formularze, a one oddają już wypełnione. Niektórzy zatrudnieni tutaj popychają kobiety, które nie dość szybko ustępują im z drogi. Te w kolejce wymyślają tym za barierkami i odwrotnie, ci za barierkami wymyślają kolejce.

Tutaj panuje w gruncie rzeczy równouprawienie, mężczyźni krzyczą na kobiety, a one nie pozostają im dłużne. Jacyś mężczyźni, najwyraźniej urzędnicy ministerialni, biegają z plikami papierów. Patrzący odnoszą wrażenie, że kręcą się w kółko. Wszyscy krzyczą. Jakaś stara, wysuszona kobieta przeciska się w tłumie, najwyraźniej zabłądziła, a ponieważ nikt jej

nie pomaga, siada w końcu zmęczona w kącie i zasypia. Inna przycupnęła na podłodze i płacze.

Karim bardzo dobrze wykorzystuje czas oczekiwania.

W pewnym momencie zostaje nawet z Lejlą sam na sam, bo Szarifa poszła się czegoś dowiedzieć w długiej kolejce przed jedną z barierek.

- Jaką masz dla mnie odpowiedź? - pyta Karim.
- Przecież wiesz, że nie mogę ci odpowiedzieć - mówi Lejla.
- Ale czego ty byś chciała?
- Wiesz, że ja nie mogę niczego chcieć.
- Ale lubisz mnie?
- Wiesz, że nie mogę mieć w tej sprawie zdania.
- Powiesz tak, jeśli przyślę siostrę?
- Przecież wiesz, że to nie ja będę odpowiadać.
- Chcesz się ze mną znowu spotkać?
- Ja nie mogę się z tobą spotkać.
- Dlaczego nie możesz być miłsza? Nie lubisz mnie?
- Moja rodzina będzie decydować o tym, czy cię lubię, czy nie.

Lejla jest zirytowana tym, że Karim ma odwagę pytać ją o takie rzeczy. Mimo wszystko to matka i Sułtan decydują.

Ale oczywiście ona lubi Karima. Lubi go dlatego, że jest dla niej ratunkiem. Żadnych uczuć jednak do niego nie żywi. Jak więc ma odpowiadać na te pytania?

Czekają godzinami. W końcu wchodzi. Za zasłoną siedzi minister. Wita się z nimi krótko. Potem bierze papiery, które Lejla mu podaje, i podpisuje, nawet na nie nie patrząc. Podpisuje siedem dokumentów, po czym interesanci mogą wyjść.

Tak funkcjonuje afgańskie państwo, musisz kogoś znać, by dostać się do urzędnika - kompletnie paraliżujący system.

Nic się nie dzieje bez takich podpisów i akceptacji. Lejla została wpuszczona do ministra, inni muszą się zadowolić znacznie mniej prominentną figurą. Ponieważ jednak ministrowie tracą coraz większą część swojego czasu na podpisywanie papierów ludziom, którzy się jakoś do nich dostali, ich podpisy są coraz mniej warte.

Lejla myśli, że skoro otrzymała sygnaturę od samego ministra, to droga do nauczycielskiego świata stoi przed nią otworem. Okazuje się jednak, że musi jeszcze przejść przez wiele gabinetów, barierek i pomieszczeń. Przeważnie Szarifa przedstawia sprawę, Lejla zaś siedzi i patrzy w podłogę.

Dlaczego tak trudno zarejestrować się w charakterze nauczyciela, skoro Afganistan straszliwie potrzebuje właśnie nauczycieli? W wielu miejscowościach są i budynki szkolne, i podręczniki, ale brak nauczycieli, powiedział minister.

Kiedy Lejla wchodzi do gabinetu, w którym egzaminuje się kandydatów, jej papiery są pomięte i brudne, przez tyle rąk już przeszły.

Będzie to egzamin ustny sprawdzający, czy Lejla nadaje się na nauczycielkę. W pokoju siedzi za stołem komisja - dwóch mężczyzn i kobieta. Po zapisaniu nazwiska, wieku, wykształcenia przychodzi czas na pytania.

- Czy znasz muzułmańskie wyznanie wiary?

- Nie ma bóstwa oprócz Boga, a Mahomet jest wysłannikiem Boga - recytuje Lejla.

- Ile razy w ciągu dnia muzułmanin powinien się modlić?

- Pięć razy.

- Chyba sześć byłoby właściwie - wtrąca kobieta za stołem. Lejla jednak nie daje się zbić z tropu.

- Może dla was byłoby właściwie, ale dla mnie właściwie jest pięć razy.

- A ile razy ty się modlisz?

- Pięć razy dziennie - kłamie Lejla.

Potem są pytania z matematyki, z którymi Lejla sobie radzi, następnie jakieś formułki fizyczne, o których nie ma pojęcia.

- Czy nie powinniście pytać mnie raczej z angielskiego?

Członkowie komisji potrząsają głowami.

- Mogłabyś nam odpowiadać, co byś chciała - śmieją się pogardliwie. Nikt z egzaminatorów nie zna angielskiego. Lejla czuje, że oni chcą, by ani ona, ani żaden inny z nowych kandydatów na nauczycieli pracy nie dostał. Po skończonym egzaminie komisja wdaje się w długą dyskusję, w końcu odkrywa, że brak jeszcze jakiegoś papieru.

- Przyjdź znowu, jak zdobędziesz ten dokument - postanawiają.

Po ośmiu godzinach spędzonych w ministerstwie jadą do domu przygnębieni. Przeciwno tym biurokratom nic nie działał nawet podpis samego ministra.

- Rezygnuję - mówi Lejla. - Właściwie to już sama nie wiem, czy chciałam być nauczycielką.

- Ale ja ci pomogę - obiecuje Karim z uśmiechem. - Skoro zacząłem, to doprowadzę sprawę do końca.

Lejla czuje w sercu odrobinę ciepła.

Następnego dnia Karim jedzie do Dżalalabadu, by porozmawiać ze swoimi krewnymi. Opowiada im o Lejli, o tym, z jakiej rodziny pochodzi, oświadcza, że chętnie by się o nią starał. Krewni wyrażają zgodę i teraz pozostaje już tylko wysłać znowu siostrę do rodziny Sułtana Chana. Trochę się to przeciąga. Karim obawia się odmowy, poza tym potrzebuje pieniędzy, dużo pieniędzy na wesele, na dom, na wyposażenie. W dodatku stosunki z Mansurem jakby ochłodziły.

Mansur ignorował go w ostatnich dniach, przy spotkaniu rzucał tylko krótkie pozdrowienie i odchodził. Karim pyta w końcu któregoś dnia, czy zrobił coś złego.

- Muszę ci powiedzieć coś o Lejli - odpowiada Mansur.

- Co takiego? - niepokoi się Karim.

- A zresztą nie, nie mogę tego powiedzieć, przykro mi - wycofuje się Mansur.

- Ale o co chodzi? - Karim stoi z otwartymi ustami. - Czy ona jest chora? Może ma innego? Coś jej dolega?

- Nie mogę powiedzieć, co to jest, bo jakbyś wiedział, tobyś się nigdy nie chciał z nią ożenić - wykręca się Mansur.

- A teraz muszę już iść.

Codziennie Karim męczy Mansura, by mu powiedział, co jest z Lejlą nie tak, Mansur jednak zawsze unika wyjaśnień.

Karim przekonuje i błaga, złości się i obraża, ale Mansur jest uparty.

Dowiedział się mianowicie od Ajmala o listach. Początkowo nie miał nic przeciwko temu, żeby Karim dostał Lejlę, wprost przeciwnie. Ale Wakil też się dowiedział o zamiarach Karima i to on poprosił Mansura, by trzymał tamtego z dala od ciotki. Chłopak musiał więc zrobić to, o co go prosił mąż drugiej ciotki. To Wakil należy do rodziny, nie Karim.

Wakil również bezpośrednio groził Karimowi.

- Ja ją upatrzyłem dla mojego syna - oznajmił. - Lejla należy do naszej rodziny i moja żona chce, żeby wyszła za mojego syna. Ja też sobie tego życzę. Sułtanowi i jego matce z pewnością spodoba się nasz pomysł, więc ty lepiej nie rób sobie nadziei.

Karim nie bardzo miał co odpowiedzieć starszemu od siebie Wakilowi. On mógł liczyć na jakąś szansę tylko pod warunkiem, że Lejla zdecydowałaby się o niego walczyć. No ale skoro z nią jest coś nie w porządku? Czy to prawda, co Mansur mówi?

Karim zaczyna wątpić w powodzenie swoich starań. Tymczasem Wakil i Szakila przychodzą z wizytą do Mikrorejonu. Lejla znika w kuchni, by przygotować jedzenie.

Po wyjściu gości Bibi Gol mówi:

- Oni prosili o ciebie dla Saida.

Lejla stoi jak wryta.

- Powiedziałałam, że nie mam nic przeciwko temu, ale muszę zapytać ciebie - powiada Bibi Gol.

Lejla robiła zawsze to, co matka kazała. Teraz nie mówi nic. Syn Wakila. Z nim będzie miała życie dokładnie takie samo jak to, które prowadzi teraz, tylko jeszcze więcej obowiązków i jeszcze więcej pracodawców. A na dodatek będzie miała męża o dwóch palcach, męża, który nigdy nie otworzył żadnej książki.

Bibi Gol moczy kawałek chleba w oliwie na talerzyku i wkłada go do ust. Na talerzu Szakili znajduje kość i wysysa ją, spoglądając na córkę.

Lejla czuje, jak opuszcza ją życie, młodość i wszelka nadzieja, a ona nie może się ratować. Czuje, że jej serce zmienia się w ciężki, samotny kamień, że zaraz zostanie zmiażdżone raz na zawsze.

Odwraca się, trzema krokami pokonuje odległość do drzwi, wychodzi i cicho zamyka je za sobą. Zmiażdżone serce zostaje po tamtej stronie. Wkrótce zmiesza się z kurzem, który wpada przez okno, z kurzem, którym przesycone są dywany. Jeszcze tego wieczora ona sama je zmiecie i wyrzuci na podwórko.

epilog

Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda rodzina nieszczęśliwa jest nieszczęśliwa na swój sposób.

Lew Tołstoj, Anna Karenina

Parę tygodni po moim wyjeździe z Kabulu rodzina się rozpadła. Kolejna kłótnia skończyła się bójką i słowa, które zostały wypowiedziane przez Sułtana, Szarifę i Sonję z jednej strony i Lejlę oraz Bibi Gol z drugiej były niewybaczalne do tego stopnia, że trudno było po nich żyć pod jednym dachem. Kiedy Junus wrócił do domu po awanturze, Sułtan wziął go na bok i oznajmił, że on, Junus, siostry i matka muszą jemu, Sułtanowi, okazywać należny szacunek, bo on jest najstarszy, a w dodatku wszyscy jedzą jego chleb.

Następnego dnia, zanim się rozwidniło, Bibi Gol, Lejla, Junus i Bolbol opuścili mieszkanie Sułtana, tak jak stali, nie zabierając niczego. Żadne z nich nigdy tam nie wróciło.

Przeprowadzili się do Farida, drugiego odtrąconego brata Sułtana, zamieszkali z nim, z jego żoną w zaawansowanej ciąży i trojgiem ich małych dzieci. I szukali jakiegoś miejsca, do którego mogliby się przenieść.”Afgańscy bracia nie są dla siebie nawzajem mili - konkluduje Sułtan, telefonując z Kabulu. - Czas najwyższy, aby każdy zaczął żyć na własny rachunek”.

Karim już się więcej do Lejli nie odezwał. Kiedy stosunki z Mansurem ochłodziły, trudno mu było kontaktować się z jego rodziną. Poza tym nie do końca był pewien, czego chce.

Dostał egipskie stypendium i miał zamiar studiować na uniwersytecie w Kairze.”Ma zostać mułłą” - śmieje się Mansur, którego nie najlepiej słychać w telefonie.

Stolarz dostał trzy lata więzienia. Sułtan był bezlitosny:

„Przestępcy nie mogą chodzić na wolności. Jestem pewien, że on mi ukraść co najmniej dwadzieścia tysięcy pocztówek.

To, co mówił o swojej żyjącej w nędzy rodzinie, jest kłamstwem. Wyliczyłem, że musiał zarobić mnóstwo pieniędzy, ale je ukrył”.

Marjam, która śmiertelnie się bała, że urodzi córkę, miała Allaha po swojej stronie i doczekała się syna.

Ogromny kontrakt Sułtana na druk podręczników szkolnych spełził na niczym, Oxford University ma większą siłę przebicia. Ale Sułtan jest zadowolony, że tak się stało.”To by wyszło ze mnie wszystkie siły, zadanie było zbyt wielkie”.

Jego księgarnie rozwijają się znakomicie. Sułtan podpisał intratne umowy z Iranem, sprzedaje książki do bibliotek zachodnich ambasad. Stara się teraz kupić nieczynne kino w Kabulu i stworzyć centrum z księgarnią, salą odczytową i biblioteką, miejsce, w którym naukowcy mieliby dostęp do jego ogromnego księgozbioru. Obiecuje, że w następnym roku wyśle Mansura do Indii w interesach. "On musi za coś odpowiadać, to będzie dobre dla kształtowania jego charakteru - powtarza. - Może i młodszych chłopców zapiszę do szkoły?"

Sułtan dał swoim trzem synom wolne piątki, mogą wtedy robić, co chcą. Mansur chodzi więc na swoje imprezy towarzyskie i wraca do domu z coraz to nowymi opowieściami o tym, gdzie był. Jego najnowszą dziewczyną jest sąsiadka z trzeciego piętra.

Sułtana niepokoi jednak sytuacja polityczna. "Jest bardzo niebezpieczna, Loja Dżirga dała zbyt wiele władzy Sojuszowi Północnemu, nie ma równowagi. Karzaj jest za słaby, nie potrafi rządzić krajem. Byłoby najlepiej, gdyby stworzono rząd z technokratów, wskazanych przez Europejczyków. Kiedy my, Afgańczycy, zaczynamy sami wybierać swoich przedstawicieli, kończy się to źle. Żadnej współpracy, a ludzie cierpią. No i nie odzyskaliśmy jeszcze naszych wykształconych ludzi, tam gdzie powinni się znajdować intelektualiści, u nas jest pustka".

Mansur zabronił matce pracy w szkole. "To niedobry pomysł" - powiedział tylko.

Sułtan nie miał nic przeciwko temu, żeby wróciła do nauczycielstwa, skoro jednak Mansur, jej najstarszy syn, się nie zgodził, to nic z tego nie wyszło. Nic też nie wyszło z prób Lejli, żeby się zarejestrować i podjąć pracę jako nauczycielka.

Bolbol wyszła w końcu za swojego narzeczonego. Sułtan jednak wolał zostać tego dnia w domu i żonom oraz synom też zabronił udziału w weselu.

Sonja i Szarifa są teraz jedynymi kobietami w domu Sułtana. Kiedy on i synowie idą do pracy, one zostają same, niekiedy jak matka i córka, niekiedy jak rywalki. Za kilka miesięcy Sonja znowu urodzi. Modli się do Allaha, żeby dał jej syna. Mnie też poprosiła, żeby się za nią modlić. "No bo gdybym znowu urodziła córkę?"

Byłaby to kolejna mała katastrofa w rodzinie.

nota od wydawcy

Wyrazy z używanego w Afganistanie języka dari zapisane są w książce zgodnie z przyjętą przez orientalistów transkrypcją. Jedyne kilka słów i imion własnych pozostawiamy w przyswojonej już w Polsce, niezgodnej z tym zapisem formie. Są to: mudżahedin (w prawidłowej transkrypcji powinno być: modżahedin) i burka, nazwa kobiecego stroju (właśc. borgha), oraz imiona znanych u nas postaci: Hamid (właśc. Hamed) Karzaj i Burhanuddin (właśc. Borhanuddin) Rabbani.